Kir Bułyczow

Świat bez czasu

Przełożyli Witold Jabłoński Tadeusz Gosk

Kir Bułyczow

Świat bez czasu

Przełożyli Witold Jabłoński Tadeusz Gosk

Świat bez czasu

To prawie reguła w Moskwie: odwilż przed samym Nowym Rokiem.

Przez dwa tygodnie natura zasypuje miasto śniegiem, miota płachtami śnieżycy, zdobi okna i witryny białymi deseniami — a w ciągu paru godzin wszystkie te wspaniałości rozpływają się.

Z nieba sypie się mokra kaszka, zaspy zmniejszają się i ciemnieją, spod nich wypełzają kałuże, katar i kaszel atakują mieszkańców stolicy, lecz owe drobne nieprzyjemności nie psują prawie wcale noworocznego nastroju. Przecież ludzie są mistrzami w łudzeniu się nadzieją, że w następnym roku raz—dwa znikną bieda, oszustwa, choroby i życiowe rozczarowania. Zbudzisz się rano i świat będzie lepszy. Bo umierać w Nowy Rok nikt nie ma zamiaru.

Człowiek ma niesamowitą zdolność do okłamywania samego siebie. Zdawałoby się, że po milionach lat ewolucji najwyższa pora wydorośleć, nauczyć się czegoś na podstawie smutnych doświadczeń i zrozumieć, że każdy następny rok jest zawsze gorszy od poprzedniego. Najlepiej, gdyby to tylko było możliwe, pozostać w mijającym roku i nie spieszyć się do nowego…

Tak właśnie rozmyślał Igor Czechonin, czekając na autobus w Jesionowie i obserwując ślizgającego się, spieszącego do przystanku tłuścioszka w kożuszku, dźwigającego siatkę pełną pomarańczy i ściskającego pod pachą papierowy pakunek, z którego sterczał ogon łososia.

Rozważania o naiwności ludzkiej nie były wynikiem chwilowego kaprysu. Jeśli ktoś miał w Moskwie prawo potępiać przednoworoczne zamieszanie, tym człowiekiem był właśnie Igor Czechonin, szesnastolatek, uczeń dziewiątej klasy.

Nadjechał autobus. Nie był pełen, lecz wydawał się nabity ludźmi, ponieważ kobiety wolały stać w przejściu i nie siadały, dbając o balowe suknie. Część mężczyzn także nie usiadła, pozostawiając trochę wolnych miejsc. Tłuścioszek zdążył usiąść przed Igorem, siatkę położył na mokrych kolanach, łososia trzymał w powietrzu, ogonem do sufitu.

W autobusie pachniało perfumami. Kobiety uśmiechały się z troską. Ktoś jęknął: „Czyżbyśmy zapomnieli?” O czym zapomnieli?

Igor spoglądał na mżawkę za oknem i przeżywał na nowo rozmowę z Żorą, dopiero teraz odnajdując odpowiednio jadowite riposty i nieodparte argumenty. Cóż to w końcu za przyjemność atakować przeciwnika, który ciągle unika ciosu?

Całą godzinę czekał na Żorę na półpiętrze szóstej kondygnacji.

Dawno już się ściemniło, na dole trzaskały drzwi wejściowe. Dochodziły go zewsząd smakowite zapachy, a przecież nie jadł niczego od rana. Pół dnia zdobywał adres Żory, potem szukał jego domu pośród innych, identycznych budynków, w myślach przygotowując się do mającej nastąpić rozmowy.

Myślał o tym, co mu powie i jak tamten zareaguje, kłamiąc i wykręcając się, a wówczas on przyciśnie go do muru, aż w końcu — pomimo rozpaczliwego oporu — Zora będzie zmuszony zwrócić magnetofon.

Żory ciągle nie było, a tymczasem okropny, dręczący głód stopniowo owładnął Igorem,

odbierając mu zdolność trzeźwego myślenia. Dlatego, gdy tamten nareszcie się zjawił, wychynął z windy, rozpiął sięgający prawie do ziemi czarny, skórzany płaszcz, wydobył klucz z kieszeni dżinsów, zauważył zeskakującego z parapetu Igora, od razu go rozpoznał, pomachał wesoło wolną dłonią, zaprosił do wejścia, zapytał uprzejmie, czy zbyt długo na niego nie czekał… Igor całkiem zapomniał, jak zamierzał z nim rozmawiać.

Stanęli potem pośrodku dużego, prawie pustego pokoju: w kącie tapczan, fotki gwiazd rocka wycięte z czasopism i przyklejone do tapety, adapter z rozstawionymi po bokach kolumnami, kupka kaset na stoliku, a obok pusta butelka po dżinie „Beefeater".

Stali tak na środku pokoju i Zora coś truł, ponieważ chyba przewidywał, ku czemu zmierza to spotkanie, a Igor w żaden sposób nie mógł przebić się przez pancerz tego trucia, domyślając się już, że ta rozmowa zakończy się jego porażką.

— No przecież go wziąłeś? Wziąłeś? — Igor pamiętał tylko swoje słowa, a odpowiedzi tamtego całkiem ulatywały mu z głowy. — Obiecałeś oddać? Zapomniałeś, czy jak? No to ci przypomnę. Oddałem ci do naprawy magnetofon mojego ojca, dwukasetowy „Grundig", stereo, z zepsutą głowicą. Smirnicki z dziesiątej „A" dał mi twój telefon. Przedwczoraj obiecałeś naprawić za trzy dni. Dałem ci za to dwie kasety „Sony". Dałem?

Zorze było bardzo przykro. Nigdy nie widział magnetofonu, właściwie nie zna Igora, w ogóle musi zaraz wyjść, a może właściwie odwrotnie, do niego za chwilkę wpadną goście. Okazując współczucie chłopakowi, mówił wysokim głosem, który niezbyt pasował do jego masywnego, atletycznego ciała.

— Trzeba było wziąć pokwitowanie — mówił Zora. — Jakiś dokument spisany u notariusza. Widzisz, jakie dzikie czasy nastały? Czy można tak lekkomyślnie zaufać obcemu? Zachowałeś się jak Don Kichot.

Słowa o Don Kichocie Igor zapamiętał. Uznał je za szczególnie obraźliwe. Chciał się rzucić na Żorę, żeby go zabić, lecz tamten nie miał zamiaru ustępować. Patrząc na Igora maleńkimi, mysimi oczkami, powiedział:

— Uważaj, chłopcze. Mamy różne kategorie wagowe. Niczym innym niż granatnikiem mnie nie postraszysz. Stój, kiedy mówię!

Chwycił Igora, wykręcił mu obie ręce za plecami i zmusił do zgarbienia się w głębokim ukłonie.

— Uprzedzałem. Chcesz powitać Nowy Rok z podbitym okiem? Mogę ci to załatwić.

Igor poddał się i obiecał więcej się nie szarpać.

Nie wyszedł jednak. Rozmowa trwała dalej. Zora poszedł do kuchni. Nastawił tam czajnik i otworzywszy lodówkę, zaczął głośno liczyć butelki. Igor poszedł w ślad za nim, zatrzymał się w drzwiach i błagał, chociaż wstydził się błagać. Zora zrobił wszystko inaczej, niż się tego Igor spodziewał. Nie awanturował się, nie bił się w pierś, nie wywalał intruza z mieszkania. Znosił gościa cierpliwie.

— Czy ty masz sumienie?!

— Nędzne resztki — odparł szczerze Zora. — W najbliższym czasie zamierzam się ich pozbyć.

Był o głowę wyższy. Igor żałował, że nie ma broni. Gotów byłby władować w tego dryblasa o piskliwym głosie cały magazynek, a potem niech go wsadzą do pierdla! A może wystarczyłoby tylko wydobyć pistolet z kieszeni i zobaczyć strach na tej różowawej gębie.

Nie pamiętał, jak stamtąd wyszedł.

Nie pojechał od razu do domu. Chyba godzinę wałęsał się po ulicach, brodząc w mokrym śniegu i

powtarzając w myślach niedawną rozmowę. Wnosił do niej poprawki, znajdując przekonujące słowa, które powinny były podziałać na bezwzględnego Żorę, lecz w tym samym momencie zrozumiał, że za późno wracać do czegoś, czego nie da się zmienić.

Potem przypadkowo zerknął na uliczny zegar, wiszący na słupie. Była za pięć dziesiąta. Do Nowego Roku pozostały dwie godziny. A on stał pośrodku Jesionowa na przedmieściu Moskwy.

Pobiegł na przystanek autobusowy.

Jadąc do stacji metra odniósł wrażenie, że powstała niewidzialna ściana między nim a pasażerami, jakby znalazł się pod szklanym kloszem. Docierały do niego nieczytelne dźwięki, kręciło mu się w głowie, znowu zaczął doskwierać głód. Wyobraził sobie, jak z trzymanej przez tłuścioszka paczuszki wyszarpuje łososia i wpija się weń zębami.

Wysiadł na końcowym przystanku i zastygł, wpatrując się w jaskrawo oświetlone zejście do metra. Mnóstwo ludzi tam spieszyło, zapewne jadąc daleko i obawiając się spóźnienia.

On nie miał się dokąd spieszyć. Zrozumiał to dokładnie w tym momencie.

Wróci do domu. Matka zapyta: „Gdzie się podziewałeś? Kupiłeś chleb? Z łaski jaśnie pana musimy powitać Nowy Rok bez pieczywa?"

To będzie pierwszy akt tragedii.

W drugim akcie na scenę wyjdzie ojciec i zagrzmi głębokim barytonem: „Gdzie jest magnetofon? Przyniosłeś go?".

Dwukasetowiec był nową, drogą, ulubioną zabawką taty. W tym wypadku wielkość ani solidność wykonania nie miały znaczenia. Być może kiedyś sam Igor odegrał rolę nowej ulubionej zabawki. Najprawdopodobniej kiedyś i matka zaliczała się do nowych, drogich zabawek. Obecnie jednak najbardziej ulubioną był dwukasetowiec. Który zniknął. Igor miał rano nadzieję, że go przyniesie, zanim ojciec zauważy jego brak.

Zauważył, niestety.

Nastąpiła szekspirowska, niemożliwa do opisania scena.

Jak w prawdziwej tragedii, aktorzy mówili z dobrą dykcją, gestykulowali gwałtownie, z tą różnicą, że nie kłaniali się widzom. Kłamliwe zapewnienia Igora w jego własnych uszach brzmiały fałszywie i nieprzekonująco, wzbudzając sprzeciw w nim samym. Kolejne: „uwierz mi, tato", „na pewno go przyniosę, tato", „słowo daję, tato", były tylko żałosnymi próbami odwleczenia wyroku i upewnienia samego siebie, że odszuka tego Żorę i wszystko skończy się dobrze…

Wszystko skończy się źle.

W wagonie metra było jak w autobusie — ta sama szklana szyba. On jeden przeciw tłumowi ludzi żartujących i śmiejących się, niesionych przez pociąg do następnej stacji, aż do granicy życia. Granicy nie iluzorycznej, lecz całkiem realnej dla wszystkich, jak na przykład Katastrofa. Gdyby nie Nowy Rok, ojciec mógłby się ulitować, odpuścić, przecież w gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem. Na pewno nie powiedziałby twardo: „Nie waż się wracać do domu bez magnetofonu".

Wagon pędził w przyszłość, do końca roku, a pasażerowie, jak ciekawscy turyści, obracali głowami i szczebiotali: „Jakie to ciekawe! Tego jeszcze nie widzieliśmy".

Ale dlaczego Igor miałby mknąć razem z tą tłuszczą? Doszedł do wniosku, że gdyby zaczekał, aż wszyscy wysiądą, i został sam, mógłby wyrwać się z tego przeklętego pędu do następnego roku i zatrzymać się jak odczepiony od głównego składu i zapomniany na bocznicy wagon.

Odczekał, aż wszyscy wyjdą na stację, unosząc ze sobą niecierpliwość, oczekiwania, fałszywe nadzieje. Czekał dalej. Wtedy metalicznie brzmiący głos zakomunikował: „Pociąg dalej nie idzie.

Proszę opuścić wagony”. Przez okno zajrzała dyżurna w czerwonym kaszkiecie i pokiwała na Igora zwiniętą chorągiewką: „Młodzieńcze, pospiesz się…”

Posłusznie opuścił wagon i powlókł się do ruchomych schodów.

Zbudziła się w nim głupia nadzieja, że do metra przebije się w tej chwili podziemna rzeka i niebieski, chłodny nurt wtargnie do tunelu, zmiatając po drodze wszystkich, w pierwszym rzędzie samego Igora, a wtedy może utonie i nie będzie musiał wracać do domu. Gdyby zaś nie zginął i wylądował w szpitalu, mógłby powiedzieć ojcu, kiedy ten przybiegnie go odwiedzić, że magnetofon porwała powódź. Ojciec powie na pewno: „Co tam magnetofon, kupimy nowy. Ważne, że żyjesz”.

Lecz podziemna rzeka tego dnia nie wylała i nic nie przeszkodziło Igorowi wyjść na górę.

powietrze, które przeżuwało, smakowało i rozkoszowało się nimi, wypuszczając je jak stadko gołębi do lotu nad dachami, potem rozdzielając na drobne cząstki i rozsypując po jezdni.

Drzewa i krzewy, rosnące między stacją metra a kompleksem masywnych stalinowskich budynków, także znikły, tak więc okrągła bańka naziemnego westybulu wyglądała samotnie i niedorzecznie, jak nagi grubas pośrodku ulicy. Część kiosków, które jeszcze wczoraj wieczorem otaczały stację, przepadła, część stała jak dawniej, lecz zamknięta na głucho żelaznymi żaluzjami, trudno więc było orzec, czy w środku pozostały towary, czy też kioski są puste. Świat bez czasu kierował się swoistymi, pozbawionymi logiki prawami. Na przykład szklany neon „Ryby", leżał na ziemi i udające akwaria litery były stłuczone. Na miejscu tegoż wisiała metalowa tabliczka z tym samym napisem. Obok zwisał wypłowiały czerwony sztandar. Kiosk z lodami był otwarty, lecz były w nim tylko kartonowe pudełka.

Jeszcze jedna niespodzianka: w holu metra jarzyło się słabe, żółte światełko, jakby ktoś wzywał Igora do środka.

Pchnął drzwi wejściowe; posłusznie ustąpiły. Z jednej strony znajdował się rząd automatów telefonicznych, naprzeciwko stał kiosk z przyklejonymi do szyby afiszami teatralnymi oraz informacją o niesprzedanych biletach na mecz hokejowy. Za korytarzem znajdowała się okrągła sala, z której można było zjechać w dół ruchomymi schodami. U sufitu płonął kandelabr.

Początkowo Igorowi zdawało się, że sala jest pusta, lecz po chwili zauważył za metalową barierką skrawek kraciastego płaszcza. Zrobił kilka kroków w tę stronę i ujrzał dziewczynkę w znoszonym palcie i ciasno zawiązanej szarej chustce. Spała, zwinięta w kłębek. Od razu ją rozpoznał.

Nie wiedział, jak ją zbudzić, żeby nie wystraszyć. Dziewczynka chyba wyczuła przez sen jego spojrzenie, gdyż uniosła głowę. Popatrzyła na chłopca bez strachu, ale i bez zaciekawienia. Potem podniosła się lekko i spojrzała na nieczynne schody. Ich dół tonął w ciemności, dlatego też wydawały się niepotrzebne. Igor doszedł do wniosku, że dziewuszka czeka, aż schody znowu ruszą.

Dzieliła ich tylko niewysoka barierka, którą młodzik przeskoczył.

— Co tu robisz? — zapytał.

Dziewczynka milczała.

— Zauważyłem cię wieczorem — mówił dalej.

Milczała i patrzyła na schody. Być może cierpliwie czekała, aż wreszcie ten chłopak pójdzie sobie i zostawi ją w spokoju.

— Słowo daję, cieszę się, że cię widzę — podjął Igor. — Przynajmniej przestałem być sam.

Wzruszyła ramionami. Jej kraciasty płaszczyk był przykrótki i sterczały spod niego nóżki, proste i cienkie jak patyczki. Lampa nad ich głowami zaczęła przygasać, jakby ktoś bawił się przełącznikiem.

— Nikt tu więcej nie przyjdzie — dodał. — Wszyscy wyszli

. —Tak?

— Ciemno tutaj. Chodźmy na ulicę.

— Nie pójdę — zaoponowała.

Głos miała niski, ochrypły, jakby się przeziębiła.

— Ale dlaczego?

— Obiecał mi, że przyjedzie.

— Metro nie funkcjonuje — tłumaczył Igor, starając się nie zżymać na dziecięcą tępotę. — Pociągi nie jeżdżą. Widzisz przecież, że nikt nie wjeżdża na górę.

— Poczekam, aż znowu zacznie działać.

Lampa szybko zamigotała i zgasła. Tylko słabe światło przenikało z zewnątrz, od wejścia. Dziewczynka podeszła do schodów, jakby chciała się upewnić, czy rzeczywiście nie działają. Zatrzymała się przed nieprzeniknioną ciemnością i zapytała:

— Gdzie jesteś?

— Czekam — powiedział Igor. — Chodźmy stąd.

Wyszli na świeże powietrze. Dziewczynka uchwyciła się rękawa kurtki chłopaka, jakby dopiero teraz zbudziła się ze snu i wystraszyła. Igor natomiast stał się spokojniejszy — jak gdyby wzięła na siebie jego strach, pozostawiając mu troskę o słabą istotkę, jaką była.

Stanęli pod daszkiem u wejścia.

— Już świta — zauważyła dziewuszka.

— Tutaj tak zawsze — wyjaśnił.

Choć oczywiście nie był tego pewien do końca, czuł się doświadczonym mieszkańcem tego świata, podczas gdy ona tylko go odwiedziła.

— Świta — powtórzyła uparcie.

— Ależ popatrz tylko! — rzekł głośno chłopak i zaciął się na chwilę, zdumiony tym, jak daleko rozszedł się głos. — Nie ma śniegu.

— Nie ma — potwierdziła.

Z miejsca, w którym stali, widoczny był stary wagon tramwajowy z rozbitymi lampami, jakby wyjęty z fotogram z początku wojny, z roku czterdziestego pierwszego.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Lusia — odpowiedziała. — Luśka Tichonowa.

Odwróciła się w jego stronę i spojrzała na niego po raz pierwszy w taki sposób, jakby w końcu zaakceptowała jego istnienie. Jej szare oczy miały czarną obwódkę, spod szarej chustki wymknął się kosmyk ciemnych włosów. Brewki były cieniutkie, niczym wyrysowane cyrklem. Ciągle je unosiła do góry, jakby się bez przerwy czemuś dziwiła.

— No, to idę — oznajmiła.

— Dokąd chcesz iść? — spytał.

— Do domu? — nie tyle stwierdziła, co zapytała, jakby sama nie była tego pewna.

Igor miał nadzieję, że Lusia zorientowała się już, iż znalazła się w innym świecie, lecz okazało się, że myśli bardziej przyziemnie.

— Chcesz do domu? — spytał ponownie.

— A dokąd mam iść? Konstanty nie przyjechał.

— Kto to?

— Mój ojciec — odpowiedziała. — Obiecał, ale nie przyjechał. Nie chciałam iść do domu, sam rozumiesz. I nadal nie chcę.

Igor niewiele z tego rozumiał, lecz nie miał sił wypytywać

— może jeszcze przyjdzie odpowiednia chwila na wyjaśnienia.

— Podejrzewam, że w twoim domu nie ma nikogo — stwierdził.

Brewki znów uciekły do góry. Lusia milczała — brwi za nią pytały.

— Pewnie nie chciałaś Nowego Roku?

— A na co mi on? Znowu mnie będą bili.

—Kto?

— Wszyscy: matka i ojczym. Jak się upiją, to mnie tłuką na cztery ręce.

błękitnej ściany baraku. Z wnętrza dobiegł brzęk.

— Pyrkin znowu stłukł filiżankę. Nie ma na niego sposobu — oznajmiła Marfuga. — Dłonie mu się trzęsą od alkoholizmu. Wprawdzie skończyła się przyczyna, ale i tak nadal się trzęsą.

W umyśle Igora pojawiały się wciąż nowe pytania. Nie bał się niczego, czuł się raczej, jakby przebywał w gościnie u nieznajomych dorosłych. Strach rodzi się w samotności, gdy ogarnia nas niewytłumaczalne uczucie grozy. Tutaj zaś panował spokojny, niemal błogi nastrój. Oczywiście, owa beztroska była pozorna, lecz lepsze to niż kolejne spotkanie z przerażającym rowerzystą.

— Moja biografia składa się z pięciu etapów — zaczął Partyzant. — Byłem porucznikiem w pułku Ingermanlandzkim. Słyszeliście o takim? Nieważne, jeśli nie. Dzisiaj mało kto o nim pamięta, chociaż kiedyś był sławny. Podczas pierwszej wojny światowej…

— Partyzant, streszczaj się. Da Bóg, później opowiesz dokładniej. Do rzeczy.

— Mogę w ogóle przestać, Marfuga, skoro wszystko wiesz lepiej ode mnie.

Policzki Partyzanta mocno poczerwieniały. Było to tym bardziej niezwykłe, że oblicza wszystkich obecnych, czy to z powodu anemii, czy specyficznego światła, wydawały się ziemiste, matowe. Matowe były także pozbawione blasku oczy.

— Mów, mów.

Kobieta odeszła, stąpając tak ciężko, że cały domek zadrżał, gdy znikła w jego wnętrzu.

— Podczas wojny domowej — podjął Partyzant — mój oddział operował na tyłach Armii Czerwonej. Sam Trocki się mnie bał. Biała partyzantka porucznika Wiesnina! Nie braliśmy jeńców. Ulotna chwila chwały, przebrzmiała pieśń. W końcu mnie pojmali i wsadzili do lochu. Wpadłem w łapy sowieckiego profesora, który odkrył, jak zmniejszać ludzi. Dacie wiarę, że zanim mnie uwięzili, miałem dwa metry wzrostu? Przecież kończyłem akademię w Heidelbergu! Ten Fryderyk Moldtke przeprowadzał eksperymenty na więźniach. W ciągu trzech tygodni zmniejszył mnie prawie o połowę.

— Ale po co? — zdziwił się Igor.

— Trocki rozkazał stworzyć specjalny oddział zwiadowców, którzy nie zajmując zbyt dużo miejsca, mogli być przemycani za granicę w damskich torebkach i potrafili prześliznąć się szczeliną pod drzwiami! Chciał zapełnić Europę nieuchwytnymi szpiegami. Stałem się więc myszą laboratoryjną…

— Herbata gotowa! — zawołała ze środka Marfuga.

— Idziemy! — odkrzyknął Partyzant.

Zamarł nagle i zaczął przyglądać się oddalonemu miejscu na brzegu rzeki, gdzie dosłownie gigantyczna puszka sardynek unosiła się nad stadionem. Coś błysnęło nad samą wodą.

— Marfuga — zaalarmował kobietę Partyzant — obserwują nas od strony stadionu.

— Można się było tego spodziewać.

Na zewnątrz wyszła jednak nie ona, tylko Pyrkin, który także popatrzył w tamtą stronę. Dokładniej się przypatrując, można było dostrzec siedzące nad wodą pękate ludzkie sylwetki.

— Jak szybko się dowiadują! — wykrzyknął Partyzant, salutując prawą dłonią do daszka. — Czy to możliwe, że Podziemni meldują im o wszystkim?

— Jak mogą meldować — odrzekła Marfuga ze środka domku — skoro nie mają języków?

Kobieta przemawiała miękko, z południowym akcentem.

— Bóg z nimi, ochronimy dzieciaki — powiedział Pyrkin.

— Może je nam zostawią? — zastanawiała się Marfuga.

— Ale co się stało? Kim oni są? — zwrócił się do niej chłopak.

— Im więcej wiesz, tym szybciej się starzejesz — odparła.

— Nie wszystko naraz — poparł ją Partyzant, powstając.

Chwycił za krzesło, przycisnął do piersi i zaniósł je do baraku. Krzesło dorównywało mu wielkością. Był naprawdę nieszczęśliwym człowiekiem, jeśli mówił prawdę: kiedyś miał dwa metry wzrostu, a potem został karzełkiem.

W środku znajdował się kryty ceratą stół, na którym stały cztery filiżanki i kieliszek z ukruszonym brzeżkiem. Pośrodku umieszczono lśniąco czysty czajnik, a na spodeczkach leżały sucharki i herbatniki.

Marfuga zasiadła w końcu stołu. Partyzant przystawił krzesło i przysiadł na nim w kucki. Zapewne zawsze tak siadał.

— Po małym? — zapytał Pyrkin. — Na dobry początek.

— Proszę do filiżanki — poprosiła Marfuga, jak gdyby był jakiś wybór.

— Dzisiaj nie piję — oświadczył Partyzant.

Pyrkin nalał sobie i jej. Igor wspomniał, jak mężczyzna pił wódkę w pobliżu metra, ubolewając, że alkohol na niego nie działa.

Marfuga rozlewała do filiżanek zawartość czajnika. Woda była czysta, bezbarwna, jakby z kranu.

— Kiepsko u nas z ogniem — wyjaśniła gościom grubaska.

— Słabo się pali, bo nie ma z czego… Mało palnych materiałów. Dlatego pijemy chłodną herbatę. Nie czujcie się urażeni. Za to mamy dobrą wodę, prosto z rzeki Moskwy. Brak przemysłu, więc nie ma zanieczyszczeń. Pijcie, nie bójcie się.

Igor upił nieco z filiżanki i stwierdził, że jest w niej zwykła zimna woda.

— Częstujcie się herbatnikami, dzieci — dodała Marfuga.

— Dobre, z fabryki „Bolszewiczka". Osobiście zabrałam je z firmowego kiosku.

— To nie herbata — stwierdziła Lusia. — Nie macie prawdziwej?

— Lepszej dla ciebie nie zaparzymy — odwarknął Pyrkin. — Podajemy wam to, co sami pijemy. Jeśli wolisz wódkę, proszę bardzo, przyłącz się do nas.

— Nie piję i tobie nie radzę — odparła dziewczynka. — Wiadomo, czym się to kończy.

— Pijesz, nie pijesz, koniec zawsze ten sam — odpowiedział, podnosząc kieliszek do ust. Odchylił głowę i wypił jednym haustem.

— No to z Bogiem — rzekła Marfuga.

Także zaczęła pić, lecz maleńkimi łyczkami, marszcząc się, prychając i napawając się smakiem alkoholu.

— Nie bój się — oznajmił Partyzant. — Zapewniam, że nie będzie to miało żadnych skutków.

— Wiem — powiedział Igor.

— Więc po co pić? — zapytała Lusia.

— Po to, żeby oszukać się smakiem — wyjaśnił. — Może dopowiem wam swoją historię?

— Proszę bardzo — zgodził się chłopak.

— Udało mi się wyrwać z rąk tego Moldtkego. Uciekłem u progu Nowego Roku tysiąc dziewięćset dwudziestego. Gnałem jak ścigane zwierzątko, lecz przyzwyczajony byłem do bycia większym, a zdążyli mnie już zmniejszyć niemal do połowy. Zaczęli mnie doganiać! Nie miałem gdzie się skryć. Lepsza już śmierć niż służba dla bolszewików. Nie, zawołałem sam do siebie. Wolę umrzeć! Wybiła północ i nagle znalazłem się tutaj. Zdarzyło się to ponad siedemdziesiąt lat temu.

Łyknął wody z filiżanki, zaczął pogryzać sucharek, potem rzucił go na podłogę, zeskoczył z krzesła i odszedł do kąta, łkając.

— Co się z nim dzieje? — zapytała dziewczynka.

— Przeżywa tragedię — odpowiedział poważnie Pyrkin. —Pozostawił tam ukochaną, wielką księżnę Eudoksję.

— Miała siedemnaście lat — wtrąciła Marfuga. — Siedemnaście. Także była w łapach tego Fryderyka, lecz zajął się nią wcześniej. W dniu ucieczki Partyzant przekradł się z narażeniem życia do kobiecego oddziału i zobaczył istotę wielkości kury. To właśnie była jego ukochana. Do dzisiaj nie może się z tym pogodzić. Miłość — wyjaśniła — nie uznaje kompromisów.

Ciężko było uwierzyć w całą tę historię, chociaż wszyscy mówili o eksperymentach złowieszczego Fryderyka jako o czymś zrozumiałym samo przez się. Zauważając powątpiewanie Igora, kobieta potwierdziła:

— Sporo tutaj rzeczy niewyjaśnionych. Sama czasem się gubię.

— Przecież to się zdarzyło dawno temu — sprzeciwił się chłopak — a on jakby wcale się nie zmienił.

— Głuptasku, przyjrzyj mu się — poleciła.

Igor uczynił tak. Partyzant, jakby pragnąc mu pomóc, zdjął cylinder. Włosy miał długie, siwe i rzadkie. Twarz jednak pozostała młoda, prawie chłopięca. Oczy jakby metaliczne, lecz przepełnione rozpaczą. Reszta należała do zasuszonego staruszka.

— Kiedy się pan urodził? — zapytał młodzik.

— Dekadę przed naszym stuleciem — odparł Partyzant.

— Ma pan sto lat?

— Trochę więcej. Ale nieźle się trzymam. — Zaśmiał się beztrosko. — I dopóki nie zwariuję albo nie przyłączę się do bandytów, wciąż będę zadowolony, wesoły i rozsądny.

— Miły chłopcze, pij wodę, pij — powiedziała Marfuga. — Tutaj organizm nie wymaga pożywienia. Oczywiście, możesz coś zjeść i żołądek to przyjmie, lecz jedzenie nie jest koniecznością. Tylko woda jest niezbędna. Nasze organizmy nieustannie wydzielają parę i pot, dlatego jest konieczna. Bez względu na to, jaką dostaniesz herbatę, nie odmawiaj jej spożywania.

Była teraz miła i troskliwa, jak rodzona ciotka, którą się odwiedziło na daczy. Lusia posłusznie upiła trochę wody z filiżanki, lecz nie chciało jej się więcej. Igor podziękował kobiecie, lecz także nie chciał pić.

— Kto nie pije, prędko się starzeje — oświadczyła grubaska.

— Tutaj nikt się nie starzeje — stwierdził Partyzant. — Bez wątpienia.

Pyrkin przelał resztkę wódki do kieliszka i zapytał:

— Nikt się nie przyłączy?

Skoro nikt nie odpowiedział, wychylił kieliszek i rzekł:

— Ludzie starzeją się jak krzesła. My także jesteśmy jak krzesła.

— Krzesła! — zaśmiał się Partyzant. — Z pięknego drewna.

Ile ma pani lat? — pragnął zapytać Igor, lecz nie wypadało pytać kobiety o wiek. W owej chwili ujrzał samego siebie jakby z boku: w marnie oświetlonym przez dwa małe okienka baraku siedzi przy rozchwianym stole wraz z grupką obcych osób, popijając chłodną wodę z czajnika.

— Nie chcesz sucharka? — zapytała Marfuga.

— Nie! — wyrwało się chłopcu. — Niczego nie chcę! Chcę do domu.

— Niestety, nie ma stąd powrotu do domu, do mamy i taty

— oświadczyła tęga niewiasta. — Wielu chciało, lecz nie dało rady.

— Mylisz się, Marfuga — powiedział Partyzant. — Mówią, że zdarzały się odosobnione przypadki.

— Udane? — zapytał Igor.

— Młody człowieku, zrozumiałeś to po swojemu. I tylko po swojemu. Nie miałeś innego wyjścia jak rozpacz. I rozpacz właśnie zostawiłeś za sobą. Uciekłeś od niej i zjawiłeś się u nas. Byliśmy uradowani, że będziesz nam opowiadać najświeższe moskiewskie nowiny, ale zachciało ci się teraz czegoś wręcz przeciwnego. Gdyby to było możliwe, ludzie zaczęliby skakać między jedną rzeczywistością a drugą. Do czego by to doprowadziło?

— Do całkowitej ruiny obu światów — odpowiedział Pyrkin.

— Znamy takie fakty z historii. Połączenie się dwóch cywilizacji zawsze prowadzi do zguby jednej z nich. Przyjaźni między narodami, tak jak i między galaktycznymi cywilizacjami, tutaj na razie nie odnotowano. Ale powiem wam, że dostała mi się niedobra, jadowita, może nawet zatruta wódka.

— To ciekawe — zauważył Partyzant — tutaj nie można się otruć. Jak rozumiem, następuje naruszenie równowagi organizmu. Ale możliwe są wymioty…

— Tylko nie ze mną! — powiedział były nauczyciel.

— Dużo ludzi tu mieszka? — zapytał Igor.

— Dawniej było więcej, lecz wielu unicestwili Podziemni. To straszne, że przebywamy wciąż na tak niebezpiecznym pograniczu — powiedziała Marfuga.

— A gdybym teraz zechciał umrzeć? — spytał gromko chłopak. — Gdybym nie chciał czekać na swój los jak gnijące krzesło? Co powinienem zrobić?

— Można coś zrobić — rzekł Pyrkin. — Nazywa się to samobójstwem i nie jest pochwalane jako grzech.

Igor wspomniał samobójcę w okolicach metra, lecz coś mu kazało przemilczeć ten fakt. I tak strach było wspominać.

— To nieludzkie — oceniła Mafuga. — Wszyscy kochamy życie.

— Więc jak można stąd uciec?

— Igorku — odparł Partyzant — już raz o to pytałeś. Naprawdę myślisz, że uciekniesz i wszystko powróci na swoje miejsce? Nic podobnego! Tam nie ma już miejsca dla ciebie.

— Dlaczego?

— Dobrze poinformowani twierdzą — wyjaśnił — że nasze miejsca w pierwszym świecie zajmują sobowtóry. To znaczy, inaczej mówiąc, nie w pełni tutaj przechodzimy, a przechodzi tylko…

— Tylko substancja — podjął Pyrkin. — Jak gdyby duchowa emanacja osobowości. To ciekawa kwestia, gdyż w związku z nią pojawia się uzasadnione pytanie: a może jesteśmy w raju? I mimo wszystko dopuszczam możliwość, że pamięć genetyczna o funkcjonowaniu naszego świata i o dwoistej rzeczywistości posłużyła do stworzenia legendy o piekle i raju.

— A zatem jest to raj — orzekł Partyzant.

Powiedział to jadowicie, szyderczo, co oczywiście oznaczało, że wcale tak nie uważa.

— Niemniej — powiedziała Marfuga — sprawiliście nam wielką radość. Dziś mamy Nowy Rok i to ważny jubileusz dla każdego z nas. Właśnie w taką noc przybyliśmy tutaj, żeby na wieki pozostać w świecie, gdzie nie ma zawiści, obelg, upokorzeń i prześladowań. Niech żyje wolność! Szkoda, Pyrkin, że nie wziąłeś także szampana.

— Szkoda forsy — stwierdził pogardliwie.

Nikt się nie roześmiał.

— A kiedy będzie noc? — spytała Lusia.

— Nie ma tutaj nocy, moja śliczna — odpowiedziała grubaska. — Tutaj jest zawsze tak samo.

— Więc kiedy się śpi? — pytała dalej dziewczynka.

Marfuga porozumiała się spojrzeniem z Partyzantem. Odpowiedział Pyrkin.

— Oczywiście możesz pomyśleć, że jesteśmy upiorami lub być może przywidzeniami. W takim razie odpowiem: już to słyszałem. Najważniejsze jednak jest to, że tutaj można wcale nie spać. Można wprawdzie się do tego zmusić, zwłaszcza, jeśli jesteś zmęczony albo zdenerwowany. Trochę pośpisz i już. Wracasz do przytomności i widzisz, że nic się wokół nie zmieniło. Partyzant przymierza czapki, Marfuga rozkłada pasjans. Tfu!

— Beniamin ma rację — przytaknęła kobieta. — Jak się już domyśliliście, czas tutaj nie płynie. Gdybym znalazła dobrych nauczycieli, nauczyłabym się w ciągu pięćdziesięciu lat ze stu języków. Potem zwiedziłabym cały świat, kraj za krajem, spotykałabym się i biesiadowała z różnymi ludźmi. Od dawna wybieram się zobaczyć Wieżę Eiffla. Widziałeś?

— Nie widziałem — przyznał się Igor.

— Jak była Wielka Wojna Ojczyźniana, prawie tam doszliśmy z naszym generałem. Wzięliśmy Berlin, a generał powiada: teraz Stalin dał rozkaz, żeby zająć Paryż bez krwi rozlewu. Niestety, zaraz potem nastąpił Dzień Zwycięstwa i nie dotarłam do Paryża. Marzyło mi się, że wyjdę za generała i pojedziemy tam jako honorowi goście…

— Marfuga była wojenną towarzyszką — wyjaśnił Partyzant. — Tolerowaliśmy takie jak ona, lecz nie szanowaliśmy.

— Przez całą wojnę — potwierdziła niewiasta — wiernie służyłam, rany opatrywałam, samogon pędziłam, na rękach z pola bitwy rannych do karetki nosiłam. Lecz w Nowy Rok tysiąc dziewięćdziesiąt czterdziestego szóstego, czyli roku zwycięstwa, stacjonowaliśmy jako strategiczna rezerwa Głównodowodzącego w Polsce. Pod pretekstem strzyżenia poszłam do zakładu fryzjerskiego zrobić manicure. Była tam taka dobra, krakowska manikiurzystka… Włożyłam zdobyczną, cywilną sukienkę z krempliny i palto szyte na miarę, bo on czekał na mnie z uroczystą kolacją. Przychodzę za piętnaście dwunasta i spotykam jego ordynansa, Edzia, który ma na gębie jakiś wstrętny uśmieszek. Generał dziś nie przyjmuje, powiada. Mamy niespodziankę. Jaką znowu niespodziankę? A taką, że przyjechała jego małżonka Maria Tichonowna z synkiem Matwiejem. Tak więc generał Wasyl Fiodorowicz udał, że przygotował ucztę na przyjazd żony, a twoje rzeczy, które były u niego, wyrzucił przez tylne okno i rozdrapały je kobiety naszych oficerów… Ach, gdybyście widzieli, jak ohydnie na mnie spoglądał! Jak podle się radował ten, którego zaloty kiedyś odtrąciłam. Wyszłam. Nic, tylko utopić się w Wiśle, ale nie pragnęłam śmierci. Głównie nie chciałam żyć na jednym świecie z tamtym. Obiecywał się ze mną ożenić, mówił, że rozwiedzie się przy pierwszej sposobności. Rozumiesz?

Zamachała tłustymi rączkami, dzwoniąc bransoletami. Igor spojrzał na nią innymi oczami. Była wspaniałą, bujną, czarnowłosą, gorącą kobietą. Użył w myślach tych słów, chociaż pochodziły z książek, w życiu bowiem nigdy się nimi nie posługiwał.

— Za Stary Rok! — zakrzyknęła, wznosząc filiżankę z niedopitą wódką. — Za ojczyznę! Za Stalina! Za zwycięstwo!

— Stara całkiem oszalała — stwierdził Pyrkin. — Pójdę popatrzeć na tamten brzeg, czy nadal

nas obserwują.

Wziął z półki lornetkę. Igor także się podniósł.

— Pójdę z panem — oznajmił.

Za plecami usłyszał, jak Marfuga mówi:

— Mam dla ciebie noworoczny prezent, Ludmiło. Kolczyki z czystego złota z malachitem. Noś na pamiątkę spotkania.

— Nie mam przekłutych uszu — odpowiedziała roztropnie Lusia.

Pyrkin zaczął spoglądać na drugi brzeg, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy zjawili się na nadbrzeżu.

Wysoka dziewczyna z długimi do pasa, splątanymi włosami, w krótkiej, podartej sukience i pantoflach na wysokich obcasach, pchała przed sobą fotel inwalidzki, na którym bezwładnie siedział gruby młodzieniec o czarnych, prostych włosach.

— Kto to? — zapytał Igor.

— Nie zwracaj na nich uwagi — odparł Pyrkin. — Wariaci różnego rodzaju. Tutaj ich pełno. Ci się niedługo wykończą.

— Wykończą? Jak krzesła?

— Tak. Sonia Rabinowa i jej znajomy. Dobra z niej dziewczyna, chcieli ją wziąć na dworzec, lecz przyznała się, że przybyła tu z powodu syfilisu. Wyobraź sobie, zaraził ją członek Rady Zakładowej. Tutaj spotkała tamtego… Idiota, a też chciał się tutaj przenieść. Widocznie także było mu źle w domu. Więc teraz go wozi. Pokutuje za swoje grzechy.

Marfuga usłyszała tę wymianę zdań, wyszła przed barak i zawołała do dziewczyny:

— Sońka, chodź do nas, świętujemy Nowy Rok.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała tamta. — Nie dla nas takie rozrywki.

— Skąd wiesz? — wtrącił się Pyrkin. — Może twój idiota chce napić się z nami wódki.

— On nie pije — stwierdziła dziewczyna. — On myśli. Więc jest tutaj dworzec, pomyślał Igor. I jest Paryż. Co oznacza, że nie jest to mały skrawek ziemi, lecz cała planeta, a na niej wielu ludzi.

Napotkał wzrok idioty. Oczy tamtego spoglądały przytomnie i ostro. Grube, wilgotne wargi zadrżały, szepcząc coś. Igor wystraszył się, gdyż zrozumiał, że młodzieniec tylko udaje. Wzrok tamtego zgasł w jednej chwili.

Serce chłopaka zamarło. Nadbrzeżem jechał niespiesznie rowerzysta. Może tutaj jedyny, a może było ich wielu, lecz wszyscy wyglądali tak samo.

— Zobacz! — zwrócił się do Pyrkina.

Mężczyzna szybko się odwrócił. Rowerzysta zbliżał się do nich. Ten sam. W czarnym, błyszczącym płaszczu, w nasuniętym na czoło strażackim kasku i ciemnych okularach, które czyniły jego twarz niewielką.

— Ej, Marfuga! — krzyknął. — Przytrzymaj rower.

— Ja to zrobię — odezwał się Pyrkin.

Zbiegł po stopniach i podbiegł do rowerzysty…

— Ech, Marfuga — podjął rowerzysta — jestem na ciebie zły. Nadal dochowujesz wierności generałowi?

— Dochowuję — potwierdziła.

— A przecież mogę zawieźć cię do Paryża — oznajmił.

— Cienka sprawa — oceniła kobieta.

Rowerzysta zeskoczył z pojazdu. Pyrkin przytrzymał wehikuł, jak bojowego konia, za siodełko. Przednie koło dorównywało mu wysokością.

— Wskaż, kto przybył do waszej gromadki — polecił rowerzysta.

— Małolaty — oświadczyła Marfuga.

Z baraku wynurzył się Partyzant.

— Jutro bym o tym zameldował — rzekł.

— Kazali dzisiaj. Jest podejrzenie, że zwabiliście do siebie obcych ludzi.

— A to dlaczego? — zdziwił się Partyzant. — Przyszli tu dobrowolnie.

— Nie gadaj — zaoponował rowerzysta. — Tego chłopaczka widziałem na górze, w pobliżu metra. Prawda?

— Nie wiem — odparł Igor. — Przecież z panem nie wolno rozmawiać.

— Głupku, ze mną trzeba rozmawiać obowiązkowo. Jestem egzekutorem.

Rowerzysta zwrócił się do Partyzanta:

— Dokumenty powinny być w porządku.

— Słuchaj, Grymza, masz pusto w głowie — powiedziała Marfuga. — Trędowaci nie dostają zaproszenia na bal.

— Ty tu nie mędrkuj — odparł tamten. — Wszystko powinno być, jak należy. Trzeba ich zapisać w księgach. Gdzie druga osoba?

— Lusia, wyjdź do nas — powiedział Pyrkin. — Władza chce zrobić ci przegląd.

— Więc ty…

Rowerzysta odchylił połę płaszcza. Nie miał pod spodem worka z głową samobójcy.

— Ty jesteś Igor Arturowicz Czechonin. Wiek: szesnaście lat…

Chłopak słuchał ze strachem. To znaczy, że wszystko o nim wiedzą?

Lusia wyszła z baraku. Bała się rowerzysty. Ten zapisał dane Igora, wypytując go dla ścisłości, po czym zwrócił się do dziewczynki:

— Tichonowa, Ludmiła Georgijewna. Lat dwanaście. Nie martw się. Porządek musi być.

Skończywszy pisać, zapytał Partyzanta:

— Tak więc zatrzymacie ich u siebie?

— Oczywiście — odpowiedział karzełek. — Nie mam już w ogóle ludzi.

— Tak, masz rację — zgodził się rowerzysta. — Nie należy ogałacać forpoczty. Może przyślemy ci jakichś ludzi. Zważ jednak, że wtedy zabierzemy młodych. Sam rozumiesz: młodzież rzadko tutaj się zjawia, a na dworcu jest bardzo potrzebna. Imperator poszukuje partnerki. A tak w ogóle, co nowego?

— Tam, zza rzeki — wskazał Pyrkin — obserwują nas.

— Czemuś od razu nie powiedział? — rozsierdził się rowerzysta. — To ważniejsze niż Nowy Rok. Ilu ich tam?

— Dwie osoby z lornetką — oświadczył pijak.

— Tak zamelduję.

Wspiął się na wehikuł.

— A gdzie legitymacje? — zapytał Partyzant. — Jak przyjdą statystyki, co w nich wykażę?

— Jeszcze nie dałem?

Rowerzysta wydobył z zewnętrznej kieszeni płaszcza dwa kwadratowe kartoniki.

— Strzeżcie tego jak źrenicy oka.

Wręczył jeden chłopcu, a drugi dziewczynce. Nie było na nich żadnych napisów ani rysunków.

— Który jest mój? — zapytał Igor.

— Czy to nie wszystko jedno?

Rowerzysta z wolna oddalił się nadbrzeżem, cały czas spoglądając na drugi brzeg, zapewne w nadziei, że zobaczy obserwatorów.

— Kto był na tamtym brzegu? — spytał chłopak.

— Źli ludzie — odparła Marfuga.

— Źli ludzie — powtórzyła Lusia. — Tak już jest: źli ludzie są wszędzie.

— Od tego nigdzie nie uciekniesz — dodała kobieta. — Dokąd się nie udasz, wszędzie znajdziesz faszystów. Nie lubimy tu takich.

— Nic nie wiem o faszystach — zaoponował Partyzant. — Za moich czasów ich nie było. Dla mnie bolszewicy byli bękartami mrocznych sił. Oj, ilu ich zastrzeliłem!

— A potem poszedłeś na służbę do faszystów! — stwierdziła niewiasta.

— Służę tutaj.

— Gdybyś tutaj nie służył, na pewno uciekłbyś do faszystów, jak generał Własow.

— Oni tak codziennie — poinformował Igora były nauczyciel. — Nie rozumieją, że wszystko to już tylko historia, materiał naukowy. Niestety, ludzkość niczego się nie uczy na podstawie doświadczeń z przeszłości. Za dziesięć lat zwali się tutaj ktoś nowy i nie będzie wiedział, kto to prezydent Bush.

— A kto to taki? — spytała Lusia.

— No widzisz!

Słowna walka między Marfugą a Partyzantem nie ustawała. Kobieta wspomniała o Stalingradzie, a karzełek obwiniał Trockiego o masowe egzekucje i inne bestialstwa, ona zaś uroczyście obwieściła, że Trockiego sprzątnięto, gdyż okazał się faszystowskim szpiegiem…

Chłopaka w gruncie rzeczy niezbyt obchodziła ta kłótnia upiorów. Przypomniał sobie stwierdzenie, że być może w prawdziwym świecie pojawił się drugi Igor, który wrócił do domu i śpi teraz, nie myśląc już o utraconym magnetofonie. A jeśli nawet tak się nie stało, pomyślał, to i tak jesteśmy widmami. Oni są starymi zjawami, a my z Lusią nowymi. To głupie. Przecież chciał zostać archeologiem, znajdować zaginione cywilizacje i ocalić je od zapomnienia. Sierioża, który jeszcze nie zdecydował, kim będzie, wyśmiewał kolegę, że chce kopać w starych mogiłach, a to przecież nie jest odpowiednie zajęcie dla człowieka XXI wieku. Nie rozumiał, że archeologia jest najbardziej optymistyczną nauką, gdyż wzbogaca pamięć ludzkości. Igor dużo czytał książek historycznych i zapisków odkrywców. Czy rozumiecie, jakie to szczęście zajrzeć do grobu Tutenchamona, który oszczędzili starożytni rabusie? Co to znaczy rozwinąć kawałek kory brzozowej i zobaczyć słowa napisane tysiąc lat temu: dziecięce gryzmoły albo zaproszenie na spotkanie. Niczego nie rozumiałeś, Sierioża. A tamten odpowiadał: „Ty, Igor, chcesz dołączyć do tych, którzy gonią za widmami”. Oto, dlaczego chłopak wspomniał kolegę. Przecież każda historia ma jakiś sens, dopóki się toczy i nie może się zatrzymać.

— Co Marfuga ma na myśli, mówiąc o złych ludziach? — zapytał.

— Wyjaśnię po kolei — odparł Pyrkin. — Każda społeczność, nawet duchów…

Jego dłoń pomknęła w stronę, gdzie napadły na nich zjawy.

— …dąży do zorganizowania się. W ten sposób się chroni. Rozumiesz?

— Rozumiem, już to przerabialiśmy — rzekł Igor.

— Niektórzy przerabiali, inni przespali tę lekcję. Kontynuuję: każda społeczność już w stanie pierwotnym dzieli się na przywódców, wojowników i uprawiających ziemię. Jedni dowodzą, drudzy ochraniają lub napadają, trzeci dostarczają pożywienia. Tak samo jest i tutaj. Stało się to przed moim przybyciem. Może tysiąc lat temu…

— Od jak dawna ten świat istnieje?

— Nie przerywaj wykładu. Trudno określić, jak długo ten świat funkcjonuje, skoro nie ma tutaj słońca ani innych ciał niebieskich, które pomogłyby zmierzyć czas. Widzę w twoich oczętach kolejne pytanie i spieszę zaspokoić twą ciekawość. Tutaj czas nie istnieje. Nie ma minut ani godzin, a więc prawdziwego życia. Możemy się umówić, że przesypanie się piasku w klepsydrze oznacza, powiedzmy, dziesięć minut. Posługujemy się taką rachubą. Możesz tu usłyszeć: „Przyjdź za jeden

piasek" albo „Za trzy piaski". Tylko że każda grupa ma swoją klepsydrę i nikt ich nie synchronizuje. U nas także jest taka. Wyniosłem ją z apteki, bardzo deficytowy towar.

— Tak więc nikt nie wie, jak długo egzystuje?

— Jest inny sposób pomiaru czasu. Nie domyślasz się, jaki?

— Domyślam się — odparł chłopak. — Po nas.

— Słusznie. Skoro zjawił się tutaj Partyzant, a obaj wiemy, że wypadki, które go tu przywiodły, zdarzyły się ponad siedemdziesiąt lat temu, możemy znaleźć tym samym punkt odniesienia.

— A jak jest zorganizowana wasza społeczność?

— Dosyć! Wywołujesz nieznośne napięcie mego umysłu. Pożyjesz tutaj, sam zobaczysz.

— Ja nie chcę tutaj żyć.

— Aha! Znowu zaczynasz — powiedziała Marfuga. — Wszyscy przechodziliśmy taki etap.

— Uciekniemy stąd z Igorem — oznajmiła z przekonaniem Lusia.

— No dobrze, po co zrażać maluczkich — westchnęła kobieta. — Niech szukają.

— Czego? — nie zrozumiał Igor.

— Drogi ucieczki, która nie istnieje!

— Skoro tutaj weszliśmy, to i stąd wyjdziemy! — krzyknęła Łusia. — Nie podoba się nam życie z wami.

— Oto, w czym zawiera się twój błąd metodologiczny —podjął Pyrkin. — Uciekłaś tutaj w noc noworoczną. Chwila przybycia to był moment w czasie, a nie w przestrzeni. Nadążasz za moją myślą?

— Nadążam — powiedziała mocno zmieszana dziewczynka.

Pijak zwrócił się do chłopaka, bardziej licząc na zrozumienie u niego.

— Zjawiasz się tutaj w określonej chwili i znajdujesz się w świecie, w którym ta chwila nie istnieje.

— Otóż to! — zawołał Partyzant. — Chwilo, jesteś piękna!

Oni są nieprawdziwi, pomyślał Igor, jak beztroskie mikroby.

— A skoro tutaj brak owej chwili, nie może być także Nowego Roku. Powiedz zatem, proszę, gdzie podziała się chwila, do której zamierzasz wrócić?

— Znajdę ją — upierał się Igor.

— Radzę ci więc — zasugerował Pyrkin — żebyś nie szukał chwili, lecz punktu w przestrzeni. Myśl filozoficznie. Rozumiesz, co to znaczy?

— Dziękuję, postaram się — odparł chłopak.

Marfuga przeciągnęła się, podzwaniając złotymi bransoletami i naszyjnikami. Jej gigantyczna pierś wydała głęboki dźwięk, jakby dochodzący z pustej beczki.

— Lubicie, chłopcy, gadać po próżnicy — powiedziała. — Oj, dola moja babska! Gdzieżeś przepadł, mój generale? Pewnie dawno zmarł ze starości. Gdyby przeniósł się tutaj ze mną, nadal by żył. Partyzancie, wiesz, co mi przyszło do głowy? Kiedyś odkryją bramę między obydwoma światami i będą do nas wydawać przepustki. Tylko dla ważnych ludzi, jak mój generał.

— Dopiero nazjeżdża się hołoty! — westchnął Pyrkin.

— Nie gadaj! Przepustki będzie wydawać Urząd Spraw Wewnętrznych tylko przodownikom pracy i bohaterom walki klasowej — sprzeciwiła się niewiasta.

— A wiesz, że na dworcu mieszka sama Nadieżda Krupska?

— Zamknij się, durniu!

— Kim jest Krupska? — zapytał Partyzant.

— Wdową — odparł pijak. — A po kim, tego ci nie powiemy. Jeszcze do tego nie dojrzałeś.

— Skoro nie chcecie powiedzieć, to pewnie po Trockim — zgadywał karzełek.

Chociaż Igorowi niezbyt przyjemnie było słuchać, jak mówią o żonie towarzysza Lenina, w głębi duszy pojmował, że wszystko to odnosi się do czasu. Kto nas wspomni za pięćset lat? I kto mógł wiedzieć o nas cokolwiek pięćdziesiąt lat temu?

— Uwaga! — zawołał Pyrkin. — Spójrzcie na tamten brzeg.

— Widzę — przytaknęła Marfuga.

— Zachowajmy spokój! — rzekł Partyzant i rzucił się do drzwi baraku.

Igor popatrzył na rzekę i zobaczył, jak od przeciwległego brzegu odbija łódka, w której siedzi kilkoro ludzi.

Z wnętrza dobiegł jakiś hałas. Chłopak zajrzał do środka przez okienko. Partyzant zamienił cylinder na wojskową furażerkę i szarpał za odważnik zawieszony na ścianie naprzeciw. Przewód, na którym zawieszono ciężarek, wychodził nad głową chłopca, który postanowił prześledzić jego przebieg. Drgający sznur prowadził do krzywego, drewnianego słupa i dalej, w dół brzegu. Ciekawe, czemu służy, zastanawiał się Igor. W tym świecie znajdują się miliony pustych mieszkań albo i pałaców, które można zajmować bez przeszkód, lecz tutejsi ludzie wolą gnieździć się w nędznych budach, jak ta. Może dlatego, że niczego im więcej nie trzeba, a może w wielkim mieście zbyt przeraża samotność. Chyba jednak tego nie potrzebują. Bo jeśli człowiek o coś walczy, zawsze się spieszy i każda minuta jest mu droga, zwłaszcza gdy obserwuje, jak rosną dzieci i umierają starcy. A jaki ma sens posiadanie pałacu, skoro możesz zajmować ich dziesięć? A wszystkie zakurzone. I człowiek będzie niszczał wraz z regencją jak stare krzesło.

Partyzant wyszedł z baraku.

— Nadałem sygnał — oznajmił. — Będziemy walczyć, czy jak?

— Ja bym uciekał — odparł Pyrkin. — Tylko że Marfuga kiepsko biega.

— Ja w ogóle nie biegam — obruszyła się matrona. — Wstydzę się.

— Zostań tutaj — zaproponował Partyzant — a my się schowamy.

— Nie wolno mnie opuszczać, chłopaki! — powiedziała z lękiem. — Jeśli to zrobicie, powiem im, gdzie się chowacie.

— No to biegnij! — naciskał Partyzant.

Dziwne, lecz naprawdę bali się łódki powoli nadpływającej w poprzek rzeki. Mimo wszystko jednak trzymali się swego pozornego żywota, podobnie jak człowiek uwięziony w głębokiej jamie pragnie przeżyć za wszelką cenę.

— Co tamci z nami zrobią? — zapytał Igor.

— Tobie to dobrze — stwierdziła otyła kobieta — bo ciebie nie dogonią. A mnie na pewno.

— To są potwory — oświadczył Partyzant. — To jak, biegniemy?

Marfuga rzuciła się w głąb baraku i zaczęła zbierać rzeczy.

— Co ty wyprawiasz?! — wrzasnął Partyzant.

Pyrkin pobiegł pierwszy. Jego czarne palto z pomarańczowym rękawem rozwiewało się niczym burka jednego z bohaterów wojny domowej. Nie odwracając się, krzyknął w biegu:

— Młodzi, nie stójcie tak, jeśli zależy wam na życiu.

— Chłopaki! — zawołała Marfuga, stając na progu baraku. — Brońcie mnie! Zatrzymajcie tamtych.

— Przecież wezwałem pomoc — odparł Partyzant, doganiając Pyrkina.

— Tylko kiedy ona nadejdzie?! — biadała niewiasta.

Ruszyła za nimi, lecz pękate, spuchnięte nogi z trudem ją dźwigały, toteż wkrótce wylądowała ciężko na ziemi jak tłusta gęś, ściskając torbę w łapkach przyozdobionych bransoletami.

— Idiotko — ofuknął ją Pyrkin — po co złoto ze sobą targasz? Na pewno ci nie pomoże.

— Sama najlepiej wiem, co dla mnie dobre.

Żulik biegł za nimi. Bardzo podobała mu się nowa przygoda, dlatego skakał i biegał w kółko.

— Jeśli będzie ujadał, trzeba go uciszyć.

— Żebym ja ciebie nie uciszył! — zagroził pijanica. Pies przestał szczekać, jakby rozumiejąc ich rozmowę.

— Może pomożemy Marfudze… — niepewnie zaproponował Igor.

— Zapomnij. Nie pomożemy jej i sami przy tym zginiemy.

Pędzili w stronę filarów dźwigających most. Igor kątem oka zauważył Podziemnych. Parę zjaw snuło się w okolicy uschłego drzewa.

— Bierz ich! — nakazał psu jego pan. Żulik posłusznie pobiegł w stronę widm.

Chłopak obejrzał się. Łódka była już blisko brzegu. Marfuga została daleko w tyle. Ospale toczyła się ich śladem i aż tutaj było słychać, jak ciężko dyszy.

Partyzant zdjął furażerkę i zniknął w ciemności pod najbliższym przęsłem. Pyrkin skoczył za nim. Kiedy Igor wraz z Lusią schronili się w cieniu wiszącego nad ich głowami mostu, usłyszeli głos nauczyciela:

— Chodźcie tu do mnie, tylko się pochylcie.

Znajdowali się w jamie otoczonej betonowymi płytami od strony mostu i spadkiem ziemi z drugiej. Dół był pogłębiony ludzkimi rękami. Wpadało do niego światło od strony rzeki poprzez wąską szczelinę, przez którą można się było prześliznąć, gnąc się jak wąż.

— Igorze, wyjdź na zwiad — nakazał Partyzant. — Ostrożnie czołgaj się do przodu, nie wychylając się. W razie czego cofnij się szybko! Przede wszystkim zobacz, co z Marfugą.

Igor przeczołgał się na brzuchu do wejścia i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył, że kobieta ma do ich kryjówki jeszcze Ze sto metrów. Zobaczył też ludzi z łodzi. Było ich trzech, wszyscy ubrani w maskujące wojskowe kombinezony i zielone kaszkiety, kryjące w cieniu daszka ich twarze. Całą trójką żwawo wbiegli na brzeg i wesoło wołali po drodze, żeby kobieta na nich zaczekała. Zachowywali się, jakby grali w jakąś dziecięcą grę.

Marfuga biegła ostatkiem sił. W końcu palce jej dłoni jakoś same się rozplotły i upuściła torbę. Mogłaby biec teraz szybciej, lecz zamiast tego osiadła jak wielka bryła mięsa i zaczęła zbierać do torby rozsypane kosztowności. Partyzant wyjrzał, wychylając głowę obok Igora.

— Idiotka — syknął. — Zupełnie jak Taras Bulba.

Igor pamiętał, że Taras Bulba popadł w polską niewolę, gdyż zawrócił po fajeczkę. Najwyraźniej Partyzant także czytał Gogola. Zresztą, co w tym dziwnego? Przecież Gogol żył jeszcze wcześniej.

Marfuga nie zdążyła zebrać precjozów, kiedy dopadło ją trzech zbirów w kombinezonach. Wyglądali jak ochroniarze jakiegoś banku.

— Wspaniale — rzekł pierwszy z nich. Niespodziewanie walnął kobietę tak mocno w bok, że padła na ziemię jak długa.

— Kochane chłopaki — zawodziła grubaska. — Czego się starej baby czepiacie?! Toć odpuście mnie sobie, przecież mnie znacie, ja tu mieszkam od dawna.

Drugi zbir podniósł torbę.

— Ciężka — powiedział — chyba waży pół puda.

— A wszystko kradzione — zauważył trzeci. — Ohyda.

Zaśmiali się.

— Konfiskujemy to — oświadczył pierwszy, zapewne przywódca. Miał czarną, spiczastą bródkę, jak Mefisto, i niewielki, sterczący wąsik.

— Konfiskujcie, konfiskujcie — zgodziła się Marfuga.

— I całą biżuterię, jaką masz na sobie, tak samo.

— W porządku.

Kobieta zaczęła z siebie zdzierać bransolety i kolie. Bardzo się przy tym spieszyła, dłonie jej drżały. Starała się zrobić z siebie malutką, nieważną i absolutnie posłuszną osobę, jakby dziecko, żeby źli ludzie przestali ją dręczyć. Igor nie mógł dłużej patrzeć na jej cierpienia. Poderwał się, żeby wyskoczyć z pieczary, lecz Partyzant, zapewne odgadując jego zamiar, przygniótł chłopaka do ziemi — a dłoń, jak się okazało, miał ciężką.

— Zwariowałeś — szepnął. — Chcesz chyba zgubić nas wszystkich… Jej tylko Bóg może pomóc.

— Igorze — pisnęła z tyłu Lusia — nie idź tam, ja cię proszę.

— A gdzie reszta? — zapytał Brodacz z maskującą farbą na twarzy. — Gdzie są ci nowi?

— Nie wiem — zawyła Marfuga. — Nic nie wiem.

Jej krzyk wznosił się coraz wyżej, kiedy wojownik wykręcił jej rękę za plecy i sprawił, że głowa kobiety pochyliła się ku jego butom.

— Ta…am — wybełkotała — pod mostem.

— Prowadź!

— Wiedziałem, że tak będzie — mruknął Partyzant.

Zamilkł na chwilkę, nasłuchując, po czym stwierdził:

— Pobiegli dalej. Mamy wyjście zapasowe. Czołgamy się na prawo, a jak skończy się daszek, od razu w dół. Za mną.

Nikt nie zadawał pytań. Nawet Lusia rozumiała, że nie czas na pogawędki. A najdziwniejsze, że Żulik jako pierwszy wypełznął z kryjówki i na podkurczonych łapach przesuwał się dokładnie w tę stronę, którą wskazał Partyzant. Ten poczołgał się w ślad za nim. Igor uznał, że zaraz zostaną odkryci i zauważeni. Lecz nie stało się to natychmiast. Usłyszeli krzyk, gdy ostatni z nich, Pyrkin, opuścił kryjówkę i pochylony pomknął za pozostałymi.

— To oni! Łapać ich!

Partyzant potoczył się w dół zbocza jak worek ziemniaków. Igor także stracił równowagę i starał się uchwycić sterczących z ziemi żelaznych prętów. Lusia biegła lekko i zręcznie. Dopiero na samym dole, gdzie chłopak uchwycił się wystającego z asfaltu kawałka szyny, mógł spojrzeć do góry, skąd dochodziły coraz głośniejsze okrzyki. I zobaczył, że Pyrkin stanął przeciwnikom na drodze, wymachując grubą pałką.

— Nie zbliżać się! — wrzeszczał. — Zabiję… wszystkich zabiję.

Mefisto zrobił krok naprzód i wyszarpnął szablę zza pasa, lecz Pyrkin wywijał pałką tak rozpaczliwie, że tamten nie miał odwagi podejść bliżej.

— Zajdź go z boku, Marcin! — rozkazał jednemu ze swych kamratów.

Tamten zaczął okrążać Pyrkina, lecz nie było to wcale takie proste, gdyż z lewej strony chroniła

mężczyznę ściana, z prawej zaś skarpa. Marcin próbował przejść zboczem, lecz potknął się i upadł płasko poniżej, starając się nie stoczyć do wody. Trzeci bandzior nie miał pomysłu, jak podejść przeciwnika, więc miotał się za plecami Mefista.

— Załatwcie go! — wrzeszczał Mefisto.

Partyzant zawołał do Igora:

— Nie gap się, chodź szybko!

Popchnął chłopaka w stronę dziury w ziemi, zakrytej sterczącą pod ostrym kątem wielką płytą. Lusia wskoczyła tam pierwsza, a zaraz za nią Partyzant, który ciągnął za sobą Igora. Chłopiec jednak wciąż oglądał się za siebie i obserwował starcie z bandziorami. I zdążył zobaczyć jak ten, którego zwano Marcinem, wstał na nogi i balansując z trudem na stromej skarpie, wyszarpnął zza pazuchy pistolet.

— Do roboty! — rozkazał Mefisto.

Marcin wycelował, lecz Igor niczego więcej nie zobaczył ani nie usłyszał, gdyż Partyzant wciągnął go do mrocznej nory.

— Czołgaj się! — przykazał.

Chłopak posłusznie zaczął pełznąc w kompletnej ciemności. Raz osypała się ziemia, potem coś zimnego i oślizgłego przemknęło pod jego ręką, aż zadrżał ze strachu. Partyzant wciąż go poganiał.

— Czołgaj się, czołgaj!

— To koniec — jęknęła głucho pełznąca przodem dziewczynka — dalej jest ściana.

— Więc siedź i milcz — nakazał karzełek.

Nastała cisza. Wszyscy troje nasłuchiwali, lecz nora, w której się zagrzebali, była tak głęboka, że nie dochodził do niej z zewnątrz żaden dźwięk.

— Obawiam się — odezwał się w końcu Partyzant — żeby Żulik tutaj nie przybiegł. Sprowadzi nam tamtych na kark.

— Tutaj coś jest — zauważył Igor, wycierając wilgotną dłoń.

— Nie bój się — odpowiedział karzeł. — Od dawna gnieżdżą się tutaj duże ślimaki. Nie gryzą, a ich śluz nie jest szkodliwy… Jak będą dalej przesłuchiwać Marfugę, na pewno ich tu przyprowadzi. Zna tę kryjówkę. Lepiej, żeby ją od razu zabili.

— Jak pan może tak mówić! — żachnęła się Lusia.

— Mówię, że zgubiłem furażerkę — odparł Partyzant.

Robiło się coraz bardziej duszno, wprost nie do wytrzymania.

— Długo będziemy tu siedzieć? — spytała dziewczynka, jakby czytając w myślach Igora.

— Aż tamci sobie pójdą — odrzekł karzełek. — Nie martw się, nie udusimy się tu. Siedzieliśmy tu kiedyś we czwórkę dwie godziny i żyjemy.

— Czego oni od nas chcą? — zapytał Igor.

— Jesteście im potrzebni — wyjaśnił Partyzant. — Wyśledzili, że mamy u siebie młodych.

— A po co im młodzi?

— Głuptasie, mało tutaj młodzieży. Młodzi są zawsze potrzebni, szczególnie nowicjusze. Gdy jesteś młodziutki i świeży, stajesz się bezcenny.

— Do czego im jestem potrzebny?

— Mogą cię sprzedać albo wykorzystać.

—Jak?

— Jak, jak! Za młody jesteś, żeby to wiedzieć! — złościł się Partyzant. — Lepiej siedź cicho.

— Ucieknę stąd — powiedziała Lusia. — Źle tutaj żyć. Już wolę do domu.

— Dość tego! — rozgniewał się tamten.

Czuć było od niego niedomytym ciałem i tanią, duszącą w zapachu wodą kolońską.

— Nikomu nie uda się uciec.

— Długo jeszcze posiedzimy? — zapytał chłopiec.

— Dopóki tamci nie pójdą.

— A kto nam to powie?

— Ptaszki zaćwierkają — syknął Partyzant. — Bądźcie cicho.

Więc zamilkli. Igor, nie chcąc pogrążać się w smutku, zaczął rozmyślać. Trochę już przyzwyczaił się do swej sytuacji, niemal uwierzył, że stał się kimś na kształt zjawy. Niewiarygodne było to, co się działo nie z nim, tylko z innymi. Wujek Boria zwykł mawiać: „Będziemy zajmować się problemami w miarę ich pojawiania się". Oto siedzimy razem w czarnej dziurze: ja, a także starszy człowiek, którego zmniejszyli do rozmiarów karzełka, i mała Lusia, niezbyt mądra, lecz silna osobowość, na swój sposób sympatyczna i godna współczucia. Trzeba stąd uciekać. Jak z bezludnej wyspy albo z więzienia. To niemożliwe, żeby nie było stąd drogi ucieczki. Nigdy nie było takiego więzienia, z którego nie zdołałby uciec jakiś hrabia Monte Christo.

— Nie pan powie — poprosił chłopak — zdarzają się tutaj wojny?

— Nie — odpowiedział Partyzant. — Nie wolno posiadać broni palnej, to surowo zakazane. Jeszcze tego brakowało, żebyśmy do siebie strzelali. Nikt by nie ocalał. Ale są tacy bandyci…

Całkiem blisko, prawie nad samym uchem, zaszczekał Żulik, tak głośno, jakby chciał przekazać coś ważnego.

— Cicho! — syknął Partyzant.

Pies zamilkł, trochę zdziwiony. Coś zaszeleściło u wejścia.

— Wyda nas! — zaszeptał karzeł. Chłodny nos psa dotknął policzka Igora.

— Czego chcesz? — spytał chłopak.

Żulik podskakiwał podniecony i próbował chwycić zębami za rękaw.

— Wzywa nas do wyjścia — stwierdził młodzik.

— Jest tutaj?! Pogoń go! Nie, nie wyganiaj, tylko lepiej przytrzymaj. Nie wypuszczaj!

Piesek skulił się i chłopakowi zdawało się, że dobrze się rozumieją. Wyłaź, skomlał Żulik, czemu siedzisz w norze jak jakiś robak.

— Wyjrzę na zewnątrz — oznajmił Igor.

— Ani się waż! Czuję, że tamci są w pobliżu.

— A właśnie, że pójdę!

Żulik zaszczekał entuzjastycznie. Zaczął gramolić się ku wyjściu, pewien, że Igor go nie zostawi.

— Igorku — błagał Partyzant — jeśli was zabiorą, z kim tutaj zostanę?! Marfuga już pewnie padła, Pyrkina zastrzelili. Stracę posterunek.

— Jaki posterunek?

— Jestem przywódcą grupy — wyjaśnił Biały Partyzant. — Mam przywileje związane ze stanowiskiem. Naprawdę nie rozumiesz?

— Naprawdę — potwierdził chłopak. — Niczego nie rozumiem.

Zaczął się czołgać za Żulikiem. Piesek biegał przy wejściu, ochoczo szczekając.

—Stój!

Partyzant złapał chłopaka za nogę, ale Lusia przyszła z pomocą nieco starszemu koledze. Rzuciła

się z pięściami na Partyzanta. Igor tego nie widział, słyszał tylko częste uderzenia i głos dziewczynki:

— Puść go natychmiast! Wyjdźmy w końcu z tej dziury!

Chłopak wyrwał nogę z uścisku i wydostał się na światło dzienne. Światło niezbyt jasne, raczej nieco zszarzałe, lecz po ciemnościach nory niemal oślepiające.

Żulik skakał dookoła. Wokół nie było żywej duszy. Panowała martwa, jakoś wstrętna, gdyż niemożliwa do przyjęcia cisza. W dawnych wiekach zmarli zamieszkiwali podziemia, przepływając tam przez specjalną rzekę. Igor zapomniał, jak brzmiało imię starego przewoźnika. Gdzie podziali się pozostali mieszkańcy baraku? Chłopak stał nieruchomo, nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku, jakiejkolwiek oznaki życia.

— I co tam? — dobiegło głucho spod ziemi.

— Nic — odparł Igor.

Złapał się na tym, że mówi półgłosem. Żulik także, szczekając i napraszając się, by iść z nim dalej, nie odważył się głośno ujadać.

— Przejdź się do mostu — doradził Partyzant — i rozejrzyj się. Jeśli wszystko jest w porządku, zawołaj nas. Tylko niezbyt głośno. Usłyszymy.

Niezły Partyzant, zauważył w myślach chłopak. Z kim on chodził na zwiady? Pewnie dlatego Biali przegrali wojnę.

Wspiął się na szczyt skarpy. Na ziemi usłanej kawałkami żelaza, kijami, fragmentami betonu, o które jakimś cudem nikt nie zawadził i nie połamał sobie nóg, widniały głębokie bruzdy, ślady ucieczki. Trochę wyżej, obok pierwszej kryjówki, leżał Pyrkin, w swoim czarnym palcie z wystającym rękawem pomarańczowej koszuli. Z daleka nie było widać śladów krwi. Igor zawołał w panice:

— Pyrkin, co z panem?! Niech pan wstanie, Benjaminie Siergiej ewiczu!

Podbiegł i pochylił się nad pijanicą, lecz w owej chwili zdał sobie sprawę, że gdzieś w pobliżu mogą czaić się wrogowie. Przede wszystkim ogarnął więc wzrokiem zbocze, spoglądając zwłaszcza w kierunku baraku. Pomyślał, że powinna być tam Marfuga, lecz kobiety nigdzie nie było. Ani bandziorów. Pochyliwszy się znów nad pijakiem, zawołał w stronę jamy, tak jak obiecał, niegłośno:

— Niech pan wyjdzie, Partyzancie! Tu leży Pyrkin.

Mężczyzna leżał jakoś tak niezgrabnie, z podgiętą jedną nogą. W wykręconej ręce wciąż ściskał lagę, którą usiłował się bronić. Z bliska widać było poprzez rozpięte palto, że koszula jest zalana krwią. Igor wiedział, że w takiej sytuacji należy wymacać puls, lecz bał się to uczynić. Na szczęście, w tym momencie nadbiegł Partyzant.

— Dobrze się rozejrzałeś? — zapytał, rozglądając się wokół i nie patrząc na Pyrkina. — Mogli się gdzieś przyczaić — stwierdził. — Są diabelnie chytrzy.

Przemawiał jednak trzeźwo i w ogóle wydawał się bardziej pewny siebie niż pięć minut temu.

— Nie żyje? — zapytał Igor.

Lusia stanęła opodal, nie mając odwagi podejść do leżącego ciała. Żulik także stał w pobliżu, cierpiąc w milczeniu z powodu swego pana.

— Zaraz zobaczymy — odparł Partyzant. — Zawsze był żywotny, jak wszyscy u nas. Odsuń się.

Przysiadł w kucki. Zdawał się tak malutki, że Igor pomyślał, iż może wcale nie kłamał na swój temat. Może istotnie w Armii Czerwonej był szalony naukowiec Fryderyk Moldtke, który zmniejszał jeńców. Chociaż chłopak niezbyt interesował się polityką, nie uważał słowa „demokrata” za obelgę, jak wujek Boria. Kiedy jednak oglądał filmy historyczne w kinie lub telewizji, odruchowo utożsamiał

się z Czerwonymi. Czerwoni byli zawsze swoi, a Biali obcy. Tak więc i w owej chwili trudno było mu potępiać Fryderyka za eksperymenty na więźniach. Równie wielkim bestialstwem było przecież wycinanie czerwonej gwiazdy na piersi.

Partyzant uniósł powiekę Pyrkinowi i zajrzał w martwą biel oka. Ujął później bezwładną dłoń i próbował wyczuć puls.

— Jest — oznajmił po chwili. — Słaby, ale jest. Trzeba go teraz przenieść do baraku i opatrzyć, żeby się całkiem nie wykrwawił. Tylko nie damy rady we dwóch.

— Pomogę — zaoferowała Lusia.

Partyzant spojrzał na nią z powątpiewaniem i nagle, wyczuwając niebezpieczeństwo, natężył uwagę i schylił się, jakby pragnąc się ukryć za ciałem Pyrkina. Żulik zaszczekał, łypiąc okiem na most. Igor spojrzał w tamtą stronę.

W nierównym, nieokreślonym liczebnie rządku snuły się tam widma. Nie poruszały się ani nie okazywały wrogich zamiarów; stały spokojnie, beznamiętnie, co tchnęło prawdziwą grozą.

— Wyczuty krew — szepnął Partyzant. — Jak poczują, ciężko je powstrzymać.

— Kim są? — zapytał chłopak.

Zadawał już to pytanie, tak jak wiele innych, dwa, trzy razy. Za każdym razem albo w ogóle nie otrzymywał odpowiedzi, albo całkiem odmienną.

— Musimy zostawić Pyrkina — powiedział Partyzant. — Pobiegniemy z drugiej strony, nad samą wodą.

Żulik zawył z całych sił, pojmując, o co chodzi. W mgnieniu oka rzucił się na widma. Cofnęły się, ale nie tak lękliwie jak poprzednio. Rozstąpiły się, przepuszczając pieska, który zawrócił w ich stronę.

— Wszystko jedno — orzekł Partyzant — i tak wyssą z Pyrkina całą krew.

— Mówił pan, że żyje?

— Żywy czy martwy, i tak nie ma szans. Nie damy rady zataszczyć go do baraku.

— Nie wolno tak mówić — wtrąciła Lusia. — To przecież mój dawny znajomy i sąsiad.

Jej argumenty tylko rozbawiły Partyzanta.

— Jeśli chcesz przeżyć, panienko — oznajmił — musisz się przyzwyczaić do utraty bliskich i przyjaciół. A tym bardziej obcych, nie mrugnąwszy powieką. Inaczej sama zginiesz. Niestety, nie ma innego wyjścia.

Upiory zbliżały się ku nim. Żulik miotał się między nimi, ujadając, lecz także nie odważył się podbiec całkiem blisko. Igor wyczuł w powietrzu energię elektryczną, jakby znalazł się pod linią wysokiego napięcia. Próbował dociec, gdzie koncentruje się zła wola w owych cieniach utkanych z przezroczystej protoplazmy, która być może sama w sobie nie jest żywa, a tylko jawi się jako skupienie jakiejś energii? To dziwne, lecz dopiero teraz dostrzegł, że widma różnią się między sobą wielkością i formą, a niektóre w ogóle nie przypominają ludzkich kształtów. Jakby z samego powietrza, niemal z niczego, tworzyły się półprzezroczyste twory, wyskakiwały gwiazdki lub pojawiały się czarne dziury — jedna z widmowych twarzy wydała się chłopcu nieprzyjemnie znajoma…

— Dokąd idziesz? — ostrzegała Lusia. — Zabiją cię!

— Zaczekaj. Widzisz, co tamten trzyma w łapach?

— Nie widzę nawet łap. Błagam cię, Igorku, uciekajmy.

Zachowywała się niczym żona odciągająca pijanego męża od bójki z chuliganami.

— Widzisz to czarne?

— Widzę, tylko już chodźmy.

Widmo o twarzy Żory, jak wydawało się Igorowi, dzierżyło w dłoniach cień dwukasetowego magnetofonu, owalny, niemal nieprzezroczysty kształt. Skąd wzięła się tutaj zjawa Żory?

— Co z tobą? — nalegała dziewczynka.

— Zdaje się, że to magnetofon mojego ojca.

— Zwariowałeś?!

— W końcu razem tu wylądowaliśmy i jeszcze nie zwariowaliśmy. Niczego już nie rozumiem, ale nic mnie także nie dziwi.

Widmo Żory oddzieliło się od pozostałych i podpłynęło do Igora. Żulik rzucił się mu naprzeciw. Chłopak cofnął się, gdyż poczuł kopnięcie prądem.

— Nie patrz tam — sugerowała Lusia. — To na pewno nie on. Tylko jego sumienie, wstyd albo strach… Przylgnął do nas, kiedy on sam uciekł.

— Myślisz, że wszystko to są odrzucone ludzkie uczucia?

— Nie mam pojęcia.

— Czekaj — zastanawiał się głośno Igor — może dlatego są takie złe, że to nie zwykłe widma, lecz zjawy osób z nami związanych. Może to my pociągnęliśmy ich za sobą?

— Biegnijcie wreszcie! — krzyczał Partyzant.

I pobiegł jak najdalej od upiorów.

— Zostanę — zdecydował chłopak.

— Ja też — przytaknęła drżącym głosem dziewczynka.

Żulik, zbliżywszy się zanadto do majaków, odskoczył nagle z piskiem jak oparzony. Zjawy zmierzały prosto do zakrwawionego Pyrkina. Igor chwycił rannego pod pachy i zaczął go odciągać. Było to głupie z jego strony, gdyż nie mógł przecież poruszać się szybciej niż zjawy. Lusia rzuciła się pomagać, ale ciało leciało przez ręce z głową zwieszoną na bok.

Na szczęścia widma zatrzymały się. Zamarły, zlewając się na powrót w całość i dolną częścią skupiając się w tym miejscu, gdzie mogły wysysać krew, która wsiąknęła w ziemię…

I nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nagle nie rozległ się gromki krzyk Partyzanta:

— Tutaj, szybko! Błagam was!

Drogą wzdłuż rzeki jechali dwaj rowerzyści w czarnych płaszczach i błyszczących kaskach.

— Podziemni atakują, ludzi tracimy! — nawoływał karzełek.

Jeden z rowerzystów przytrzymał obie maszyny, drugi natomiast ruszył po skarpie w ślad za Partyzantem. W dłoni trzymał coś, co przypominało suszarkę, którą mama Igora suszyła włosy. W środku żarzył się czerwony pręt. Widma zadrżały, jakby czując ból, i niczym statek pod naporem wichury mglista masa odchyliła się i umknęła przed nadciągającym rowerzystą, który stanął obok dwojga dzieci. Igor wypuścił z rąk ramiona Pyrkina, kładąc go na ziemi. Rowerzysta przykucnął przy nim.

— Rana postrzałowa? — zapytał.

— Tak. Postrzelony z pistoletu — potwierdził Igor.

Teraz już nie bał się rowerzysty, który w jego oczach przeobraził się w miejskiego milicjanta, chociaż trochę dziwacznie odzianego. W końcu to nie jego wina, że tutaj brak samochodów. Dlaczego ich nie ma, lepiej nie pytać, być może sami tego nie wiedzą. Zapyta chociaż o upiory.

— Kto na nas napadał? — zadał więc pytanie. — Kim są te widma?

— Całe szczęście, że boją się chociaż naszych armatek. Inaczej wszędzie by się rozpełzły.

— Ale to ludzie?

— Skąd mogę wiedzieć? Są bardziej jak karaluchy. Tyle że jadowite.

Rowerzysta wydobył z wewnętrznej kieszeni puszeczkę i otworzył ją. Rozszedł się ostry, wiercący w nosie zapach, przypominający wietnamski balsam od bólu głowy. Nabrał trochę maści na palec i zaczął ją rozcierać na skroniach i w nozdrzach Pyrkina.

— Możesz już iść, chłopcze — powiedział do Igora. — Sami sobie damy radę.

Drugi rowerzysta, pozostawiając wehikuły pod opieką Lusi, podszedł bliżej.

— Zaniesiemy go? — zapytał. — Czy to umarlak?

— Zaniesiemy.

Zręcznie chwycili ciało pod pachy i za nogi, po czym zanieśli do baraku. Igor ruszył za nimi. W pobliżu Pyrkinowego siedliska ujrzeli Partyzanta stojącego nad stosem szmat. Podchodząc, chłopak zorientował się, że to wszystko, co zostało z wojennej towarzyszki Marfugi. Przed śmiercią kobieta skurczyła się, przycisnęła kolana do brzucha — widocznie ostatni ból był nie do zniesienia. Kadłub pozbawiony był głowy.

Igorowi zebrało się na wymioty i pognał ku rzece. Nie ubiegł nawet dziesięciu kroków, gdy się zatrzymał. Pośrodku rzeki Moskwy, oddalając się w stronę przeciwnego brzegu, płynęła prędko znajoma łódź. Dwaj ludzie w maskujących kombinezonach wiosłowali, trzeci trzymał pośrodku łódki żerdź, nieco go przewyższającą. Na czubek tyczki, jak ziemniak na patyk, nadziana była głowa Marfugi. Wydawała się żywa: czarne, kędzierzawe włosy rozwiewał wiatr, uszminkowane wargi wygięły się w dziwacznym, żabim uśmiechu.

W tym momencie chłopiec poczuł się naprawdę źle.

Kiedy doszedł do siebie i podniósł głowę, zobaczył, że łódka jest już daleko. Jeden z rowerzystów, którzy odnieśli tymczasem Pyrkina do baraku, zbliżył się do Igora i spojrzał za łodzią.

— Jeszcze ich dorwiemy — oznajmił. — I po co było zabijać kobietę? Co im z tego przyszło?

— Zabrali jej złoto — wtrącił chłopak — a dużo tego miała.

— Myślisz, chłopcze, że tutaj złoto ma jakąś wartość? Jak chcesz, możemy zaraz przejść się do sklepu jubilerskiego i nabierzesz tam sobie ile chcesz kosztowności, jak egipski faraon.

— To dlaczego ją zabili?

— Chcieli schwytać ciebie i dziewczynkę — odparł tamten. — Jesteście im potrzebni. Nie wyszło, więc się wściekli.

Rowerzysta westchnął i zdjął ciemne okulary. Miał twarz pomarszczoną, starczą, trupiobladą z powodu miejscowego klimatu. Przypominał teraz człowieka, który wraca po pracy do domu, zdejmuje marynarkę i przyciasne buty i staje się od tej chwili dobry dla wszystkich.

— Do czego im jesteśmy potrzebni?

„Dziwne — pomyślał chłopak, nim doczekał się odpowiedzi. — Cierpiałem i przeżywałem wszystko niepotrzebnie”.

— Jeszcze ci nie powiedzieli?

— Mówili. Chciałbym jednak uciec stąd jak najszybciej, a do tego muszę wiedzieć dokładnie, jak ten świat funkcjonuje.

— Obawiam się, że nie starczy ci na to tysiąca lat. Opowiada się u nas historię o ludziach, którzy próbowali uciec. Wszyscy źle skończyli. Znajdź sobie lepiej jakieś przytulne miejsce, odpocznij i nie

spiesz się.

— I mam pozostać młodym chłopcem? — zapytał Igor.

— A co w tym złego?

— Dorosły chłopiec, starszy chłopiec, stareńki chłopiec…

— Tego nie będzie widać — westchnął rowerzysta — inaczej niż tam, w domu. Czasu nie ma, więc przeleci niepostrzeżenie.

Uśmiechnął się. Widząc, że chłopak nie zgadza się z nim, zaczął przedkładać:

— Potem już niczego innego nie będziesz pragnął. Powiem szczerze: wszyscy tutaj przechodzili taki etap. Na początku opierali się: ucieknę stąd i nie zdołacie mnie zatrzymać. A kto cię będzie próbował zatrzymać? I tak nie ma drogi powrotnej.

— Jest pan tego pewien?

— Jeśli nie brać pod uwagę baśni i legend… — odpowiedział. — Kiedy ludzie nie mają co robić i nie zajmują się pożyteczną pracą, zaczynają zmyślać baśnie.

— Więc chcę posłuchać baśni.

— Ależ jesteś uparty!

— Ucieknę stąd.

— Tacy jak ty źle kończą.

— Czemu ucinacie głowy? — zapytał chłopak.

— Wszyscy tu jesteśmy bardzo żywotni, trudno kogoś zabić. Widziałeś, jak ożył Pyrkin. Skoro czas nie istnieje, wewnętrzny metabolizm spowalnia się. Rozumiesz?

— Tak. Macie jak gdyby odmienną substancję.

— Mniej więcej. Możesz sobie wyobrazić, że dawniej byłem lekarzem?

— Dlatego uciął pan głowę samobójcy?

— To nie byłem ja, tylko inny urzędnik. Takie prawo.

— Jakie?

— Każda społeczność rządzi się swoimi prawami. Jeśli człowiek skończył ze sobą, nie ma drogi odwrotu. Nie chcemy tutaj trzymać świrów.

— A czemu ścięli Marfugę?

— To byli bandyci. Nie zdołali pojmać ciebie i Lusi, więc ich złość skupiła się na niej.

— Mimo wszystko nie rozumiem, po co podjęli tak ryzykowny napad…

— Niczego nie ryzykują. Nudzą się, to i łobuzują. Wkrótce zorganizujemy na nich karną ekspedycję.

Ruszyli w górę do baraku.

W środku leżał na starym tapczanie spocony, ciężko dyszący Pyrkin. Lusia siedziała przy nim.

— Trzeba było dać mu lekarstwo — oświadczyła. — Wiesz, mają tutaj przedziwne leki. Musimy wziąć je ze sobą do domu.

— Na nas mogłyby nie zadziałać. Oboje jesteśmy tu płytko.

— Płytko?

— Mówię dosłownie: ja i ty ciągle jesteśmy ciepli, płynie w nas gorąca krew. A oni są tutaj jak ryby w głębinach.

Patrzyła nań, mrużąc oczy, chwilkę się zastanawiała, potem zauważyła:

— Niektóre ryby bywają bardzo szybkie i niebezpieczne, jak rekiny.

— Oni są jak inne!

— Nie krzycz na mnie — zażądała. — Kiedy będziesz uciekać, weź mnie ze sobą. Będę zawsze przy tobie.

— Nie wiem jeszcze, jak to zrobić!

— Dowiesz się, bo jesteś mądry.

Za cienką ścianą rozległ się nieznajomy, rozkazujący głos:

— Przyprowadzić ich natychmiast!

— Widzicie, że sam tutaj zostanę. Mam tylko ciężko rannego. Jutro nas pożrą Podziemni albo zastrzelą bandyci.

— Nie obawiaj się, będziesz stróżował sam, dopóki nie przyślemy ci nowych. Na dworcu pamiętają o tobie.

— Tylko koniecznie przyślijcie kobietę, najlepiej młodą. Muszę się wreszcie ożenić.

— Bardzo zabawne — odparł obcy głos. — No, pokaż nam swój dziecięcy kontyngent.

— Lusia, Igor, wychodźcie! — krzyknął Partyzant.

Pyrkin jęknął, usiłując coś powiedzieć.

— Uważaj, Lusia — wykrztusił w końcu.

— Jak się czujesz? — spytała ucieszona dziewczynka.

— Później przyjdę do ciebie — obiecał. — Nie bój się.

Przymknął oczy. Widać było, że mówi z wielkim trudem. Do baraku wpadł Partyzant.

— Gdzie się podziewacie! — wrzeszczał. — Czekają na was!

— Kto niby? — zapytał Igor.

— Chodźcie, czekają na was.

Był gotów wywlec ich z baraku siłą.

— Pyrkin przemówił — poinformowała go dziewczynki' — Niech mu pan da wody.

— A co ma do tego Pyrkin?

Igor wyszedł na zewnątrz jako pierwszy. Przeskakując po dwa stopnie, stanął na ziemi i rozejrzał się w poszukiwaniu nowych gości.

Tym razem zamiast rowerzystów przyjechał powóz, coś w rodzaju skrzyżowania karety z bicyklem. Odkryty kabriolet składał się z hołobli przytroczonych do dwóch dużych rowerów. Każdy miał po dwa siedzenia, jak na tandemie, tak więc siedziało na nich czterech cyklistów. W wozie, na niskim, kręcącym się wokół własnej osi fotelu, takim, jakich używa się przy biurkach, zasiadał groźnie wyglądający mężczyzna w milicyjnym mundurze i generalskiej czapie. Był brodaty, a końce długich, jasnych kosmyków opadały mu na ramiona. Ruchy miał miękkie, leniwe, jak gdyby odgrywał rolę jakiegoś wschodniego baszy.

— Ach, co za niespodzianka — powitał ich. — Miło was widzieć.

— Dzień dobry — przywitał się chłopiec.

— Powiadają, że musieliście tu przeżyć kilka niemiłych chwil — zauważył wielmoża.

Dziwne, że chociaż panował tu chłód, wielmoży było wyraźnie gorąco. Zdjął czapę, by obetrzeć rękawem spływające potem oblicze.

Chłopiec i dziewczynka milczeli. Wielmoża nie naciskał, tylko rozprawiał z samym sobą.

— Witajcie w królestwie Słońca! — powiedział. Cykliści obserwowali spod oka Igora i Lusię, obmacując ich wzrokiem, jakby to były konie wystawione na sprzedaż. Odziani byli różnorodnie, lecz wszyscy mieli strażackie kaski, tak jak poprzedni. Myśląc o tym, chłopak uśmiechnął się. Zaczął rozumować jak tubylec.

— Siądźcie ze mną, proszę — rzekł mężczyzna. — Może stygliście o mnie, a może i nie, jeśli nie przykładaliście się do nauki. Nazywam się Dantes. W swoim czasie zdołałem zabić słynnego rosyjskiego poetę Puszkina i usunąć ze świata tego jakobina. Edmund Dantes. Oprócz wielu innych pisarzy, poświęcił mi powieść Aleksander Dumas. Ponieważ jednak żyjemy w demokratycznym społeczeństwie, możecie zwracać się do mnie zwyczajnie: Edmundzie Dawidowiczu.

Cykliści przysiedli na siodełkach i byli gotowi ruszać w drogę. Partyzant stał w drzwiach baraku. Uniósł dłoń i przyłożył ją do nowej furażerki. Igor posłusznie wsiadł do pojazdu, a za nim Lusia. Z tyłu była deska, w sam raz dla dwojga.

— Boję się — szepnęła dziewczynka.

— Musimy wszystko zobaczyć — odparł chłopak — zamiast siedzieć w jednym miejscu.

— Słusznie! — pochwalił Dantes, słysząc jego słowa. Poprawił się w fotelu i zawołał do rowerzystów: — No, kochani, nie przynieście mi wstydu! Pokażcie naszym gościom, co potraficie.

Cykliści zaczęli zgodnie pedałować. Powóz potoczył się szybko w dół i jechał dalej asfaltową drogą nad samą wodą. Wielmoża okręcił się w fotelu w taki sposób, żeby być zwróconym twarzą do pasażerów.

— Sądzę — powiedział — że macie mnóstwo pytań. Uprzedzam jednak, że nie jestem w nastroju, by na nie odpowiadać. Sam będę pytał.

Nikt mu się nie sprzeciwił. Cykliści miarowo naciskali na pedały, rowery skrzypiały, skrzypiał także wózek.

— Nie macie samochodów? — spytał Igor.

— Chłopcze, przecież mówiłem, że nie zamierzam odpowiadać na pytania — odparł kapryśnie Dantes.

Nakręcił na palec długi, jasny lok i szarpnął zań, krzywiąc się, jakby jadł cytrynę.

— Nie ma benzyny — powiedział jeden z rowerzystów.

Dziwnie go było usłyszeć, gdyż konie pociągowe zazwyczaj nie rozmawiają.

— Gdzieś się zapodziała — podjął drugi „koń”.

— Milczeć! — zrugał ich wielmoża.

Zapuścił teraz palce w gęstwinę bródki. „Konie” zamilkły. Igor także nie śmiał pytać o więcej. Powóz skręcił na ścieżkę ku wodzie. W tym momencie chłopiec ujrzał znajomą bandycką łódkę, na wpół zatopioną w pobliżu brzegu. Była pusta. Na lekko pochylonym maszcie wciąż tkwiła głowa Marfugi. Nieco uniosła powieki, spoglądając na Igora.

— Ojej! — pisnęła Lusia.

— Ukaraliśmy ich — oświadczył Dantes.

Cykliści przyspieszyli obroty i pojechali prędzej nadbrzeżną dróżką.

— Chodzisz do szkoły? — zapytał wielmoża chłopca.

— Do dziewiątej klasy — odpowiedział.

— Zuch! Za rok skończysz szkołę. Co chciałeś studiować?

— Historię.

— Chciałeś zostać szczurem archiwalnym?

Wciąż targał bródkę. Przebierał niespokojnie palcami, jakby musiał ciągle coś skubać i czegoś dotykać.

— Archeologiem — odparł chłopak.

Dantes wypytywał go, jakby był gościem na daczy jego rodziców. Chyba nie spodziewał się, że

Igor zamierzał studiować. Może da mi wreszcie spokój? — myślał chłopak.

— A ty co nam powiesz? — zapytał mężczyzna dziewczynkę.

— Naprawdę zabił pan Puszkina? — odpowiedziała pytaniem.

— Naprawdę.

— Więc nie będę z panem rozmawiać — oświadczyła twardo.

Igor pomyślał: „Jakie to dziwne, właściwie nie uważałem go za prawdziwego Dantesa. Jeśli rzeczywiście to ten, jego kara jest znacznie gorsza niż śmierć dla poety".

— To śmieszne — rzekł Dantes. — Minęło tyle lat…

— Został pan ukarany — stwierdził młodzik. — Już półtora wieku siedzi pan uwięziony.

— Nie sądzę, aby był to odpowiedni temat do rozmowy —przerwał mu mężczyzna. — Tym bardziej, że zajmuję tutaj wysokie stanowisko.

Naprzeciwko nim szła dziewczyna tocząca przed sobą fotel z idiotą. Jego głowa była przechylona na bok, a z kącika ust ciekła ślina. Widocznie wracali ze spaceru.

— Dość tego! — zawołał Dantes. — Dosyć mam ciebie i twoich sztuczek. Niech cię licho!

Dziewczyna trochę zwolniła krok i odparła teatralnym szeptem:

— Nie zamierzam się przed panem tłumaczyć. Od dawna zasługuje pan na stryczek.

— Cha, cha, cha! — głośno śmiał się mężczyzna.

Kusiło Igora, żeby zapytać o przyczyny owej niechęci, ale domyślał się odpowiedzi.

Pojazd toczył się dalej. Rozdrażniony Dantes mamrotał coś wściekle pod nosem. Cykliści wjechali okrężną drogą na jezdnię obok mostu kolejowego. Mieli teraz dzięki temu szerszą nawierzchnię. Mijali puste ceglane domy po lewej stronie, po prawej zaś, za żelazną kratą, szara rzeka toczyła swój nurt.

— Jeszcze tego brakowało! — coraz mocniej złościł się Dantes.

Patrzył do góry. Nad nimi powoli frunął wielki balon, który nadleciał znad rzeki. Z kosza wychylił się jakiś człowiek i wołał coś. Wielmoża pogroził mu pięścią.

— Kompletny bajzel — zwrócił się do Igora. — Nikomu nie można wierzyć. Przecież zakazano latania, wyraźnie i po rosyjsku. Latanie wnosi nieporządek. Chwała Bogu, nikt tutaj nie latał od setek lat.

Cykliści energicznie pedałowali, wóz poskrzypywał.

— Daleko jedziemy? — zapytał chłopak.

— Zwłaszcza ciebie nie powinno to niepokoić.

— Bardzo nas niepokoi — wtrąciła dziewczynka — bo chcemy jak najszybciej stąd zwiać.

— Kto ci wbił do głowy taką bzdurę? — zdziwił się Dantes. — Twój starszy kolega?

Przed fabryką Dorogomiłowską stał strażnik w kasku i czarnym płaszczu. Nikogo więcej nie spotkali aż do samego Dworca Kijowskiego. Jechali długo, lecz cykliści starali się dowieźć ich jak najszybciej. Rozmowa zamarła. Dantes pogrążony był w swoich myślach i każde pytanie zbywał nieartykułowanym burknięciem. Sam także o nic więcej nie pytał.

Igor spoglądał w niebo, na przeciwległy brzeg rzeki, na puste domy. Zdawało mu się, że owa pustka panująca w Moskwie jest jak niewidzialna trucizna, która przenika do serca i zamienia człowieka w tępe zwierzę pociągowe, gotowe pokornie pedałować. A skoro nie ma tutaj czasu ani podziału na godziny, trudno orzec, czy robi to rok, czy też dziesięć minut.

— Popatrz — powiedziała dziewczynka — to chyba klasztor Nowodiewiczy, prawda?

Budynek zmienił wygląd. Ściany miał gołe, niepomalowane, a w dachu dzwonnicy widniała

wielka dziura. Park oddzielający klasztor od rzeki zniknął i pozostał tylko podłużny staw.

— Wygląda jak przed wiekami — orzekł Igor.

Ponownie zamilkli. Skrzypiały koła wozu, skrzypiały rowery. Wreszcie ukazał się Dworzec Kijowski, wznoszący się szklanym hangarem nad placem, na którym się zatrzymali. W tej chwili chłopak ujrzał samochody, stojące w zapomnieniu na parkingu.

— To się nie zgadza — stwierdził.

— Co się nie zgadza? — zdziwiła się Lusia.

Zrobiło się jej gorąco, więc rozpięła płaszczyk i odrzuciła na plecy chustkę. Włosy miała rozczesane pośrodku na równiuteńki przedziałek. Bez chusty jej głowa wydała się mniejsza, sama zaś dziewczynka jakby nieco starsza niż w rzeczywistości.

— Samochody nie powinny były tutaj zostać — odparł Igor. — Nie są przecież nieruchomościami.

— Nie wiemy tak naprawdę — oznajmił Dantes — które rzeczy powinny tutaj pozostawać, a które nie. Tylko domyślamy się zasad rządzących tą rzeczywistością. Może te samochody u nas nie jeżdżą, gdyż są tylko złudzeniem. Na Rondzie Sadowym widziałem raz tabun koni. Pamiętasz, Pietrenko?

— Byliśmy tam razem, panie Dantes — potwierdził jeden z rowerzystów.

— Wyobraź sobie: tabun koni! Skąd? Dlaczego? Początkowo sądziliśmy, że to jakiś miraż…

— Jak przeszły, patrzymy: łajno zostało! Mówię wam — dokończył opowieść cyklista.

Nieoczekiwanie wielmoża wydobył nie wiedzieć skąd, być może spod siedzenia, długi pejcz i smagnął nim po plecach gadatliwego rowerzystę.

— To boli — poskarżył się tamten.

— I powinno — odparł Dantes. — Na drugi raz nie wtrącaj się, kiedy coś opowiadam.

Pozostałym cyklistom nie postało nawet w głowie ująć się za kolegą.

Pojazd przejechał plac, mijając parking samochodowy, i zatrzymał się przed głównym dworcowym wejściem, pod wieżą z nieczynnym zegarem. Dantes wysiadł pierwszy i ruszył w górę szerokimi schodami. U szczytu stali dwaj cykliści w strażackich hełmach. Ktoś najwyraźniej zatroszczył się o jednolite uniformy dla stróżów porządku.

Jeden z rowerzystów, którzy ich tutaj przywieźli, zeskoczył z siodełka i zwrócił się do Igora:

— Idź. Na co czekasz?

Pozostali prostowali się, przeciągali, wyraźnie zmęczeni.

Główny hol był wysoki i akustyczny. Ich kroki rozbrzmiewały tak, jakby były zwielokrotnione przez głośnik, i odbijały się głośnym echem od sufitu. Na wprost znajdowało się wyjście na perony, lecz cykliści poprowadzili ich w lewą stronę.

I nagle, jakby uniosła się jakaś kurtyna, znaleźli się w innym świecie. Pełnym ludzi i rzeczy znajdujących się w ciągłym ruchu. Ruchu, który ożywia materię, skonstatował chłopak. Nie wiadomo, czy wyczytał gdzieś coś takiego, czy sam na to wpadł.

Z holu przeszli do długiego, niezbyt wysokiego, lecz przestronnego pomieszczenia, gdzie stały rzędy twardych krzeseł dla czekających pasażerów. Siedział tam cały tłum zajętych rozmową ludzi. W odległym kącie zestawiono krzesła w ten sposób, że mogła się tam rozsiąść niewielka grupka, skupiona wokół gitarzysty i chóralnie śpiewająca : VWHSLHVJHURNLP« Na wolnej przestrzeni ludzie przechadzali się pojedynczo, w parach lub grupami, zatrzymywali się na chwilę i znowu szli dalej. Między nimi kręcili się cykliści, czyli tutejsi milicjanci, których Igor rozpoznawał po kaskach, a

także żołnierze w mundurach i furażerkach. Kobiet było mniej niż mężczyzn, ale przyjrzawszy się im, można było się zorientować, że pochodzą z różnych epok. Męski strój w ciągu ostatnich dwustu lat nie zmieniał się aż tak bardzo, za to damskie suknie podlegały wielkim zmianom. Dziwnie było oglądać damy w długich sukniach z trenem, a zaraz obok w sukienkach do kolan, jedne w wysoko upiętych, kunsztownych fryzurach, inne krótko ostrzyżone. Widocznie mają tutaj, domyślał się Igor, swoich krawców i fryzjerów. Tutejszy świat jest znacznie bardziej skomplikowany niż tamten pod mostem, gdzie człowieczeństwo ograniczyło się do małej, odizolowanej niszy.

Ludzie krążący wokół byli różnej budowy i wzrostu, jedni starsi, drudzy młodsi. Niezależnie jednak od tego, niektórzy wydawali się bardziej świeży od tych bardziej zużytych, wyglądających jak skrzypiące, stoczone przez korniki krzesła, gotowe rozsypać się w każdej chwili.

W baraku nad brzegiem rzeki Moskwy tylko Marfuga robiła sobie makijaż, zresztą dosyć nieumiejętnie, gdyż zapewne na froncie nie miała okazji dobrze się tego nauczyć. Tutaj wszyscy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, byli wymalowani jak dzikusy.

— Ale cyrk — orzekła Lusia.

Otaczające ich twarze rzeczywiście przywodziły na myśl cyrkowych klaunów, ale jeszcze bardziej teatralnych mimów. Z daleka wydawało się to śmieszne, z bliska okropne.

Wszyscy zachowywali się jak ludzie bezustannie zajęci ważnymi sprawami. Nikt nie zwracał uwagi na chłopaka i dziewczynkę, jeśli nie liczyć kobiety w nieokreślonym wieku. Jej wysoka fryzura przypominała kształtem cebulę, twarz pokrywał gęsto biały puder, na policzkach miała namalowane jaskrawoczerwone buraczane plamy, oczy zaś były obwiedzione grubymi, czarnymi krechami. Odwróciła się do nich, kiedy przechodzili obok, prowadzeni przez cyklistów, i powiedziała do swego partnera o bladej twarzy, zakrytej w dużym stopniu ciemnymi okularami:

— Zobacz, cóż za urocza dziewuszka. Prześliczne kolorki na buzi.

— Przekabacają — stwierdził tamten, odziany nie wiedzieć czemu w długi, jedwabny, połyskliwy tadżycki chałat. — Nie takie jak ta przekabacili.

Mówił to spokojnie i beznamiętnie. Igor poczuł ukłucie w sercu. Dziewczynce groziło jakieś niebezpieczeństwo.

— Tak — potwierdziła dama z cebulowatą fryzurą. — Jak szybko mijają lata! Ja także byłam kiedyś taka jak ona, gdy przebywałam na pensji dla szlachetnie urodzonych panien.

Tłum gęstniał przed drzwiami, nad którymi widniała tabliczka „Komisariat". Ludzie schodzili się tutaj jak mrówki u wejścia do mrowiska. Rowerzysta zatrzymał się. Drzwi otworzyły się nagle i wyjrzał przez nie śmiertelnie blady starzec w czarnej marynarce, z licznymi medalami na piersi, wołając:

— Urząd czasowo nieczynny… — Zobaczył w tej chwili Igora i Lusię i dorzucił: — Wy, młodzi, wejdźcie, proszę bardzo.

W tłumku pod drzwiami, rozsiewającym wokół siebie zapach mydła i zgnilizny, rozległo się nieśmiałe szemranie.

— Poczekajcie jeszcze trochę, szanowni państwo — powiedział starzec w czarnej marynarce.

Raźno cofnął się o krok, przepuszczając chłopca i dziewczynkę, przy czym zadzwoniły cicho medale i ordery.

— Zdawałoby się — dodał, przymykając drzwi — że nie ma się tu dokąd spieszyć, ale chcemy, żeby wszystko było jak w normalnym świecie.

Zaśmiał się potem piskliwie.

Znaleźli się w przestronnym pokoju, oświetlonym naftowymi lampami, wypełniającymi pomieszczenie niemiłym zapachem. Podłoga usłana była dziesiątkami wzorzystych kobierców o różnych rozmiarach, które wypiętrzały się w centrum w niewielką górkę, niczym stos blinów na półmisku wyniesionym przez gospodynię z kuchni w ostatki. Dywany wyglądały jak wiosenna łąka, ukwiecona wiśniowymi, malinowymi, żółtymi, białymi, pomarańczowymi i czerwonymi pąkami— Chodzenie po nich zdawało się beznadziejnie niebezpieczne, gdyż łatwo było stracić równowagę. Ściany także obwieszone były kobiercami, do których przyczepiono skrzyżowane szable, kindżały, pistolety, okrągłe tarcze, a nawet perski hełm. Igor rozpoznał też obraz Ajwazowskiego z tonącym okrętem. Sporą część prawej ściany zajmowało gigantyczne malowidło ,ZDQ*URQ]DELMDMąVZHJRVQDwidocznie wykradzione z Galerii Trietiakowskiej.

— Iwan zabija Iwana. To zabawne — ozwał się wysoki, niemal kobiecy głos. — Kazałem powiesić tutaj to dzieło, żeby wszystkim dać do zrozumienia, że z imperatorem nie ma żartów. Nawet jeśli jesteś mu bliski jak rodzony syn. Zrozumieliście aluzję?

— To wisi w Trietiakowskiej — nieoczekiwanie odezwała się Lusia. — Kiedyś tam byłam.

— Dawno stamtąd zniknął ten obraz, w czym zawiera się kolejny paradoks naszej egzystencji. Kopia zrobiona według reprodukcji dzięki wielkiemu, tragicznemu talentowi Karla Briułłowa znacznie przewyższa oryginał. Jak sądzicie?

Igor dostrzegł wreszcie osobnika o cienkim głosie. Siedział w obitym czarną skórą fotelu za stertą dywanów.

— Ale przecież Karl Briułłow żył przed Repinem — stwierdził młodzik.

— To następny paradoks naszego dziwnego życia. Zbliż się i przyjrzyj się mnie, młodzieńcze. Tymczasem ja obejrzę sobie twoją małą przyjaciółeczkę. Jeszcze nie rozkwitła. Jest wciąż ziarnem. Lecz doświadczony i mądry ogrodnik odizoluje takie ziarno w swej oranżerii i będzie czekał, aż wzejdzie i stanie się przedsmakiem czegoś nowego. Zdaje mi się, że znalazłem mój ideał, przyszłą carową.

Lusia wczepiła się boleśnie palcami w łokieć Igora.

— Nie bój się — powiedział chłopak.

— Dobrze mówisz — pochwalił go imperator. — Nie ma się czego bać. Czeka cię tutaj jedynie szczęście.

W dziwacznym, krytym skórą fotelu, który pasowałby bardziej do gabinetu profesora akademickiego, z trudem mieścił się niezmiernie opasły jegomość. Łysy był jak kolano, nos miał perkaty, policzki miękko obwisały ku fałdom grubej szyi, a gołe ręce wyglądały jak gęsto pokryte żyłkami rączki niemowlaka. Maleńkie paznokietki, przycięte równo z serdelkowatymi paluszkami, pomalowane były czerwonym lakierem. Ubrany był w szorty i kuloodporną kamizelkę, rozchodzącą się na bokach. Nogi miał gołe, bose, przypominające nóżki od fortepianu.

Obok stał Dantes, trzymający czapkę na zgiętej w łokciu ręce, i milcząco przytakiwał każdemu słowu tłuściocha.

— Kocham sztukę — oświadczył grubas — ale jeszcze bardziej młodych ludzi. Czerpię z nich żywotną energię. Och, nie lękajcie się, nie krzywdzę dzieci, moi towarzysze mogą za to poręczyć słowem honoru.

— Słowo honoru! — rzekł starzec z orderami.

— Słowo honoru — powtórzył za nim Dantes.

— Usiądźcie na dywanach, będziecie mieli miękko i ciepło. Niech was nie dziwi budowa mego

ciała. Jest ona wynikiem świadomego wyboru. Dawno, dawno temu znalazłem się w owym świecie… kiedy nie było jeszcze tego budynku ani innych kolosalnych moskiewskich budowli.

W odpowiedzi na uprzejmy gest tłuściocha dzieci usiadły na dywanach. Trzeba było podwinąć nogi po turecku, ale i tak było niezbyt wygodnie.

— Przeżyłem tu wiele lat i obserwując, jak ludzie przychodzą i odchodzą, wziąłem na siebie ciężar władzy po to, żeby poznali, czym jest porządek, i nie stali się plemieniem morderców i zbójów, ciągle egzystującym na granicy zagłady. Zaprowadziłem ład. Prawda i ład, oto moja dewiza.

— Prawda i ład! — wrzasnął przeraźliwie staruszek.

Zza drzwi dobiegł gwar odległych, różnorodnych głosów:

— Prawda i ład! Praw…

— Będąc człowiekiem o niezwykłej sile woli — podjął grubas — zacząłem zmuszać się do jedzenia. Wiesz, dlaczego?

— Nie — odparł Igor, domyślając się, że to od niego oczekują odpowiedzi.

— Oczywiście, że nie — potwierdził tamten. — Jesteście tutaj nowicjuszami. Tak więc, będąc człowiekiem wielkiego rozumu i wielkiej mocy…

Drzwi uchyliły się lekko i w szczelinę zajrzały dziesiątki oczu.

— Zrozumiałem, że można pokonać zniszczenie i zgniliznę, jeśli się zmusza organizm do ciągłego działania. Jem tyle samo, ile w poprzednim życiu, przymuszam się do snu, miłości z kobietami, fechtunku, zapasów, podnoszenia ciężarów i czort wie czego jeszcze! Krążą tu wokół mnie nędzne widma. Ale ja, władca świata, jestem ciągle młody, zdrowy i najedzony.

Tym razem nikt nie oczekiwał reakcji Igora, ale zza półotwartych drzwi dotarły głosy entuzjazmu.

— Wiecie, jak mnie nazywają? — zapytał ich imperator.

— Gargantua — odparła bystro dziewczynka. — Czytałam o panu.

Grubas zaśmiał się. Dosłownie ryczał ze śmiechu, cielsko trzęsło się i kołysało, język trzepotał w szeroko rozwartej gębie. Dworzanie zaczęli mu wtórować, w końcu ogólna wesołość ogarnęła cały dworzec i wszędzie zapanował zaraźliwy chichot.

Śmiech tłuściocha urwał się nagle. Grubas wydobył zza pleców lśniącą koronę, przypominającą nadgryzione jabłko z brylantowym krzyżem na czubku. Włożył ją na głowę i surowo zapytał chłopca:

— Teraz poznajesz?

— Nie — przyznał się Igor. — Nie poznaję. Początkowo myślałem, że jest pan Göringiem.

Uśmiechnął się przepraszająco.

— Jesteśmy w Rosji — zgromił go tłuścioch. — Nie ma tutaj Göringa ani Napoleona. Tylko sami swoi. Powiedz mu, Dantesie, kim jestem?

— Jego imperatorska wysokość Paweł Piotrowicz.

— Właśnie — potwierdził imperator. — Miałem do wyboru: uroda lub zdrowie. Wybrałem zdrowie i młodość.

— Ale czemu jest pan taki gruby? — spytała Lusia.

— Dlatego, że w tym miejscu — odparł dobrodusznie imperator — organizmy nie przyjmują jedzenia. Niektórzy szczycą się, że przeżyli sto lat bez kawałka chleba i nadal żyją. Za to zużywają się z niesamowitą szybkością. Powiedz mi, mała, jesteś trochę głodna?

— Nie, wcale.

— A widzisz. To znaczy, że się wkrótce rozsypiesz. A przede mną całe stulecia!

— Ale przecież pana zabili — wtrącił Igor. — Udusili pana poduszką spiskowcy w zmowie z

pańskim synem, Aleksandrem. Czytałem o tym.

— Też o spiskowcach czytałem. Odrzucam jednak kategorycznie udział mojego następcy. Tak naprawdę w moim łożu spoczywał sobowtór. Od dawna podejrzewałem bunt wśród poddanych i powziąłem pewien zamiar. Mój dubler zginął i został pogrzebany zamiast mnie. Nie miałem odwagi wyznać prawdy… Tak bardzo chciałem żyć! Przeżyłem w ukryciu, nawet przed najbliższymi, do Nowego Roku. Ukryła mnie w podmiejskiej posiadłości małżonka, Maria Fiodorowna. Pod koniec roku pojąłem, że znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Nikomu nie jestem potrzebny, tylko wszystkim przeszkadzam…

Prędko otarł łzę spływającą po policzku. — I tak znalazłem się tutaj samotny. Carowa zabiła się tego samego dnia.

Zza drzwi dobiegły westchnienia.

— Dworzanin zawsze jest dworzaninem — stwierdził imperator teraz już opanowanym, spokojnym tonem — a lokaj lokajem. I chociaż właściwie w niczym nie są ode mnie zależni — te słowa wyrzekł niemal szeptem — bez względu na to gotowi są całować ślady moich stóp.

Przebierał palcami gołych stóp i przyglądał się im, jakby zobaczył je po raz pierwszy.

— Mam nadzieję, że jeszcze ze sobą pogawędzimy — powiedział. — Wydajesz się niegłupim dzieciakiem. O jedno proszę: jeść i jeszcze raz jeść. Zwłaszcza, gdy chodzi o dziewczynkę. Jak masz na imię, panienko?

— Lusia.

— Ludmiła. Bardzo ładnie. Zapowiadasz się na prawdziwą piękność. Wiem to, bo znam się na kobietach. Właśnie dlatego powinnaś się dobrze i obficie odżywiać. Szykujcie wszystko do obiadu — zakończył.

Staruch dał znak dzwoneczkiem. Małymi bocznymi drzwiczkami weszli dwaj dobrze zbudowani młodzieńcy w milicyjnych uniformach i podparli podnoszącego się imperatora pod boki. Władca położył opuchłe rączki na ramionach gwardzistów, a wówczas powlekli go ku drzwiom prowadzącym na zewnątrz. Wrota rozwarły się na oścież. Podsłuchujący dotychczas poddani rozpryśli się na wszystkie strony.

Igor doszedł do wniosku, że coraz bardziej traci zmysły. Wszystko, co się tutaj działo, zdawało się kompletnym absurdem, jeśli podejść do tego logicznie. No bo wystarczy tego posłuchać: car Paweł wspólnie z zabójcą Puszkina, Dantesem, wybieraj ą się na obiad w holu Dworca Kijowskiego…

Imperator z trudem przebierał nogami. Gwardzistom było ciężko, ale wytrwale taszczyli cielsko do miejsca, gdzie znajdował się nakryty stół, długi prawie jak peron. Wokół niego stały dziesiątki dworzan, czekając na swego władcę. Milicjanci przetransportowali go w końcu na szczyt stołu, gdzie zasiadł na wysokim, czerwonym tronie. Bez słowa oglądał blat niczym pole bitwy. Słychać było, jak nierówno dyszy jego starcze gardło. Uważnie oglądał stojące przed nim talerze i półmiski, wypełnione towarami, których teoretycznie być tutaj nie powinno. Czyżby niewielki jesiotr wysuwał pysk spośród pietruszki? A skąd niby wziął się tutaj przepołowiony arbuz o soczyście rubinowym wnętrzu? Spory stos bananów ‘cienko pokrojony bochenek? Wszystkie te specjały piętrzyły się przed imperatorem, a im dalej od niego, tym zawartość naczyń była skromniejsza. Na samym końcu stały już tylko szklanki z czystą wodą.

Kiedy imperator dał znak, że pozostali mogą usiąść, Dantes zaprowadził dzieci ku niemu. Lusię posadził po prawicy władcy, Igorowi dostało się miejsce pośledniejsze, ale nie najgorsze. Na talerzu

przed nim znajdowały się pokrojone szprotki, a nieco dalej z plecionego pojemnika na chleb sterczały kawałki sucharków.

Dziewczynka chciała przesiąść się obok chłopaka, lecz władca chwycił ją mocno za rączkę i oznajmił:

— Siadaj, nie bój się, nie zginie twój Igorek. Wygodnie ci tam, młody człowieku?

— Tak, dziękuję — odparł chłopak.

— Mówi się: dziękuję, wasza wysokość.

— Dziękuję, wasza wysokość.

— Zuch. Oczywiście nie masz nic przeciwko temu, iż zamierzam zakochać się w twojej przyjaciółeczce?

— Rzecz jasna, wasza wysokość.

— Na początek ją dokarmimy. Na szczęście mam po temu wszelkie możliwości.

— Nie wątpię — odparł chłopak. Cóż jeszcze mógł powiedzieć?

— Nie spiesz się z wnioskami — szepnął do niego starzec w czarnej marynarce, który dyrygował całym cesarskim bankietem, siedząc obok Igora. — Mógłbym także chować w duszy urazę, gdyż utraciłem swoje honorowe miejsce obok jego wysokości. Teraz ma nową rozrywkę. Bóg jeden wie, jak długo będzie teraz przemieniał dziewuszkę w posłuszną tuczną świnkę…

— Czemu pragnie ją utuczyć? — spytał młodzik, obawiając się, że usłyszy zaraz coś strasznego.

— Nie o to chodzi — odparł staruszek z krzywym uśmieszkiem. — Jego wysokość nie zjada dzieci. Jest cywilizowanym monarchą. Uważa jednak, że zdoła przedłużyć swoje miłościwe panowanie jeszcze o pięćset lat, jeśli będzie miał przy sobie młodziutką faworytę. Mamy jednak poważny deficyt młodych kochanek. Pod tym względem sytuacja jest katastrofalna.

— Ależ to przecież mała dziewczynka!

— Właśnie dlatego będziemy ją dokarmiać — oświadczył staruch.

Zamilkli, obserwując, jak imperator nakłada na talerzyk Lusi kawałki łososia i coś tam zrzędzi. Dziewczynka, trochę tym przytłoczona, patrzyła uporczywie w talerz i posłusznie wsuwała do ust kolejne kąski.

— A skąd wzięliście ryby? — spytał Igor niespodziewanie dla samego siebie.

— W niektórych rzekach żyją — gadał w roztargnieniu staruszek, nie odrywając oczu od imperatora. — Podobnie jak raki czy ślimaki; mamy też plagę wielkich mrówek. Jadamy i szczury. Te duże stworzenia nie mają się czym tu odżywiać, chociaż gryzą wszystko, co wpadnie im w zęby… Gdyby nie one, nasz świat by się nie odnawiał.

— Nie rozumiem.

— Oczywiście, że nie rozumiesz. Niszczą stare domostwa, żeby stworzyć miejsca dla nowych.

— Kim pan był wcześniej? — zapytał młodzik.

Nie mógł oderwać oczu od Lusi. Wyczuwała jego wzrok na sobie i ukradkiem zerkała, jakby chcąc się upewnić, że ciągle jest przy niej.

— Mogłeś o mnie nie słyszeć — odparł starzec. — Byłem generałem i dowodziłem dywizją pod Borodino, za co dostałem order. Nazywam się Kuchelbecker.

— Jak mogłem nie słyszeć! — ucieszył się chłopak, jakby spotkał starego znajomego. — Uczyłem się o panu w szkole. Był pan gimnazjalnym kolegą Puszkina…

— Naprawdę ktoś o mnie jeszcze pamięta? — zapytał staruszek. — Omal nie zginąłem na syberyjskich bezdrożach.

— Jak pan może tak mówić! — gorąco zaoponował Igor. — Jest pan naszym ulubionym bojownikiem o postęp.

Młodzik oczywiście trochę przesadzał, ale chciał zrobić Przyjemność starszemu człowiekowi, nawet jeśli ten nieco zbzikował na starość, skoro nosił sowieckie ordery.

— O czym tam szepczecie? — zagrzmiał imperator. — Ledwo przybyłeś, już spiskujesz?

— Nic podobnego, wasza wysokość, tylko się przedstawiłem temu młodzieńcowi.

— I co panu powiedział? Pamiętają pana? Stawiają pomniki?

— Niestety nie, wasza wysokość — odrzekł staruszek.

Miał sympatyczne, pozbawione makijażu oblicze, starcze i zmęczone. Przepełnione boleścią oczy mogłyby stanowić inspirację do stworzenia obrazu &KU WWVQDNJ*X

— Wznieśmy toast — zażądał car — za naszą nową przyjaciółkę, uroczą pannę Lusię! Za markizę Ludmiłę!

Władca zachichotał. Starzec skrzywił pomarszczoną twarz.

— Jeszcze tego brakowało — mruknął Igor.

— Dla mnie to też ohydne — powiedział Kuchelbecker.

— Nie możemy jednak powstrzymać lawiny.

— Trzeba uciekać — stwierdził chłopak.

Dworzanie wstawali i wyciągali w stronę władcy kieliszki i szklanki napełnione zwykłą wodą. Mignęła wśród nich brudna dłoń, która uniosła w paznokciach szprotkę i zaraz znikła.

— Nie ma stąd ucieczki — zapewnił były dekabrysta.

— Ziemia jest przecież wielka i okrągła — zaoponował Igor.

— Zabawny z ciebie chłopiec — odparł Kuchelbecker. — Nasz świat nie jest wcale taki prosty i prymitywny, jak ci się zdaje. A imperator nie jest zwykłą, nadętą kukłą.

Władca znowu zmusił wszystkich do powstania i spełnienia toastu na cześć zmarłej carowej.

Igor zwrócił uwagę, że za plecami biesiadników stoi mnóstwo ludzi. Byli to ci, dla których zabrakło miejsca przy stole. Na pewno mi zazdroszczą, pomyślał, i sądzą, że mi się poszczęściło, skoro znalazłem się tak blisko imperatora.

— Nie odchodź po skończonym obiedzie — rzekł starzec.

— Musimy porozmawiać.

— Dobrze. A co się stanie z Lusią?

— Będzie przetrawiać jadło — odpowiedział staruszek.

— Myślę, że otrzyma ładny pokoik z miękką pościelą i przydadzą jej dwóch strażników, żeby chronili ją od wszelkich niepokojów.

— Ale ona woli być ze mną.

— Sama nie wie, czego chce. Nie zapominaj, że jesteś dla niej tylko namiastką szczęścia i bezpieczeństwa. Jest niczym zerwany liść i jeśli znajdzie nową gałąź, której się będzie mogła uczepić, od razu ciebie porzuci.

— Nie narzucałem się jej — oświadczył chłopak.

Był zraniony słowami Kuchelbeckera. I mówi to dekabrysta, bojownik o wolność! Nie może pojąć, że trzeba obronić to dziecko.

— Tylko mi nie mów — krzywiąc się odparł starzec — że Lusia jest delikatnym stworzeniem, które należy chronić. To już mała kobietka, która prędko o tobie zapomni.

— Ma tylko dwanaście lat!

— Dwunastoletnie żony faraonów i tureckich sułtanów trzęsły dworami…

— Niech sama zdecyduje — sprzeciwił się Igor.

— Hej, Igorze — zawołał imperator — znajdziesz po obiedzie pół godzinki, żeby pogawędzić ze starym carem?

Chłopak zerknął na Kuchelbeckera, który skinął głową.

— Naturalnie — odpowiedział. — Naturalnie, wasza wysokość.

W owej chwili Dantes wstał i wzniósł toast za zdrowie imperatora.

— Przyjaźnił się pan z nim w tamtym życiu? — nieoczekiwanie dla siebie zapytał chłopak.

— Nie, byłem aresztowany i zesłany, zanim ten łajdak zjawił się w Petersburgu — odparł staruszek. — Zasłoniłbym własną piersią Aleksandra…

— Pewnie — przytaknął Igor.

— Lecz takie bywają realia: z szalonym tyranem, bezwolnym ludem i słabą inteligencją.

— Trzeba jednak coś robić.

— Masz rację! Znalazłem tutaj paru ciekawych ludzi. Nie jestem jednak pewien, czy nie są to jacyś samozwańczy oszuści. Jeden z nich twierdzi, że jest Rylejewem. Jest tutaj także hrabia Arakczejew. O, tam siedzi.

Hrabia Arakczejew okazał się wysokim, suchym dżentelmenem w milicyjnym uniformie z mnóstwem odznak weteranów na piersi.

— A nie ma tu Czapajewa? — zapytał młodzik.

— Ach, młody człowieku — odparł Kuchelbecker — jeszcze nie do końca zżyłeś się ż naszym światem, który rządzi się swoimi prawami, obyczajami i przyjemnościami. Walka z tyranami także do nich należy.

Kłamie, zorientował się Igor. Nie wiadomo jak, lecz zyskał taką pewność. Kłamie na swój temat i na temat spisku, a już na pewno na temat hrabiego Arakczejewa. Tylko na razie nie wiadomo, dlaczego.

— Nie lepiej byłoby panu wrócić? — zapytał. — Wrócić do domu?

Tamten zaśmiał się prawdziwie starczym śmiechem.

— Wątpliwe, czy znajdziesz tutaj kogoś, kto chciałby się rozstać z nieśmiertelnością.

— A cóż to za nieśmiertelność?

Znów wstali, ponieważ ktoś wzniósł kolejny toast i należało się trącić kielichami z wodą.

— Gotowa jestem zabić tę dziewczynkę! — zapiszczała kobieta siedząca naprzeciwko Igora.

Odziana była w barchanową sukienkę, trochę na nią za dużą, przez co kobieta przywodziła na myśl wieszak na ubrania. Rysy miała miękkie, rozmyte, niemożliwe do zapamiętania.

— Cierp w milczeniu — syknął hrabia Arakczejew. — Nie gadaj tak głośno. Ściany mają uszy.

— Jedzenie to tutaj rzadkość — zauważył Kuchelbecker. — Kiedy się najedzą, zyskują energię do spiskowania. Nigdzie nie ma równości, młody człowieku. Zawsze ktoś pije wodę, a ktoś próbuje paczuli.

— Co takiego?

— Nie znasz tego, bo w twoich czasach wyszło z mody.

Imperator spojrzał na starca i rozkazał gromko:

— Willi, zaprowadź dziewczynkę do pokoju numer dwa. Będziesz ją wyprowadzał na karmienie i spacery. Codziennie będę cię kontrolował.

Imperator wskazał tłustym łapskiem olbrzymią klepsydrę stojącą na półce nad jego głową. Igor

nie zauważył jej wcześniej.

— Rozkaz, Pawle Piotrowiczu — odpowiedział Kuchelbecker.

— Pójdę z nią także — zaproponował chłopak.

— Ach, nić, nie — sprzeciwił się władca. — Najpierw chcę z tobą trochę porozmawiać. Potrzebuję świeżego umysłu, więc muszę pogawędzić z człowiekiem, który dopiero co przybył z naszej historycznej ojczyzny.

Pochylił się z trudem i pocałował Lusię w policzek. Nie zdążyła się uchylić, potem jednak odskoczyła w bok, potrącając kielich, który rozprysnął się w drobny mak. Rozległy się oklaski. Mocno wymalowana niewiasta z fryzurą w kształcie cebuli zakrzyknęła z dalekiego krańca stołu:

— Zdrajco! Mnie przysięgałeś!

Utykając, pobiegła ku imperatorowi. W jej dłoni na pozór niegroźnie pobłyskiwał stołowy nóż. Imperator chichotał, podobnie jak jego goście. Kiedy dopadła do władcy, próbowała przekłuć jego kuloodporną kamizelkę.

— Łaskoczesz! — oświadczył wciąż chichoczący imperator. Reszta pokładała się ze śmiechu. Nieoczekiwanie kobieta obróciła się i zebrawszy resztki starganych sił, rzuciła się z nożem na Lusię. Dziewczynka nie spodziewała się ataku i jęknęła z bólu. Na szczęście wciąż miała na sobie kraciaste paletko, gdyż nikt nie kazał jej go zdjąć, nim zasiadła do obiadu. Materiał rozpruł się na boku, popłynęła krew. Cyklista stojący za władcą wepchnął się między niego a dziewczynkę i chwyciwszy szaloną za gardło, odepchnął ją do tyłu.

— Chrońcie markizę Ludmiłę! — krzyczał imperator. — Wszystkich pozabijam, jeśli spadnie jej choćby włos z głowy. Jej krew jest drogocenna, pragnę się napawać każdą kropelką!

Lusia chwiała się, przyciskając dłonie do rany, a spomiędzy palców wyciekała krew. Wyrwawszy się z rąk staruszka, który usiłował go powstrzymać, Igor podbiegł do dziewczynki.

— Igorku — załkała Lusia — za co to wszystko?

— Wszystko będzie dobrze, nic się strasznego nie stało.

— Czy ja umrę?

Dantes wyskoczył przed Igora.

— Tędy! — rozkazał. — Szybko!

Żwawo pobiegł przez hol. Tłumek ciekawskich rozbiegł się na wszystkie strony. Igor chwycił dziewczynkę na ręce i pobiegł w ślad za Dantesem. Zdołał zauważyć tablicę: „Pomoc medyczna”. Dantes pchnął drzwi i znaleźli się w niewielkim pokoiku, gdzie znajdowały się kozetka pokryta białym prześcieradłem, stół zawalony papierami i przeszklona szafka z instrumentami lekarskimi. Na podłodze rozłożona była kolejka elektryczna z maleńkim dworcem i kilkoma plastikowymi drzewkami, podobna do tej, jaką bawił się Igor. Człowiek w białym fartuchu i czapeczce z czerwonym krzyżem klęczał obok i podczepiał ostatni wagonik. Pociąg dotarł na stację, a wówczas bawiący się zaczął krzyczeć, zawiadamiając wyimaginowanych pasażerów, że skład przybył punktualnie. Lusia cicho płakała.

— Czym ty się zabawiasz, Freud! — zawołał od drzwi Dantes. — Bierz się do roboty! Masz pacjentkę! Ofiarę zamachu!

— Niech poczeka — odparł człowiek w fartuchu, nie podnosząc głowy. — Nic jej nie będzie.

— Idioto! — wrzasnął tamten. — To nowa wybranka imperatora!

— Doktorze, proszę — błagał Igor — naprawdę źle z nią!

Lekarz w końcu uniósł głowę. Był staruszkiem z siwą bródką, o wyłupiastych, niebieskich

oczach.

Rozwścieczony Dantes kopnął miniaturowy dworzec i całkiem go rozwalił. Skakał po domkach i wagonikach, rycząc:

— Słuchać rozkazu! Słuchać rozkazu!

— Nigdy panu tego nie wybaczę — oznajmił lekarz, odskakując w bok. — Otruję pana! Zniszczę!

Igor ułożył Lusię na kozetce.

— Zabierz ją stąd! — Lekarz miotał się między resztkami kolejki a kozetką. — Zabrudzi jedyne czyste prześcieradło! Gdzie znajdę inne?

— Przyniosę ci setkę nowych — oświadczył Dantes.

— A pan niech milczy! Pan już nie żyje. To nie przestraszyło Dantesa.

— Imperator zetnie pańską głowę sto razy wcześniej, zanim pan zdoła mnie otruć — stwierdził.

Doktor szarpnął za brzeg prześcieradła, starając sieje wyrwać spod Lusi.

— Nie! — krzyknęła dziewczynka. — To boli!

— Dziwne — zauważył lekarz, jakby budząc się na dźwięk jej głosu — niezwykle obfite krwawienie. Rozbierz się, mała. Zaraz cię zbadam.

Najwyraźniej skupiła na sobie całą jego uwagę.

— Nie mogę — odparła Lusia. — Za bardzo mnie boli.

— Więc jej pomóżcie!

Dantes zrobił nieśmiały krok w jej stronę…

— Pomóż, Igorku — powiedziała dziewczynka.

Chłopak podniósł ją i pomógł zdjąć płaszczyk. Pod spodem miała błękitną, kraciastą sukienkę, przesiąkniętą na boku od krwi.

— Więcej nie — powiedziała Lusia — lepiej sama to zrobię.

— Nie wstydź się.

— I tak się wstydzę.

Brewki dziewczynki uniosły się prawie do nasady włosów. Cierpiała, lecz czuła się niezręcznie.

— Nie ma tu pielęgniarki? — zapytał chłopak doktora.

— Niepotrzebne nam pielęgniarki, skoro wszyscy jesteśmy nieśmiertelni — oznajmił lekarz. — Dawno przybyliście do nas?

— Dzisiaj, pierwszego stycznia — przypomniał mu Dantes.

— Ach, mój Boże, całkiem zapomniałem. Jesteście zatem świeżutcy i wasza krew nie stała się jeszcze tą cieczą, która płynie w naszych żyłach. Sprawa jest więc poważniejsza, niż sądziłem. Twoja krew potrzebna jest jego wysokości, aby zachował formę. No cóż, postaram się zatamować krwawienie. Będzie miał czego się napić.

— Niech pan zakończy te głupie żarty, doktorze — rozzłościł się Dantes. — Są rzeczy, o których nie rozmawia się w przyzwoitym towarzystwie.

— Są też rzeczy, których się w przyzwoitym towarzystwie nie robi — odparł doktor.

W tym momencie zasłonił kozetkę białą zasłonką i, niewidzialny, kontynuował:

— Cierpisz trochę, dzieweczko, ale do wesela się zagoi. Nie przeszkadzaj mi! Jestem doktorem! Chyba byłaś chociaż raz w życiu u lekarza?

— Wreszcie się opamiętał — stwierdził z ulgą Dantes. — Całkiem był już zbzikowany.

— Niech pan zachowa swoje zdanie dla siebie — odgryzł się lekarz zza kotary. — W ogóle najlepiej będzie, jeśli opuścicie gabinet. Nie macie tu nic do roboty. Rana dziewczynki jest

powierzchowna, skóra tylko draśnięta, krwawienie ustało. Możecie przekazać swojemu krwiopijcy, że mała będzie żyć.

— Dobrze, chodźmy.

Dantes pociągnął Igora ku drzwiom, chłopak się nie opierał. Wyszli do poczekalni. Młodzik spodziewał się ujrzeć tłum, lecz wokół było pusto; ludzie tłoczyli się wciąż przy stole, więc najwidoczniej obiad trwał dalej. Mroczny cyklista zbliżył się, zasalutował Dantesowi i rzekł:

— Jego wysokość pragnie wiedzieć, czy jego wybranka przeżyje.

— Będzie żyć! — dziarsko zapewnił Dantes. — I cieszyć swoim życiem jego wysokość.

Cyklista okręcił się na pięcie i odszedł, ciężko stąpając.

Dantes pogładził w zamyśleniu falujące pasmo włosów opadające na ramię, potem silnie szarpnął kosmyk, zmarszczy1 się na twarzy i krzywo uśmiechnął.

— Czasem trzeba zadać ból samemu sobie, żeby upewnić się, że jeszcze żyjesz.

— Niech pan powie szczerze — poprosił chłopak — czego car chce naprawdę od Lusi?

— To tajemnica.

— Nikomu nie powiem, słowo honoru.

— I bez twoich zapewnień wiem, że nikomu nie powtórzysz — stwierdził Dantes. — Kto cię zechce wysłuchać? A ten sekret… to tajemnica Poliszynela. Wątpię, czy jest ktoś, kto go nie zna.

— Więc niech pan go zdradzi.

— Zapomniałem, jak się nazywa żyjący tam, na Ziemi, pewien gatunek osy, która paraliżuje swoje ofiary i składa w nich jaja. To jakby żywe konserwy. Z jaj wykluwają się małe osy i pożerają uśpioną ofiarę od środka, dopóki nie pozostanie z niej wysuszony odwłok. Straszne, prawda?

— Słyszałem o tym.

— A ja, kiedy usłyszałem o tym pierwszy raz, płakałem całą noc. Dzisiejsza młodzież ma znieczulicę.

Mężczyzna zamilkł, czekając na odpowiedź Igora. Chłopak nie zamierzał się z nim kłócić, gdyż myślał wciąż o Lusi. Ale ku czemu zmierzał tamten?

— Nie drżyj, młodzieńcze, nie zrozum mnie dosłownie. Nasz imperator wierzy w to, że jego długowieczność, rześkość i inne męskie możliwości zależą od jedzenia i miłości. Pojmujesz, jedzenia i miłości. Lubi wyszukane potrawy, a zapewniam cię, niełatwo zdobywać je w miejscu, gdzie nie rosną banany… Więcej nie pytaj. Odpowiem tylko na te pytania, na które będę chciał. Głównym pragnieniem naszego władcy jest związek z niewinną, nieskalaną, pełną życia dziewczynką. Jak zauważyłeś, takich się raczej u nas nie spotyka. Kimś takim jest właśnie twoja Lusia.

—Będzie ją gwałcić?

— W żadnym razie! Jakżeby Paweł Piotrowicz mógł się zdobyć na coś takiego? Jest romantykiem.

— Więc czego chce od niej? Wyssie z niej krew?

— Natychmiast przestań gadać takie świństwa, Igorze! Nasz drogi car Paweł pragnie prawdziwej miłości. Rozumiesz, chłopaczku? Może czynić wszystko, co zechce. Pierwszego stycznia jego agenci objeżdżają cały kraj i sprawdzają, czy burza nie wyrzuciła na nasz pustynny brzeg jakiejś nowej dziewicy.

— Lecz w końcu na co mu ona?

— Jesteś niecierpliwy. Skoro imperator zakochał się, będzie pragnął ją zdobyć. Lecz nie może tego uczynić, dopóki Lusia jest jeszcze dzieckiem. Musi zaczekać, aż skończy szesnaście,

siedemnaście… nie wiem, ile lat! Wtedy się z nią ożeni. Jak w normalnym świecie.

— A do tego czasu?

Kamień spadł chłopcu z serca, lecz pozostało wewnętrzne napięcie. W tym świecie żadna bajka nie kończy się chyba dobrze.

— Tymczasem będziemy paść naszą owieczkę.

— Przez cztery albo pięć lat?

— Jak długo będzie trzeba. Imperator jest zakochany.

— Musimy stąd uciekać — stwierdził Igor.

Wielmoża wzruszył ramionami.

— Jak dotąd nikomu się to nie udało — oznajmił.

Chłopak jednak nikomu już tutaj nie wierzył i postanowił to okazać.

— Skoro jest pan Dantesem — zapytał — to dlaczego pan nie umarł we Francji?

— Przyjechałem do swoich rodaków mieszkających w Rosji — wyjaśnił wielmoża. — Rodziny Gonczarowów. Ale teraz to już nie ma znaczenia.

Rozległ się jakiś hałas. Igor obejrzał się i ujrzał nadchodzącego powoli imperatora, podtrzymywanego pod łokcie przez dwóch milicjantów. Z tyłu tłoczyli się dworzanie i zwykli gapie. Car zagadał dobrodusznie:

— Tutaj jesteś, młody przyjacielu. Dobrze się czujesz, Igorze? Pamiętasz, że mieliśmy ze sobą pogawędzić po obiedzie Więcej mnie już nie opuszczaj. Gdzie dziewczynka?

Dantes, zgięty w pokłonie, otworzył drzwi.

— Nie wolno! — dał się słyszeć głos lekarza.

— Ach, Freudzie, mój miły eskapisto! — wesoło zawołał car. — Znowu żłopiesz brandy?

Imperator przepchnął się przez otwór drzwiowy, funkcjonariusze zostali przy wejściu. Zasłonił sobą wszystko w środku, lecz Igor słyszał rozmowę.

— Puszczaj do niej — rozkazał władca.

— Leży nieubrana. Opatruję ją.

— Jak słodko! Pozwól popatrzeć na jej ciałko!

— Tutaj ja jestem panem, imperatorze — sprzeciwił się doktor. — Raz już to ustaliliśmy. Chyba że chcesz mnie tutaj zastąpić, a wtedy ja zastąpię ciebie jako władca tych ziem.

— Za dużo sobie pozwalasz!

— Nie, po prostu wiem więcej niż inni i życie wielu ludzi jest w moich rękach.

— Daj spokój, Freud. Tylko na nią popatrzę.

Plecy imperatora przesunęły się do przodu, a za nim wcisnęli się milicjanci. Igor słyszał, jak trzaskają zadeptywane resztki kolejki żelaznej. Ruszył za tamtymi.

— Idźcie stąd! — zażądała Lusia.

— Jesteś carową tego świata — powiedział półgłosem imperator — który złożę u twoich stóp.

— Chce pan pić moją krew!

— Kto ci naopowiadał takich bzdur! Patrzę na linię twoich prześlicznych brwi, na twoje rozwijające się biodra, na sprężyste piersi…

— Imperatorze, nie należy denerwować chorych — zwrócił uwagę Freud zgrzytliwym głosem.

— Idę już, idę, chciałbym tylko, by markiza Ludmiła przyszła na egzekucję.

— Zabraniam.

— No już dobrze, dobrze, ty wiesz lepiej, stary konowale. Zabawimy się bez was. Idę.

Odpoczywaj, nabieraj sił, oszczędzaj swą rubinową krew, moja prześliczna. Poświęcę dla ciebie wszystkie godziny i czas zacznie toczyć się od początku.

— Niech pan już idzie. Proszę przysłać mi nową kolejkę, zamiast tej, którą zniszczył ten idiota Dantes — syknął Freud.

— Tak rozkażę! — ryknął imperator, kładąc dłonie na ramionach funkcjonariuszy.

— Naturalnie — powiedział Dantes — zaraz sam pójdę do sklepu po nową, lepszą kolejkę. Będzie pan nią woził karaluchy.

— Nie ma tu karaluchów! — zawołał doktor z wnętrza gabinetu. — Niczego nie przyjmę od Dantesa. Zabił Puszkina…

— Idź w cholerę ze swoim Puszkinem! — wrzasnął w odpowiedzi wielmoża. — Zabiłem też Marata!

Albo wszyscy powariowali, myślał Igor, albo udają wariatów. Pewnie dlatego, że nie mają nic lepszego do roboty. Przede wszystkim jednak coś ukrywają… Banany!

— Na plac, chodźmy na plac! — wołał, oddalając się, imperator. — Wszyscy na plac! Mamy dzisiaj święto: DXWRGD Ip

— Idziemy? — zapytał Dantes. — Zaraz zajmą najlepsze miejsca.

— To przecież inkwizycja…

— U nas bardziej surowa — oświadczył mężczyzna.

I odszedł. Igor próbował wejść do punktu medycznego, lecz drzwi były zamknięte. Zapukał.

— Niech pan otworzy! To ja, Igor. Jestem sam.

— Guzik mnie to obchodzi, że jesteś sam! — usłyszał głos doktora.

— Niech pan go wpuści — poprosiła Lusia.

Lekarz otworzył drzwi. Najpierw sprawdził, czy chłopak rzeczywiście jest sam, potem go wpuścił. Siwa, długa bródka upodabniała Freuda do baśniowego gnoma. Lusia leżała na kozetce, przykryta prześcieradłem po szyję.

— Młoda krew — powiedział doktor — prawdziwa, żywa krew. Ile czasu musi upłynąć, zanim stanie się zbiorem zbędnych chemikaliów!

— Boli cię? — spytał chłopak.

— Nie, teraz już nie. Tylko się wystraszyłam.

— No jasne. Tak nagle rzuciła się na ciebie…

— Nie przestraszyłam się tamtej — odparła — tylko grubasa. Nie masz pojęcia, jak na mnie patrzył. To straszny człowiek!

Brewki Lusi skakały, wargi się trzęsły.

— No, no — rzekł doktor — nie przesadzaj. Paweł Piotrowicz nie zrobi ci nic złego.

— Igorze, zabierz mnie stąd — poprosiła dziewczynka. Młodzik zdawał sobie sprawę, że nie ma jej dokąd zabrać.

Uciec? I ukryć się w uschłym lesie, w którym grasują widma? ślepy zaułek… Lepiej dowiedzieć się, jaka jest droga ucieczki z tego świata. Ktoś, kto ją zna, przebywa raczej tutaj, nie pomiędzy zjawami.

— Panie doktorze — zapytał Igor — a może by Lusia dłużej tu poleżała? W końcu jest ranna.

— Nie obawiaj się — odparł lekarz, uśmiechając się znacząco. — Rozumiem, o co ci chodzi. Jeszcze tutaj poleży, gdyż nie powinna wstawać.

— Mogę wstać — sprzeciwiła się Lusia.

— Nie słyszałaś, co powiedział doktor? — zapytał poważnie chłopak. — Powiedział, że masz leżeć. Zabiorę cię, gdy to będzie możliwe.

— Jeśli mnie zostawisz, on wypije ze mnie krew.

— Nie zostawię. —Przysięgnij!

— Słowo honoru. Teraz się uspokój i odpoczywaj.

Igor zwrócił się do lekarza, który stał obok, skrzyżowawszy ręce na piersi.

— Nie chcę zostać w tym świecie — oświadczył.

— Bardzo ci współczuję — odparł Freud.

— Więc nie można stąd uciec?

— Nieodwracalna jest tylko śmierć — odpowiedział — ale nie mogę ci pomóc.

Igor chciał przekonać doktora, że musi koniecznie stąd uciec. Choćby i bez Lusi, którą tu czeka zguba. Nagle poczuł się jak podczas rozmowy z Żorą. Tamten także tylko słuchał lub truł. Tylko czy ten doktor rzeczywiście cygani?

Drzwi otwarły się i stanął w nich Dantes.

— Tutaj jesteś! — wrzasnął. — Biegnij prędko, bo sam imperator pytał o ciebie. Zaraz zaczniemy DXWRGD Ip Oczekuje się także obecności markizy Ludmiły.

— Nie ma mowy — rzekł oschle doktor. — Ranna jest osłabiona, gdyż straciła dużo krwi. Musi obowiązkowo leżeć…

— Cha, cha, leżeć! — przedrzeźniał Dantes. — Ciekawe z kim?

— Idź już, chłopcze — doradził lekarz. — On się od ciebie nie odczepi.

Poszli szybko przez pusty, akustyczny hol, wyludniony, skoro wszyscy udali się na egzekucję.

— Wszyscy poszli na front — oznajmił Dantes, śmiejąc się nieprzyjemnie.

Igor nie zadawał pytań. To niemożliwe, żeby taki osobnik był rzeczywiście kiedyś kawalerzystą. Jeśli naprawdę zabił Puszkina, to chyba nie w pojedynku, tylko strzałem zza węgła, w plecy.

Na placu zebrali się wszyscy mieszkańcy dworca. Lecz jeśli w budynku zdawali się wielkim tłumem, na ogromnym placu stali się grupką pasażerów czekających na przystanku autobusowym.

W pobliżu parkingu samochodowego sterczał wysoki słup, pewnie bierwiono wyrwane ze ściany jakiejś chaty. U spodu ułożono wokół spory stos drewna, w większości składający się z siedzeń i nóżek od krzeseł, drągów i desek. Na nim stało całe krzesło, na którym zasiadała kobieta zamachowiec, ta sama, która chciała zabić imperatora i ciężko raniła Lusię. Ręce miała wykręcone do tyłu i przywiązane sznurem do słupa. Cebulasta fryzura rozsypała się i przeobraziła w nieporządne wronie gniazdo. Niewiasta kichała i pociągała nosem, którego nie mogła wytrzeć. W pobliżu stał opancerzony transporter, którego Igor wcześniej nie zauważył. Na dachu zasiadał w fotelu imperator z dwoma funkcjonariuszami u boku.

Kiedy Igor wyszedł na plac, długi, przygarbiony mężczyzna w bajkowym chałacie i rudej peruce klauna kończył czytać wyrok:

— …I dlatego markiza de Pompadour będzie palona żywym ogniem, aż do ustania wszelkich oznak życia. Popioły jej będą rozsiane na wietrze, a imię wymazane ze wszystkich kronik i podręczników historii. Pani markizo, czy pragnie pani wyrzec ostatnie słowo przed tym szacownym zgromadzeniem, zanim rozpocznie się publiczna kaźń?

Kobieta wydawała się bardzo zmęczona. Jej głowa zwisała bezsilnie, a ze zburzonej fryzury wysuwały się jakieś strzępki, jakby końcówki przewodów.

— Proszę mówić, markizo! — naciskał sędzia.

Markiza zdołała unieść głowę. Ukazało się straszne oblicze z rozmazanym makijażem, szczególnie wokół oczu. Spojrzała na niewielką grupkę widzów. Próbowała coś powiedzieć, lecz jej się nie udało, więc splunęła na jezdnię.

— Stos zapłonie? — dopytywał się głośno imperator.

— Powinien się rozpalić — odpowiedział czarnobrody, łysy osobnik w czerwonej marynarce, w którym Igor domyślił się kata.

— Więc zaczynaj.

— A komunia?

— Nieboszczka była ateistką — zapewnił władca. — Byłem z nią kiedyś blisko, to wiem.

Zdjął koronę i przetarł czoło koronkową chusteczką.

Kat podniósł z ziemi drąg, na końcu którego namotana była ciemna szmata. Znajdujący się w pobliżu Dantes wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i sprawił, że zapłonęła maleńkim, bladym płomykiem. Igor zaczął podejrzewać, że oszukano go także w tej sprawie — przecież twierdzili, że nie ma tutaj benzyny i z tego powodu samochody nie jeżdżą. Zresztą, mógł się tego domyślić od samego początku, kiedy zobaczył balon. Najprawdopodobniej napełniony był gorącym powietrzem, może nawet wodorem albo helem?

Dantes przytknął płomień do szmatki i pochodnia zapłonęła. W tłumie rozległo się westchnienie, wydobywające się z ocznych piersi.

— No, no — krzyknął na gapiów imperator — nie będę tolerował współczucia. Ona by nas nie żałowała. A może ktoś jest gotów zająć jej miejsce i uratować markizę?

Nikt się nie ośmielił.

— Zaczynać! — rozkazał władca.

Kat skierował pochodnię do stosu i zaczął ją podtykać w różnych miejscach, również pod krzesło, na którym siedziała kobieta. Wreszcie drewno zajęło się ogniem, początkowo paląc się dość wątło, później jednak płomienie buchnęły wyżej, prawie bez dymu.

Kiedy uwaga wszystkich obecnych zajęta była przygotowaniami do kaźni, Igor, odwróciwszy się z odrazą, spostrzegł starego jak świat dziadka, przypominającego rozchwiane muzealne krzesło, które trzyma się jeszcze tylko dlatego, że zawieszono na nim tabliczkę: „Nie dotykać!”. Ciało jakby zanikało, być może z powodu długiego życia w prawdziwym świecie, a może z racji niekończącego się egzystowania bez czasu. Właściwie to prawie nie miał ciała. Okrągły, żółtawy czerep wydawał się kruchy jak skorupka gęsiego jaja. Pod taką kopułą widniały wyblakłe oczy, między nimi zaś sterczał nos, tak mocno obciągnięty cienką skórą, że zdawało się, iż za chwilę się rozpadnie. Idąc, staruszek z lekka utykał na prawą nogę, lecz jego ciało prawie już nic nie ważyło, gdyż inaczej chudziutkie, wystające z szortów nóżki nie byłyby w stanie unieść nawet niewielkiego ciężaru. Przyglądając się mu, chłopiec pomyślał, że takie truchła nie powinny przypełzać na egzekucję. Być może sto lat temu był przyjacielem markizy de Pompadour i teraz przeżywa jej śmierć.

Staruszek przeciskał się między widzami, żeby znaleźć się jak najbliżej ognia. Gapie rozstępowali się przed nim ze współczuciem lub z obrzydzeniem. Większość zwierząt zagryza przecież sztuki bliskie padnięcia. Być może się go bali. Rzecz jasna, nie jego samego, lecz przysadzistego pielęgniarza w białej kurtce z czerwonym krzyżem, który szedł w trop za dziadygą, opiekował się nim i nie dawał upaść od podmuchów wiatru. Podchodząc dostatecznie blisko do teatru kaźni, staruszek prędko odwrócił się do swego towarzysza. Tamten schylił się nisko, a dziadunio usiadł mu na barkach. Nikogo to nie zdziwiło. Wszyscy najwyraźniej znali wiekowego

jegomościa i tylko dla Igora było on osobliwością.

Markiza spokojnie, z apatią obserwowała zabiegi kata. Nagle jednak zakrzyczała:

— No co ty, zwariowałeś?! To boli!

Szarpała się, starając wyswobodzić z więzów. Gałęzie i drewienka zaczęły potrzaskiwać. Ludzie na placu także zaczęli szemrać, nie wiadomo: uradowani krzykami kobiety czy też oburzeni tym, co się dzieje.

— Aaa! — krzyczała przeraźliwie kobieta.

— Tak nie wolno! — zawołał Igor.

Jeszcze przed chwilą uważał, że tutejsze sprawy go nie dotyczą, jakby oglądał film. Teraz jednak pobiegł w stronę stosu. Ogień wznosił się coraz wyżej; płomienie ogarniały kobietę, która nie przestawała krzyczeć i miotać się. Dantes rzucił się w pogoń za młodzieńcem. Uwaga widzów skupiła się w tej chwili na owym pościgu. Imperator wrzeszczał:

— Huzia na tego łajdaka!

Tymczasem kat w czerwonej marynarce bez przerwy podsycał ogień za pomocą łuczywa, dbając o to, by się lepiej paliło. Usłyszawszy, że coś się dzieje, odwrócił się i zdążył zagrodzić chłopakowi drogę pochodnią. Igor wpadł prosto na ogień, nie poczuł oparzenia, lecz w tej chwili dopadł go prześladowca i przewrócił na ziemię. Okładał chłopaka pięściami, a ten bronił się jak mógł, lecz jego przeciwnik był dwa razy większy i silniejszy. Kobieta na stosie już nie krzyczała, tylko cicho płakała, a trzask płonącego drewna zagłuszał jej przerywany szloch. Więcej Igor niczego nie pamiętał…

Nigdy dotąd nie stracił przytomności i sądził, że zdarza się to tylko romantycznym panienkom i ludziom ogólnie słabowitym. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że zemdlał.

Leżał na asfalcie, pod głową miał zrolowaną szmatę. Nad nim pochylała się biała bródka doktora Freuda. W nosie kręciło od zapachu amoniaku.

— Spokojnie — powiedział doktor. — Wszystko w porządku, tylko nerwy odmówiły ci posłuszeństwa. Jesteś tu pierwszy dzień, a ten dzień jest dla ciebie niezwykły, ale i trudny.

Chłopak próbował wstać, gdy jednak usiadł, zaraz zakręciło mu się w głowie.

— Poleż jeszcze trochę — doradził lekarz.

W tej chwili młodzik zdał sobie sprawę, jak się zbłaźnił. Uświadomił sobie, dlaczego znajduje się na placu. Leżąc, uniósł głowę. Kilka kroków od niego znajdował się osmalony słup. To, co było do niego przywiązane, nie przypominało już człowieka; pozostał tylko sczerniały szczątek… Chłopak poczuł zapach spalonego drewna zmieszany z ohydną wonią przypieczonego mięsa.

— Niedobrze mi — powiedział. — Chcę stąd odejść.

Doktor pomógł mu wstać. Niedaleko, na całkiem opustoszałym placu, stał stary Kuchelbecker. Bez słowa zbliżył się do nich, popatrując to na Igora, to na resztki stosu. Chłopak z trudem wlókł się za doktorem. Kiedy mijali dekabrystę, ten mruknął do lekarza:

— Przecież ją kochałem.

— Bzdura! — odparł doktor. — Nigdy jej pan nie kochał. Pan nie potrafi kochać.

— Strasznie się mylisz, doktorze — powiedział tamten z goryczą. — Nie miałem do niej szczęścia: ona zawsze podkreślała, że jest markizą…

— Taka z niej była markiza, jak ze mnie chiński cesarz.

Kuchelbecker szedł w milczeniu obok Igora, nie próbując mu pomóc. Chłopak całym ciężarem wspierał się na ramieniu malutkiego doktora, który aż się pod nim uginał. Młodzik mimowolnie

obejrzał się w stronę stosu.

— Czego chcesz, chłopcze? — zapytał stary.

Był wysoki, suchy i zapewne łamliwy jak chochoł. Gdybyś nacisnął jak trzeba rękę, trzasnęłaby i ułamała się niczym uschła gałąź.

— Pan wie, czego — odparł chłopiec. — Chcę stąd uciec.

— To bardzo trudne. Prawie niemożliwe.

Zaskoczony młodzieniec zatrzymał się gwałtownie, niemal przewracając doktora. Do tej pory wszyscy wmawiali mu, że nie istnieje żadna droga ucieczki, a teraz usłyszał, że jedynie trudno stąd odejść.

— Więc jednak jest to możliwe? Mimo wszystko?

Igor prawie puścił ramię doktora i zrobił krok w stronę starca.

— Nie czas i nie miejsce, aby o tym rozmawiać — odparł tamten.

Nie zdążyli dotrzeć do punktu medycznego, gdyż przy wejściu na dworzec czekał na nich cyklista.

— Młody człowiek jest oczekiwany u imperatora — oznajmił.

— Nie, nie! — sprzeciwił się doktor. — On jest chory, powinien odpocząć.

— Rozkazano doprowadzić!

— Pozwól, niech idzie — podsunął Kuchelbecker. — Pójdę z nim.

— Jak tylko będziesz wolny — powiedział lekarz — przyjdź zaraz do mnie.

— A dokąd, jak nie do pana — odrzekł z uśmiechem chłopak. — Przecież tam jest Lusia.

Imperator przywitał młodzieńca złośliwym chichotem. Zasiadał w komisariacie na tronie wśród zwałów kobierców. Nad jego głową paliła się lampa naftowa.

— Popadł w omdlenie! — zaśmiewał się. — Nie widziałeś wcześniej baby palonej na stosie?

Igor milczał. Pytanie było czysto retoryczne, bo przecież car wiedział, że chłopak nie mógł tego nigdy oglądać na żywo.

— Chcę porozmawiać z tobą o tym, co mnie interesuje — rzekł władca. — Mam trochę wolnego czasu.

Chłopak czuł się coraz gorzej, jakby miał początki grypy: głowa mu płonęła, w gardle drapało.

— Pozwól mu usiąść — poprosił starzec — chłopiec jest zmęczony.

— Niech znosi to jak mężczyzna — sprzeciwił się imperator.

W końcu jednak się zlitował i zezwolił mu przysiąść na dywanie. Igor opadł na szczyt miękkiej pryzmy. Zauważył, że gdy imperator porusza głową, na jego łysinie tańczy mnóstwo odblasków lamp.

— Odejdź — rozkazał władca Dantesowi, który prędko zniknął za drzwiami.

Nastąpiła teraz krótka chwila milczenia. Przez około minutę władca przypatrywał się chłopcu; wreszcie zapytał:

— Jakie sporty uprawiasz?

— Lekkoatletykę, ale nieregularnie. W dzieciństwie chodziłem na kursy tenisa, ale mi nie szło.

— Trzeba się starać — rzekł imperator. — A w ogóle, jaka jest teraz w Moskwie sytuacja?

— Sytuacja?

— Polityczna.

— Ciekawie jest. Otwiera się dużo nowych sklepów…

— A przestępczość wzrasta?

— Wzrasta. Ściąganie haraczów. Mafijne porachunki.

Imperator pokiwał głową ze współczuciem.

— U nas tego nie ma — oświadczył. — Mamy tu porządek.

Wziął ze stołu kiść bananów, oderwał jeden dla siebie, drugi rzucił chłopcu.

— U nas prawo stanowią ludzie! — wyrwało się Igorowi.

Car odpowiedział z uśmiechem:

— Czasami należy być surowym. Ale co robić, skoro tutejsi uważają się za nieśmiertelnych, chociaż w zasadzie nieśmiertelność jako taka nie istnieje. Przedłużenie życia, zgodnie z prawem natury, odbywa się kosztem różnych innych funkcji.

Nie wiedzieć czemu, imperator wskazał w tym momencie na Kuchelbeckera. Zaczekał, aż chłopak obierze banan ze skórki, i znowu zapytał:

— I co jeszcze? Opowiadaj jak najwięcej. Na przykład o swojej rodzinie.

— Rodzina jak rodzina.

— Masz ojca? —Tak.

— Dlaczego nie chciałeś z nimi zostać?

— Popadłem w konflikt.

— Dobrze, nie mów, jak nie chcesz. Właściwie niezbyt mnie interesują wasze rodzinne kłótnie. A jaka jest rodzina Ludmiły? Nieodpowiednia?

— Nie wiem. Nie byłem u niej.

— Ale na pewno ci coś opowiadała.

Igor był już pewien, że mężczyzna tylko udaje cara Pawła i na dodatek nieudolnie. Mówi przecież współczesnym językiem. Grają tutaj w dziwaczne gry, ponieważ boją się utraty władzy. Tylko na co komu władać tym oślizgłym bagnem?

— Słyszałeś pytanie, Igorze?

— Mieszka z matką — odparł chłopak. — Ojciec odszedł. Matka i jej nowy mąż, czy kim tam jest dla niej, piją oboje. Biją ją. Dlatego od nich uciekła.

— Wszystko jasne. Nieodpowiednia rodzina — powtórzył imperator, wzdychając. — Dobrze, że tutaj trafiła. Będziemy się o nią troszczyć.

— Teraz chce wracać.

— Do czego? — spytał władca.

Wydobył długą, kościaną rączkę z zagiętymi palcami i zaczął nią drapać się po plecach pod kamizelką.

— Nigdy jej nie zdejmuję — poinformował Igora — bo nikomu nie wierzę.

— Niech pan lepiej rzuci to wszystko — zaproponował chłopak.

Niechętny śmieszek zabulgotał przez chwilę w gardle władcy. Potem imperator odparł poważnie:

— Kiepsko z nami, bo nikt tutaj się nie starzeje. Może powiesz, że to wspaniałe. Ale dziecko nie może dorosnąć, a kwiatowy pączek rozwinąć płatków. Rozumiesz?

— Tak.

— Muszę ci się przyznać — podjął imperator — że pokochałem twoją przyjaciółeczkę Ludmiłę. Pokochałem jej świetlistą delikatność. Lecz owo pożądanie przeciwstawia się mej uczciwości. To jest… Jak by to określić? Niech mi pan podpowie, kanclerzu — zwrócił się do Kuchelbeckera.

— To jest nieprzyzwoite — znalazł natychmiast właściwe słowo tamten.

— No właśnie. Ziarno powinno pęknąć, aby kwiatuszek skojarzył się ze mną, czyli z pszczółką, która przyleci wypić nektar. Jestem jednak cierpliwy, ponieważ czas nie istnieje. Dla ciebie minie tutaj pięć lat, a dla mnie jeden nieskończony rok.

—Jak to?

— Nie wolno o nic pytać — uciął imperator. — Mogą być życzenia.

— Pora nam wracać do domu — stwierdził Igor, jakby nie było wcześniejszej rozmowy.

— Ależ jesteś uparty — zauważył z uśmieszkiem władca.

— Sam pan mówił, że ziarna tutaj nie rozkwitają.

— Każda reguła ma wyjątek — przypomniał Kuchelbecker.

— Otóż właśnie — zgodził się z nim imperator. — Bywałeś w Woroneżu?

— Nie, a bo co?

— Tam pewnie teraz wszędzie leżą zaspy, wyje zamieć, ale jeśli zajrzysz do któregoś z jasnych, ciepłych okien, zobaczysz ustrojoną choinkę i stół z jadłem oraz napitkiem…

— Na oknach mróz wymalował kwiaty — zwrócił uwagę starzec. — Nie da się zajrzeć do środka.

— Znowu pomieszałeś mi szyki! — zagniewał się imperator. — Precz stąd! Dość tego!

— Pójdę sobie — warknął Kuchelbecker — ale lepiej nie narażaj się weteranom. Wynieśliśmy cię na tron, więc możemy obalić.

—Won!!!

Igor podniósł się i udał w stronę drzwi. Usłyszał za plecami, jak staruszek pyta już zwyczajnym głosem:

— Wkrótce przyjdzie dostawa zaopatrzeniowa. Zamówić arbuzy?

— Już nie. Ostatnie były nieświeże. Zamów lepiej wielką dynię — polecił władca.

Chłopak opuścił zasłaną dywanami komnatę. Przed drzwiami siedział w kucki drzemiący gwardzista, który nie zauważył Igora. Młodzieniec doszedł bez przeszkód do punktu medycznego. Doktor pełzał po podłodze i próbował zrekonstruować zniszczoną kolejkę.

— Jak się czuje Lusia? — zapytał Igor.

— Odpoczywa — oznajmił lekarz. — A jeśli ty także źle się czujesz, możesz lec na podłodze.

Igor zajrzał za zasłonkę. Lusia leżała spokojnie z zamkniętymi oczami. Rzeczywiście była śliczną dziewczynką. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważył? Pewnie dlatego, że była jeszcze mała. Dopiero teraz, kiedy zakochał się w niej imperator, młodzik zrozumiał, że naprawdę jest piękna. Zrobiło mu się od tego jeszcze ciężej. Tym bardziej brak jakiejkolwiek gwarancji, że władca będzie czekał, aż dziewczynka podrośnie. Widać po nim, że to kłamca. W głowie Igora zaświeciła przerażająca myśl.

— Przepraszam, nie znam pańskiego imienia — zwrócił się grzecznie do doktora.

— Leonid Moisiejewicz — odpowiedział prędko lekarz.

Potwierdził tym samym podejrzenie Igora: żaden z niego Freud.

— Leonidzie Moisiejewiczu, coś zacząłem podejrzewać, tylko niech pan nikomu o tym nie mówi…

— Nie powiem.

— Czy wasz imperator nie jest czasem wampirem?

— Jest wampirem — potwierdził spokojnie lekarz. — Ale nie jest szczególnym amatorem ludzkiej krwi. Przypuszczam, że nie bardzo mu smakuje, jest jednak przekonany, że tylko tym sposobem zdoła zachować swoją siłę i energię.

— Ale to przecież nonsens!

— Jak pobędziesz tu dłużej — odparł doktor z uśmiechem — to też zaczniesz wierzyć w… diabli

wiedzą co.

— Więc właściwie nie kocha Lusi?

— A powiedział, że kocha?

— Powiedział, że chciałby, żeby skończyła przy nim siedemnaście lat i sama zrozumiała, jaki jest wspaniały.

— Zabawne — stwierdził lekarz. — Masz może jakieś pojęcie o kolejce elektrycznej?

— Niestety, moją wyrzuciliśmy siedem lat temu.

— Szkoda.

— Więc pragnie wyssać jej krew?

Igor drgnął z obrzydzenia.

— Nie wyobrażaj sobie czegoś w stylu horrorów — odrzekł doktor. — Jesteśmy cywilizowanymi osobami.

— Nawet wtedy, kiedy palicie kobietę na stosie?

— To była przestępczyni.

Doktor przesunął palcem po zasłonce. W stężałej nagle ciszy Lusia mruknęła coś przez sen.

— Od dawna pan jest tutaj? — spytał chłopak.

— Od dawna — potwierdził. — Znalazłem się tu jeszcze przed wojną.

Leonid poprawił nieco zwichrowaną bródkę, rozłożył ją wachlarzem na piersi, wstał z kolan i odpowiedział poważnie, jak gdyby czytając w myślach Igora:

— Trafiłem tutaj w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, kiedy jeszcze nikomu nawet nie marzyły się takie zabawki. Potem zobaczyłem jedną, w sklepie „Dziecięcy Świat". I kupiłem ten swój mały światek. Lecz w ostatnich latach gdzieś przepadły wagoniki. Widocznie nie dotarły do tego sklepu. Trzeba pojechać po nie do Lipska.

— Dokąd?

— Miasto Lipsk w Niemczech. Tam właśnie je produkują. Podobno jest tam specjalny sklep firmowy, jak nie na ulicy Karola Marksa, to na placu Dymitrowa.

— A tutaj także są Niemcy?

— Ziemia jest wielka. Jest tutaj nawet Australia, tylko nie jestem pewien, czy zasiedlona. Chociaż, dlaczego miałoby nikogo tam nie być? Przecież nieszczęśliwych i zaszczutych ludzi1 pełno jest na całym świecie. Niestety, prawie nie mamy kontaktów z innymi krajami z powodu kaprysów natury. Nie możemy używać tutaj aut ani samolotów. Niektórzy próbowali podróżować balonem. Problem jednak polega na tym, że ludzie, którzy żyją tu wiele lat, zmieniają się. Ich krew zmienia konsystencję i osiąga zaledwie temperaturę sześciu stopni. Przestajemy być ciepłokrwistymi ssakami, za jakie nas można wziąć na pierwszy rzut oka. Dotknij mojej ręki. Czujesz, jaka zimna? To nie jest kwestia wieku. Nie bez powodu żółwie i krokodyle są długowieczne. My także żyjemy w nieskończoność, ponieważ temperatura otoczenia jest stała. Zrozumiałeś?

— To samo stanie się ze mną?

— Naturalnie. I nie pomoże ci nawet młodzieńcza krew. Jego oczy błysnęły złowieszczo. Chociaż właściwie nie każdemu jest dane odróżnić radosny błysk od złowrogiego.

— Nie chcę być taki — stwierdził Igor proszącym głosem grzecznego chłopczyka.

— To koszmar — przytaknął doktor. — Lecz znacznie trudniej było opanować strach, który ogarnął mnie w noc noworoczną, kiedy przyszli po mnie, doktora medycyny, profesora Rubinsteina. Gotów byłem na wszystko, byle tego uniknąć.

Doktor skrzywił się smutno i poszedł zajrzeć za zasłonkę, by sprawdzić, jak czuje się Lusia. Wrócił po minucie.

— Wszystko w porządku — powiedział z uśmiechem. Miał opuchłe policzki, poznaczone niebieskimi żyłkami.

— Możecie uruchomić balon i lecieć nim do Lipska, jeśli takie miasto tutaj istnieje. Główny problem polega na tym, że za Mińskiem zaczyna się błotnista pustka. Nikt stamtąd jeszcze nie wrócił. Powiadają, że w tych błotach mieszkają straszliwe stwory, które pożerają podróżników. Wydaje się to bzdura a jednak wierzę w to, skoro nie mam wyboru.

— Dobrze — odpowiedział Igor — polecę balonem i przejdę przez te błota. Jestem gotów na wszystko, bo najgorsze dla mnie byłoby pozostać tutaj.

— Każdy jest kowalem własnego losu. Dla twojej koleżanki także nie jest odpowiednie miejsce.

— Wszystko słyszę — wtrąciła się Lusia zza zasłonki. — Niech pan odsłoni, bo chcę was widzieć.

— Odpoczywaj — powiedział doktor.

Chuda rączka dziewczynki szarpnęła zasłonką i przesunęła ją na bok. Lusia siedziała na kozetce. Na ramionach miała płaszczyk, pierś i brzuszek były starannie obandażowane.

— Ojej! — zawołał Leonid Moisiejewicz. — Do grobu mnie wpędzisz! Jak można, moja droga, w takim stanie skakać po łóżku? Jeszcze centymetr w bok, a zginęłabyś ostatecznie.

Współczuł dziewczynce i troszczył się o nią, ale do Igora odnosił się obojętnie. Było to nieco obraźliwe, aczkolwiek chłopakowi niepotrzebna była do niczego sympatia ze strony doktora. Wydawało mu się dotychczas, mylnie, jak się okazało, że tylko on jeden chce uciekać, pozostali zaś zwyczajnie tutaj bytują. Dlatego należało posługiwać się sprytem, skoro nikomu tutaj nie można było wierzyć. Musiała istnieć jakaś droga ucieczki, ponieważ każdy pokój, który ma wejście, ma również wyjście. Powiedział o tym lekarzowi, podczas gdy tamten układał z powrotem dziewczynkę na kozetce, pozostawiając jednak odsuniętą zasłonkę.

— Głupstwa — stwierdził doktor. — Wielu przeszło przez bramę śmierci, a nikt jeszcze nie wrócił. Uznaj siebie za umarłego.

— A gdzie się podziewa w takim razie mój dziadek albo nasz sąsiad z daczy, pułkownik Siemionów? — pytał Igor. Pytania były naiwne, zadane bez zastanowienia. — Gdyby to rzeczywiście były zaświaty, to trochę mało w nich ludzi.

— A jeśli to tylko maleńka cząstka tego świata?

— Nie! — wtrąciła się Lusia. — Myli się pan. To niemożliwe, żeby ludzie umierali tylko w noc noworoczną.

— To jest argument! — przytaknął lekarz. — Tysiąc razy lepszy niż hipoteza Igora. Lecz mogę zakwestionować: to są specjalne zaświaty dla tych, którzy umarli w Nowy Rok. A wszyscy, którzy umarli, powiedzmy, drugiego stycznia, może zamieszkują świat równoległy? Nie, tylko żartuję. Zdaję się na logikę naszej małej pacjentki.

— A skoro o logice mowa — ostrożnie zaczął chłopiec — może zna pan prawdę?

— Prawdę! Znają tutaj… parę osób.

Tak, pomyślał z satysfakcją Igor. Zwyciężymy. Nareszcie się przyznał. Jego myśli biegły prędko i jasno, jak na egzaminie. Niezwłocznie zapytał:

— Dni tutaj także nie płyną. Chciałby pan, żebyśmy byli tu jedynymi dziećmi?

— Oj, dzieci, dzieci — rzekł z westchnieniem doktor. Odwinął połę fartucha i wydobył z

kieszeni spodni chusteczkę do nosa. — Serce mi się przez was kraje.

Wytarł nos, przygładził rzadkie, białe włosy, lecz nie chował chusteczki, jakby czekając na płynące z oczu łzy. Skoro nie popłynęły, schował ją jednak.

— Więc musimy gnić tutaj? — zapytała Lusia.

— Nie — odparł lekarz. — Nie jesteście tutaj jedyni. O ile wiem, na niektórych posterunkach znajduje się młodzież, są nawet dzieci, lecz bardzo mało. Nie słyszeliście pewnie o naszym Makarence, który chciał zorganizować szkołę, żeby dzieci nie pozostawały bez opieki. Stukał do wszystkich drzwi, nawet o mały włos nie przekonał do tego imperatora. W końcu okazało się, że nikt nie jest przeciwny, ale także nikt nie poparł nauczyciela.

— Słyszałem — oświadczył Igor. — Makarenko napisał książkę o bezdomnej młodzieży.

— Otóż to, za moich czasów był bardzo popularny. Kierował kolonią imienia Dzierżyńskiego. Czekiści zawsze kochali dzieci. Tatę i mamę zabili, ale dzieci kochali… chyba że je także sprzątnęli. Nawet nie wiecie, jak trudne i ryzykowne jest życie na wysuniętych daleko posterunkach. Bandyci, upiory, robactwo…

Doktor zamilkł.

— Leonidzie Moisiejewiczu — odezwał się chłopak błagalnie — niech nam pan w końcu powie, dokąd mamy pójść. Kto zna całą prawdę?

Dziewczynka rozpłakała się. Zapewne nie zrobiła tego zmyślnie, lecz ten cichy płacz był jak ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Doktor od dawna chciał podzielić się z nimi swoją wiedzą, tylko się bał. Przyczyny lęku stały się oczywiste, kiedy cichym krokiem zbliżył się do drzwi, otworzył je szybko i wyjrzał czujnie.

— Ściany mają uszy — oświadczył szeptem, wracając. — Mam nadzieję, że jesteście dostatecznie dorośli i nie wypaplacie nikomu tego, co za chwilę wam powiem.

Dzieci wstrzymały oddech, by nie spłoszyć doktora.

— Istnieje droga do normalnego świata — ciągnął lekarz.

— Jestem tego pewien. Skąd by się inaczej brały towary… od was?

— Banany! — przypomniał sobie Igor.

— Banany także — przytaknął malutki doktor. — Ażeby trafiły na stół imperatora, ktoś musi sięgnąć ręką do waszego świata, naturalnie nie pustą. Przypuszczam, że te sekretne działania prowadzi mój stary przyjaciel, Willi Kuchelbecker.

— Wie o wszystkim i milczy? — oburzyła się dziewczynka.

— Za nic ma innych?

— Potęga przywódców polega na tym — zauważył lekarz

— że wiedzą o tym, co nie jest wiadome prostemu ludowi. Gdyby owa dziura, brama, czy też tunel funkcjonował oficjalnie, sporo ludzi by stąd uciekło. Rezultat byłby opłakany.

— On powróci — stwierdziła Lusia, wskazując na doktora — i dowie się, że wszyscy jego bliscy dawno zmarli ze starości.

— Niestety, masz rację — zgodził się z nią. — W skrajnym przypadku moja córka jest obecnie starsza ode mnie. Często o tym myślę: na Ziemi minął kolejny Nowy Rok, ja zaś ciągle mam sześćdziesiąt cztery lata.

— A jak pan oblicza lata? — zaciekawiła się dziewczynka.

— Na każdy Nowy Rok — wyjaśnił Leonid Moisiejewicz — zjawiają się jacyś nowi, tak jak wy. Stąd wiem, że mojej Oleńce stuknęła już osiemdziesiątka. Wyobraźcie to sobie!

Igor potrząsnął głową, usiłując skupić się na tym, co istotne.

— Niech pan nam więcej powie o Kuchelbeckerze — poprosił.

Lekarz uniósł dłoń w sprzeciwie.

— Lecz najważniejszą przyczyną, dla której nie możemy powrócić, jest to, że jeśli spędziłeś tu dużo czasu i twoja krew zamieniła się w ledwo ciepłą ciecz, nie zdołasz już żyć na Ziemi. Jesteś skazany…

— Skąd pan o tym wie? — zapytał Igor, łapiąc doktora za słówko.

— Wszyscy to wiedzą.

— A jeśli to tylko wymysł pewnego imperatora, żebyście się nie pchali do wyjścia?

— Niestety, to już było wiadomo, zanim nastał imperator. Sam poczyniłem pewne doświadczenia… Struktura krwi ulega zmianie.

— I co z tego? — zapytała Lusia.

— Organizm traci odporność. Prędko byście tam umarli.

— Ale przecież mam ciągle normalną krew? — spytała z przestrachem dziewczynka.

— Jesteście tu tylko jeden dzień — odparł doktor z uśmiechem — za wcześnie, by się przemienić.

— Mimo wszystko musimy się spieszyć — stwierdził Igor. — Trzeba uciekać stąd jak najszybciej. Porozmawiam z Kuchelbeckerem. Był rewolucjonistą i dekabrystą, powinien mnie zrozumieć.

— Weź mnie ze sobą — poprosiła Lusia.

— To niemożliwe — odparł młodzik. — Jesteś przecież ranna.

— Prawie już wyzdrowiałam.

— Nie! — niemal krzyknął lekarz. — Zgubisz tę dziecinę! Mało jeszcze, że i tak będą wam grozić nieprzyjemności?

— Gdzie go znajdę?

— Kuchelbeckera? Być może jest przy władcy, gdyż mają wiele wspólnych spraw, albo jest u siebie. Znajdź gabinet naczelnika stacji. Zapytaj po drodze kogoś, czy nie wie, gdzie obecnie przebywa pan Willi. Lubi sam siebie tak nazywać i życzy sobie, by tak się do niego zwracano.

— Zaraz wracam — powiedział chłopak do dziewczynki. — Zaczekaj na mnie i nie bój się.

— Nikomu jej nie oddam — zapewnił doktor — choćby to był nawet sam imperator.

Igor zamknął drzwi za sobą i pomyślał, że tłusty imperator rozsiewa jednak strach wokół siebie, lecz lepiej teraz nie zastanawiać się nad tym. Lepiej przemyśleć, jak przekona Kuchelbeckera, żeby wypuścił stąd Igora i Lusię. Nie wiedział, jakich słów powinien użyć, głównie chodziło jednak o to, żeby stary zrozumiał, iż zaszła pomyłka: on i dziewczynka należą do innego świata i trzeba to szybko naprawić.

Wyszedł do wielkiej sali, gdzie tak jak poprzednio przechadzali się próżniacy, oczekujący na kolejne wyjście imperatora, a może na następny obiad lub kaźń. I tak czynili dzień za dniem, a właściwie jeden dzień bez przerwy, który ciągnął się tysiąc lat. Lepiej już chyba skoczyć z okna, jak ten samobójca z ulicy Uniwersyteckiej, kiedy pojmiesz ostatecznie, że jesteś wiecznym więźniem w krainie nieśmiertelnych. Doktor jednak natchnął chłopca nadzieją i wskazał mu drogę postępowania.

Przeszedłszy parę kroków, natknął się na Dantesa, który stał zamyślony pośrodku holu, nakręcając na palec wskazujący jasny kosmyk.

— Gdzie się podziewałeś? — zapytał groźnie, uradowany, że wreszcie ma co robić.

— Doktor wysłał mnie do Kuchelbeckera — odpowiedział Igor, uznając, że najlepsza będzie półprawda.

— Po co? — spytał tamten z ciekawością.

Chłopak nie zdążył odpowiedzieć, gdyż przerwano im rozmowę. Podeszła do nich pulchna, rozlazła dziewczyna w wieku około dwudziestu lat, nosząca okulary z jednym szkiełkiem. Stał za nią mężczyzna z gitarą przewieszoną na rzemieniu przez ramię.

— Mały, umiesz śpiewać piosenki Okudżawy? — zapyta ła pannica.

— A bo co? — odpowiedział chłopak pytaniem.

— Powiększamy nasz zespół — wyjaśniła.

— Zostaw go w spokoju! — krzyknął Dantes do dziewczyny. — Widzisz, że z nim rozmawiam.

— Tylko niech pan nie myśli, że się pana boję! — odrzekła hardo panna, ale odeszła.

— Do czego potrzebujesz naszego wezyra? — zapytał Dantes, spoglądając w ślad za dziewczyną.

— Lekarz chce, żeby porozmawiał z Lusią.

— To ciekawe! A o czym?

— Niech go pan sam zapyta — odparł chłopak.

— No już dobrze, dobrze — rzekł pojednawczo mężczyzna. — Sam mi opowie. Czyli go szukasz?

— Tak.

— Poszedł na plac. Doszło tam do jakiejś bójki. — Dantes zaśmiał się i kontynuował: — Lud rzucił się zbierać ostygłe popioły.

— Jakie popioły?

— No jakże: jeśli masz popiół spalonego na stosie — powodzi ci się w grze w karty i w wielu innych sprawach. A u nas dawno nikogo nie spalili… Idź tam, zobaczysz, jak zaprowadza się porządek.

Śmiał się za plecami Igora, który wyszedł chwilę potem na plac. Rzeczywiście, wokół osmalonego słupa kręciła się grupa ludzi. Jak dzikusy, pomyślał chłopak. To przecież nie średniowiecze. Czy rzeczywiście można wierzyć w taki zabobon? Domyślał się, że można. W końcu i w normalnym świecie głupcy wierzą w różne rzeczy. Wystarczy zajrzeć do niektórych gazet, a znajdzie się białą magię, ogłoszenia czarowników i bioenergoterapeutów. Aż wstyd za tę ludzką głupotę.

Przeszedł przez plac. Nad jego głową pędziły, jak zawsze, sine obłoki. Czy to się nigdy nie skończy?

Nie było żadnej walki przy stosie. Ludzie zgodnie grzebali w popiele, wyciągali z niego nadpalone drągi i gałęzie. Najwidoczniej popioły markizy de Pompadour dawno już rozdrapali. Nigdzie nie było także widać Kuchelbeckera. Chłopak zapytał jednego z szabrowników, czy nie widział staruszka, na co tamten przecząco pokręcił głową. Na wszelki wypadek zapytał jeszcze jednego, ale odpowiedzią było milczenie. Igor miał już zawrócić w stronę wieży z zegarem pozbawionym wskazówek, kiedy dobiegł go ochrypły głos:

— Młody człowiek poszukuje pana Wilhelma?

Igor obejrzał się. Tuż za nim stała staruszka. Właściwie nie do końca staruszka, ponieważ nie miała zmarszczek na twarzy, a dłoń, którą dotykała ramienia chłopca, na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie młodej, była bowiem pokryta delikatną skórą. Kobieta miała jednak zmęczoną twarz, a sczesane na jeden bok włosy były matowe i wiało od niej odorem starości, jak od wiekowej mumii.

— Mogę pana do niego zaprowadzić — powiedziała.

— Dziękuję.

Kobieta ruszyła przez plac w stronę przeciwną do dworca. Sadziła wielkimi krokami; ruchy miała zamaszyste, jakby nie nauczyła się jeszcze chodzić jak staruszce przystało. Nie oglądała się na niego, pewna, że idzie za nią. Dotarli do trzypiętrowego, przypominającego stary magazyn budynku na końcu placu. Drzwi były uchylone. Kobieta weszła do środka i rozległ się głos w ciemnościach:

— Kogo prowadzisz?

— Wedle rozkazu — odrzekła tamta.

Odwróciła się do Igora. W niepewnym świetle otwartych drzwi jej oczy błysnęły całkiem młodo.

— Trzeba zejść dwadzieścia stopni w dół — oznajmiła. — Uważaj, nie potknij się.

— Muszę znaleźć pana Wilhelma Kuchelbeckera — przypomniał chłopak.

Nie odpowiedziała, tylko zniknęła w podziemnych ciemnościach. Szedł za nią, przesuwając końcami palców po wilgotnej ścianie. Niezbyt mile pachniało, jak gdyby zepsutą rybą. To zdziwiło Igora. Do tej pory sądził, że w świecie bez czasu nie ma także zapachów. Upojony wonią, zszedł po omacku na dół i po dwudziestym stopniu poczuł pod nogami równą powierzchnię. Gdzieś przed nim błyszczało odległe światełko.

— Dokąd mam iść? — zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział. Igor wstrzymał oddech, gdyż tuż obok niego przeleciał wielki owad albo nietoperz. Zaskoczony, przysiadł na piętach i skulił się ze strachu. W pobliżu rozległ się znajomy, skrzypiący głos:

— Przestraszyłeś się? Strasznie tutaj, a żyć się chce…

Zaszumiał ciężki materiał i kurtyna odjechała w bok.

Znajdował się na scenie. Pomost lub część korytarza, w której stał, prowadziła do wysoko sklepionej sali. Scena była oświetlona, a widownia wydawała się pusta. Tylko prawie niedosłyszalne oddechy i szmery świadczyły, że siedzą tam nieliczni widzowie.

— Kim jesteś i po co tu przybyłeś? — zapytał głos z ciemności.

— Nie widzę pana — odparł chłopak. — Przepraszam, szukam Wilhelma Kuchelbeckera. Czy jest tutaj?

Nie doczekał się odpowiedzi. Milczenie przeciągało się.

— To ja już pójdę — stwierdził.

— Zostań! — rozkazał ktoś niewidzialny.

Nie chciał podporządkowywać się kolejnemu nieśmiertelnemu. Ruszył w stronę ciemnego korytarza, wystawiając rękę, żeby nie natknąć się znowu na fruwające w ciemnościach stworzenie.

— Zatrzymaj się — powiedziała jego przewodniczka, stając mu na drodze. — Nie należy uciekać. Nikt ci nie pozwolił odejść. Czekają na ciebie, chłopcze.

— Nie jestem dla pani chłopcem! — gniewnie odpowiedział Igor. — Czego pani ode mnie chce?

— Zawróć — doradziła kobieta. — Nie pożałujesz.

Powiedziała to bez nacisku i straszenia go, niemal prosząco. Chłopak pomyślał, że los doprowadził go tam, dokąd zmierzał. Jeśli tajne przejście znane jest Kuchelbeckerowi, być może znają je także inni. Wrócił na scenę.

— Nie chcę patrzeć w ciemność — powiedział. — Dlaczego się przede mną chowacie?

Rozległ się znajomy chichot.

— Zapal światło, Salomeo.

Trzasnęła zapałka. Kobieta w czarnej sukni zapaliła lampę naftową, wiszącą na łańcuchu jak żyrandol. Oczom Igora ukazał się widok, na który chłopak nie był przygotowany. W dalszej części pomieszczenia w fotelach i na krzesłach przyniesionych chyba z jakiejś kancelarii siedziało rzędem kilka osób. Była to parada zmurszałej starości. Chłopak domyślał się, że musieli się tu zjawić w różnym wieku — jedni jeszcze młodzi, inni już starzy. Potem jednak długo tutaj żyli, aż całkiem zniedołężniali. Tak samo jak kobieta, która przyprowadziła chłopca, przeszli wszystkie etapy ludzkiego życia i przestali być ludźmi. Tak zapewne wyglądał Nieśmiertelny Kościej: już nie człowiek, lecz uosobienie zła, wynikającego z faktu, że ktoś przekroczył granicę ludzkiej egzystencji. Ich oczy były całkiem wypłowiałe. Nieważne, jak wyglądały wcześniej, w normalnym życiu; teraz były to mętne punkciki, nie będące w stanie wyrażać emocji. Nie mieli warg, które się zapadły do środka. Poruszali się powolnie, bardzo się oszczędzając i jak się wkrótce okazało, byli także przesadnie skorzy do śmiechu. W tym zgrzytliwym rechocie czaiło się jednak coś złego, a zarazem głupiego. Być może każdy z osobna dawno oszalał, ale wspólnie tworzyli potężny i perfidny zbiorowy rozum, Igor zaś był pierwszym mieszkańcem tego świata, który na to wpadł. Chociaż nie od razu. Początkowo wydawało mu się, że trafił na zebranie mieszkańców domu starców. Ten obraz szybko znikł z jego mózgu, ponieważ młodzieniec bardzo chciał, żeby staruszkowie okazali się dla niego dobrzy i nieszkodliwi.

— Teraz jesteś zadowolony? — zapytał siedzący pośrodku staruszek w fotelu inwalidzkim, ten sam, który chichotał i klaskał w kościane dłonie podczas egzekucji markizy de Pompadour. Przyniósł go tutaj z placu rumak w białej kurtce z czerwonym krzyżem.

— Tak — odparł Igor. — Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego tu zostałem wezwany.

— Zaproszony — poprawił go staruszek — ponieważ chcemy ci pomóc.

— Jak możecie mi pomóc?

Chłopcu niewygodnie było tak stać na scenie, lecz pocieszał się w duchu tym, że tak samo stał Puszkin podczas egzaminu końcowego w liceum, a podobny do tego staruszka Dierżawin słuchał jego wierszy.

— Nie jesteś zbyt dobrze wychowany, chłopcze — orzekła kobieta, która go tutaj przywiodła. — Powinieneś milczeć i odpowiadać tylko na pytania.

— Spotkało cię wielkie wyróżnienie — oznajmił staruszek.

— Widzisz przed sobą ludzi, którzy w rzeczywistości rządzą Moskwą i całą Rosją. Nie lubimy się nikomu pokazywać, nie bywamy na uroczystościach i nie interesują nas uroczyste jubileusze.

— Widziałem pana dzisiaj na egzekucji — zauważył Igor.

— Nie zawiodła mnie tam ciekawość — wyjaśnił tamten. — Chciałem pożegnać istotę, która przypominała mi młodość. Byliśmy przyjaciółmi jeszcze tam —powiedział, unosząc wąską, białą dłoń w stronę sufitu. — Ach, jakie to było cudowne…

— Hrabio… — przerwał mu szeroki w barach, niegdyś pewnie potężny szkielet odziany w poprzecierany strój narciarski.

Igor przypomniał sobie, że widział już taki strój na fotografii: studentka zalicza egzamin narciarski. Wszyscy tam mieli podobne stroje: szerokie szarawary i króciutka kurteczka z wypchanymi ramionami.

— Hrabio, zebraliśmy się tutaj w ważnej sprawie. Nie chciałbym, żeby młody człowiek odniósł wrażenie, iż rozmawia z grupką stetryczałych staruszków, którzy ciągle tylko wspominają swoje przygody seksualne.

— Bzdura! — krzyknął w odpowiedzi starzec z wózka inwalidzkiego. — Moje tak zwane przygody pozostawiły znaczący ślad w historii.

— Przestańcie, panowie — rozległ się głos dochodzący nie wiedzieć skąd — najważniejsza jest sprawa.

Od owego głosu powiało takim chłodem, że kłócący uspokoili się.

— Nie jesteśmy śmieszni — powiedziała przewodniczka Igora. — Jesteśmy czymś najstraszniejszym na świecie.

Starcy milczeli co najmniej minutę, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność. W końcu odezwał się ten na wózku inwalidzkim.

— Słyszeliśmy — powiedział — że szukasz drogi powrotnej. Co ci o niej wiadomo?

To było jak egzamin. Odpowiesz dobrze — przechodzisz dalej. Zrobisz błąd — do zobaczenia na jesiennych poprawkach!

— Chcę stąd uciec — potwierdził Igor. — I chcę się dowiedzieć, jak wrócić do domu.

— Nie jesteś tam potrzebny — odparł starzec.

— To nieważne, chcę wrócić do świata żywych.

— My także jesteśmy żywi — oznajmił Szkielet. — Nie ma tu bardziej żywych niż my. Tylko że życie to mądrość, a mądrość przychodzi z wiekiem.

— Nie chcę być mądry, tylko młody. Tutaj wszyscy są starzy.

— Nie powinieneś wracać — syknął staruszek. — Chętnie posłalibyśmy cię z powrotem, lecz jesteś już skażony, zepsuty.

— Nieprawda! — krzyknął młodzieniec. — Jestem tu od niedawna i mam ciągle prawdziwą krew. Im szybciej wrócę do domu, tym lepiej.

— Nie, już za późno — powiedziała kobieta. — Dobrze o tym wiemy. Wystarczy przebywać tutaj pół godziny i już masz krew na wieki zatrutą.

— Doktor Leonid Moisiejewicz twierdzi, że wciąż jestem zdrowy.

— Doktor Leonid — wyjawił życzliwie Szkielet — jest Żydem. Tacy ludzie odznaczają się kłamliwą i sprzedajną naturą. Przypominam, że ukrzyżowali jednego ze swoich proroków…

— I znowu wspomnienia! — zagrzmiał głos z ciemności.

Igorowi wydało się, że widzi w ścianie dziurę w rodzaju otworu wentylacyjnego. Być może głos dochodził stamtąd i należał do potężnej istoty. W myślach chłopak nazwał ją smokiem. Skoro jest tutaj Kościej, są szkielety, markizy, hrabiowie, to powinien także pojawić się bezlitosny smok!

Tajny doradca zamilkł. W zaistniałej ciszy ktoś zwrócił się do Igora donośnym głosem:

— Czy to doktor powiedział ci, że istnieje droga na zewnątrz?

— O wszystkim wie Kuchelbecker — odparł chłopak, nie chcąc wydawać lekarza, który zdradził mu tajemnicę.

— I kto jeszcze o tym wie? — indagował glos.

— Jeszcze imperator.

— I masz nadzieją, że cię odeślą do domu?

— Mam wielką nadzieję.

— Głuptasie! Lepiej tu nie przyjeżdżać, bo nie można stąd odjechać. Nie jesteśmy zwykłym miastem, lecz światem jedynym w swoim rodzaju — grzmiał głos pod sklepieniami sali. — Wszystko, co jest poza naszym światem, to fikcja. Czy to dla ciebie jasne?

— Nie — odpowiedział Igor.

— Nikt nie zna drogi do tamtego świata, bo taka nie istnieje.

— Myślę, że sporo osób ją zna.

— Jak śmiesz się z nami kłócić!

— Nie kłócę się…

Igor w tej chwili utracił pewność siebie. To nie byli dziadkowie z domu starców i tylko wydawali się słabi i bezsilni. Najprawdopodobniej był to prawdziwy senny koszmar. Można sobie być trzeźwo i zdrowo myślącym, kiedy gra się w okręty na lekcji biologii albo śpiewa się pieśni turystyczne przy ognisku… Tutaj to nie zdawało egzaminu. Lampa naftowa pod sufitem, starzy ludzie siedzący rzędem i patrzący na niego ciężkim, ołowianym wzrokiem, głos dochodzący z zewnątrz, a jeśli przejść się dwadzieścia schodków w górę, można zobaczyć osmalony, poczerniały słup, przy którym przywiązana kobieta skonała w strasznych męczarniach. Umarła w świecie nieśmiertelnych…

— A tym o co chodzi?

— Czego chcecie? — zapytał.

— Wieczności — odrzekł głos z góry. — Odejdź, wiemy już o tobie wszystko.

Igor odczuł wielką ulgę, że go nareszcie zwalniają.

— Do widzenia — powiedział. — Nie gniewajcie się na mnie…

Wiekowa kobieta wstała i poszła przed nim, jakby obawiając się, że zapomniał drogi. W momencie, w którym chłopak zszedł ze sceny, ktoś zgasił lampę i znów ogarnęła wszystko kompletna ciemność.

— Chodź za mną — poleciła kobieta.

Z dołu słychać było skrzypienie krzeseł i przyciszone rozmowy. Zapewne przyzwyczajeni byli od dawna przebywać w całkowitej ciemności.

— Chodź, chodź — powtarzała niewiasta, jakby wodziła Igora po ciemnym lesie…

Tego, co zdarzyło się potem, Igor nigdy nie zrozumiał. Być może łatwiej byłoby mu to sobie wyobrazić przy pełnym świetle. Później trudno mu było odtworzyć następstwo wydarzeń.

Coś go chwyciło za gardło. Potem go dokądś wepchnięto, trudno w ciemności było rozeznać, dokąd. Schodki znikły, pod nogami nie było nic. Rękami namacał zimną podłogę. Gdzieś trzasnęły drzwi. To wszystko.

Ciemność i całkowite milczenie, pozbawione słodko brzmiących słów: „Chodź, chodź, chodź…”

Igor usiadł i wodził dłońmi po gładkim, betonowym podłożu. Jak długo tutaj był? Stracił rozeznanie w tym, co zaszło.

— Hej! — zawołał. — Wypuście mnie!

Zrozumiał, że ci, co go tutaj uwięzili, nie zamierzali tylko go nastraszyć, a później wypuścić. Chcieli się go pozbyć.

Wstał i podszedł do ściany. Próbował po omacku wymacać drzwi. Okazało się jednak, że w całkowitej ciemności trudno zachować równowagę. Zachwiał się i usiadł znów na podłodze.

— Raz, dwa, trzy, cztery…

Próbował przekonać sam siebie, że nic strasznego jeszcze się nie zdarzyło. Nie znalazł się w dżungli, lecz pod tym samym placem, gdzie znajdują się jego przyjaciele: Lusia, doktor…

Za drugim razem udało mu się stanąć na nogi. Wyciągnął ręce przed siebie i poszedł do przodu, badając czubkiem buta podłogę w obawie, że natrafi na jakąś pułapkę w postaci jamy Za drugim, czy może trzecim stąpnięciem natknął się stopą na coś miękkiego. Odskoczył i dwoma susami dotarł do ściany, z którą się zderzył plecami.

— A prosiłem — rozległ się kapryśny, chrapliwy i nerwowy głos — mówiłem, żeby mi tu nie podrzucali kapusiów. Więcej i tak już niczego nie powiem. Lepiej się do mnie nie zbliżaj. Mam w ręku cegłę, którą tutaj znalazłem. Trzymam ją specjalnie na takich jak ty.

— Kto tu jest? — zapytał Igor.

Grunt, że to człowiek. Człowiek skarży się, gdy jest niezadowolony, rozmawia z drugim, więc może nie wczepi się w gardło Igora.

— Jestem więźniem — odpowiedział głos. — Zresztą, możesz nazywać mnie pustelnikiem lub ascetą.

— A dlaczego pana tutaj wsadzili?

— Z tego samego powodu, co i ciebie. Dlatego, że byłem niebezpieczny, lecz nie śmiertelnie.

— A jeśli ktoś jest śmiertelnie niebezpieczny?

— Zabijają go. Ścięliby ci głowę w ciemnym tunelu. A skoro nadal żyjesz, to znaczy, że masz szansę wyjść kiedyś na wolność. Kiedy przestaniesz być dla nich groźny.

— Ale kiedy? Muszę wyjść dzisiaj.

— A co to znaczy: dzisiaj? — zapytał głos. — Zdaje się, że jesteś tutaj od niedawna. Powiedz, który jest dzisiaj?

— Myślę, że pierwszy stycznia. A może drugi? Nie ma tu nocy — zauważył Igor.

Tamten zaśmiał się w odpowiedzi.

— Będzie uczył mnie, odszczepieńca, Ahaswera, włóczęgę, buntownika! Wiem, że tutaj nie ma dat, dni, godzin ani minut. Z tego powodu pytanie o termin uwięzienia nie ma sensu.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nikt nigdy nie dojdzie do tego, ile czasu spędził w więzieniu i jak długo jeszcze w nim pozostanie. Skoro człowiekowi niepotrzebne jest tu pożywienie i wody także prawie nie potrzebuje, jeśli nie ma żadnych punktów odniesienia, nie można tutaj zamarznąć ani zgorzeć w słońcu, być wystawionym na przeciąg albo zmoknąć na deszczu, skoro cały ten świat jest więzieniem, to czym jest przy tym nasz loch?

— Tutaj jest ciemno i nie można stąd wyjść!

— Po pierwsze, z czasem nauczysz się rozróżniać cienie. Mikrocząsteczki światła, które tutaj krążą, są dla mych oczu wystarczające, abym widział twoją sylwetkę. Po drugie, jeśli koniecznie chcesz uciec, możesz wyryć podziemny chodnik lub wyczołgać się tunelem, który zrobili poprzedni więźniowie.

— A pan czemu z niego nie skorzystał?

— Ponieważ najszczęśliwszy jestem w więzieniu — odpowiedział głos. — Wreszcie mogę spokojnie myśleć. I gdyby mi tutaj od czasu do czasu nie podsyłali intruzów, byłbym całkowicie szczęśliwy. Bez wątpienia bardziej, niż w świecie znajdującym się piętro wyżej.

W tej chwili Igor usłyszał bełkotanie, które niosło się z odległego kąta i musiało pochodzić od jeszcze jednego więźnia. Chłopak wyczuwał w tym bełkocie wielką mękę i złość.

— Kto to? — zapytał.

— Mój współwięzień po utemperowaniu. Żal mi się go zrobiło, więc go nie zabiłem. Zrobiłem knebel i związałem go. Od tej chwili milczy.

Źródło głosu zmieniło położenie, dochodził teraz z góry, jakby mówiący wstał i okazał się wyższy od Igora.

— Zaraz, zaraz — powiedział chłopak. — Nie chcę tutaj zostawać i rozmawiać z panem. Chcę

stąd uciec. Niech mi pan pokaże ten tunel, a zaraz ucieknę.

— Przysięgasz, że uciekniesz?

— Przysięgam!

— Idź więc wzdłuż prawej ściany, przesuwając po niej dłonią.

— Idę.

Szedł powoli wzdłuż ściany. Doszedł do kąta i skręcił. Coś mu przebiegło po ręce; chłopak z odrazą strząsnął insekta.

— Co biega po ścianie?

— Karaluchy — stwierdził myśliciel. — Niczym ich nie wytępisz. Każdego dnia przedostają się tutaj.

Ściana była zimna i nieco wilgotna.

— Niżej — doradził filozof. — Wejście jest przy samej ziemi. Kiedyś uciekło tym chodnikiem dwunastu rozbójników, półtora roku go ryli zębami i paznokciami.

Myśliciel znów zaśmiał się cicho. Dłoń chłopca natrafiła na wgłębienie i chłodny metal jakby niewielkich drzwiczek.

— Tutaj są drzwi — stwierdził.

— Otwórz je — polecił myśliciel. — Za nimi znajduje się podziemny tunel.

— Do widzenia — rzekł Igor.

— Żałuję — oznajmił tamten — że cię w ogóle spotkałem. Przez twoją niechcianą tu nieobecność straciłem dzień. Będzie ci to policzone na Sądzie Ostatecznym.

Chłopak pchnął drzwi, lecz nie chciały się otworzyć.

— Tam jest zasuwa — rzekł domyślnie filozof. — Dzięki niej nikt nieproszony tutaj nie przyłazi.

Zgodnie z radą Igor odsunął zasuwkę i drzwi otwarły się ze zgrzytem. Za nimi panowała także niezgłębiona ciemność.

— Mam je zamknąć za sobą czy zostawić otwarte? — zapytał.

— Drzwi należy za sobą zamykać — odparł myśliciel. — Niepotrzebna mi tak zwana wolność, która ogranicza swobodę myśli.

Chłopak znalazł się w niskim korytarzyku o ścianach takich samych jak te w celi. Przeszedł prosto około dwudziestu metrów i wówczas natknął się na kolejne zamknięte drzwi. Postanowił nie poddawać się zbyt łatwo. Nie miał odwagi zastukać, bo przecież w budynku pewnie było pełno upiornych, staruszków, którzy znowu go mogli uwięzić. Obmacał całe drzwiczki i stwierdził, że nie ma w nich żadnego zaworu. Dlatego w takim razie nie chciały się otworzyć?

Zapewne otwierały się na zewnątrz i klucz tkwił z drugiej strony. Igor cofnął się o dwa kroki, a potem ruszył do przodu i uderzył ramieniem. Żadnego efektu. Drzwiczki były metalowe, tak jak poprzednie.

Chłopak poczuł się, jakby został schwytany w pułapkę niczym dzikie zwierzę. Lecz znacznie straszniejszy i bardziej odpychający wydał mu się powrót do celi. Odszedł trochę dalej i walnął w drzwi jeszcze mocniej, aż poczuł ból w ramieniu. Drzwiczki zachwiały się, a zatem można je było wyważyć. Uderzył po raz trzeci. Przeszkoda drgnęła, lecz nie otwarła się. Ramię bolało straszliwie, widocznie porządnie stłukł sobie mięsień. Chłopak potarł biceps, zastanawiając się, czy znajdzie jakiś kawałek żelaza, żeby wyważyć drzwi.

Nagle z drugiej strony głośno upadło coś ciężkiego. Igor zamarł. Może czekają tam na niego cykliści! Stał nieruchomo, dopóki nie doliczył do stu, potem pchnął drzwiczki. Uchyliły się z trudem,

wpuszczając do wnętrza odrobinę szarego światła. Chłopak postarał się otworzyć j e na tyle, aby można było przez nie przejść. Prześlizgując się przez szczelinę, natrafił stopą na coś ciężkiego. Podniósł z ziemi wielki, staromodny zamek, szczęśliwie przerdzewiały, tak jak i całe odrzwia. Od uderzeń zamek pękł i spadł na ziemię. Igor doszedł do wniosku, że mu się udało. Przynajmniej nie siedzi już w celi z szaleńcem.

Do góry wiodły schodki, których chłopak naliczył osiemnaście, było więc ich o dwa mniej niż przy zejściu. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Drzwi od piwnicy wiodły na tylny dziedziniec. Znajdowało się na nim śmietnisko. Auta z lat dwudziestych leżały kołami do góry, w środku znajdowała się metrowa, ułożona z cegieł wieżyczka, na której stała niewielka armatka z brązu na drewnianej lawecie, obok znajdował się wypchany łoś. Tabliczka na podstawce głosiła: „Łoś — potężny olbrzym, mieszkaniec naszej ojczyzny". Leżały tutaj także powiązane sznurkami paczki czasopism „Płomyk" i „Zdrowie", które chyba ktoś zamierzał oddać na makulaturę, lecz się rozmyśślił Przez podwórzec kroczył powoli potężny chłop w białej kurtce z czerwonym krzyżem, ten sam, który obsługiwał staruszka. Igor skrył się, obserwując, jak mężczyzna grzebie w stosie gazet. Tamten przekartkował jedno z czasopism i rzekł:

— To samo, ciągle to samo!

I poszedł sobie. Chłopak pobiegł w przeciwnym kierunku i wyskoczył na plac od strony rzeki, gdzie znajdował się hotel z wytłuczonymi szybami. Plac był kompletnie pusty, tylko pośrodku sterczał nadpalony słup. Ani żywej duszy. Zrobiło się trochę ciemniej, jakby zbierało się na deszcz. Igor uświadomił sobie, że nie wie, czy tutaj bywają deszcze.

Pobiegł w stronę dworca, czując się bezbronnym i malutkim na tej ogromnej przestrzeni. Cały czas oczekiwał pytania: „A ty dokąd?". Albo rowerzysty, który zacznie go ścigać, kluczącego między samochodami. Nikogo jednak nie spotkał, a więc nikt go nie ścigał.

Wbiegł do środka dworca i odczekał trochę za drzwiami, obserwując plac przez zakurzoną szybę. Nadal było tam pusto. Za plecami także nie słyszał najmniejszego dźwięku. Wszedł do poczekalni. Tu także nie było nikogo z oczekujących tu zwykle dworzan i panowała straszliwa pustka. Poza tym wszystko było jak poprzednio. Chociaż niezupełnie: chłopak ujrzał staromodny napis na białej tabliczce, przyczepionej do tyczki i ustawionej w końcu sali. Było to jedno słowo: „NOC".

Przeszedł przez salę. Pchnął drzwi milicyjnego posterunku. Drzwi były zamknięte. Poszedł więc do punktu medycznego. Ten także był zamknięty, lecz ktoś zostawił klucz w dziurce. Igor przekręcił go i zajrzał do środka. Szczątki dziecinnej kolejki zostały zmiecione do kąta, pod inną ścianą piętrzyły się stosy starych gazet i czasopism. Na półkach stały poradniki i słowniki. Jak gdyby ktoś wyszedł na chwilę i pragnął pozostawić po sobie względny porządek. Chłopak zajrzał za zasłonkę i stwierdził, że kozetka jest zaścielona, jakby nikt na niej nie leżał. Ani śladu Lusi.

Wyskoczył ponownie na puste przestrzenie dworca. Pomyślał, że wszyscy mieszkańcy odjechali stąd pociągiem. Wyraził sobie, jak wsiadają do staromodnych wagonów, niczym imię o Annie Kareninie, a dworzanie w mundurach i wysokich czapach podtrzymują pod ramię staruszki. Potem parowóz wydaje gwizd i wypuszcza kłęby pary, snujące się długimi smugami po peronie, naczelnik stacji w czerwonej czapce podnosi chorągiewkę, sygnalizując odjazd pociągu… Tylko że tutaj nie ma pociągów!

Obszedł cały dworzec. Znalazł trzech włóczęgów, leżących na szmatach w pokoju matki z dzieckiem, otoczonych wałem potłuczonych i całych butelek. Nie chcieli z nim rozmawiać. Byli ledwie przytomni i trudno było pojąć, czym się tak zaprawili w świecie, gdzie nawet spirytus nie

działa na człowieka.

Usłyszał potem czyjeś szybkie, mocne kroki, poszedł więc w tamtą stronę, lecz w ostatniej chwili zwyciężyła ostrożność. Schował się za rogiem. Okazało się, że dobrze zrobił: mężczyzna w białej kurtce z czerwonym krzyżem przeszukiwał dworzec, zapewne szukając Igora. Trzeba było poczekać pięć minut, nim tamten sobie poszedł. Całkiem zagubiony chłopak wrócił do gabinetu lekarskiego, jakby było to jedyne bezpieczne miejsce na dworcu. Też słusznie: na stoliku dopiero teraz zauważył białą karteczkę. Podniósł ją i stwierdził, że zawiera krótki tekst z nieczytelnym podpisem. Lecz skąd młodzieniec miałby znać podpis doktora?

Szukaj nas pod mostem. Jeśli nas tam nie znajdziesz, udaj się do Teatru Muzycznego. Uważaj na upiory, są naprawdę niebezpieczne. Pospiesz się, bo inaczej nastąpi coś nieodwracalnego. L. M.

Niżej, wielkimi wołami, dopisała dziewczynka:

&]HNDP SU]\MG(0 DUN]D/ XGPLáD * G]LHMWWWM"

Jeszcze dokładniej niż odjazd pociągu Igor wyobraził sobie ją, jak pisze, pochylając głowę, uśmiechając się przebiegle i wysuwając spomiędzy ząbków koniuszek języka. Najwyraźniej, lepiej się już czuje i przestała się bać.

Ciekawe, jak dawno odjechali? Przeklęty świat, w którym nie wiadomo, jak długo byłeś nieobecny! Młodzik przy' pomniał sobie opowiadanie Washingtona Irvinga o Pupie van Winkle'u, który uciekł z domu, gdzieś przenocował i wróci po dwudziestu latach. A może ten liścik leży tu już dwa lata'

I wszyscy stąd wyemigrowali, a trzeba będzie ich szukać na terenie Chin albo w Afryce? Lepiej jednak nie myśleć tak pesymistycznie. Dowiedział się z listu, dokąd iść, więc odnalazł sens życia.

Uświadomił sobie, że do Teatru Muzycznego, a także do mostu, będzie musiał iść ponad pół godziny, jeśli nie całą. I niczego nie znajdzie po drodze, trzeba więc znaleźć sobie jakiś środek transportu. Oczywiście, najlepiej byłoby zdobyć balon… Śmiał się sam z siebie. Przecież nie spadnie mu z nieba!

Choć raz mu się coś udało! Rozglądając się dookoła w poszukiwaniu transportu, zauważył zwykły rower, przyczepiony do ściany u głównego wejścia, nowocześniejszy niż te, których używali cykliści. Jakby ktoś umyślnie zostawił go dla niego. Gdy wskoczył na siodełko, okazało się, że tajemniczy ktoś nie pomyślał o wygodzie Igora. Tylna opona była sflaczała, a kierownica latała tak, jakby za chwilę miała wyskoczyć z ramy. Z tego powodu niemiłosiernie podskakiwało siodełko i ujechawszy pół kilometra, chłopak musiał uznać swoją porażkę. Zostawił przeklęty pojazd na asfalcie i zaczął biec w dół rzeki. Biegł z bólem, odczuwając skutki jazdy rozklekotanym rowerem. Po stu metrach zadyszał się i musiał wstrzymać bieg, przechodząc w zwykły chód.

Co się z nim działo? Czyżby jego krew zaczęła się już przeobrażać, a płuca wymagały spokoju i lenistwa?

Chciał pobiec znowu, czekał jednak, aż odzyska dech, lecz to nie następowało. A droga była jeszcze przed nim daleka. Most kolejowy wydawał się stąd zrobiony z zapałek, droga wiła się pod jego arkadami i szła dalej do góry. Za mostem chłopak powinien pójść w lewo, w dół rzeki.

Szedł coraz wolniej. Bolały go nogi, zmuszał się jednak do pośpiechu bo czuł przez skórę, że jeśli nie zdąży na czas, z Lusią stanie się coś nieodwracalnego.

W pobliżu mostu kolejowego znajdował się budynek archiwum. Na ścianie przy podjeździe ktoś przyczepił tekturową tabliczkę. Młodzieniec zrobił trzy kroki w tę stronę, żeby odczytać napis. Ktoś nabazgrał mazakiem: „Nie hałasować podczas ciszy nocnej!". Igor postanowił stracić minutę, aby

przekonać się, kto w taki sposób chroni swój sen. Zajrzał do wnętrza budynku. W głębi niewielkiego holu stały trzy łóżka, na których spoczywali ludzie z zamkniętymi oczami.

Dziwne, pomyślał Igor, przecież wszyscy mi wmawiali, że tutejsi nie potrzebują snu. Mnie także nie chce się spać, chociaż przebywam tu co najmniej dobę. Tak mi mówi wewnętrzny zegar.

— Śpicie? — zapytał chłopak.

Nikt nie otworzył oczu, lecz najbliżej leżący człowiek odpowiedział:

— Oczywiście, że śpimy.

— Przepraszam.

— A pan czemu nie śpi? — zapytał tamten, nadal z zamkniętymi oczyma.

— Nie chce mi się — odparł chłopak.

— Idź stąd — odezwał się następny śpiący. — Jeszcze tego brakowało, żeby nas zdybał strażnik. Wszyscy chcą żyć.

Igor poszedł dalej. Nie miał już siły biec. Na szczęście spotkanie z jednym z rowerzystów nastąpiło już w okolicy mostu i chłopak mógł iść dalej. Cyklista najwidoczniej nie wiedział o tym, że Igor jest nowicjuszem. Dogonił go i jechał obok niego powoli, manewrując w taki sposób przednim wielkim kołem, żeby nie stracić równowagi.

— Dokąd idziesz? — zapytał. — Nie znasz przepisów?

— Znam — odpowiedział na wszelki wypadek młodzieniec.

— Co teraz jest u nas?

— Pierwszy stycznia!

— Do licha ze styczniem! — rozzłościł się rowerzysta. — Dlaczego nie śpisz?

— Nie chce mi się.

— Ja ci dam: nie chce się! Wszyscy śpią, a temu jednemu się nie chce! Gdzie mieszkasz?

— Pod mostem — odpowiedział szczerze chłopak.

— I odszedłeś tak daleko? W jakim celu? Z kim się spotykasz?

— Spaceruję.

Czuł zagrożenie ze strony strażnika. Najwidoczniej zbrodnia Igora była w oczach tamtego poważna i niewybaczalna.

— Idź przede mną! — rozkazał cyklista.

— Dokąd?

— Dobrze wiesz, dokąd!

W tej chwili chłopak postanowił rzucić wyzwanie losowi. Nie dbając o nic, popędził w dół nasypu.

— Stój, bo będę strzelał!

Igor mknął jak szalony, dobywając z siebie jakimś cudem nowe siły. Pobiegł na skróty i przeskoczywszy szyny, przylgnął do ziemi. Potem nieco uniósł głowę, by zobaczyć, co robi rowerzysta. Tamten naciskając pedały podjechał do mostu, żeby zajść przestępcę od drugiej strony. Zatrzymał rower na środku jezdni i krążył powoli, starając się wypatrzyć uciekiniera. Trwało to ze trzy minuty, potem cyklista splunął i wrzasnął:

— Dobiorę się jeszcze do ciebie!

Pogroził pięścią w powietrzu, nacisnął na pedały i ruszył w górę na ulicę Mosfilmu. Nie czekając aż zniknie mu z oczu, Igor stoczył się po nasypie i z nowymi siłami, gdyż trochę odpoczął, poszedł nadbrzeżem. Dotarł do baraku mniej więcej w pół godziny. Tak, jak się obawiał, nikogo tam nie

było. W tej chwili opanowało go dziwne uczucie powrotu do domu.

Podszedł całkiem blisko, kiedy drzwi się otworzyły i na najwyższym schodku stanął Partyzant. Ubrany był w milicyjną czapkę i rozpięty, nieco za duży fartuch, krótkie spodenki i wysokie buty na gołych nogach. Przeciągnął się, ziewnął, przesłonił dłonią otwarte usta, maskując ziewnięcie i odezwał się do chłopca:

— Nie chowaj się, Igorze, widzę cię i tak. Stoisz za uschłym drzewem, wypatrując, czy nie ma niebezpieczeństwa. Wszystko w porządku, wyjdź stamtąd, napijemy się herbaty.

Nieco się ociągając, chłopak wyszedł na wolną przestrzeń. Karzełek był mu życzliwy.

— Jak się czuje Pyrkin? — zapytał Igor, choć początkowo miał zamiar spytać o Lusię.

— Dochodzi do siebie i każe ci się kłaniać — dobiegł gł0s z wnętrza baraku.

— A niech pan powie…

— Niczego nie wiemy — szybko odparł Partyzant.

— Dobrze, powiedz mu! — zawołał ze środka Pyrkin.

— Rozumiesz, nie kazali mówić. Wiem tylko, że nikt tędy nie przejeżdżał.

— Lusię zawieźli do Teatru Muzycznego — oświadczył pijak.

Stanął w drzwiach w płaszczu narzuconym na ramiona. Pod spodem widać było pomarańczową koszulę w rdzawych plamach zaschłej krwi. Wydawał się wciąż jeszcze osłabiony.

— A ty dokąd? — ofuknął go Partyzant.

— Zabrali dziewczynę z kalekim idiotą do pomocy — poinformował.

— Idź już stąd, chłopcze — nakazał karzełek.

— Żulik! — zawołał Pyrkin. — Piesku, zaprowadź chłopaka. Pies wyskoczył z domku, radośnie machając ogonem i łasząc się do Igora.

— Być może jeszcze śpią — powiedział Partyzant, obawiając się, że młodzieniec pójdzie w złą stronę. — Widma, czyli upiory, też chyba śpią. Nie jestem tego pewien.

— Więc pospiesz się — przykazał Pyrkin — bo się spóźnisz.

Igor nie zamierzał dłużej rozmawiać o tym, co jest oczywiste.

— Chodźmy, Żulik — powiedział do psa.

Zauważyli dwie zjawy na górze, kiedy wybiegli na odkrytą asfaltową drogę przy tunelu. Widma popłynęły ku nim, lecz były zbyt powolne. Biegli dalej w stronę Teatru Muzycznego przez absurdalną przestrzeń, pozbawioną jakiejkolwiek zielem i drzew. Żulik pędził obok, podskakując z zadowolenia.

Przed teatrem stali dwaj cykliści w kaskach. Chłopak zobaczył ich z daleka, skręcił więc w bok, żeby podkraść się od budynku od tyłu. Tam znalazł rozbite okno i wszedł przez nie do środka, a pies skoczył za nim. W teatrze ziało pustką. Lecz Igor był pewien, że owa pustka jest pozorna, inaczej strażnicy nie mieliby po co strzec wejścia.

Przemierzał powoli niezliczone, całkiem zapuszczone sale i korytarze, niektóre zawalone górami śmieci, inne zupełnie puste. Cały czas nasłuchiwał. I chyba w setnym z kolei pomieszczeniu usłyszał wreszcie przed sobą niewyraźnie brzmiące ludzkie głosy. Pięć minut później znalazł się przy wejściu na słabo oświetlony przez niewielkie okienka korytarz. Szła tamtędy dziwaczna dla kogoś niezorientowanego procesja. Na przodzie toczył się wózek inwalidzki, w którym siedział nienormalny młodzieniec, zwiesiwszy na bok krótko ostrzyżoną głowę. Fotel popychała przed sobą ta sama dziewczyna. Dalej szli Wilhelm Kuchelbecker i zabójca Puszkina, Dantes. Ten ostatni prowadził za rękę Lusię i trzymał ją mocno, żeby nie uciekła. Dziewczyna pchała wózek niepewnie, chwilami zatrzymywała się i nasłuchiwała. Idiota coś bełkotał, trząsł głową, podnosił i opuszczał

ręce. Na co im taka para?

Żulik chciał skoczyć do nich, lecz Igor tak groźnie zaszeptał, żeby był cicho, że piesek wystraszył się i podwinął ogon.

Dziewczyna, zatrzymawszy się na chwilę niedaleko nich, jakby ciągle wsłuchując się w niesłyszalne dla innych dźwięki, zdecydowanie skręciła w prawo. Pozostali ruszyli za nią. Dotarli do niewielkich schodków. Kuchelbecker pomógł dziewczynie podnieść ciężki wózek. W końcu znaleźli się za kulisami, między podwieszonymi u góry zakurzonymi kotarami i malowanymi tłami, wśród których walały się rozmaite fragmenty dekoracji. Fotel jechał zygzakiem…

— Prędko — powiedziała sennym głosem dziewczyna, najwyraźniej będąca w transie. — Chodźmy prędzej.

Idiota zaczął kiwać głową i nagle rozległ się wysoki, ostry dźwięk, jakby ktoś dmuchnął w gwizdek.

— Tutaj! — oznajmiła dziewczyna.

— Gdzie? — pytał Kuchelbecker. — Pokaż nam.

Dziewczyna porzuciła wózek i zaczęła rozrywać paznokciami szarą przystawkę sceniczną z namalowanym na niej ogromnym, dymiącym kominem. Rozdarła materiał z głuchym trzaskiem.

— Idź! — zawołała. — Idź!

Dantes popchnął Lusię.

— Idź! — rozkazał.

— Nie — krzyknęła dziewczynka — nie pójdę! Obiecywaliście, że będzie tutaj Igor.

— Dziewczynko — rzekł miękko Kuchelbecker — wcale nie mówiłem, że chłopak na pewno tu będzie. W końcu go odnajdziemy. Ale nie ma na co czekać. Portale pojawiają się rzadko, może następny będzie dopiero za miesiąc. Obiecaliśmy ci przecież…

Idiota wył monotonnie.

— Szybciej! — zawołała dziewczyna.

— Nie! — sprzeciwiała się Lusia. — Igor!

Wyczuwała jego obecność, chociaż nie mogła go zobaczyć. Chłopak wyszedł z cienia, zaczepiając po drodze o jakąś dekorację i wzbijając chmurę pyłu. Starzec zaniósł się kaszlem. Pierwszy opamiętał się Dantes.

— Nie wolno! — krzyknął. — Nie powinieneś! To niebezpieczne!

— Nigdzie bez niego nie pójdę! — krzyczała dziewczynka.

Kuchelbecker kaszlał i machał dłonią, starając się zwrócić na siebie uwagę, lecz nikt na niego w tej chwili nie patrzył. Wariat rozpłakał się. Dziewczyna chciała go odwieźć na bok. Nie wiadomo skąd wyskoczył nagle doktor Leonid Moisiejewicz, którego młodzik wcześniej nie zauważył, i stanął na drodze wózka inwalidzkiego.

— Zaczekajcie! — zażądał. — Chłopak także poleci!

Igor nie wiedział, dokąd ma lecieć dziewczynka. Sądził, że może przenoszą ją w jakieś inne miejsce na tym świecie. Gotów był chwycić ją za rączkę i skoczyć razem w czarną, n'e' przenikalną plamę, która zaczęła się pojawiać w rozdarciu szarego płótna. Wciąż jednak stał, czas uciekał, a doktor krzyczał, żeby chłopak szedł ku przystawce.

— Stójcie! — krzyknął Kuchelbecker.

Stał nieruchomo, jak posąg Komandora. Miał prawo rozkazywać.

— Ludmiło — powiedział — pamiętasz, co przysięgałaś?

— Przysięgłam pod warunkiem, że będzie ze mną Igor. Stała na szeroko rozstawionych, cienkich nóżkach, wysuwając do przodu mały, krągły podbródek.

— Igorze — nakazał Kuchelbecker — obejmij Ludmiłę! Prędko!

— Prędko! — powtórzył lekarz. — Nie mogę tego dłużej utrzymać…

Igor zdążył jeszcze zauważyć, jak doktor usuwa się z drogi jadącego prosto na niego wózka z idiotą. Wykonał polecenie. Objął ramionami rozpaloną, drżącą na całym ciele dziewczynkę. Czarna plama na przystawce zawirowała i zdawała się zmniejszać…

— Skacz! Skacz! — krzyknęli razem doktor i Kuchelbecker.

Igor rozumiał, że trzeba wykonać rozkaz. Z uwieszoną u szyi dziewczynką skoczył do przodu…

…i nic się nie zmieniło.

Stał nadal przed przystawką. Lecz dookoła nie było nikogo z mieszkańców świata bez czasu. Młodzik postawił Lusię na podłodze. Ona pierwsza zrozumiała, że wszystko poszło dobrze.

— Posłuchaj — powiedziała.

— Niczego nie słyszę.

— No to chodźmy, skoro nie jesteś spostrzegawczy.

Pociągnęła Igora za kulisy, mijając brygadzistów sceny, którzy nieśli tekturową dekorację, elektryka, który grzebał w rozkręconej tablicy rozdzielczej, aż dotarli do dziewczyny, Która stała w korytarzu przed lustrem i starannie wyśpiewywała gamę.

— Przepraszam panią — zaczepiła ją Lusia — proszę nam powiedzieć, jaki jest dzisiaj dzień.

— Dzisiaj? Drugi stycznia. A może trzeci? Zawsze się mylę. To w końcu mało ważne.

— No tak — stwierdził Igor. — Wróciliśmy do domu.

— Teraz dopiero się zacznie — westchnęła Lusia.

SUJHáR*\á: LWRCG-DEáR VA

%LHOHNUODD]RâXVJNL

Białe skrzydła Kopciuszka

Nad Pawłyszem zawisło jakieś fatum i nic się na to nie dało poradzić. Biedny Pawłysz siedział w bufecie i liczył: na „Cecerę" spóźnił się, więc musiał polecieć „Kompasem" i w rezultacie trafił do smoków, łącznie stracił w ten sposób ponad trzy miesiące urlopu i ani na krok nie zbliżył się do Korony. „Kompas" uległ awarii — znów prawie dwa miesiące straty. Jeśli dodać do tego dodatkowe przeloty, będziemy mieli niemal dokładnie pół roku. Cholery można dostać. Na domiar złego nasłuchał się dobrych rad i dobrowolnie zakotwiczył w takim miejscu, gdzie statki po prostu się nie pojawiają.

Wszystkiemu winien był Bakow, stary znajomy dowodzący teraz ratownikiem.

— Sława — powiedział Bakow. — Jednak będziemy musieli odholować „Kompasa", bo nie ma sensu zaśmiecać obcych planet własnym sprzętem. Minie głupie tysiąc lat, ktoś tam znajdzie szczątki statku i zacznie budować fantastyczne teorie. Wiesz przecież, do czego to może doprowadzić…

Siedzieli na brzegu. Znów zachodziło słońce i znów iskierkę latarni nawigacyjnej można było dostrzec gołym okiem. Latarnia mrugnęła raz i drugi, przypominając o dniach tak zda się odległych, jakby upłynęło od nich co najmniej dwa lata. Podszedł Bauer. Był rozczochrany i wściekły.

— Słuchaj — zwrócił się do Bakowa, którego poznał jeszcze na pokładzie „Segeży". Jeśli zamierzacie wyciągnąć stąd „Kompasa", to już dawno powinniście zatroszczyć się o plastyk i aparaturę. Przecież nie możemy tu siedzieć do końca świata!

— Właśnie to Sławie mówiłem. Za jakieś dziesięć godzin ruszamy na naszą bazę. Nie ma sensu, żebyś tam leciał, bo nie wiadomo kto i kiedy wystartuje stamtąd na Ziemię. Nam na bazie zejdzie co najmniej miesiąc.

W związku z tym proponuję ci następujące rozwiązanie wyrzucimy się na planetoidzie koordynacyjnej „Askor" W ich układzie pracuje przynajmniej pół tuzina wypraw badawczych, więc statki snują się tam bez przerwy, zupełnie jak na kosmodromie pierwszej klasy Nie zdążysz się obejrzeć, kiedy zabiorą cię do domu albo do Koronów — do wyboru. Jeśli do nich trafisz, przekaż im z łaski swojej moje serdeczne pozdrowienia.

— Nie da rady — powiedział Pawłysz. — Koronów muszę odłożyć do lepszych czasów, bo ledwie mi starczy urlopu na powrót do domu.

— No, tośmy się dogadali — powiedział Bakow.

…Pawłysz siedział na planetoidzie już trzeci dzień. Zdążył tam poznać wszystkich i wszyscy jego znali. Chodził w gości, wypił morze herbaty, wygłosił pogadankę o reanimacji i zagrał symultanę szachową. Przepracował nawet pół dnia w szklarni i przez pół dnia dyżurował zamiast bufetowej Klary, która w tym czasie zajmowała się swoją właściwą pracą, a mianowicie badaniami z zakresu fizyki próżni. Trzy dni okazały się nieskończenie długie i nieskończenie nudne. Może dlatego, że Pawłysz w ciągu ubiegłego półrocza wyczerpał cały swój zasób ciekawości świata i teraz był skłonny największe nawet cudo potraktować jako zjawisko całkowicie banalne.

Bakow pomylił się, bo na planetoidzie był tylko raz i to akurat wtedy, kiedy cumowały tam trzy statki. Najczęściej nie było tam ani jednego. Na przykład żaden nie pojawił się przez ostatnie trzy dni.

Pawłysz siedział w bufecie, czytał nieśmiertelne dzieło Machiavellego „Historia Florencji" i florentyńskie intrygi też go śmiertelnie nudziły Geolog Ninoczka stała za ladą baru i wymyślała Krokotowowi, który miał dyżur poprzedniego dnia i zapomniał wymyć szklanki.

Planetoid drgnął. Mignęły lampy pod sufitem.

— Kto przyleciał? — zapytał Pawłysz z nadzieją człowieka siedzącego na zapadłej stacyjce w samym środku wojny domowej, kiedy pociągi już nie chodzą, ale jeszcze można się spodziewać, że w każdej chwili jakiś jednak przyjedzie.

— Miejscowy — powiedział ponury mechanik Achmed, wpatrując się w widelec zawieszony nad talerzem pełnym konserwowanych parówek. — Towarowiec czwartej klasy. Ninoczka odłożyła tablice pokreślone czerwonym pisakiem i nalała Pawłyszowi filiżankę kawy. Patrzyła na niego ze współczuciem i łagodnym rozczuleniem. Pawłysz bardzo jej się podobał i przedwczoraj przez trzy godziny opowiadała mu, dlaczego uważa swoje dwudziestoczteroletnie życie za skończone, a każdy akapit swojej spowiedzi kończyła słowami: „Rozumie mnie pan? Tutaj nikt mnie nie rozumie". Pawłysz umiał słuchać, miał dobre oczy, a poza tym najdalej za kilka dni stąd odleci.

— Kursują tu przebudowane rudowce — powiedział Achmed. — Ten jest albo z Piątej Planety, albo z Projektu nr 18. Znudziły mi się te twoje parówki. Nino. Patrzeć na nie nie mogę.

— Takie same one moje, jak i twoje. Kiedy wypadnie twój dyżur, wtedy zapewne spróbujesz wymyślić coś innego.

— Czy można zapytać — mechanik zwrócił się do Pawłysza — gdzie się pan ostatecznie wybiera? Bo jeśli na Ziemię, to bym panu dał malutką paczuszkę. Dla matki. Proszę się nie obawiać, nie jest ciężka.

— Wezmę z przyjemnością — powiedział bez entuzjazmu Pawłysz, w którego bagażu leżało już co najmniej piętnaście „malutkich paczuszek"

— Sława — powiedziała Ninoczka — jest pan tajemniczym wędrowcem, którego gwiezdny wiatr gna od planety do planety. Czytałam gdzieś o takim niewolniku przeznaczenia.

— Ma pani rację. Z pewnością jestem jeńcem i wędrowcem.

— I przeznaczenie zdecyduje za pana. Przeznaczenie stanęło w drzwiach bufetu. Tym razem przybrało postać niziutkiego, krępego mężczyzny o przenikliwych czerwonych oczach. Mężczyzna nazywał się Spiro i po raz ostatni Pawłysz widział go podczas Święta Karnawału w Lunaporcie Spiro wyglądał jak prawdziwy wilk kosmiczny w swym starannie dopasowanym kombinezonie ze sprzączkami od pasów mocujących zbiorniki powietrza na ramionach i mnóstwem zamków błyskawicznych na wypchanych kieszeniach. Spiro uniósł się na palcach Jego kamasze były wyposażone w podkówki magnetyczne, które przy sparzały mu co najmniej dwa centymetry wzrostu i podwajały pewność siebie.

— No tak — powiedział Spiro głosem wilka kosmicznego, który dopiero co pokonał barierę świetlną i wrócił z sąsiedniej galaktyki. — Czym tutaj częstują? Czym odległy posterunek na rubieżach uraduje spragnionego myśliwca?

— Pan jest z ciężarówki? — zapytała Ninoczka.

— Tak, nasza stara łajba dowlokła się ostatkiem sił do waszych penatów.

— Cześć, Spiro — powiedział mechanik Achmed. — przywiozłeś midie?

— Nieurodzaj — odparł Spiro — Te ślimaki okropnie na coś chorują.

— Pewnie przehandlowałeś je fizykom — powiedział Achmed.

— To potwarz! — oburzył się nieszczerze Spiro. — Kiedy bym miał to zrobić?

Bufetowa postawiła na ladzie szklankę lemoniady. Spiro rozkołysanym krokiem podszedł do baru i wyciągnął rękę.

— Nie macie czegoś mocniejszego? — zapytał, doskonale wiedząc, że nie mają.

— Dopiero co byli tu kosmiczni piraci z Czarnej Gwiazdy — wtrącił się do rozmowy Pawłysz — Wyżłopali trzy beczki rumu i wysadzili w powietrze bimbrownię Przechodzimy na czystą wodę.

— Co? — spłoszył się Spiro. — Piraci? Znieruchomiał na moment ze szklanka lemoniady w lęku, ale zaraz poznał Pawłysza.

— Słuchaj — powiedział — Ja cię znam. Razem likwidowaliśmy skutki wybuchu na Księżycu. Ty się nazywasz Sawieliew.

Pawłysz nie zdążył zaoponować bodaj słowem, kiedy już Spiro odwrócił się do Ninoczki i powiedział konfidencjonalnym tonem:

— Jakieś pół roku temu eksplodowała wielka kopalnia na Księżycu. Nie słyszała pani?

— Skąd! — odezwał się Achmed. W tej zabitej deskami dziurze?…— Dziwne — powiedziała bufetowa. — Niedawno był tu statek z Ziemi. Załoga opowiadała, że kopalnia jest na ukończeniu.

— Zgadza się! — ucieszył się Spiro. A więc pani wie. Był kolosalny wybuch. Odłamki leciały na wszystkie strony! Na ratunek szli tylko ochotnicy. Proszę sobie tylko wyobrazić: próżnia, butle tlenowe pękają jak banki mydlane, lawa tryska strumieniami, a dokoła tylko lód i skały Czy to nie ciebie przypadkiem. Sawieliew, niosłem na grzbiecie do windy?

Spiro poruszył ramionami, przypominając sobie, jak to niósł Pawłysza.

— Po pierwsze nie pan — powiedział Pawłysz bez irytacji. Spiro był znajomym, Spiro uosabiał idiotyczny los Pawłysza. Spiro pławił się we własnym bohaterstwie i szczodrze dzielił się nim z otoczeniem Gotów był nawet część własnej sławy odstąpić Pawłyszowi. — Po wtóre, nie mnie W ogóle nie byłem wtedy w kopalni Zostałem na górze.

— Zgadza się, nie poszedłeś — przypomniał sobie Spiro. Nie poszedłeś, bo nie dla wszystkich starczyło skafandrów. To nie ciebie wynosiłem.

— Sam pan też nie zjeżdżał. Był pan na górze.

— Jasne! Byłem na górze potem, kiedy przyjechałeś. A przedtem siedziałem na dole.

Na Spira nie było metody. Jego pamięć wyróżniała się niesłychana selektywnością i zachowywała jedynie te okoliczności i wydarzenia, które ją mile łechtały Cała reszta bez śladu się z niej ulatniała Pozwalało to Spirowi zawsze żyć w zgodzie z samym sobą, żyć w sympatycznym świecie własnych sukcesów i bohaterskich dokonań. Spiro nie kłamał, tylko po prostu nie wszystko pamiętał.

— Wypij ze mną — zaproponował Pawłyszowi. — Panienka jeszcze nam naleje.

— Przyjeżdżam ci ja kiedyś na zapomnianej przez Boga i ludzi stacyjkę — przedrzeźniał go Achmed — i wyobraźcie sobie, spotykam starego przyjaciela, z którym matowaliśmy kopalnię na Księżycu. No i strzeliliśmy sobie po jednym…

— O mnie pan mówi? — zdziwił się Spiro. — A co w tym dziwnego? Przecież ja Sawieliewa nie widziałem od pół roku. Tyle wody upłynęło… Co porabiasz, gdzie jesteś? Dlaczego odszedłeś z Księżyca?

Nie czekał na odpowiedź Pawłysza, bo jej zwyczajnie nie potrzebował i dlatego bez pauzy

ciągnął dalej — A u mnie mnóstwo zmian. Na Księżycu byłem tylko przejściowo. Potem poszedłem do Geworkiana. On mi to właśnie powiedział: Spiro, jesteś potrzebny na rubieży, na pierwszej linii. Ruszyłem zatem na pierwszą linię, gdzie najniebezpieczniej.

Spiro potoczył po obecnych tak płomiennym wzrokiem, że słowa najdelikatniejszego bodaj protestu uwięzły im w gardłach.

— I wszystko na moich barkach — ciągnął kosmiczny wilk. — Za wszystko odpowiadam. Może masz trochę czasu, co? Tak z tydzień. Potrzebuję człowieka na pierwsza linię. Niejednegośmy dawniej wspólnie dokonali, więc może i teraz pójdziesz do mnie?

Pawłysz pomyślał, że przeznaczenie mogłoby przybrać mniej malownicza postać. W tym momencie głośnik zaszeleścił i odezwał się głosem dyspozytora:

— Pawłysz, doktorze Pawłysz, proszę do mnie przyjść. Mam tu dla pana pewną propozycję.

Przepraszam — powiedział Pawłysz do Spirona.

— Doktor? — zdziwił się Spiro. — Jasne, że doktor, przecież wynosił rannych.

Pawłysz szedł do wyjścia, a za nim biegły słowa Spirona:

— Będę tu na ciebie czekał, krokiem się stąd nie ruszę. Jesteś mi potrzebny jak manna niebieska. Słyszysz, Sawieliew?

— To nie jest Sawieliew, tylko Pawłysz — poprawiła go Ninoczka.

— A u nas nazywali go Sawieliew — powiedział Spiro. — Pawłysz to nazwisko tylko dla krewnych.

Pawłysz wspiął się po wąskim trapie do dyspozytorni.

— Siadaj — powiedział dyspozytor. — Podchodzi jeszcze jeden statek.

— Skąd? dokąd?

— Obawiam się, że nic ci po nim. Idzie z Ziemi–14, to zresztą cię niezbyt interesuje… Ważne jest co innego: statek wyładuje wyposażenie dla stacji na Projekcie–18, a potem przeskoczy na Sentiper. Dwudziesty trzeci sektor, tam nieprędko doczekasz się na okazji do domu. Na Koronę też stamtąd nie latają. Zresztą może coś się trafić, ale ja bym na twoim miejscu nie ryzykował…

— Ale przecież Sentiper to duży port? Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem, że port jest duży.

— Duży, ale nie dla nas. Byłem tam dwa razy i wolałbym nie być po raz trzeci. Tamtejsi mieszkańcy nie są humanoidami. Kule o średnicy poniżej metra. Wszystko, łącznie i toaletami, jakoś przerobili, żeby hurnanoidzi nie wyzdychali już pierwszego dnia, więc da się jakoś wytrzymać… Aha, byłbym zapomniał, ciążenie wynosi półtora „g”. Ale jeśli poczekasz tam ze dwa tygodnie…

Dyspozytor aż się przeraził na myśl, że Pawłysza może spotkać taka koszmarna przygoda, zmrużył oczy i wykrzywił swoją malutką tamilsko twarzyczkę w tragicznym grymasie.

— Cóż mi zatem chcesz zaproponować? — zapytał Pawłysz.

— Po pierwsze naszą gościnę.

— Bardzo to z waszej strony mile.

— Po drugie świeże owoce i warzywa przez okrągły rok. Z naszej własnej szklarni.

— I wreszcie konkretny termin odlotu na Ziemię, mam nadzieję!

Dyspozytor otworzył grube tomisko dziennika dyżurów. Dyspozytor był konserwatystą, a poza tym, jak wielu ludzi małych i drobnych, miał słabość do solidnych przedmiotów.

— Jeśli wszystko potoczy się normalnie — oświadczył, kiedy jego palec dotarł w końcu do odpowiedniej rubryki — za sześć dni przycumuje tu liniowiec „Moskwa”.

— I poleci wprost na Ziemię?

— O ile się nie mylę, tak.

— Warto się nad tym zastanowić.

— Z powodzeniem możesz tu spędzić ten tydzień Zrobisz nam przyjemność. Możesz skoczyć na Projekt–18. Akurat przyleciał stamtąd transportowiec. Oni tam będą przyjmować urządzenia z Ziemi. Jest na co popatrzeć… Zwłaszcza ty, jako biolog, znajdziesz tam wiele rzeczy godnych obejrzenia.

— Polecę na Projekt–18, a tymczasem „Moskwa" odleci beze mnie.

— „Moskwa" nie zjawi się tu przed upływem pięciu dni. Dzisiaj mieliśmy z nią łączność. Jeszcze nie wystartowała z Stentipera.

— A więc radzisz mi zostać…

— Wręcz namawiam.

— Pozwolisz mi się trochę zastanowić?

— Proszę cię bardzo, ale pamiętaj, że „Astrolabium" odlatuje stąd za jakieś dwie godziny.

Pawłysz wrócił do bufetu, ośrodka życia towarzyskiego planetoidy. Nie miał wątpliwości, że dyspozytor udzielił mu życzliwej rady i że sam jego pomysł był rozsądny. Ale posłuchać go, oznaczało spędzić kolejny tydzień w całkowitej bezczynności, co było perspektywą zupełnie przerażającą. Koncepcja urlopu składającego się z długich okresów całkowitego spokoju, tylko od czasu do czasu przerywanych dla okrasy krótkimi dniami czy najwyżej tygodniami większej aktywności, zupełnie go nie urządzała. Zamierzał zdrowo sobie popracować na Koronie, a tymczasem przekształcił się w banalnego wczasowicza, zmuszonego do wymyślania sobie jakichkolwiek rozrywek.

Lecieć na Sentiper, gdzie wszystko przystosowane jest do potrzeb istot o innych kształtach i wymiarach, też nie miało większego sensu. A jednak Pawłysz, który już zaczynał czuć się w bufecie jak stały składnik jego wyposażenia, coś w rodzaju stołu lub ekspresu do kawy, z każdą chwilą coraz bardziej skłaniał się ku myśli, żeby odlecieć przypadkowym statkiem na ten okropny Sentiper. Niech się dzieje co chce. W każdym razie lepszy jest jakikolwiek ruch niż ten zapyziały bufet… Pawłysz zapomniał, że nie dalej jak pół godziny temu uznał Spirona za swoje przeznaczenie. Ale przeznaczenie o nim nie zapomniało.

Spiro stanął w drzwiach bufetu, Płonął gniewem, jego czerwone ślepka miotały błyskawice i zda się, przepalały plastykowy blat baru,

— To jest śmierć! — powiedział z głębokim przekonaniem w głosie. — Śmierć i zguba. Ja osobiście umywam ręce!

Pokazał, jak umywa ręce i Ninoczka odłożyła książkę, patrząc na niego z wielkim zainteresowaniem.

— Jeśli on tu wpadnie — powiedział Spiro — to powiedzcie mu, że i tak go znajdę, a wówczas żywy z tego nie wyjdzie.

Odwrócił się na pięcie i zniknął, nie wyjaśniając komu należy przekazać jego groźne ostrzeżenia.

— Nie przejmuj się, Pawłysz — powiedziała bufetowa. — On zawsze tak.

— Co on robi na Projekcie–18?

— Oni są tam przekonani, że nikt lepiej od niego nie potrafi zdobyć dla ich stacji niezbędnego zaopatrzenia. Przynajmniej raz w tygodniu pojawia się tutaj, konfiskuje nam cały zbiór ogórków, zabiera ze wszystkich statków pocztę i urządzenia, swoje i cudze. Krótko mówiąc jest głównym sprawcą zamieszania w naszym układzie.

— Na Projekcie trwa jakaś duża budowa? — zapytał Pawłysz.

— Nie, ale przez naszą planetoidę zaopatruje się cały układ, osiem planet, a przecież na sześciu pracują grupy badawcze, poza tym tankują u nas statki miejscowych linii, a czasami wychodzą z podprzestrzeni liniowce dalekiego zasięgu. Tak się przyjęło. Czasami spotyka się u nas do pięciu statków na raz. Wtedy tak się człowiek w bufecie narobi, że potem przez trzy dni musi przychodzić do siebie.

— To już koniec! — wykrzyknął Spiro, który znów pojawił się w bufecie niczym diablik wyskakujący z pudełka. Stał we framudze drzwi jak w owalnej ramie i trzymał pod pachą niewielki tobołek. — I nikt nie ma pojęcia, co będzie dalej! Gdyby tak Geworkian się o tym dowiedział!

— Znalazł je pan? — zapytała uprzejmie bufetowa, podając Spironowi kolejną szklanicę lemoniady.

Spiro wypił ją jednym haustem, odrzucając głowę do tyłu, jakby wlewał w siebie wyjątkowo wstrętne lekarstwo.

— Nie! — odparł, odstawiając szklankę na bar. — Praca stacji została totalnie uniemożliwiona, nad ludzkimi istnieniami zawisła śmiertelna groźba. A oni po prostu zapomnieli zabrać z Ziemi–14 dwa kontenery. Nie jeden, tylko dwa! W dokumentach te kontenery są, w ładowni ich nie ma. Możecie to sobie wyobrazić?

— Jakiś ważny ładunek? — zapytał Pawłysz.

— Ważny? — głos Spirona wibrował. Pawłysz przestraszył się, że wilk kosmiczny zaraz sarkastycznie się roześmieje.

Ale Spiro się nie roześmiał, tylko zagapił się na Pawłysza. Pawłysz poczuł się jak malusieńka myszka, która nieopatrznie weszła w drogę ogromnemu i okropnie głodnemu kocurowi.

— Sawieliew? — zapytał surowym tonem. — Lecisz na Senpiterę?

— Ja?…

Spiro wcale go nie słuchał.

— Uratujesz nas. Jasna rzecz, że nas uratujesz. Na Senpiterze w drugim magazynie leżą zapasowe kontenery. Nie wiedziałem, że mogą się przydać, ale nikomu ich nie oddałem. Miałem przeczucie, że właśnie one nas uratują! Skoczysz tam i stracisz tylko dzień na to, żeby wydusić je z Helenki, przedstawicielki Floty. Helenka będzie się z początku opierała, powie ci…

— Spiro, daj człowiekowi spokój! — powiedziała Nina. — Doktor niczego z Helenki nie wydusi, bo przecież te kontenery nie są twoje.

— Są moje, bo bez nich wszystko przepadło!

— No to leć sobie po nie.

— A kto odwiezie ładunek na Projekt? Ty?

— Nie, wszyscy mamy dość własnej pracy.

— Przecież mówię! No więc słuchaj, Sawieliew…

— Po pierwsze nie jestem żaden Sawieliew, tylko Pawłysz — powiedział Sława — a po wtóre nie mam najmniejszego zamiaru lecieć na Senpiterę. Czekam na statek idący w stronę Ziemi.

— Co? Wybierasz się na Ziemię?

Spiro zaczął szybko kalkulować, jaką też korzyść może przynieść mu Pawłysz, jeśli leci na Ziemię. Myśli tak intensywnie kłębiły się w jego mózgu, że aż od tego zaczął miarowo wachlować uszami, a włosy stanęły mu dęba. Pawłysz mimo woli zaczął podziwiać energię tego człowieka.

— Na Ziemię… — powtórzył Spiro — Jasne. Polecisz „Moskwą”, która będzie tu w piątek Wylecimy na jej spotkanie, jak obiecaliśmy. To znaczy, że do piątku nie masz nic do roboty. Nie

zaprzeczaj i nie kłam!

Pawłysz nie zaprzeczał, bo nie mógł tego zrobić. Przecież dopiero co, przy świadkach, odmówił wyprawy na Senpiterę.

Do bufetu zajrzał młodzieniec w roboczym skafandrze kosmicznym i wyjściowej czapce mundurowej Floty.

— Pan tutaj. Spiro? — zapytał. — A ja szukam pana po całej bazie. No i jak będzie?

— Chwileczkę.

Spiro podszedł do lady, przy której siedział Pawłysz i rzucił mu przed nos ciężki tobół.

— To dla ciebie — powiedział i szybko, nie oglądając się, wybiegł za kosmonautą.

Tobół rozsupłał się i na polerowaną powierzchnię blatu wypełzły jak żywe niezliczone koperty, paczki i paczuszki. Cały ten kram usiłował spaść na podłogę, więc Pawłysz wspomagany przez bufetową zaczął łowić niesforne przesyłki i wpychać je na powrót do torby.

— On tak zawsze obchodzi się z torbą — powiedziała Ninoczka tonem pełnym potępienia — Narobi hałasu, rzuci jak popadnie i ucieknie A ludzie tak czekają na listy!

Pawłysz z rezygnacją upchał w torbie przesyłki. Nie był zły na Spirona ani też przytłoczony jego elokwencją, tylko po prostu ciekaw, czym się to wszystko skończy.

— Tu jest jeszcze jeden list — powiedziała Ninoczka, podając Pawłyszowi kopertę z wideokartą, czy też płaską kasetą Na kopercie widniał adres: „Marina Kim Projekt–18 Laboratorium Centralne". Pawłysz starannie schował przesyłkę.

Do pokoju znów wpadł Spiro.

— No więc tak — powiedział od progu. — Ja teraz lecę na Senpiterę. Bez kontenerów nie mam co wracać.

Nie znasz doktora Dimowa. I lepiej, żebyś go nie poznał! Mam dwadzieścia minut czasu. Zaraz ci dam konosament i pokażę, gdzie zaparkowałem ciężarówkę. Potem pobierzesz warzywa od ogrodnika. Nie będę cię z nim zapoznawał. Helga to zrobi. Załadujesz wszystko i odwieziesz na Projekt–18. Nie bój się, ciężarówka jest automatyczna i sama zawiezie cię na miejsce, ale towaru musisz strzec jak oka w głowie!… Wiem wszystko! Dyspozytor powiedział mi, że i tak czekasz na „Moskwę", a jej nie przegapisz. Wrócę za pięć dni albo i wcześniej, może nawet właśnie „Moskwą!". Nie zapomnimy o tobie! Słowa Spirona to mur–beton i tytan. Resztę przekażesz Dimowowi ustnie. Zobaczysz, że będzie miał kupę frajdy! I nie zapomnij przed odlotem porozmawiać z dyspozytorem. On też ma coś do przekazania na Projekt. Jasnej Tylko się nie opieraj! I tak już wszystko zostało bez ciebie zdecydowane, a poza tym nie możesz przecież sprawić zawodu starym przyjaciołom… Czyżbyś zapomniał, jak razem wyciągaliśmy poparzonych z księżycowej kopalni? Nie, nie zapomniałeś, więc się nie sprzeciwiaj i nie mów nic, bo kosmonauci nie porzucają przyjaciół w biedzie, a ty jesteś tu jedynym wolnym człowiekiem z wykształceniem kosmicznym. Kto prócz ciebie może dociągnąć ciężarówkę do planety? Nikt. Nie opieraj się…

Spiro błagał, groził, pochlebiał, zalewał Pawłysza potokami słów i wykrzykników. Nie liczył wprawdzie na zgodę Sławy, ale też nie widział innego wyjścia.

— Chwileczkę! — powiedział Pawłysz i musiał to powtórzyć, bo Spiro usłyszał w jego glosie zdecydowanie i już przygotowywał się do wystrzelenia kolejnej salwy argumentów. — Chwileczkę! Uspokój się wreszcie i słuchaj — ryknął pełnym głosem i rąbnął pięścią w bar. — Zgadzam się lecieć na Projekt! Bez żadnego namawiania polecę na Projekt! Czy nie przyszło ci do głowy, że od dawna marzę tylko o tym, żeby polecieć ciężarówką na Projekt–18?

Spiro zamarł, a jego czerwone ślepka zwilgotniały. Zabulgotał dziwnie i wykrztusił:

— Dziękuję ci, chłopcze…

Ale zaraz wziął się w garść i dorzucił:

— Wobec tego zabieraj się ze mną. Szybko. Nie mamy chwili do stracenia.

— Dobrze pan robi! — wykrzyknęła z aprobatą Ninoczko — Sama bym z chęcią poleciała, ale ciągle nie ma czasu. Może jednak na dniach się wybiorę. Wówczas się tam zobaczymy.

* * *

Przepisy wymagały, aby na pokładzie towarowego planetolotu czwartej klasy znajdował się człowiek. Nie znaczyło to bynajmniej, że ta obecność była konieczna ze względów technicznych. Nic podobnego: ciężarówka sama potrafiła pokonać zadaną trasę, ale automaty nie mogą ponosić odpowiedzialności za wszystkie błędy popełnione przez ludzi przy załadunku towarów i programowaniu toru statku, za zmiany planów wprowadzone w ostatniej chwili i za inne obłędne pomysły, które zrodzić się mogą jedynie w umyśle istoty tak niedoskonałej jak człowiek.

Ciężarówka podeszła do planety Projekt—18 od nocnej strony i upłynęło dobrych parę minut, zanim mglisty horyzont globu rozświetlił się białym blaskiem, a słońce, w którego stronę mknął stateczek, wypełniło całe niebo, zgasiło wszystkie gwiazdy i odbiło się w gładkim oceanie, tak ogromnym, że oczy same natychmiast zaczynały wyszukiwać w nim Jakiegokolwiek punktu zaczepienia: wyspy, skraju lądu, góry, czegokolwiek, co tylko różniłoby się od tej nieskończonej oceanicznej równiny.

Pawłysz wyhamował i wszedł na orbitę stacjonarną. Następnie wcisnął klawisz radiostacji i wywołał gospodarzy.

Wiedział, że Stacja prowadzi ciężarówkę i czekał na charakterystyczny szum w głośniku, oznaczający, że pasmo łączności zwolniło się dla pilota.

Jakieś ciemne punkciki przemknęły po gładzi oceanu. Pawłysz pomyślał, że to małe wysepki. Zza kratki głośnika rozległ się przytłumiony szum.

Stacja — powiedział Pawłysz. — Stacja. Podchodzę do lądowania.

— Spiro, masz coś z gardłem? — zapytała radio.

— To nie Spiro — odparł Pawłysz — Spiro poleciał na Senpiterę, a ja go zastępuję.

— Jasne! — powiedziała Stacja.

— Przejdę na ręczne sterowanie — zameldował Pawłysz — Łajba jest trochę przeładowana i obawiam się, że może sama nie trafić do kei.

Z prawej strony nad pulpitem sterowniczym obracał się globus planety Zawieszony nad nim czarny punkcik — ciężarówka — wolno zbliżał się do światełka oznaczającego Stację.

— Ani mi się waż! — warknęła Stacja.

— Nie martwcie się — powiedział Pawłysz, patrząc na przyrządy pokładowe.

Facet wyraźnie mija szczyt krzywej! — odezwał się jakiś zaniepokojony głos, po czym zwrócił się wprost do Pawłysza — Proszę wykonać jeszcze jeden obrót. Statek jest niezawodny i sam potrafi znaleźć drogę do domu Niech pan lepiej nie manewruje, bo to się może źle skończyć.

— Jestem z Floty Dalekiego Zasięgu — odpowiedział Pawłysz — i na tych ciężarówkach

wylatałem parę godzin więcej niż Spiro.

— Nie o to chodzi — powiedziała Stacja, ale Pawłysz już się wyłączył. Tego tylko brakowało, żeby ktoś poddawał w wątpliwość kwalifikacje personelu Floty! Nawet najskromniejsi jej funkcjonariusze dostają wysypki na myśl, że mogliby sobie nie poradzić z pilotowaniem statku towarowego czwartej klasy.

W dole przepłynęła grupa wysepek rozsianych na lustrze oceanu Na przymglonym horyzoncie majaczyła stacja Ciężarówka zbyt wolno traciła wysokość, więc Pawłysz zablokował automaty i na moment włączył silniki hamujące. Przeciążenie wdusiło go w fotel. Statek wszedł w lekkie pierzaste obłoczki Pawłysz zerknął na kontrolkę temperatury poszycia Pancerz nagrzał się bardzo nieznacznie, bo Projekt–18 miał rozrzedzoną atmosferę, a obłoczki z pewnością składały się z luźnych kryształków dwutlenku węgla.

— Co ty wyprawiasz! — oburzyła się Stacja — Przecież ci mówiliśmy, żebyś szedł na autopilocie!

Pawłysz nie odpowiedział, bo nie czuł się winny. Zrobił przecież tylko to, co na jego miejscu zrobiłby każdy inny pilot. Po co ciągnąć jeszcze jeden obrót, marnować niepotrzebnie paliwo, kiedy można wylądować z biegu?

Statek spadał na planetę po stycznej, jak bolid. Rakiety hamulcowe wprawiały go w wibracją, której Pawłysz starał się nie zauważać, stosując rodzaj autohipnozy, pomagającej jedynie tym, którzy wierzą w jej skuteczność.

Ciężarówka nie potrafi się odpowiednio zatroszczyć o upartych pasażerów. Nie przeszkadza to Spironowi, który z pewnością nie ma zielonego pojęcia o autohipnozie, ale też na pewno nigdy nie przejmuje sterów statku. Gdyby Pawłysz był bardziej zdyscyplinowany, też wylądowałby komfortowo i w dodatku nie naraziłby się załodze Stacji.

Na skraju kamienistej wyspy ukazała się podkowiasta dolina zamknięta w głębi skalistymi urwiskami. Bliżej pienistej linii przyboju połyskiwał krąg lądowiska. Po chwili ciężarówka dotknęła podwoziem gruntu Pawłysz szczęknął ponownie przełącznikiem radiostacji.

— W co mam się ubrać? — zapytał. — Jaka tam u was pogoda?

Włączył wideofon. Na ekranie ukazała się szeroka płaska twarz mężczyzny z ogoloną czaszka Dyżurny miał wąskie, przymrużone oczy, cienkie brwi o kształcie przestraszonych ptaków i w ogóle wyglądał jak Dżyngis–chan, który akurat dowiedział się, że jego ulubiona orda została wyrżnięta w pień przez niewiernych.

— I kto takich tu przysyła? — zapytał, mając na myśli Pawłysza. — Dlaczego tacy ludzie nigdy nie potrafią uszanować życzeń gospodarzy?

— Zaoszczędziłem dwie tony paliwa — odparł skromnie Pawłysz — Przyprowadziłem statek na godzinę przed czasem, nie sądzę zatem, abym zasłużył na szczególne potępienie. W cóż więc ubieracie się tutaj, kiedy wychodzicie na dwór?

— Spiro zostawił tam swoje ubranie — odpowiedział Dżyngis–chan.,

— To wdzianko będzie na mnie nieco przykuse — zauważył Pawłysz — Przewyższam go wzrostem.

— No dobra — mruknął Dżyngis–chan — Zaraz do pana przyjdę. Potrafi pan otworzyć właz?

Aluzja do niezbyt wysokich umiejętności krnąbrnego pilota była aż nazbyt przejrzysta, ale Pawłysz wysłuchał jej bez drgnienia powiek.

— Potrafię — powiedział.

— Proszę zatem otworzyć zewnętrzną pokrywę. Będę u pana za trzy minuty.

Pawłysz odpiął pasy, wyjął z bocznej skrytki fotela pocztę i książki przekazane przez dyspozytora, wstał, otrzepał się lekko, bo ciążenie na planecie nie przekraczało chyba połowy ziemskiego. Drzwi kabiny odjechały w bok i do środka wszedł Dżyngis–chan w ocieplonym kombinezonie i masce tlenowej zakrywającej dół twarzy. Brzeg grubej pilotki przylegał ściśle do brwi, widoczne były jedynie oczy, nadal wściekle i pogardliwe. Dżyngis–chan nie był sam. Tuż za nim do kabiny wśliznął się wysoki, szczupły mężczyzna o wyblakłych oczach ukrytych pod nawisłymi czarnymi brwiami.

— Niech pan przymierzy — warknął Dżyngis–chan. — Powinien pasować.

— Z pewnością będzie pasował — powiedział drugi mężczyzna, podając Pawłyszowi rękę — Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu, o to jest mój zapasowy kombinezon. Proszę wybaczyć, ale nie spodziewaliśmy się pana.

— Dzień dobry — powiedział Sława. — Nazywam się Pawłysz. Byłem akurat na planetoidzie, kiedy Spiro musiał polecić na Senpiterę. Zgodziłem się w jego zastępstwie podrzucić tu wasze ładunki Nie przypuszczałem, że będzie to źle widziane…

Skłonił się ze sztywną godnością. W końcu z własnej nieprzymuszonej woli pomógł ludziom, nie wyrządzając im przy tym żadnej krzywdy. Ciężarówka jest na miejscu, ładunek nietknięty, a przeciążenia odczułem tylko ja.

— Naturalnie, naturalnie — powiedział nerwowo chudy. — Nazywam się Dimow. Dymitr Dimow. Doktor Dimow Kieruję tutejszym oddziałem naszego instytutu. Widzę, że jesteśmy kolegami po fachu.

Wskazał długim, szczupłym palcem pianisty plakietkę ze żmiją oplatającą puchar, odznakę lekarza umieszczona na piersi Pawłysza tuż nad naszywkami z nazwami statków, na których służył.

— Tak, nie myli się pan.

— Wanczidorż — przedstawił Dimow Dżyngis–chana. — Proszę się na niego nie gniewać. Doskonale rozumiemy, że chciał pan jak najlepiej, ale na pana miejscu nie sprzeczałbym się z naszym dyżurnym, ponieważ, jak pan zapewne doskonale wie, chodziło mu jedynie o pańskie bezpieczeństwo…

Dimow musiał przyznać rację obu uczestnikom niespodziewanego konfliktu i sprawiało mu to widoczną przykrość.

— Proszę się ubierać, bardzo proszę — ciągnął, nie pozwalając Pawłyszowi wtrącić bodaj słowa — Jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni, bo stale mamy trudności ze Spinorem. To wprawdzie autentycznie wspaniały człowiek i świetny fachowiec.

Dżyngis–chan, to znaczy Wanczidorż parsknął pogardliwie, wyrażając w ten sposób dezaprobatę dla słów zwierzchnika.

— Tak, Wan — zwrócił się do niego Dimow — Tak to właśnie wygląda. Spiro przynosi nam znacznie więcej pożytku niż szkody i z wielką niecierpliwością czekaliśmy na tę rakietę.

— Tu jest poczta — przypomniał sobie Pawłysz. No nią też pewnie czekaliście.

— Na nią również — przytaknął Dimow. — Jest pan gotów. — Pomógł Pawłyszowi umocować maskę, a potem dodał: — Mam nadzieję, że zostanie pan u nas przez parę dni? Będzie nam bardzo milo.

— Dziękuję — skłonił się Pawłysz.

Włączył ogrzewanie kombinezonu i poprawił maskę. Tlen dopływał bez zakłóceń. Kombinezon

Dimowa był na niego nieco za szczupły, ale w gruncie rzeczy zupełnie wygodny. Pawłysz chciał zapytać, czy może zobaczyć się z Mariną Kim, ale zrezygnował z tego zamiaru. Dziewczyna mogła przecież pracować na jakiejś stacji podwodnej o wiele tysięcy kilometrów od bazy. Na wszystko przyjdzie pora. Teraz już mu nie ucieknie, teraz już na pewno ją odszuka. Wyszli na gładki, jakby wypolerowany grunt dolinki, obramowanej w odległości paruset metrów urwiskami skalnymi. Z drugiej strony zaczynał się ocean i fale przyboju z głuchym hukiem rozbijały się o czarny brzeg, przekształcając się w słupy białej piany. Pawłysz poprawił słuchawki, ale szum przyboju nadal brzmiał głucho i niewyraźnie, bo dźwięki gasły w rozrzedzonym powietrzu. Popatrzył w górę i złapał się na tym, że usiłuje dojrzeć czarny punkcik — smoka wypatrującego zdobyczy. Smoka nie było, tylko lekki, półprzezroczysty obłoczek zakrył na moment słońce i złagodził cienie, dotychczas bardzo ostre i głębokie.

Dżyngis–chan szedł przodem, przyciągając do boku worek z pocztą i ciągnąc za sobą wózek wyładowany warzywami i świeża żywnością. Dimow został z tylu. Zamykał właz. Dżyngis–chan wszedł w cień skały i jakby się w nim roztopił. Wózek oświetlony ostrym słońcem wolno wpełzał za nim i niknął, pozornie wnikał w skałę. Pawłysz ruszył za nim i znalazł się przed wolno odtaczającymi się na bok metalowymi wierzejami, zamykającymi wejście do jaskini.

— Wykorzystaliśmy tu wyjątkowo sprzyjające warunki naturalne — mruknął Dżyngis–chan.

Pawłysz obejrzał się Na zalanym słońcem lodowisku stał Dimow i patrzył w niebo.

— Proszę wejść — powiedział Dżyngis–chan. — Dimow przyjdzie później.

Wielki biały ptak wolno opadał w kierunku Dimowa.

Pawłysz omal nie krzyknął: „Uwaga! Padnij!” Ale Dimow ani myślał się ukrywać. Po prostu nie bał się białego ptaka. Ptak zatoczył koło nad jego głową, a Dimow uniósł rękę w geście jakby pozdrowienia. Ptak miał nieprawdopodobnie szerokie skrzydła i smukłe, delikatne ciało Zdawało się, że Dimow rozmawia i ptakiem.

Pawłysz pomyślał, że tutaj ludzie nie zajęli cudzej niszy ekologicznej.

— Dokarmiacie je? — zapytał.

— Dokarmiamy?

— Tak, ptaki.

— Naturalnie!

Dżyngis–chan miał nieprzyjemny zwyczaj wydawania sarkastycznych parsknięć, tym bardziej irytujących, że zupełnie nie było wiadomo, czy jest rad, czy też mocno się gniewa.

Drugi ptak ukazał się nieco ponad pierwszym. Złożył skrzydła i lekko opadł na skałę nad Dimowem. Dimow poklepał go po skrzydle. Pierwszy z ptaków uniósł się w górę i przeleciał nad Pawłyszem i Dżyngis–chanem. Drugi wziął rozbieg po lądowisku, zeskoczył ze skalistego brzegu i wzbił się w powietrze wśród rozbryzgów piany przyboju.

Wnętrze jaskini urządzone było wygodnie i solidnie. Poszczególne pieczary z wielkim rozmachem i znakomitym smakiem zostały przekształcone w pomieszczenia robocze i mieszkalne, przywodzące Pawłyszowi na myśl staroświeckie ilustracje do „Tajemniczej wyspy” Verne’a, której bohaterowie lubili rzetelny komfort, autor za i z upodobaniem i wszelkimi szczegółami opisywał, co i jak im się udało osiągnąć. Pawłysz pomyślał, że pokój Dżyngis–chana powinien mieć wykute w skale okno, przez które wpada wiatr od oceanu i z daleka widać nadpływający statek piracki.

Dimow powiedział:

— Mamy zbyt mało pomieszczeń mieszkalnych. W zeszłym miesiącu przyleciało sześciu młodych

fizyków i zajęli wszystkie wolne pokoje, a nowych jeszcze nie zdążyliśmy urządzić. Zrobimy to w najbliższej przyszłości, jeśli tylko Spiro zdobędzie na Senpiterze urządzenia wiertnicze i wykładziny. Obiecał to załatwić.

— Zdobędzie — powiedział Dżyngis–chan. — Nie to, co trzeba, nie w tej ilości, ale na pewno zdobędzie.

— Tak, tak — zgodził się Dimow. — A więc, jeśli pan u nas zostanie, a zostanie pan, prawda? Nie, można przylecieć na taką planetę, jak Projekt–18, i natychmiast wracać! Jeśli więc pan u nas zostanie, będzie pan musiał pomieszkać w pokoju Wana. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Pawłysz zerknął na Dżyngis–chana, który nawet nie odwrócił głowy, tylko nieruchomo wpatrywał się w ścianę i powiedział bez entuzjazmu w głosie:

— Ja naturalnie nie mam nic naprzeciw, ale obawiam się, że będę krępował gospodarza…

— Już to omówiliśmy — odparł Wan. — Ja zresztą rzadko bywam w swoim pokoju. Mam wiele pracy.

— Doskonale! — ucieszył się Dimow. — Byłem pewien, że się dogadacie Wan zaprowadzi pana do pokoju, bo ja niestety muszę już przeprosić.

Ruszył spiesznie korytarzem, a Wan rzucił sucho:

— Proszę tu chwilę zaczekać. Muszę odprowadzić wózek do kambuza.

Pawłysz został sam w przestronnym korytarzu, a właściwie podłużnej hali podziemnego miasteczka Czuł się głupio. Znalazł się nagle w sytuacji człowieka, który nie tylko nie ma się czym zająć, ale nawet na co popatrzeć. Korytarz był pusty, jakby go kto wymiótł, a przyszły gospodarz zdecydowanie nie należał do najgościnniejszych Pawłysz gotów był zrozumieć go i wybaczyć maniery młodzieńcowi, który poczuł się dotknięty, że przypadkowy pilot nie usłuchał go, ośmielił się wyrazić własne zdanie i wylądować nie tak, jak mu rozkazano. Czasami ludzie niezbyt w czymś biegli wręcz chorobliwie reagują na słowa i czyny, które ich zdaniem dyskredytują ich kwalifikacje lub zdolności. Reakcja Dżyngis–chana była więc zrozumiała. Tym bardziej, że przecież nie mógł wiedzieć, iż Pawłysz już w szkole latał na tych ciężarówkach i zaliczał pilotaż u samego Castlera, który lubił powtarzać „Nie obchodzi mnie, czy będziecie lekarzami pokładowymi, kucharzami, mechanikami, czy też kapitanami liniowców. Nic to również nie będzie obchodzić ludzi, którzy zrzędzeniem losu znajdą się na pokładzie planetolotu i których życie zależeć będzie od tego, jak dobrze nauczyłem lekarza pilotować ciężarówkę. Wyobraźcie sobie. I dalej Castler barwnie i szczegółowo opowiadał autentyczną czy też osobiście przez siebie wymyśloną historię o tym, jak to na statku, który uległ katastrofie na orbicie, z całej załogi pozostał przy życiu jedynie lekarz i on właśnie musiał uratować pasażerów. A dysponował jedynie planetarnym towarowcem nie przystosowanym do przewozu ludzi. Nie, Pawłysz nie miał pretensji do Wana, ale było mu przykro, że ich znajomość zaczęła się od konfliktu. Jak go jednak przekonać, że chciał tylko zaoszczędzić paliwo, a nie zrobić na złość dyspozytorowi?

— Chodźmy! — Wan bezszelestnie podszedł do Pawłysza. — Nie możemy bezmyślnie tracić czasu, kiedy ludzie czekają na pocztę. Muszę ją szybko posegregować.

Powiedział to takim tonem, jakby to Pawłysz był winien temu, że nie mógł dotychczas posegregować poczty. Pawłysz wzruszył ramionami i pospieszył za nim.

Pokój Wanczidorża wyglądał niemal dokładnie tak, jak go sobie Pawłysz wyobraził. Był wielokrotnie większy od standardowych klatek innych stacji badawczych i zaopatrzony w wąskie, wysokie okno wykute w litej skale, przez które do wnętrza wlewały się potoki światła słonecznego.

Pawłysz podszedł do niego i zobaczył, jak u podnóża skały rozbijają się oceaniczne fale miarowo płynące do brzegu. Ale pirackiej fregaty nie było.

— To jest pańskie posłanie — powiedział Dżyngis–chan, wskazując najprawdziwsze w świecie, szerokie, wygodne łóżko, którego zagłówek sporządzony był z kamiennej płyty pokrytej skomplikowaną płaskorzeźbą.

— A pan? — zapytał Pawłysz. Drugiego łóżka w pokoju nie było.

— Przyniosę. Nie zdążyłem.

— Wobec tego ja będę spał na łóżku, które pan przyniesie — powiedział Pawłysz. — Gościnność też musi mieć swoje granice.

— Pozwoli pan, że ja te granice określę — burknął Dżyngis–chan. — To zresztą nie jest z mojej strony żadna ofiara.

Wysypał pocztę na stół i zaczął ją segregować.

— Proszą pana — powiedział Pawłysz — jeśli gniewa się pan na mnie za to, że nie usłuchałem polecenia, gotów jestem pana przeprosić. Ale proszę mi uwierzyć, że nic się nie mogło stać, bo ja te ciężarówki znam od dziecka. Po co więc miałem robić jeszcze jeden oblot?

— Nie ma o czym mówić — odparł Wan, nie odrywając się od pracy. — Tyle tylko, że jeśli ktoś opracował jakiś program, to trzeba go przestrzegać. Mam nadzieję, że nigdy już nie będzie pan pilotował statku lądującego na Projekcie.

— Nie o to chodzi…

— Spiron powinien wytłumaczyć panu w czym rzecz — powiedział Wan. — To jego wina. Porozmawiam sobie z nim,

— Współczuję mu! — Pawłysz spróbował obrócić wszystko w żart.

— Po nim, wszystko spływa jak po kaczce woda. Raz złapałem go w ostatniej chwili nieomal za rękę, kiedy zamierzał wysadzić w powietrze chmurę.

— Chmurę?

— Dimow lepiej to panu wytłumaczy. A ja muszę posegregować pocztę…

Pawłysz odszedł od okna. Wzdłuż zewnętrznej ściany pokoju, wygrodzonego z obszernej pieczary, stało wielkie biurko. Na jego blacie leżały płytki różowego i jasnozielonego nefrytu. Na jednej z nich był naszkicowany rysunek ptaka z ogromnymi skrzydłami. Nefryt ciepło świecił w słońcu. Muszla, podobna do połówki gigantycznego włoskiego orzecha, rzucała na sufit wielobarwne, perłowe zajączki. Wan pospiesznie segregował pocztę, rozkładając ją na równe stosiki. Jego drugie biurko stało pod boczną ścianą naprzeciw łóżka. Nad biurkiem wisiało kilka półek zastawionych przedmiotami, które mogą przydać się człowiekowi o dziwnych w swej różnorodności zainteresowaniach. O stosik mikrofilmów na drugiej półce oparta była fotografia Mariny Kim w ozdobnej ramce z masy perłowej pokrytej zawiłym wzorem. Marinę Pawłysz poznał od razu, chociaż sfotografowała się w jasnej peruce, która nadawała jej twarzy wyraz dziwnego uduchowienia, spowodowany zapewne kontrastem między bujnymi lokami kopciuszka a linią policzków i wykrojem oczu. Prawdziwe włosy Mariny Kim były czarne, proste i gładko ostrzyżone.

Pawłysz odwrócił się i zobaczył, że Wan patrzy na niego.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna w niebieskim kitlu i niebieskiej chirurgicznej czapeczce.

— Wan — powiedział — przepraszam, że wszedłem bez pukania. Podobno przyszła poczta.

Spostrzegł Pawłysza.

— Dzień dobry — powiedział. — Wie pan, już od ponad dwóch tygodni czekamy na pocztę, a Wan jest tak dokładny, że będzie ją sortował do wieczora.

— Jak tam u was? — zapytał Wan. — Polepszyło mu się?

— Płetwy to są płetwy — odparł mężczyzna w niebieskim kitlu. W ciągu dnia nie da się ich wyleczyć. No więc co z tą pocztą?

— Już idę — odparł Wan. — Niewiele mi zostało.

— Jest coś dla mnie?

— Wszystko w swoim czasie. Nie bądź taki niecierpliwy.

— No dobra — powiedział chirurg. Przygładził dłonią wąsiki, przesunął nią po spiczastej bródce i chrząknął.

— To pan przyprowadził ciężarówkę? — zwrócił się do Pawłysza.

— Tak. Zamiast Spirona.

— Bardzo mi miło, kolego. Długo pan zamierza u nas zostać? Bo jeśli tak, to znajdziemy dla pana jakieś zajęcie.

— To bardzo krzepiące — powiedział Pawłysz — ale wszędzie, gdzie się pojawię, natychmiast, proponuje mi się pracę, nawet nie pytając, jakim jestem pracownikiem.

— Dobrym! — powiedział kategorycznym tonem chirurg — Jestem fizjonomistą i potrafię określać takie rzeczy na pierwszy rzut oka. — Podał Pawłyszowi rękę i dodał.

— Nazywam się Jerychoński. Mój prapradziad był duchownym.

— No i co z tego?

— Zawsze tak mówię, żeby uniknąć pytań w rodzaju: „Lubi pan grać na trąbie?”, „Czemu ma pan taki cichy głos?”. To cerkiewne nazwisko.

Pawłysz znów zerknął na zdjęcie Mariny Kim. Pewnie niedługo zobaczy ją w naturze. Może nawet za parę minut. Czy się zdziwi na jego widok? Czy nie zapomniała? Można oczywiście zapytać o nią Wana. Już miał to zrobić, ale akurat wszedł chirurg…

— Skończyłem — powiedział Wan. — Idziemy. Pawłysz, pójdzie pan z nami? Zbiorą się tam wszyscy.

To mówiąc pakował przesyłki do dużej torby z licznymi przegródkami, każdy stosik do odrębnej kieszeni. Pawłysz zrozumiał, że i ta torba była roboty Wana, bo ten człowiek najwyraźniej lubił się otaczać wygodnymi, racjonalnie pomyślanymi przedmiotami, a jeszcze bardziej lubił takie przedmioty wykonywać sam.

— Udało mi się tu zmajstrować narty wodne — powiedział Jerychoński — ale Dimow nie ma duszy sportowca i rzuca mi kłody pod nogi. Albo mu szkoda paliwa, albo ma pilne zajęcie dla sternika motorówki…

Jerychoński gestem głowy wskazał Wana, jakby dając tym do zrozumienia, że i on należy do stronnictwa utrudniającego życie sportowcom.

— Gdybyś był na miejscu Dimowa, też byś nie pozwolił uganiać się na nartach wodnych po oceanie. Taka zabawa może skończyć się jedynie tym, że ty utoniesz, a motorówka ulegnie uszkodzeniu — powiedział Wan.

— I nie wiadomo przy tym — powiedział z gryzącym sarkazmem Jerychoński — co jest ważniejsze: moje lekkomyślne życie, czy też losy bezcennej motorówki.

— Twoje życie jest ważniejsze — odparł poważnie Wan. — Dlatego nie dostajesz motorówki. Ale motorówki też szkoda, bo jest nam potrzebna.

— Wiem — westchnął Jerychoński, — Z tobą trudno jest dyskutować, a już o pożartowaniu nawet nie ma mowy!

— To dlatego, że znam twoje żarciki na pamięć — odpowiedział Wan. — Już mi się serdecznie znudziły.

Weszli do obszernej sali, oświetlonej rzędem wykutych w skale okien. Podłoga była starannie wyrównana i wyłożona plastykiem. W najdalszym końcu sali stał długi stół otoczony podwójnym rzędem krzeseł. Było ich około czterdziestu i Pawłysz pomyślał, że załoga Stacji jest chyba niemal tak samo liczna. Pod ścianą, na której wisiało parę portretów, stał jeszcze stół do ping–ponga ze zdjętą siatką. Wan postawił torbę na stole i zaczął bez pośpiechu w pełnym nabożeństwa skupieniu, niemal rytualnymi gestami wyjmować z niej posegregowaną pocztę. Pawłysz poczuł, że ma coraz więcej sympatii dla Jerychońskiego, który miał po dziurki w nosie pedanterii Wana.

— Zawołam ludzi — powiedział Jerychoński.

— Poczekaj! — ofuknął go Wan, ale Jerychoński nie usłuchał, podszedł do ściany, otworzył niewielką wnękę i nacisnął guzik dzwonka, którego przerywany terkot przetoczył się przez korytarze i pomieszczenia stacji.

Pawłysz przyglądał się portretom. Ponury, czterdziestoletni mężczyzna o wystających kościach policzkowych: Iwan Grunik. Potem starzec i bardzo gęstymi, krzaczastymi brwiami: Armen Geworkian. Jeszcze jeden mężczyzna, młody, z wyrazem zdziwienia w błękitnych oczach: Mikołaj Dracz… Tych ludzi tutaj na Stacji znano i obdarzano szacunkiem. Zapewne już nie żyli, zginęli lub umarli własną śmiercią, ale dokonali czegoś ważnego w dziedzinie, którą zajmują się pozostali, ci, którzy pracowali z nimi dawniej lub wiedzą wszystko o tym, jak ci zmarli żyli, pracowali i dlaczego umarli… A teraz przyjdą tu ludzie wezwani dźwiękiem alarmowego dzwonka. I wśród nich będzie Marina Kim. Pomyślawszy to, Pawłysz odszedł od stołu do ping–ponga. W jednym ze stosików dostrzegł długą błękitną kopertę zaadresowaną do Mariny Kim.

Na salę weszło dwóch medyków w niebieskich kitlach, takich samych, jaki nosił Jerychoński. Pawłysz starał się nie patrzeć na drzwi i myśleć o rzeczach postronnych. Na przykład o tym, jak gra się w ping–ponga przy niskiej grawitacji. Obciąża się piłeczkę? Medycy nie zauważyli Pawłysza i ruszyli wprost do stołu, ale Wan powstrzymał ich gestem ręki:

— Poczekajcie aż wszyscy się zbiorą…

— Jakie to ma znaczenie? — znów zbuntował się Jerychoński.

— Tak zawsze się robi — odparł Wan.

Zjawił się Dimow.

— Gdzie listy służbowe? — zapytał, podchodząc do stołu.

— Proszę chwilę poczekać. — Wan nie zamierzał odstępować od rytuału nawet dla zwierzchnika.

Pawłyszowi wydało się, że na salę weszła Marina. Dziewczyna była czarnowłosa i wiotka, ale na tym jej podobieństwo do Mariny się skończyło. Była Hinduską. Miała mokre włosy i białe sari oblepiało miejscami wilgotną skórę,

— Sandro, nie przeziębisz się? — zapytał troskliwie Jerychoński.

— Tu jest ciepło — odparła Sandra.

Mówiła wolno, jakby dopiero uczyła się składać głoski. Potem głucho westchnęła i odchrząknęła.

— Tu jest ciepło — powtórzyła dźwięcznym głosem.

Sala zapełniała się. Ludzie byli w roboczych ubraniach, jakby tylko na moment oderwali się od

swoich zajęć i zamierzali zaraz do nich powrócić. Pawłysz wpatrywał się w twarze wchodzących, bo następna przecież mogła być Marina Kim.

Wan celebrował obrządek. Podsunął stertę oficjalnej korespondencji Dimowowi, a potem brał kolejno, poczynając od najgrubszego, pliki listów i przesyłek, odczytując głośno nazwiska adresatów. Nikt nie protestował przeciwko temu uświęconemu czasem rytuałowi poza Jerychońskim — zdeklarowanym buntownikiem.

Ludzie podchodzili i brali listy, swoje i adresowane do tych, którzy nie mogli oderwać się od pracy i otaczający Wana tłum wolno się rozpraszał. Jedni rozsiadali się wygodnie, żeby przeczytać list, inni znów spiesznie wychodzili, żeby przesłuchać u siebie taśmę. Poczta się kończyła Mariny Kim nie było. Wan wziął garść przesyłek i podał ją Hindusce Sandrze.

— Dla stacji morskiej — powiedział. — Jest tam również list do ciebie. Nie wiedziałem, że przyjdziesz.

Pawłysz pochylił się do przodu, żeby sprawdzić, czy w tej paczuszce nie ma błękitnej koperty, ale niczego nie udało mu się dostrzec Sandra odwróciła się od niego, szukając listu Wan wziął ostatni stosik.

— Sam przekażę — powiedział.

— Proszę się nie fatygować — powiedział Dimow, który choć sprawiał wrażenie całkowicie pogrążonego w lekturze, to jednak słyszał wszystko, co się wokół niego działo. — Zaraz idę na gorę, to przy okazji jej przekażę. A ty zajmij się rozładunkiem ciężarówki. Weź sobie do pomocy hydrologów. Oni dziś nie mają nic do roboty. Czekają na sztorm, a sztormu nie będzie.

— Wiatr się wzmaga — powiedział młodzieniec z długą blizną przecinającą na ukos czoło. — Może się doczekamy.

— Nie obawiajcie się, w razie czego damy wam znać — uspokoił go Dimow. — Zauważyłem, że hydrolodzy mają awersję do prac rozładunkowych. To dziwne.

— Dziwne — zgodził się Jerychoński. — Myśmy rozładowywali dwa kolejne statki.

— Cieszę się, że wszystko rozstrzygnęło się ku obopólnemu zadowoleniu — uśmiechnął się promiennie Dimow.

Wan był zmartwiony. Z kamienną twarzą podał plik listów Dimowowi, które ten wcisnął do bocznej kieszeni.

— Pawłysz — powiedział Dimow — kiedy wrócę, znajdę dla pana pół godziny na pytania i odpowiedzi. Domyślam się, że na razie żadnych pytań pan jeszcze nie ma. Może pan odprowadzić Sandrę, która i tak wraca na dół.

— Pójdę z wami — wtrącił Jerychoński. — Widzę, że niektórzy, zamiast wracać na swe stanowiska pracy, kierują się w stronę naszego gościa. Odpowiem za niego. Nie jest z Ziemi. Wie mniej od nas, co dzieje się w domu, nie zajmuje się sportem i nie zbiera znaczków pocztowych. Jest człowiekiem nieciekawym i źle poinformowanym. Całej reszty dowiecie się od niego przy kolacji. A powiedziawszy to, stłumił jego oburzenie, szepnąwszy na ucho:

— To dla pańskiego dobra, kolego. Bo inaczej nie odczepi się pan od nas do późnej nocy.

Kontynuował swoją myśl, kiedy już znaleźli się w tunelu:

— Gdyby nasza praca była nerwowa i pełna napięć — ciągnął — gdyby na każdym kroku czyhało na nas niebezpieczeństwo, wtedy nie zauważalibyśmy upływu czasu. Ale pracę mamy spokojną, w warunkach nie odbiegających od badań w ziemskim laboratorium, a rozrywek mało. Dlatego właśnie tak garniemy się do nowych twarzy. A nowe twarze u nas się nie pojawiają.

— Nie masz racji, Eryku — powiedziała Sandra. — To tylko u was jest tak spokojnie. U innych wygląda to nieco inaczej.

— Masz na myśli siebie?

— Nie, u mnie też jest spokojnie.

Kręcone schody biegły po ścianach pionowej studni, oplatając szyb windy. Poszli pieszo. Ściana miejscami była wilgotna.

— Jestem filozofem — gadał niezrażony Jerychoński. — I muszę panu powiedzieć, kolego, że warunki mojej tutejszej pracy skłaniają do abstrakcyjnego myślenia. Za pozorną powszedniością naszego życia kryje się zarodek przyszłych burz i przewrotów Ale to jest, powtarzam, zaledwie tło, o do tła człowiek szybko się przyzwyczaja. Sandra powiedziała przed chwilą, że inni nie mają tu zbyt spokojnego życia. Być może…

— Żartowniś — powiedziała Sandra. Szła przodem, a ponieważ szyb był słabo oświetlony, Pawłysz popuścił wodze swojej rozbuchanej fantazji i wyobraził sobie, że schodzi za piękną hinduską maharani do lochów jej rodowego zamku w Golkondzie, w których skarbów strzegą bengalskie tygrysy.

— Żartowniś — powtórzyła Sandra. — A kiedy byłam operowana w zeszłym tygodniu, bał się najbardziej ze wszystkich. Widziałam.

— Chciałem zastosować znieczulenie ogólne — powiedział Jerychoński. — A ty jesteś eksperymentatorką z gatunku tych, co to lubią stwarzać niepotrzebne problemy. Kiedy Dimow się pana spodziewa?

— Mówił coś o pół godzinie — odparł Pawłysz.

— Wobec tego pokażemy panu tylko akwarium i wracamy. Dimow mówi bardzo interesująco, ale okropnie nie lubi niepunktualnych.

— Dziwne — powiedział Pawłysz. — Wszyscy mówią tutaj o Dimowie jak o samowładnym tyranie, a on sprawia wrażenie człowieka bardzo spokojnego i delikatnego.

— Z nami trzeba być tyranem. Ja bym na miejscu Dimowa już dawno uciekł stąd gdzie pieprz rośnie. Ale ten facet ma stalowe nerwy.

— Eryk znów nie ma racji — wtrąciła Sandra, która zdawała się programowo negować każdą opinię Jerychońskiego. — Dimow jest człowiekiem wyjątkowo miłym i sympatycznym, tylko chce, żeby go słuchano, bo gdy ludzie nie będą słuchać, może wydarzyć się coś złego.

— No więc widzisz — mruknął Jerychoński — że to jednak ja mam rację!

Szyb się skończył. Pawłysz na kilka sekund oparł się o ścianę, żeby opanować zawrót głowy. Jerychoński zauważył to i powiedział:

— Umyślnie wiele chodzimy. Pracę mamy raczej siedzącą…

— Jak kto — powiedziała Sandra — do której Pawłysz już zawczasu się obrócił, oczekując kolejnej repliki, Moja praca wymaga dużo ruchu. A inni ruszają się jeszcze więcej.

— No, nie mówiłem o waszej grupie — odparł Jerychoński. — Wasza grupa to zupełnie co innego.

— A Marina Kim? — zapytała Sandra.

Pawłyszowi mocniej zabiło serce, bo po raz pierwszy to nazwisko zostało wymienione na głos, zwyczajnie, jak nazwisko Wana czy Dimowa. Z tych słów wynikało, że Marina Kim raczej nie należy do grupy, w której pracuje Sandra, ale że jest gdzieś tutaj, na Stacji, blisko, może właśnie w tej chwili Dimow oddaje jej list.

— Co tu ma do rzeczy Marina Kim? — zdziwił się Jerychoński i zwrócił się do Pawłysza, jakby szukając u niego poparcia — Czy to w ogóle można porównywać?

Pawłysz wzruszył ramionami. Nie wiedział, czy można porównywać Marinę Kim z Jerychońskim, chociaż jego pytanie oznaczało, że Jerychoński ma spokojne życie, a Marina Kim nie Jerychoński musi umyślnie biegać po schodach, żeby nie stracić formy, a Marinie to nie grozi.

— On przecież nie zna Mariny — powiedziała Sandra.

— Ach prawda! — wykrzyknął Jerychoński.

— Spotkałem ją kiedyś — powiedział Pawłysz — Dawno temu, na Księżycu Upłynęło chyba już ponad pół roku.

— To niemożliwe — zaoponował Jerychoński. Pan się musiał pomylić!

— Tak? Nie pamiętasz, co było w instytucie? — zapytała Sandra — Znowu o wszystkim zapomniałeś.

Weszli do obszernej hali przytłoczonej niskim stropem, podpartym gdzieniegdzie słupami. Ściana naprzeciw wejścia była przezroczysta. Za szybą widać było zielonkawą wodę.

— To jest nasze akwarium powiedział Jerychoński.

— Zostawię was tutaj — powiedziała Sandra. — Muszę oddać listy, a potem do pracy.

— Powodzenia, Sandro — powiedział Jerychoński nieoczekiwanie zmienionym głosem. — Nie przemęczaj się. Dziś wieczorem przebadam cię diagnoskopem.

— Zwariowałeś? — oburzyła się Sandra, odgarniając z twarzy długie czarne włosy. — Tego tylko jeszcze brakowało, żebym co wieczór chodziła do ciebie, jak na randkę!

— Troszczę się tylko o twoje zdrowie.

— Załatw u Dimowa zlecenie na codzienne badania i wtedy będę cała twoja — powiedziała Sandra i szybko ruszyła w stronę zlewających się ze ścianą stalowych drzwi w głębi hali.

Jerychoński rozłożył ręce, westchnął i powiedział:

— Jestem starszy od większości załogi. Przekroczyłem już czterdziestkę i czasami czuję się jak sterany życiem starzec, który nie potrafi śmiać się z dowcipu, bo nie rozumie, co w nim śmiesznego. Zaraz wrócę.

I pobiegł za Sandrą.

Pawłysz podszedł do przezroczystej ściany. Na odległość wyciągniętej ręki przemknęło stadko małych rybek. Promienie słońca przenikały przez wodę i załamywały się na falach. Rzadkie pęczki wodorostów kołysały się na podwodnym wietrze, Dno oceanu łagodnie opadało w głębinę, a tam, ledwie widoczne, wznosiły się ostre, strome skały. Ogromna płaszczka czy też zwierzę przypominające płaszczkę uniosło się z głębiny i wolno, majestatycznie podpłynęło do szyby. Zaraz potem pojawiło się takie samo, nieco mniejsze zwierzę. Pawłysz pomyślał, że nie mogą go zobaczyć, bo w hali jest niemal ciemno, ale też miał cichą nadzieję, że szyba jest wystarczająco mocna. Potem nagle pomyślał, że niektóre ziemskie płaszczki mogą obezwładniać swe ofiary przy pomocy wyładowań elektrycznych i cofnął się o krok od akwarium. To było bez sensu, gdyż budowniczowie Stacji z pewnością pomyśleli o takiej ewentualności, ale strzeżonego… Gigantyczna płaszczka jakby dostrzegła ruch Pawłysza, bo otworzyła paszczękę wypełnioną kilkoma rzędami ostrych, drobnych zębów. Zaraz jednak z gracją zaskakującą u takiego olbrzymiego stworzenia odwróciła się i popędziła za pryskającym we wszystkie strony rybim drobiazgiem.

Gdzieś z boku, z niewidocznego przez szybę akwarium otworu, wypłynęła Sandra. Była w lekkim gumowym kostiumie, płetwach i zasłaniających pół twarzy okularach. Nie widziała płaszczki i

Pawłysz zaniepokoił się o nią.

— Sandro! — krzyknął, rzucając się do szyby.

Mniejsza z płaszczek ruszyła w stronę dziewczyny, w jej niespiesznych, pełnych gracji ruchach wyczuwało się pierwotną siłę. Płetwy zwierzęcia miały z pięć metrów rozpiętości, a długi ogon zakończony był ostrym, zagiętym kolcem.

Sandra nie słyszała Pawłysza. Zawróciła i popłynęła naprzeciw płaszczce, której ani w głowie było na nią napadać. Po prostu wolno sunęło w jej kierunku, aż wreszcie zatrzymała się w miejscu, leniwie łopocąc płetwami. Sandra powiedziała coś do płaszczki. Pawłysz mógł przysiąc, że widział, jak otwierało usta! Potem uniosło się na pół metra w górę i opadła na grzbiet płaszczki. Zwierzę energicznie machnęło płetwami i popędziło w głębinę… Druga płaszczka pomknęła za nimi.

Pawłysz zorientował się nagle, że stoi w niewygodnej pozie z czołem przyciśniętym do szyby. Przeciągnął dłońmi po skroniach, bo wydawało mu się, że potargał sobie włosy. Włosy były w porządku. Zastanowił się i znalazł prawdopodobne wytłumaczenie oglądanej przed chwilą sceny. Po prostu załoga Stacji oswoiła morskie zwierzęta. I Sandra… To chyba była jej praca. Pawłysz pomyślał, że podziela niepokój Jerychońskiego, który pewnie gdzieś z sąsiedniej hali patrzy na to, jak Sandra ujeżdża płaszczkę. Patrzy bezradnie, bo gdyby się coś stało…

Pawłysz zerknął na zegarek. Minęło prawie pół godziny od rozstania z Dimowem. Dimow nie lubi niepunktualnych. I chociaż Pawłysz nie miał podstaw, aby bać się Dimowa, to jednak wolał, skoro już znalazł się między wronami, krakać jak i one. Raz już spróbował się odezwać głosem i naraził się Wanowi. Postanowił odszukać Dimowa tym bardziej, że miał już do niego co najmniej dwa pytania. Pierwsze dotyczyło Mariny Kim, a drugie Sandry. Sandra mówiła pod wodą. A to mogło znaczyć, że oddycha pod wodą. Ciekawe czy ma wszczepione skrzela, czy też jakieś urządzenia w ustach wydające drgania odbierane przez płaszczki i brzmiące dla nich jak rozkaz? No cóż, z tymi pytaniami można już zaczynać rozmowę.

* * *

Nie umawiał się z Dimowem co do miejsca spotkania, więc wjechał na górę windą i bez trudu odnalazł jadalnię, ale nikogo w niej nie zastał Wówczas postanowił pójść do pokoju Wana, pomyślawszy, że Dimow najłatwiej właśnie tam go odszuka.

Wana też nie było. Widocznie nadal rozładowywał z hydrologami ciężarówkę. Pawłysz od razu podszedł do półki z portretem Mariny Marina patrzyła ponad jego ramieniem z wyraźnym błyskiem zaciekawienia w oczach, jakby za jego plecami działo się coś interesującego, a może nawet śmiesznego. Kąciki pełnych warg uniosły się do góry — to jeszcze nie był uśmiech, ale już początek uśmiechu. Minęło już niemal czterdzieści minut a Dimow się nie pojawiał. Pawłysz podszedł do okna. Nad oceanem zrywał się wiatr i białe grzebienie piany pokrywały go aż po horyzont. W pokoju było bardzo cicho. Cicho było również w korytarzu, bo przez uchylone drzwi nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. I nagle rozległ się cichy terkot, jakby bliskie granie obudzonego nagle świerszcza. Pawłysz popatrzył w tamtym kierunku. Na końcu długiego biurka stała maszyna do pisania. Zwykła maszyna sterowana głosem. Maszyna pracowała. Krawędź kartki wysunęła się nad karetkę, ukazując wydrukowany wiersz. Maszyna szczęknęła i odcięta notatka wpadła do kosza odbiorczego. Pawłysz

pomyślał, że to może być wiadomość dla niego od szukającego go Dimowa. Podszedł do maszyny, spostrzegł podłączony do niej kabel biegnący po kamiennej ścianie i skrywający się w stropie, i wziął do ręki karteczkę.

„Wan — przeczytał — Jak nazywa się pilot ciężarówki? Jeśli Pawłysz, to nie mów mu o mnie. Marina".

Notatka dotyczyła bezpośrednio Pawłysza, ale była przeznaczona nie dla niego. Notatka świadczyła o tym, że Marina znajduje się gdzieś w pobliżu, ale nie chce się z Pawłyszem widzieć. To znaczy, że już go widziała, ale z daleka, bo inaczej nie miałaby wątpliwości, że widziała właśnie jego. A może usłyszała przypadkiem jego nazwisko od Jerychońskiego lub Dimowa?

Pawłysz stał, trzymając karteczkę w ręku Marina nie chce go widzieć. Jest na niego obrażona? Za co? I jak.

Jak się ma teraz zachować, kiedy już wie, że Marina jest gdzieś w pobliżu?

— A, jest pan — powiedział Dimow. — Dobrze pan zrobił, że pan tu wrócił. Byłem niemal pewien, że tu pana znajdę… No i jak, był pan na dole?

— Byłem — odparł Pawłysz. Trzeba było odłożyć notatkę na miejsce. Zrobił krok w stronę maszyny.

— Coś się stało? — zapytał Dimow. — Widzę, że jest pan zdenerwowany.

Dimow mówił miękkim, jakby przepraszającym tonem, ale tak, że nie sposób było mu nie odpowiedzieć.

— Proszę mi to pokazać — dodał — widząc, że Pawłysz jednak zwleka z odpowiedzią.

Pawłysz podał mu notatkę.

— Aha — powiedział Dimow po przeczytaniu karteczki. — To jest ich prywatna korespondencja — wskazał maszynę. — A pan przypadkowo wziął ją do ręki, bo maszyna do pisania akurat ruszyła i uznał pan, że to wiadomość dla pana ode mnie, nieprawdaż?

Pawłysz skinął głową.

— I rzecz jasna bardzo się pan zmartwił. Nic dziwnego, każdemu z nas jest przykro, jeśli ktoś nas nie chce widzieć. Nawet jeśli są po temu poważne powody.

Dimow przechwycił wzrok Pawłysza rzucony na fotografię Mariny.

— A więc pan ją zna?

— Tak.

— Kiedy pan ją poznał? Przepraszam za nadmierną dociekliwość, ale jeśli to nie sekret, chciałbym wiedzieć Marina Kim jest moją podwładną i co za tym idzie…

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy — odparł Pawłysz. — Poznałem Marinę Kim nieco ponad pół roku temu podczas karnawału w Lunaporcie…

— Pół roku?

— Tak.

— Naturalnie, naturalnie. Teraz sobie przypominam Ona wówczas dopuściła się poważnej niesubordynacji…

— Znajomość była krótka i absolutnie przypadkowa… Pawłysz zdziwił się, że mówi to Dimowowi Jakby się przed nim tłumaczył.

— Wiedział pan, że ona tu jest?

— Prosiła wówczas, żebym jej nie szukał. To znaczy, żebym jej nie szukał przez dwa lata.

Pawłyszowi wydało się, że w oczach Dimowa dostrzegł cień uśmiechu.

— A jak się pan dowiedział, że ona tu jest?

— I tak bym tu przyleciał. Spiro poprosił mnie, żebym doprowadził tu ciężarówkę, a ja miałem akurat trochę czasu. Kilka listów wypadło z worka pocztowego i na jednym z nich zobaczyłem nazwisko Mariny Kim. Pewnie powinienem zapytać o nią od razu, ale nie czułem się do tego upoważniony… Prawie jej przecież nie znam…

— Taak… — Dimow odłożył notatkę do pojemnika maszyny. — Widziałem ją przed chwilą, kiedy oddawałem ten właśnie list. Wzięła go i natychmiast odleciała. To ja jej powiedziałem, że Spiro nie przyleciał. Spiro obiecał jej coś przywieźć. Zapytała mnie, kto dostarczył pocztę, więc powiedziałem jej, że nazywa się pan Pawłysz. Nie pomyliłem się?

— Nie.

— Nie zauważyłem jednak, aby to ją zmartwiło. Widzi więc pan, że okazała się sprytniejsza ode mnie. Natychmiast rzuciła się do maszyny i ostrzegła Wana. A ja teraz, zupełnie nie mam pojęcia, co mam zrobić.

— Ona ma prawo mnie unikać… — zaczął Pawłysz.

— Nie mam zamiaru negować jej praw, bo w pełni się z nią zgadzam. Tym bardziej, że i tak nie mógłby jej pan zobaczyć. Marina poleciała do siebie…

— Daleko?

— Nie bardzo. Nie chce pana widzieć… Tak… Ma widać swoje powody… — Dimow głośno myślał. — Z drugiej strony ja na jej miejscu… Proszę mi powiedzieć jaki charakter miała ta wasza przelotna znajomość. Zresztą nie, nie trzeba. To zupełnie mnie nie dotyczy, jako że w tej chwili mamy do czynienia nie ze znajomością jako taką, lecz z jej emocjonalnymi następstwami… I po jakiego diabła pana tu przyniosło?!

— Co? — na takie dictum nawet Pawłysz się zdziwił.

— Przepraszam, bardzo pana przepraszam! To była tylko głośno wypowiedziana myśl, absolutnie nie przeznaczona dla pańskich uszu. Tak, absolutnie nie przeznaczona, chociaż istotnie pańska obecność tutaj wprowadza pewne komplikacje. Będę musiał dobrze się zastanowić, zanim podejmę w tej sprawie jakąś decyzję. Proszę się na mnie nie gniewać. Tak… Wie pan co? Może porozmawiajmy na razie o naszej Stacji. Dla pana, jako biologa, powinno to być niezmiernie interesujące. Zresztą na pewno ma pan już jakieś pytania…

Pawłysz nie potrafił rozgniewać się na Dimowa, bo je go szczerość była doprawdy rozbrajająca.

— Moje pierwsze pytanie brzmiało następująco — powiedział Pawłysz. — Gdzie jest Marina Kim i jak mogę się z nią zobaczyć? Liczyłem, że przyjdzie odebrać pocztę, ale nie przyszła.

— Tak, nie przyszła — zgodził się Dimow.

— Teraz to pytanie zostało chwilowo wycofane z porządku dziennego, pozostało więc drugie. Byłem na dole, coś tam zobaczyłem, ale niewiele zrozumiałem, bo Sandra wkrótce odpłynęła na płaszczce, a Jerychoński zniknął…

— Dlatego, że niepokoi się o Sandrę — zakończył za niego Dimow, wyraźnie zadowolony, że Pawłysz zgodził się zmienić temat rozmowy.

— Mogłem zatem dojść do wniosku — ciągnął Pawłysz — że zajmujecie się badaniami i zagospodarowaniem oceanu i wykorzystujecie do tego celu miejscowe zwierzęta. To biosugestia czy tresura?

— Ma pan na myśli…

— Płaszczki. Widziałem, jak Sandra popłynęła wierzchem na płaszczce.

— Aby uniknąć zbędnych pytań, zacznijmy od samego początku. Zna pan prace Geworkiana?

Pawłysz przeraził się, że głęboko dotknie Dimowa, wyznając, że zna tylko nazwisko, nic więcej.

— Jedynie w ogólnych zarysach — powiedział, patrząc na Dimowa swymi niewinnymi, błękitnymi oczami, które już nieraz ratowały go w trudnych sytuacjach życiowych. — Rozumie pan, na statku ma się niewiele czasu na lektury…

— Jasne — powiedział Dimow z pobłażliwą przenikliwością — Ja też nie zawsze jestem wystarczająco zorientowany w osiągnięciach pokrewnych dziedzin biologii. Ale o biofarmocji pan słyszał?

— Naturalnie! — odparł skwapliwie Pawłysz.

— W ogólnych zarysach, jak sądzę — skwitował Dimow. — Proszą się tylko nie usprawiedliwiać. Bo na przykład w czym pan się specjalizuje, poza naturalnie pańską działalnością praktyczną? Zadaję to pytanie, bo wiem, że musi się pan czymś zajmować, gdyż inaczej byłby pan zdeklarowanym leniem, wiecznym pasażerem.

— Ostatnio pracowałem u Singha nad pewnymi aspektami regeneracji. A u was znalazłem się dlatego, że nie mogłem dotrzeć na Koronę, gdzie jego grupa ma ośrodek reanimacyjny. Singh ma wielkie osiągnięcia i jeszcze większe perspektywy.

— Słyszałem o profesorze Singhu. Pracuje w Bombaju, prawda?

— W Kalkucie.

— No właśnie. Sandra była u niego na stażu… Natomiast o Koronie mam bardzo słabe pojęcie i to wcale nie dlatego, żeby mnie ta dziedzina nie interesowała. Po prostu brak czasu. Proszę mi zatem wybaczyć, że opowiem panu o naszych sprawach nieco szczegółowiej, niż się to panu wyda niezbędne. Jeśli pan będzie coś z tych rzeczy wiedział, proszę łaskawie udawać, że pan nie wie… Organicznie nie znoszę, kiedy mi się przerywa…

I uśmiechnął się z zażenowaniem, jakby przepraszając za swe nieznośne usposobienie.

— Kiedy — kontynuował Dimow — powstawał nasz instytut, jakiś dowcipniś zaproponował, żeby naszą naukę nazwać ichtiandrologią. Był kiedyś taki bohater literacki — Ichtiander, Diabeł Morski, człowiek–ryba z wszczepionymi skrzelami. Nie czytał pan przypadkiem?

— Czytałem.

— Ale naturalnie ten pomysł nie przeszedł. Uczonym potrzebne są uczone słowa. To nasza słabość. Zostaliśmy nazwani Instytutem Bioformacji. Nowe nauki, jak pan zapewne zauważył, powstają czasem na czole lawiny. Gromadzą się jakieś fakty, doświadczenia, idee, a kiedy ich ilość przekracza dopuszczalny poziom, wtedy powstaje nowa gałąź wiedzy. Nauka ta drzemie do czasu pojawienia się dyscyplin pokrewnych lub nawet nader od niej dalekich, jej idee unoszą się niejako w powietrzu, coraz częściej piszą o niej dziennikarze, ale nauka nie ma jeszcze nazwy i skrystalizowanego ośrodka. Uprawiają ową raczkującą dyscyplinę na razie poszczególni entuzjaści i dziwacy. Tak tamo było z bioformacją. Pierwszymi bioformantami były wilkołaki. Baśniowe wilkołaki zrodzone z pierwotnej fantazji, która widziała w zwierzętach swoich bliskich krewniaków. Człowiek jeszcze wówczas nie wyodrębnił siebie z natury… Widział siłę w tygrysie, przewrotność w wężu, chytrość w lisie. Przekształcał je w totemy i wierzył, iż w zwierzętach kryją się duchy ludzi. Siłą swej wyobraźni przesiedlał w zwierzęta ludzkie dusze i opatrywał je w baśniach ludzkimi cechami. Szczytowym wykwitem tego rodzaju fantazji stali się czarnoksiężnicy, czarownicy, którzy wedle własnej woli przybierali postać zwierząt i złych wilkołaków. Słucha mnie pan?

Pawłysz kiwnął bez słowa głową. Pamiętał, że obiecał nie wtrącać się, nie przerywać.

— Wilkołaki okazały się niesłychanie żywotne. Ludzie pragną latać i latają we śnie. Ludzie pragną pływać jak ryby. Wobec tego zżerana zawiścią ludzkość zaczęła zapożyczać od zwierząt ich metody. Powstał aeroplan podobny do ptaka, powstała łódź podwodna — rekin.

— Zawiść nie była chyba głównym motorem tych wynalazków.

— Pawłysz, proszę mi nie przeszkadzać! Ja wiem, że nie mam racji, ale chcę wykazać, że ludzkość wybrała zdecydowanie niewłaściwą drogę. Usprawiedliwia ją jedynie to, że nie miała wystarczającej wiedzy i możliwości, aby pójść drogą właściwą. Człowiek kopiował poszczególne funkcje zwierząt, ale samego siebie pozostawiał w nienaruszonym stanie. Diabeł Morski pozostawał jedynie marzeniem. Jednak taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Medycyna osiągnęła pewien poziom, który umożliwił przeszczepianie narządów i tworzenie narządów sztucznych. W życiu ludzi coraz większe znaczenie zaczęła odgrywać biologia, genetyka, sterowane mutacje i tak dalej. Ludzie nauczyli się restaurować, naprawiać swoje organizmy, ale zawsze było to jedynie przywracanie ich stanu poprzedniego, stanu czysto ludzkiego.

Pawłysz miał ochotę powiedzieć coś w rodzaju: „Wszystko to jest od dawna znane, już wiem, o czym chce pan mówić dalej", ale doskonale rozumiał, że jest dla Dimowa darem losu, niespodziewanym audytorium, przy którym można się wygadać. Podejrzewał, iż Dimow jest urodzonym pedagogiem, którego okoliczności pozbawiły rozkoszy wygłaszania wykładów i rzuciły w otoczenie, które samo wszystko wie i za nic w świecie nie będzie słuchało wykładów nawet z szacunku dla lektora. Zamyślił się i przegapił kilka pełnych pasji słów Dimowa.

— …— Geworkianowi los wyznaczył rolę zbieracza faktów, człowieka, który zestawił w spójną całość wszystkie te przykłady, o których panu dopiero co opowiedziałem i sformułował zadania, kierunki badań i cele bioformacji. Jest oczywiste, że nie tyle go wyśmiano, ile nie potraktowano poważnie. Bo co innego niewielkie jednostkowe zmiany ciała ludzkiego, a co innego zasadnicza jego przebojowa Jeśli jednak ubiegłowieczni uczeni musieli dowodzić swoich rewolucyjnych racji całymi dziesięcioleciami i zyskiwali uznanie gdzieś koło osiemdziesiątego roku życia, to Geworkian miał do dyspozycji Bazę Oceaniczny Nairi, gdzie pracowało już dwunastu podwodników i wszczepionymi skrzelami.

— Sandra jest podwodniczką? — zapytał Pawłysz.

— Naturalnie — powiedział Dimow, jakby zdziwiony niedomyślnością rozmówcy. — Czyżby pan nie zauważył, jak ona specyficznie, głucho mówi?…

— Tak, zauważyłem,

— Sandra przeszła do nas niedawno, ale kiedyś pracowała w Nairi. Na czym to stanąłem?… Aha! Wytworzyła się paradoksalna sytuacja. Ludzie–ryby są nam potrzebni, wyposażamy więc podwodników w skrzela i znajdujemy dla nich mnóstwo pracy w oceanie. Dziennikarze piszą już o rasie ludzi morskich, chociaż naukowcy doskonale rozumieją, że jeszcze za wcześnie o tym myśleć, bo podwójny układ oddechowy tak dalece komplikuje organizm, że jego zrównoważenie jest niezwykle utrudnione Geworkian od samego początku był przeciwny temu, aby skrzela nurków pozostawały częścią ich ciała do samej śmierci. „Nie — mówił Armen Aszotowicz — niechaj ciało ludzkie będzie jedynie powłoką, jaką zgodnie ze swą wolą zechce przyoblec rozum ludzki. Powłoką, którą w razie potrzeby można zrzucić i powrócić do normalnego życia". Teraz rozumie pan różnice, między nurkami a bioformantami?

Pawłysz zmilczał. Zresztą Dimow nie czekał na odpowiedź, bo odpowiedział sam:

— Bioformant to człowiek, którego struktura cielesna została zmieniona w ten sposób, aby mógł

on lepiej wykonywać swoją pracę w warunkach, w jakich normalny człowiek nie może egzystować…

Pawłysz przypomniał sobie, skąd zna nazwisko Geworkiana. Oczywiście jeszcze z lat studenckich To było jakieś piętnaście lat temu. Potem spory ucichły… A może Pawłysz zajmował się akurat czymś innym…

— Spory i dyskusje koncentrowały się wokół problemu numer jeden — kontynuował Dimow — Po co zmieniać strukturę ciała ludzkiego, co jest rzeczą niełatwą i czasami niebezpieczną dla obiektu transformacji! Skoro można wymyślić maszynę, która spełni wszystkie żądane funkcje. No dobrze, iluś tam nurków przyda się w oceanologii, ale co dalej? Chcecie stworzyć Ikara? — pytano nas. — Ikara z prawdziwymi skrzydłami? Wyprzedzimy go na lotni. Chcecie stworzyć człowieka–kraba, który mógłby zejść do Tuscarory? Opuścimy tam samobieżny batyskaf. Ale… — Dimow zawiesił głos, lecz Pawłysz zepsuł mu cały efekt, kończąc za niego zdanie: „Kosmos to nie ziemski Wszechocean”.

Dimow odkaszlnął i zamilkł oburzony, niczym znany aktor, któremu jakiś cham podpowiedział z widowni „Być albo nie być”…

— Przepraszam — powiedział Pawłysz — ale nieźle pamiętany ówczesne dyskusje.

— Tym lepiej — odrzekł lodowatym tonem Dimow.

Wszedł Wan.

— Ciężarówka rozładowana — powiedział.

— Masz wiadomość od Mariny — powiedział Dimow. — Niechcący ją przeczytałem.

Wan podszedł do maszyny i przeczytał notatkę. Potem zerknął na Pawłysza.

— Pawłysz zna jej treść — zauważył Dimow. — Przeczytałem ją na głos.

— To jest wiadomość dla mnie — mruknął Wan.

— Wiem. Już cię przeprosiłem. To naprawdę było niechcący. Kiedy maszyna ruszyła, natychmiast do niej pod szedłem. Wiesz przecież, że to jest u mnie odruchowe.

— Nie to miałem na myśli…

— Marina nie wiedziała, że Pawłysz jest w tym pokoju, a on już wie, że ona jest tutaj.

— I co mam jej teraz powiedzieć?

— Prawdę. Powiedz, że to moja wina i że Pawłysz bez jej zgody nie będzie próbował się z nią spotkać. Obiecał mi to.

Pawłysz wprawdzie niczego podobnego nie obiecywał, ale uznał, że Dimow wie lepiej, co jest dobre lub złe na Stacji,

— On ją zna? — zapytał Wan Dimowa, jakby Pawłysza nie było w pokoju.

— Sam go o to zapytaj.

— Tak. Znam ją.

Wan usiadł na wolnym krześle.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

— Nie, Opowiadam Pawłyszowi o bioformacji. To cię nie zainteresuje.

— Zainteresuje — powiedział Wan i jeszcze raz przeczytał notatkę.

— No dobrze. — Dimow znów zwrócił się do Pawłysza. — A więc Kosmos, jak pan powiedział, nie jest ziemskim Wszechoceanem. To prawda, wobec czego Geworkian zyskał poparcie Dalekiego Zwiadu Kosmicznego. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile zgłoszeń napłynęło, kiedy opublikował swój syntetyczny referat!

— Trzy — powiedział rzetelny Wan, który musiał doskonale znać całą tę historię.

— Nieważne — machnął ręką Dimow. — Z początku były trzy zgłoszenia, ale potem kilkadziesiąt. A co najważniejsze do Geworkiana pospieszyli ze wszystkich stron chirurdzy i biolodzy. To były trudne lata! Wszystkim zależało na konkretnych wynikach, a my nie przyjmowaliśmy ochotników. Mieliśmy jednak głębinowego psa, a właściwie rybę–psa. Potem jeszcze trzy lata doświadczeń i dopiero wtedy mogliśmy z pełnym przekonaniem zagwarantować bioformantowi powrót do jego pierwotnej postaci ludzkiej. Wówczas to, sześć lat temu zaczęliśmy doświadczenia z ludźmi. Pracowałem wtedy u Geworkiana…

— Dimow był pierwszy — powiedział Wan. — Geworkian z początku nie chciał go wziąć, bo w ogóle był wówczas przekonany, że minie co najmniej dwadzieścia lat, zanim pierwszy bioformant stanie się realnością.

— Nie byłem pierwszy — zaoponował Dimow. — Pierwszy był kierowca Polaczek, który do dziś pracuje w Instytucie, na Ziemi. Żywa kronika bioformacji. Bardzo lubi udzielać wywiadów.

— A kto był pierwszym bioformantem? — zapytał Pawłysz.

— Było ich dwóch — odparł Dimow. — Series i Sapajew. — Przygotowano ich do pracy pod wodą na głębokości do dziesięciu kilometrów. Nie mogli przekonać sceptyków, których przekonał dopiero przypadek.

— Zupełnie jak jabłko Newtona — powiedział Wan.

— Tak, bo Newton wiedział, że jabłko spadnie — powiedział gorąco Dimow. — Jestem przekonany, że wszystko już sformułował i czekał tylko na wizualne potwierdzenie.

— No i wybrał się do ogrodu — powiedział bez uśmiechu Wan.

— Dobra — ciągnął Dimow. — Przypadek się zdarzył. Pamięta pan, jak ratowano batyskaf w Rowie Filipińskim?

— Kiedy to było?

— A więc nie pamięta pan. Dla bioformacji to kamień milowy. Batyskaf stracił sterowność, wpadł do szczeliny i został zasypany. Łączności nie było. Słowem klasyczny przykład bezradności techniki. A nasi chłopcy do niego dotarli… Mam gdzieś wycinki prasowe i zdjęcia z tamtego okresu. Jeśli będzie pan miał ochotę, mogę później pokazać…

Dimow mówił o tym, jak o zamierzchłej historii. A przecież od opisywanych przez niego wydarzeń upłynęło zaledwie nieco ponad pięć lat.

— W tym czasie w Instytucie pracowało już kilku ochotników. Wie pan, nawet przy naszych możliwościach proces bioformacji jest niezmiernie trudny. Powiedzmy, że mamy Grunina. Ochotnika, kosmonautę. Ma pracować na planecie, gdzie ciśnienie atmosferyczne dziesięciokrotnie przekracza ziemskie, a temperatura na powierzchni wynosi przeciętnie plus trzysta stopni. Gdzie w dodatku poziom promieniotwórczości jest sto razy wyższy od normy, o ponadto bez przerwy szaleją burze i erupcje wulkanów. Naturalnie możemy posłać na tę planetę robota odpornego na te warunki, a nawet niesłychanie skomplikowany pojazd z człowiekiem w środku. Jednak możliwości tego człowieka będą bardzo ograniczone. Grunin uważa, że powinien pójść na tę planetę sam. Zupełnie sam. Dotknąć własnymi rękami, zobaczyć na własne oczy, bo jest badaczem, pionierem, uczonym. Zatem przyjmujemy Grunina. Sprawdzamy, jakim warunkom winno odpowiadać jego nowe ciało, jakie obciążenia musi ono wytrzymać. Obliczamy algorytm takiego ciała, szukamy analogii, na jakich możemy się oprzeć, badamy ekstremalne zagrożenia i wreszcie w oparciu o modele biologiczne zaczynamy przekształcać Grunina… — Zamilkł.

— Grunin zginął — powiedział Wan.

— Wszystkiego przewidzieć nie sposób. I nie sądzę, żeby można było o to obwiniać Geworkiana. Tworząc bioformę na bazie konkretnego człowieka, należy pamiętać, że zewnątrz owej formy pozostaje mózg tego właśnie człowieka ze wszystkimi jego ograniczeniami…

— Potem był Dracz. Też przygotowywany na tę samą planetę. I Dracz też zginął — powiedział Wan.

— Proszę bez demagogii! — warknął z irytacją Dimow. — Przecież pan wie, że Dracz zginął na Ziemi, kiedy już wrócił ze swojej wyprawy.

Pawłysz przypomniał sobie portret Dracza w jadalni Stacji. Grunina nie mógł sobie przypomnieć, chociaż jego portret też tam wisiał, a Dracz stanął mu przed oczami jak żywy.

— Wrócił — powtórzył Dimow. — Miał na powrót przybrać ludzką postać. Wszystko by się dobrze skończyło, ale na Kamczatce zaczęło się trzęsienie ziemi i trzeba było odetkać wulkan. Wejść do krateru i wysadzić w powietrze skalny korek. Wulkanolodzy poprosili Instytut o pomoc. Geworkian kategorycznie odmówił, ale Dracz słyszał tę rozmowę. Poszedł, zrobił wszystko co należało, ale nie zdążył wrócić… I Geworkian…

— To był najcięższy rok w historii Instytutu — powiedział Wan, aby wypełnić przeciągającą się pauzę.

— Geworkian miał chore serce — powiedział Dimow — i ukrywał to. Tak bardzo chore, że nawet w Moskwie nic już nie mogli zrobić. Ale Instytut istniał, miał kilka laboratoriów i wielu bioformantów.

— Były już nawet legendy — powiedział Wan. — Wie pan, zrobiliśmy speleologa, który mógł widzieć w ciemnościach, przemykać się przez najciaśniejsze tunele i zalane wodą niedostępne groty. Był malutki i zaginął.

— Po pierwsze — przerwał mu Dimow — speleolodzy–bioformanci istnieją, wcale nie są tacy mali i żaden z nich nie zaginął. A legenda, po wtóre, mówi o tym, że jeden z nich nie chciał stawić się na retransformację. Czas przebywania w cudzym ciele jest ściśle określony i jeśli go przekroczyć, organizm z najwyższym trudem powraca do stanu pierwotnego, a w skrajnych przypadkach odtworzenie w ogóle może się nie udać. Takie nieszczęście nigdy dotąd się nam nie przydarzyło, ale zawsze należy się z nim liczyć. Otóż owa legenda utrzymuje, że speleolog, kiedy nadszedł czas powrotu, ukrył się w bezdennych kredowych grotach Quintana Roo, Ukrywa się tam dotychczas, tylko regularnie podrzuca na powierzchnię artykuły naukowe, wydrapane zabytkowym gwoździem na wygładzonych płytkach wapniaka.

— A po trzecie to nie jest żadna legenda — zakończył Wan. — Ten grotołaz siedzi tam do dziś, mimo trwających trzy lata poszukiwań. Nazywa się Cellini. To Włoch.

Dimow machnął na niego jak na uprzykrzoną muchę, a Pawłysz pomyślał, że w tym na poły żartobliwym sporze rację może mieć Wan, a Dimow i cały reprezentowany przez niego Instytut po prostu nie chce pogodzić się z godną pożałowania rzeczywistością. Wyobraził też sobie szczęśliwego speleologa pływającego w lodowatym podziemnym jeziorze i pełzającego z jaskini do jaskini w pogoni za ślepym robakiem nie znanym jeszcze nauce. Ale jak wygląda on sam?

— A jak on wygląda? — zapytał na głos.

— Kto? — nie zrozumiał Dimow.

— Brzydko — powiedział Wan. — Bardzo brzydko. Większość bioformantów nie grzeszy urodą. Mogę panu potem pokazać zdjęcia z instytutowego archiwum. Najbrzydszy jednak był Dracz. Znałem

go.

Uroda jest rzeczą względną — zaoponował Dimow. — Komu ja mogę się podobać? Mojej żonie, dzieciom? Czy mogę się podobać narzeczonej Wana?

— Nie mam narzeczonej. A poza tym, Dymitrze, nie podoba się pan nawet własnej siostrze Cóż robić, takie jest życie…

— No właśnie. Zatem brak urody nie może stanowić argumentu przeciwko bioformantom.

— To nie jest argument, tylko moja prywatna opinia — zauważył Wan,

— Wszyscy bez wyjątku są tacy pokraczni?

— Ależ nie. Sam pan zresztą wie… Na przykład Stanisław Fere…

Dimow roześmiał się.

Przez uchylone drzwi zajrzał Jerychoński.

— Aha, tutaj jesteście — powiedział. — Szukałem Pawłysza po całej Stacji. Wybieramy się kutrem na Krzywą Górę. Pomyślałem, że Pawłysza może to zainteresować.

— Kto się wybiera? — Dimow popatrzył na Wana.

— Wiem o tej wyprawie — powiedział Wan. — Jadę z nimi zaraz po obiedzie.

— Sandra i Staś pokażą nam Błękitną Grotę — powiedział Jerychoński. — Popłynęli tam i rano będą na miejscu.

— Słuchaj, Jerychoński — powiedział Dimow. — Jak uważasz, czy Staś jest ładny, czy pokraczny?

— Staś jest funkcjonalny — odparł Jerychoński… — Możemy więc zabrać Pawłysza ze sobą?

— Naturalnie, jeśli tylko ma na to ochotę. Pawłysz jest naszym gościem i może robić, co chce. Niech pozna bliżej Ferego i wyrobi sobie własną opinię o jego urodzie. Akurat rozmawialiśmy o bioformacji…

— Wyobrażam sobie, jak go zagadaliście!… A zresztą Pawłysz już zna Ferego.

— Co?

— Widział go na dole, kiedy z Sandrą pokazywaliśmy mu akwarium.

— Jakoś sobie nie przypominam… — powiedział niepewnie Pawłysz.

— To ten, z którym odpłynęła Sandra wyjaśnił Jerychoński. — Był tam poza tym Poznański.

— Płaszczki?

— Tak, jest jakieś podobieństwo do płaszczek.

— Ale to są ludzie?

— Naturalnie, że ludzie, a właściwie bioformanci. Stanisław Fere pracował już przez kilka miesięcy na bagnach Sieny. Został zaprogramowany do pracy na tych bagnach. To jest dopiero przerażający świat!…

— Staś mówił mi — wtrącił Jerychoński — że tutaj czuje się jak w uzdrowisku Ani niebezpieczeństw, ani konkurentów. Jest silniejszy i szybszy od wszystkich mieszkańców oceanu.

— To przecież oznaczało całkowitą przebudowę organizmu! — wykrzyknął Pawłysz.

— Tak — zgodził się Dimow. — Niemal całkowitą. Można powiedzieć, że obecnie istnieje na świecie Fere w dwóch postaciach. Jeden tutaj, w oceanie. Drugi pozostał na Ziemi, zakodowany do ostatniej komórki w pamięci Ośrodka Reanimacji. Ale dość tych pogaduszek, bo za moment zleci się tu cała Stacja… Mam nadzieję, że ma pan teraz ogólne pojęcie o tym, czym zajmuje się nasz Instytut. A kiedy minie pierwsze zaskoczenie, pojmie pan i zrozumie jeszcze więcej.

* * *

Kuter odbił od ściany podwodnej groty i światła przystani zamigotały w wypukłych iluminatorach. Zaraz potem kuter poszedł ostro w dół i za iluminatorami zrobiło się ciemno. Wan siedział przy sterze i odblask lampek kontrolnych nadawał złowieszczy wygląd jego i tak już diabolicznej twarzy. Kuter przemknął pod skałą nawisającą nad wejściem do groty, zaczął stopniowo się wynurzać i woda przybrała najpierw niebieską, a potem zielonkawą barwę.

Kuter wyskoczył na powierzchnię i nabrał szybkości. Fale załomotały o dno, jakby jakiś niezmordowany kowal bił w nie wielkim młotem.

Młody, silny i dobrze odkarmiony zoolog Pfluge liczył pojemniki i puszki w swojej torbie polowej.

— Nawet pan sobie nie wyobraża — powiedział do Pawłysza — ile tam jest żyjątek Gdyby Dimow pozwolił, osiedliłbym się na stałe pod Krzywą Górą.

— I żywiłbym się ślimakami — dodał Jerychoński.

— Na tej wyspie jest niebezpiecznie — powiedział Wan. — Nie można tam mieszkać. To jest teren sejsmiczny. Raj dla geologów, którzy mogą obserwować, jak rodzi się kontynent.

— Dla mnie to też jest raj — powiedział Pfluge. — Znaleźliśmy się tu akurat w momencie, kiedy tworzą się duże obszary lądu, a świat zwierzęcy dopiero zaczyna je zasiedlać.

Na prawo od kursu, jakieś dziesięć kilometrów za horyzontem, pojawił się szary słup dymu.

— Wulkan podwodny — wyjaśnił Wan. — Tam również będzie wyspa.

— Dlaczego waszą Stację zlokalizowano właśnie na tej planecie? — zapytał Pawłysz.

— Ta planeta nie jest gorsza od wielu innych — powiedział Jerychoński. — Warunki tu nie są wprawdzie, ekstremalne, ale wystarczająco trudne, w sam raz na poligon. Atmosfera rozrzedzona, temperatura opada nocą do minus stu dwudziestu stopni, większa część powierzchni pokryto praoceanem. Wszystko jest jeszcze młode, nieustabilizowane. Dzięki temu możemy wypróbowywać nowe metody, poszukiwać uniwersalnych form. Możemy też trenować bioformantów, którym przyjdzie pracować w prawdziwie trudnych warunkach. Słowem jesteśmy z tej naszej kałuży bardzo zadowoleni…

Wyspa pokazała się po jakichś trzech godzinach jazdy. Od Stacji było do niej około pięciuset kilometrów. Wyspa wyglądała jak przekrzywiona głowa, która, zda się, długo i z wielkim wysiłkiem przebijała się przez wodę i wydobyła na — powierzchnię dopiero wówczas, gdy „podparła się jednym ramieniem. Drugie pozostało pod falami i dlatego głowa góry była przechylona na bok, a za krawędzią szczytu otwierała się półkilometrowa przepaść. Natomiast przeciwległy brzeg wyspy był łagodny i otoczony szeroką plażą, usianą kamieniami i złomami skalnymi. Wan rozpędził kuter, uniósł go w powietrze i przerzucił nad szeroką wstęgą przyboju, pieniącego się wokół wystających nad powierzchnią raf. Po chwili zwodował na płyciźnie.

W miejscu, gdzie plaża przechodziła w łagodne zbocze góry stała niewielka szara kopuła.

— To nasza chatynka — powiedział Jerychoński Wan wyłączył silnik i doprowadził kuter do brzegu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział.

Naciągnęli kombinezony i założyli maski. Wiał silny wiatr niosący tumany drobnego, ostrego śniegu. Woda przy brzegu była pokryta cienka skorupą lodu.

— Rano lód będzie miał grubość ręki Dobrze jeszcze, że woda jest tu bardzo słona — powiedział Wan. — Teraz tylko kolacja i spać — powiedział Pfluge, który pierwszy zeskoczył na brzeg z nawisającego nad piaskiem dziobu kutra. Potem wyciągnął ręce i Wan, pochyliwszy się, podał mu torbę z pojemnikami. Wiatr był bardzo zimny i wszyscy, poza Pawłyszem, opuścili na twarze przezroczyste przyłbice.

— Odmrozi sobie pan twarz! — ostrzegł Jerychoński Jego głos brzmiał w hełmofonie głucho, jakby dobiegał z bardzo daleka.

Wan otworzył drzwi schronu. Kopułę od wewnątrz podtrzymywały masywne metalowe wsporniki.

Widzę, że domek jest wcale solidny! — zauważył Pawłysz.

— W najgorszym razie wstrząs tektoniczny zerwie go i fundamentów i wyrzuci w morze — powiedział Jerychoński — A stamtąd go po prostu wyłowimy.

Włączył ogrzewanie i puścił powietrze. W domku od razu zrobiło się cieplej.

Kopuła była przedzielona przepierzeniem na dwie części. W pierwszej, przytykającej do śluzy, znajdowały się stanowiska robocze, maszyny i aparatura kontrolna. W drugiej był magazyn i sypialnia.

— Zaraz przygotujemy kolacyjkę — powiedział Pfluge, zacierając ręce. — Moje ulubione konserwy! — On nie żartuje — powiedział Wan — Naprawdę gotów jest żywić się samymi konserwami. No cóż, bywają rozmaite zboczenia…

— A jutro wyruszymy na poszukiwanie skarbów — dokończył pogodnie zoolog.

— Kto jadł moją łyżką, kto spał w moim łóżku? — zapytał surowym tonem Jerychoński, podchodząc do ustawionego w kącie stołu. — Kto nas odwiedził?

— Przecież wiesz — odparł Wan.

— Ale przecież prosiłem, żeby nikt nie dotykał mojej maszynki. Sam ją regulowałem i tylko ja wiem, jak się nią posługiwać.

Jerychoński oskarżycielskim gestem wskazywał przenośny diagnostat, z którego wystawała zadrukowana taśma Pod stołem poniewierał się jeszcze cały kłąb poplątanej taśmy.

— Uszy poobrywam temu hipochondrykowi! — wykrzyknął.

— Czy mogę przespacerować się po okolicy? zapytał Pawłysz. — Obiecuję nie oddalać się od domu, nie kąpać się w morzu i nie walczyć ze smokami Popatrzę tylko na zachód słońca i wrócę.

— Niech pan idzie — zezwolił Wan. — Tylko, rzeczywiście, proszę nie zajmować się amatorskimi badaniami, bo to niebezpieczne, chociaż smoków tu nie ma.

— Smoków nie ma — zgodził się z nim Pfluge — ale w gruncie rzeczy jeszcze nie wiemy, co tu naprawdę jest. Nie jest wykluczone, że jakieś nieznane nam zwierzęta mogą się napatoczyć. Wobec tego byłoby dobrze, gdyby pan istotnie zbytnio się nie oddalał.

— Ale pistoletu panu nie dam — powiedział Wan.

W razie czego będzie pan musiał liczyć wyłącznie na własne nogi.

— Tak nastraszyliście człowieka — powiedział Jerychoński — że chyba będę musiał go eskortować.

Pawłysz widział, że Jerychoński powiedział to jedynie z wrodzonej uprzejmości, bo zupełnie nie miał ochoty na spacer. O wiele bardziej zajmowały go upstrzone cyframi taśmy diagnostatu.

— Do widzenia — powiedział. — Będę starał się spacerować tak, żebyście mogli mnie obserwować przez to okienko.

Wskazał iluminator, w którym widoczny był brzeg.

— Słusznie — powiedział Wan.

Pawłysz założył maskę i wszedł do śluzy.

Słońce wisiało nad zboczem góry zakrywającej pół nieba. Śnieg padał tak gęsto, że trzeba było opuścić przyłbicę Ostre kryształki lodu rozbijały się o nią z jednostajnym stukiem i Pawłyszowi wydawało się, że otacza go gęsty rój białych, nieprzyjemnie brzęczących much. Odwrócił się bokiem do wiatru i zszedł nad wodę. Osłonięta łańcuchem raf laguna była spokojna, fale wolno toczyły się ku brzegowi i równie leniwie odpełzały, pozostawiając na plaży strzępy wodorostów, drobne muszelki i kawałki porowatego pumeksu. Obejrzał się. Za kamienistą plażą sterczały czarne zębiska skał, piarżyste zbocze też wydawało się czarne, bo niskie słońce świeciło prosto w oczy, a bliżej szczytu z tej czerni tryskały strumyki pary i pracowity krater wypluwał rytmicznie pacyny jasnego, dymiącego błota. Błoto spływało w dół, tworząc na plaży dziwacznie pofalowaną kałużę. Jeśli na tej wyspie żyją jakieś zwierzęta, to z pewnością są solidnie opancerzone i przystosowane do bytowania w mocno zmineralizowanych gorących źródłach. Muszą schodzić na brzeg, by wyzbierać tam skąpe owoce tutejszego morza.

Pawłysz ruszył brzegiem morza. Wiatr bił go w plecy, popychał i popędzał. Kopuła szybko oddalała się i wkrótce stała się niemal niewidoczna wśród innych skał i kamieni Pawłysz szedł z taką samą szybkością, z jaką słońce staczało się, ze zbocza góry. Zamierzał dojść do mierzei i popatrzeć, jak będzie zapadać się za horyzont. Chmury zniknęły, jakby pospieszyły za słońcem tam, gdzie jest jasno i ciepło. Pawłysz wzmocnił ogrzewanie kombinezonu. Przybrzeżny lód już nie poddawał się słabym uderzeniom fal, nie pękał i nie spiętrzał się w długi zator wzdłuż krawędzi wody, lecz gładką jakby oleistą warstwą pokrył całą lagunę. Tylko gdzieniegdzie w tej matowej powłoce przeświturywały plamy żywej wody barwy wieczornego nieba. Zrobiło się nieprzyjemnie i Pawłysz postanowił wrócić.

Ze zbocza góry oderwał się kamień i podskakując przemknął o krok od niego, aby za chwilę wpaść do mono, wznosząc słup rozpylonej wody i startego na miazgę lodu. Pawłysz spojrzał w górę. Nie, to nie była lawina. Kamień spadł dlatego, że potrącił go schodzący wolno z góry tutejszy mieszkaniec. Szedł pewnie po to, aby pożywić się mrożonymi ślimakami wyrzuconymi na brzeg zatoki.

Tubylec był dość przerażający, ale na Pawłysza nie zwracał uwagi. Pawłysz widział go niezbyt wyraźnie, bo tubylec szedł po zacienionym zboczu, ale w każdym razie przypominał wysokiego na jakiś metr szczupłego żółwia. Na szczycie srebrzystego pancerza widniała półkolista kopułka, coś jakby głowa wbita po oczy w ramiona. Nóg nie było widać. Żółw z równym powodzeniem mógł ich mieć cztery lub sto.

Pawłysz nagle zrozumiał, iż żółw idzie nie wprost ku brzegowi, tylko do schroniska, odcinając mu drogę do domu. Zatrzymał się niezdecydowanie. Może to był czysty przypadek i żółw go nie widział, a może tylko udawał, że nie widzi. Tubylec dotarł do dwumetrowego uskoku i natychmiast spod pancerza wysunęły się długie błyszczące macki. Żółw lekko skoczył, zawisł na chwilę i miękko opadł na skalną półkę obok wulkanu błotnego. Wówczas Pawłysz spostrzegł, że zwierzę ma kilka par nóg, grubych i gibkich. Żółw nie był powolny i niezgrabny, tylko takiego udawał. Pawłysz ostrożnie, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi, ruszył brzegiem w stronę schronu, mając nadzieję, że żółw nie zdąży odciąć mu drogi odwrotu. Tymczasem zwierzę, jakby odgadując zamiar człowieka, szybko potoczyło się w dół po zboczu, pomagając sobie kończynami i mackami. Wówczas Pawłysz,

ogarnięty irracjonalnym strachem przed pierwotną siłą emanującą z potwora, rzucił się do ucieczki. Nogi rozjeżdżały się na żwirze, śnieg łomotał w przyłbicę i przez jego chrzęst Pawłysz zdawał się słyszeć coraz bliższe kroki myśliwego. Pawłysz już wiedział, co czuje ofiara, zdobycz. W ciągu ostatniego półrocza doznawał tego uczucia parokrotnie i nie chciał przegrać tego wyścigu o kilka dni drogi od domu.

Biegł nad samą wodą, potykając się o chrzęszczący pod nogami lód. Wydało mu się, że w iluminatorze dostrzegł czyjąś twarz. Jeśli to Wan, to zdąży otworzyć drzwi…

Właz był otwarty. Pawłysz zatrzasnął go za sobą i oparł się o ścianę, żeby złapać oddech. Teraz wystarczyło tylko nacisnąć guzik, wpuścić do śluzy powietrze, otworzyć właz wewnętrzny, opowiedzieć wszystko Wanowi i usłyszeć od niego „Przecież uprzedzałem". Jednak zanim zdążył nacisnąć guzik sprężarki, poczuł jak właz za jego plecami wolno się otwiera…

Najrozsądniejsze w tym momencie było ponowne zamknięcie zewnętrznych drzwi. Wystarczyło przesunąć dźwignię. Ale Pawłysz stracił opanowanie, bo zobaczył w szczelinie włazu błyszczącą czarną mackę. Rzucił się więc do przodu, aby otworzyć drzwi wewnętrzne i znaleźć się w środku kopuły. Wiedział, że drzwi wewnętrzne się nie otworzą, zanim śluza nie napełni się powietrzem, ale liczył na to, że Wan zdecyduje się wyłączyć automatykę.

Drzwi ani drgnęły. W śluzie zrobiło się ciemniej, bo żółw wypełnił sobą niemal całe światło włazu. Pawłysz odwrócił się, przywarł plecami do ściany i uniósł ręce na wysokość piersi, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż macki żółwia są zbyt silne, aby mógł sobie z nimi poradzić. O jego życiu decydowały sekundy. Czy ludzie w środku zrozumieli, co się właściwie stało?

W śluzie rozbłysło światło. Pawłysz zobaczył, jak żółw naciska macką dźwignię drzwi zewnętrznych i zamyka je. Druga macka dotykała wyłącznika. To żółw zapalił światło.

— Pędzę za panem od samego gejzera — powiedział potwór. — Nie widział pan mnie, czy może się przestraszył?

Powietrze z szelestem napełniało śluzę. Głos żółwia wydobywał się spod kopułki na jego pancerzu.

— Nie mogę krzyczeć, bo mam za słabą gadałkę — powiedział żółw. — Pan jest tu nowy? Jakoś sobie nie mogę pana przypomnieć.

Wewnętrzne drzwi śluzy odsunęły się w bok. Pawłysz zachwiał się i żółw musiał podtrzymać go macką.

— Uciekałeś, aż się za tobą kurzyło — powiedział Wan z nieukrywanym zadowoleniem. Pędziłeś jak na skrzydłach. Nic dziwnego, miejscowe formy życia zawsze tak działają na mężnych kosmonautów.

— On wcale nie uciekał — odezwał się Pfluge znad kuchenki. — On po prostu wycofywał się na z góry zaplanowaną pozycję. — Niels, zjesz z nami kolację?

Bioformant odpowiedział głuchym, pozbawionym intonacji mechanicznym głosem:

— Pfluge, przestań się nade mną znęcać! Przecież doskonale wiesz, jak czasami tęsknię za tym, żeby nareszcie usiąść po ludzku do stołu. Dziwna rzecz: organizm tego nie potrzebuje, a mózg wszystko pamięta, nawet smak czereśni albo soku brzozowego. Piłeś kiedyś sok brzozowy?

— To w Norwegii jest sok brzozowy? — zdziwił się Jerychoński.

— W Norwegii jest wszystko — odparł bioformant. Wyciągnął w stronę Pawłysza długą mackę, dotknął nią jego ramienia i dodał: — Umówmy się, że podałem panu rękę. Nazywam się Niels Christiansen. Nie chciałem pana nastraszyć.

— Jeszcze teraz trzęsą mi się nogi — powiedział Pawłysz.

— Mnie też by się trzęsły. To moja wina, bo zapomniałem powiedzieć panu o Nielsie — odezwał się skruszonym tonem Jerychoński. — Ale kiedy widzi się ich na co dzień, człowiek tak się przyzwyczaja do niezwykłości bioformantów i w ogóle wszystkiego, co nas otacza… Tym bardziej że Niels mocno mnie zdenerwował. Słuchaj, dlaczego uruchamiałeś diagnostat? Niepokoisz się o własne zdrowie? No to czemu mnie nie wezwałeś? Przecież natychmiast bym przyleciał. Zresztą Dimow też ma do ciebie pretensję, że się od trzech dni nie odzywałeś.

— Byłem w kraterze — odpowiedział Niels — Wyszedłem z niego dopiero godzinę temu. A z diagnostatu skorzystałem dlatego, że musiałem wypróbować się w wyższych temperaturach. Potem wszystko ci opowiem, a tymczasem wy powiedzcie mi, co nowego Listy z Ziemi były?

— Ja mam list — odparł Pfluge. Dam ci go, jak tylko przygotuję posiłek. Dobrze?

— Zgoda A ja tymczasem połączę się z bazą — powiedział bioformant i potoczył się w stronę stojącej w kącie radiostacji. — Muszę porozmawiać z Dimowem i sejsmologami. Który z nich jest w domu?

— Wszyscy — odpowiedział Wan — A co, będzie trzęsienie ziemi?

— Niemal katastrofalne. Obawiam się, że cała ta wyspa może wylecieć w powietrze. Nie, jeszcze nie dziś, bo naprężenia nie są jeszcze krytyczne. Muszę jednak skonsultować się z sejsmologami. Jedzcie, nie zwracajcie na mnie uwagi.

Niels włączył nadajnik. Wywołał Dimowa, a potem sejsmologów. Sypał wzorami i liczbami, jakby odczytywał je z kartki, a Pawłysz pomyślał ze zdziwieniem, jak szybko mija strach. Teraz zauważył mimochodem w duchu „Niels włączył nadajnik”, a jeszcze piętnaście minut temu uciekał przed tym Nielsem na złamanie karku.

— Dracz był do niego podobny. Grunin też. Pamięta pan, co Dimow opowiadał? — powiedział cicho Jerychoński.

— O świcie będzie tu lotnia z sejsmologami — powiedział Niels wyłączając radiostację. — Dimow prosił o ostrzeżenie podwodników.

— Będą tu dopiero rano — odpowiedział Wan i zwrócił się do Jerychońskiego. — możesz ostrzec podwodników?

— Nie. Sandra nigdy nie zabiera nadajnika. Powiada, że jej przeszkadza. — Jerychoński był nie na żarty zaniepokojony.

— Przepraszam, a pan gdzie mieszka? — zapytał Pawłysz żółwia.

— Ja nie muszę nigdzie mieszkać — odpowiedział Niels. — Nie śpię i bardzo rzadko jem. Po prostu chodzę i pracuję. Czasami, gdy taki tryb życia bardzo mnie znudzi, zjawiam się tutaj. Jutro pewnie pojadę z wami na Stację. Chętnie zostałbym tutaj, ale Dimow nie pozwoli.

— Dziwisz się? — powiedział Jerychoński. — Dimow przyjaźnił się z Draczem i nabrał idiosynkrazji do wulkanów.

Szybko zjedli kolację, a potem położyli się na matach za przepierzeniem. Niels też został w środku, przy radiostacji i zaczął coś czytać. Kładąc się spać, Pawłysz jeszcze raz spojrzał na niego. Metrowa półkula, pokancerowona kamieniami, wysmagana wiatrem i spieczona żarem przetoczyła się pod ścianę, a po chwili przycisnęła do niej macką otwartą książkę. Potem od czasu do czasu przewracała stronicę drugą macką, błyskawicznie wyskakującą spod pancerza.

W przedziale sypialnym było prawie ciemno. Pfluge posapywał już zwinięty w kłębek, a Jerychoński spał spokojnie z rękami złożonymi na brzuchu. Wan posunął się, robiąc miejsce

Pawłyszowi,

— Wie pan — powiedział szeptem, kiedy Pawłysz już się położył — dlaczego pana prawie znienawidziłem?

— Chyba dlatego, że pana nie usłuchałem.

— Nie, wcale nie dlatego, chociaż tak się panu wydało. Dlatego, że rozerwał pan chmurę.

— Co?!

— Widzi pan, Dimow nie zdążył tego powiedzieć. Ja zresztą też, chociaż już się z pańską obecnością pogodziłem, zwłaszcza po liściku Mariny…

Za przepierzeniem rozlegał się miarowy szelest stronic książki. Regularnie co dziesięć sekund. Pawłysz wyobraził sobie, jak macka wyskakuje spod pancerza.

— Krótko mówiąc Spiro wie, i wszyscy tutaj to wiedzą, że chmury trzeba omijać. Ale naturalnie nie przyszło mu do głowy, żeby pana o tym uprzedzić, ja zaś nie pomyślałem, że poleci pan na przełaj. Zachowałem się niewłaściwie. Przepraszam.

— No dobrze, zapomnijmy o tym. Ale ja nadal nie rozumiem, o co chodzi z tymi chmurami.

— Te chmurki są organiczne. Mamy tu naturalnie i zwyczajne obłoki, ale te pierzaste są w istocie kłębami pajęczyny. Mikroorganizmy żyjące w górnych warstwach atmosfery cierpią energię od słońca, a z dołu docierają do nich popioły wulkaniczne i para wodna. No więc te żyjątka plotą pajęczynę. Tak ją nazywamy, chociaż te nitki są wielokrotnie cieńsze od pajęczyny…

— I ja rozdarłem chmurę?

— Rozdarł pan. A one regenerują ją bardzo długo. Tracimy mnóstwo sił na ich podkarmianie i badanie, pan za jednym zamachem… Dobrze jeszcze, że nie powiedziałem o tym Dimowowi…

— Chciał mnie pan oszczędzić?

— Mówiąc prawdę, to nie. Siebie i Sotrona. Dostałoby się nam, bo pan przecież nie wiedział.

— Pora spać — odezwał się Niels zza przepierzenia, jeśli się go nie widziało, można było pomyśleć, że mówi zwyczajny człowiek.

— Odkąd to zacząłeś się troszczyć o nasz sen? — zapytał Wan.

— Wcale się o to nie troszczę — odpowiedział Niels. — Po prostu lubię od czasu do czasu coś komuś powiedzieć. Nie wzór czy liczbowe wyniki obserwacji, tylko coś powszedniego. Na przykład to, że pora spać…

Wan zasnął od razu, jakby słowa Nielsa były rozkazem.

Pawłysz odczekał parę minut, a potem zapytał szeptem:

— A Marina jest daleko stąd?

Wan nie odpowiedział. Spał.

* * *

Pawłysza obudził wstrząs podziemny. Pozostali byli już na nogach. Pfluge znów hałasował swoimi puszkami, bo wybierał się na polowanie. Jerychoński parzył kawę. Niels powiedział:

— Pójdę już. Widzicie, że zaczęło trząść.

— Może poczekaj na chłopców…

— Nie. Oni wiedzą, gdzie mnie szukać. Będę przy automatach. Wezmę radiostację, a wy

przypadkiem nie wyłączajcie pelengatora. Chociaż, jeśli coś mi się stanie, i tak nie zdołacie mi pomóc.

— Dlatego mówię, żebyś poczekał na chłopców.

— Nie, żartowałem. Nic się nie stanie. Jeszcze na to za wcześnie.

— Pawłysz, obudziłeś się? — zapytał Jerychoński.

— Idę.

Zza przepierzenia zapachniało kawą.

— Możesz umyć się w miednicy — powiedział Jerychoński. — Przyniosłem trochę lodu.

Miednica stała pod oknem wychodzącym na morze. Woda w niej była lodowato zimna i gęsta od kawałków kry. Brzeg przez noc zmienił się nie do poznania. Był pokryty śniegiem i sięgał aż do raf, o które biły fale otwartego oceanu. Lodowy pancerz zatoki poprzecinany był ciemnymi szczelinami. Po śniegu bez pośpiechu toczył się Niels zostawiając za sobą dziwny ślad przypominający głębokie koleiny. Słońce ledwie przeświecało przez chmury.

— Zimno tam? — zapytał Pawłysz.

— Minus osiemdziesiąt — odparł Jerychoński. — Ale nie ma wiatru. Można wytrzymać.

— Idę — powiedział Pfluge dopijając kawę — Bo inaczej zeżrę wszystkie suchary. Mam przedziwny organizm, który odczuwa głód, gdy tylko pokaże mu się jedzenie. Mogę obywać się bez pokarmu przez dwa tygodnie, jeśli tylko go nie widzę…

— Klamczuszek! — powiedział Jerychoński.

Wan wygramolił się z jakiejś wielkiej skrzyni czy szafy, na którą Pawłysz dotychczas nie zwrócił uwagi. Trzymał na dłoni białą kulę przypominającą kłębek puszystej wełny.

— Popatrz, Pawłysz — powiedział. — To jest właśnie to, co usiłowałeś zniszczyć.

Pawłysz wziął ostrożnie kulę do ręki. Kłębek dosłownie nic nie ważył, był ciepły i bajecznie miękki w dotyku. Lekko podrzucił go do góry i kłębek uniósł się w powietrze, a potem popychany oddechem popłynął w bok.

— Ta pajęczynka jest bezcenna — powiedział Jerychoński. — To najlżejszy i najtrwalszy materiał we Wszechświecie. Gdybyśmy potrafili ją hodować, to nasza planeta stałaby się ośrodkiem handlu galaktycznego.

— Trochę tej pajęczyny zbieramy — powiedział Wan, chwytając kłębek i odnosząc go do szafy — ale to kropla w morzu potrzeb. Dla mnie prawie bez mleka.

Po śniadaniu Pawłysz ubrał się i wyszedł na dwór Słońce wreszcie wydobyło się zza chmur i śnieg zaczął tajać. Nad czarnym zboczem unosiło się lekka mgiełka. Śnieg pokrył się cienką skorupką wiosennego lodu i rześko poskrzypywał pod butami.

Pfluge przykucnął i coś wygrzebywał nożem ze śniegu.

— Niech pan chwilę poczeka. Niebawem wszystko staje i wówczas dokonamy co najmniej trzech wielkich odkryć zoologicznych — powiedział do Pawłysza. Jego głos w hełmofonie brzmiał jak uroczysta trąba jerychońska.

— Dlaczego tylko trzech?

— Tak już jest. Byłem tu już siedmiokrotnie i za każdym razem odkrywałem po trzy zupełnie nieznane nauce gatunki albo nawet rodziny. Czy to nie wspaniałe?

Pawłysz przyznał, że to wręcz cudowne.

Na niebie pojawiła się czarna plamka Lotnia. Słońce przypiekało coraz bardziej i Pawłysz zmniejszył ogrzewanie kombinezonu. Po niebie wolno pełzła biała półprzezroczysta chmurka i lotnia,

podchodząc do lądowania, zanurkowała pod nią.

Z sejsmologami przyleciał Dimow.

— Gdzie jest Niels? — zapytał Pawłysza zaraz po przywitaniu. Uznał za rzecz oczywistą, iż Pawłysz jest już we wszystkim zorientowany. — Pewnie w kraterze?

— Wziął ze sobą nadajnik — powiedział Pawłysz.

— Mam złe wiadomości — powiedział jeden z sejsmologów, którego Pawłysz nie mógł rozpoznać pod maską i przyłbicą. — Niels miał rację. Naprężenia w skorupie rosną szybciej, niż się tego spodziewaliśmy. Epicentrum będzie jakieś sto kilometrów stąd.

Wskazał ręką w stronę słońca. Ocean był spokojny. Lód z zatoki już prawie zniknął.

Drugi sejsmolog pospieszył do kopuły.

— Spróbuję połączyć się z Nielsem — powiedział.

— Kiedy mieli być podwodnicy? — zapytał Dimow Pawłysza.

— Nie wiem dokładnie — odparł Pawłysz. — Podobno rano.

— Do diabła z taką precyzją! — oburzył się Dimow i pobiegł za sejsmologami.

— Widzi pan — powiedział radośnie Pfluge, wyciągając spod śniegu długi sznur wodorostu — Już stał się pan jednym z nas. Jeszcze wczoraj Dimow traktował pana niezwykle uprzejmie, a więc obojętnie. Burczeniem wyraża swoją sympatię, proszę zatem się nie obrażać.

— Ani mi to w głowie — odparł Pawłysz — Cieszę się, że Dimow się na mnie złości.

Kiedy wrócił do kopuły, trafił akurat na koniec bitwy Jerychońskiego z Dimowem.

— Kto mógł przypuścić — wykrzyknął Jerychoński, gestykulując ręką, w której trzymał filiżankę kawy — że akurat dzisiaj zechce się panu urządzać trzęsienie ziemi?

— Proszę mi dać tę kawę — odwarknął Dimow. — I tak parzyliście ją dla gości.

— Naturalnie, bardzo proszę… — Jerychoński postawił kawę przed Dimowem. — I niech pan nie myśli, że przygoda Sandry i podwodników zupełnie mnie nie niepokoi.

— Wcale tak nie myślałem — powiedział złośliwie Dimow — Ale przecież nikt nie kazał panu żenić się i rybą.

— Dymitrze! — oburzył się Jerychoński.

— Sandra jest wspaniałą kobietą, doskonałym biologiem i sportowcem, ale ma skrzela, o czym chyba pan wie nie gorzej ode mnie, chociażby jako chirurg.

Wan uśmiechał się od ucha do ucha.

— Mógł pan przynajmniej dopilnować, żeby wzięli ze sobą nadajnik Tego przecież wymagają wszystkie instrukcje.

— A dlaczego pan sam tego nie dopilnował?

— Bo nie mogę kontrolować poczynań wszystkich pracowników Stacji. Przyznaję jednak, że ja też jestem tu winien.

— Dymitrze — wtrącił się do rozmowy Wan — nadajnik rzeczywiście jest niewygodny w użyciu, a oni wyruszyli we trójkę. Doskonale wiesz, że oni we trójkę nie boją się nawet diabła, nie mówiąc już o jakimś głupim trzęsieniu ziemi.

Dimow machnął ręką, jednym haustem wypił kawę, oparzył się i przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Wreszcie mu się to udało i powiedział:

— Mało brakowało, żebym wyzionął ducha. Nareszcie mielibyście spokój.

— Nie pozwolilibyśmy na to — powiedział Pawłysz. Jestem reanimatorem. W najgorszym razie zamroziłoby się pana i odesłało do ożywienia na Ziemię.

Sejsmolodzy poszli na górę i obiecali za godzinę wrócić. Dimow połączył się ze Stacją i przekazywał powszednie polecenia, których nie zdążył wydać z rana, bo wyruszył w drogę bardzo wcześnie. Jerychoński znów zajął się badaniem taśm diagnostatu, a Wan rozbierał jakiś aparat. Zachowanie pozostałych w kopule ludzi było pozornie zwyczajne, ale napięcie w schronisku z każdą chwilą rosło. Podwodnicy powinni zjawić się już ponad godzinę temu, ale nadal ich jeszcze nie było.

* * *

Drugi wstrząs nastąpił mniej więcej w godzinę po przylocie Dimowa z sejsmologami. Wan odezwał się od radiostacji.

— Niels mówi, że zwiększyło się wydzielanie gazów. Przyrost jest większy od przewidywanego.

— Może ewakuować schronisko? — zaproponował Jerychoński. Zostalibyśmy tylko we dwóch z Nielsem.

— Tylko bez paniki! — powiedział Dimow Wan, zapytaj Nielsa, co grozi wyspie.

Ziemia pod nogami dygotała, jakby ktoś stukał od dołu w podłogę.

— Jeśli nastąpi erupcja, strumień lawy popłynie w przeciwną stronę. Ale oczywiście niczego nie można za gwarantować.

Wrócił sejsmolog Gogia z taśmami zdjętymi z automatycznych urządzeń kontrolnych.

— Coś okropnego! — powiedział z nieukrywanym zachwytem — Jesteśmy świadkami prawdziwego kataklizmu. Nawet sobie nie wyobrażacie, co teraz dzieje się w oceanie!

Dimow wstał.

— Przykro mi — zwrócił się do Pawłysza. — Należałoby umożliwić panu powrót na Stację, ale nie mamy wolnego środka transportu. Jeszcze raz proszę mi wybaczyć.

Pawłysz nawet nie zdążył się obrazić, gdy Dimow nie zmieniając tonu odezwał się do Wana:

— Natychmiast wywołuj Szczyt. Niech tu przylecą.

— Po co? — zdumiał się Wan.

— Stukać. Będziemy ich szukać. Tu są niewielkie głębokości.

— Jasne.

— Nie znoszę bezczynności — powiedział Jerychoński. — Wypłynę im kutrem naprzeciw.

Dimow nie zwracał na niego uwagi.

— Co ze Szczytem? — zapytał Wana. Nikt nie odpowiada.

— To nic. Wywołuj ich dalej, ale potem. Na razie daj mi Stację. Niech wyślą lotnię na pół drogi od nich.

— Ale tam jest spokojnie…

— Lepiej zbadać każdą ewentualność. Niech nie odlatują, dalej niż na dwieście kilometrów. Została tam tylko jedna lotnia, a wiesz, jacy z nich piloci.

— Tak — westchnął Wan, a potem zapytał: — Może Pfluge podyżuruje przy nadajniku?

Jerychoński miotał się po schronisku. Ponieważ ciążenie było tu niższe od ziemskiego, jego kroki, zamaszyste na początku, kończyły się dziwnie powolnie i jakby tanecznie.

— Po co?

— Popłynąłbym kutrem. Z Pawłyszern.

— Doskonale sobie z kutrem poradzę — zaoponował Jerychoński.

— Wątpię — powiedział Wan — Jesteś za bardzo zdenerwowany.

— Trudna sprawa. — zaczął Dimow, patrząc na Pawłysza.

— Lepiej, żebym to ja popłynął kutrem — powiedział Pawłysz. — Wprawdzie nigdy dotąd go nie prowadziłem, ale…

— Nie! — zdecydował się Dimow. Kuter weźmie Wan. Jerychoński popłynie z nim na ocean, a Pawłysz zostanie przy radiostacji i jeśli będzie trzeba, poleci lotnią.

Pawłysz podszedł do nadajnika i stanął za plecami Wana.

Wan wstał, mrugnął do niego porozumiewawczo i powiedział:

— Wszystkie sygnały wywoławcze są na tabliczce. Radiostacja jak widać jest zwyczajna, ze standardowego zestawu Zna pan ten typ?

— Naturalnie.

Wan zniżył głos i powiedział Pawłyszowi na ucho:

— Nie spieraj się z Dimowem, bo cię w zdenerwowaniu objedzie. Nadchodzi kataklizm, Jerychoński histeryzuje, a podwodnicy spokojnie zbierają perły w Błękitnych Grotach i nie wiedzą, co ich czeka, kiedy nareszcie się tu zjawią.

— Jesteś pewien, że to fałszywy alarm?

— Inne warianty są zbyt groźne, aby na nie stawiać — odpowiedział Wan, po czym wziął swój kombinezon i maskę.

— Sprawdziłeś skafander? — zapytał Dimow.

— Tak, zostawiłem go na kutrze.

Za oknem mignęło coś białego, jakby ktoś machnął wielkim prześcieradłem.

— Hej — powiedział Wan wyglądając na zewnątrz. — O wilku mowa! Przecież to Allan.

— Gdzie? — zapytał Dimow.

— Na dworze. Sam przyleciał. I niech mi ktoś teraz powie, że telepatia nie istnieje.

Pawłysz miał iluminator wprost przed oczami. Po czarnym, mokrym od stopionego śniegu piasku kuśtykał wolno ogromny ptak, dokładnie taki sam jak te, które Pawłysz zobaczył tuż po wylądowaniu. Nawet nie pytając Wano domyślił się od razu, że ptak jest bioformantem. Co więcej, połączył jego obecność z kłębkiem białej puszystej nibypajęczyny. To ptaki ją tu przyniosły. I dalszy krok w rozumowaniu: wybuch gniewu Wana. Jeśli bioformant Allan pracuje w chmurach, to samowola Pawłysza mogła zagrażać jego istnieniu…

Odezwali się sejsmolodzy, a po chwili Niels podyktował serię liczb dla Dimowa.

Jerychoński już był ubrany, gotowy do wyjścia. Wan otworzył właz kopuły Sejsmolodzy nie przekazali żadnych alarmujących wiadomości, więc nie było podstaw do szczególnego pośpiechu Dimow też założył maskę i powiedział do Pawłysza:

— Niech pan tu zostanie i nie odchodzi od nadajnika. Jeśli coś się stanie, proszę natychmiast mnie zawiadomić. Pójdę teraz porozmawiać z Allanem, bo on tutaj nie może wejść.

— A kombinezon? — zapytał Wan, widząc, że Dimow zamierza wyjść na zewnątrz w samej masce.

— Teraz nie jest zimno — odparł Dimow — Puść mnie.

— Stacja zawiadomiła, że lotnia wystartowała na poszukiwanie podwodników i pytała, co tam nowego na wyspie Pawłysz odpowiedział, że na razie nic się nie dzieje.

Za oknem Dimow rozmawiał z ptakiem. Ptak sięgał mu ledwie do pasa, ale jego złożone skrzydła,

opierające się końcami o rozłożysty ogon, miały co najmniej trzy metry długości Ptak miał niewielką głowę z krótkim dziobem i nieruchome błękitne oczy.

Naczynia na stole zabrzęczały od kolejnego wstrząsu tektonicznego.

W głośniku odezwał się Niels.

— Stuchaj, Wan — powiedział swoim cichym, mechanicznym głosem — Gdzie właściwie jest ta Błękitna Grota?

— Wan odpłynął kutrem. Pewnie właśnie tam. A ja dokładnie nie wiem.

— Pawłysz? Wobec tego zapisz dokładne współrzędne epicentrum. Właśnie je z Gogią obliczyliśmy.

Za oknem Dimow przestępował z nogi na nogę i otulał się szczelnie kurtką. Najwyraźniej było mu bardzo zimno. Ptak zakołysał się, niezgrabnie wbiegł na wrzynającą się w wody zatoki płytę skalną i rozłożył skrzydła. Natychmiast przekształcił się w sześciometrowy żagiel nadymany porywami wiatru i uniósł się w powietrze, potężnymi machnięciami skrzydeł nabierając szybko wysokości.

Dimow hałasował w śluzie i dopiero po dłuższej chwili otworzył wewnętrzne drzwi, wpuszczając do kopuły kłęby pary. Trząsł się z zimna i mimo wysiłków nie mógł tego drżenia opanować.

— Myślałem, że zdechnę tam — powiedział — Nie przypuszczałem, że z Allana jest taki zuch!

— A co? — zapytał Pawłysz.

— Nie spodobały mu się fale w tym sektorze. Allan wymyślił graficzną teorię prognozowania wstrząsów tektonicznych. Zgodnie z nią przepowiada charakter i miejsce trzęsienia ziemi według kształtu fal, który z lotu ptaka jest doskonale widoczny. Od dawna kłóci się na ten temat z sejsmologami, którzy uważają, że jego teoria może mieć jedynie bardzo ograniczone zastosowanie. Pewnie zresztą mają rację… Było coś dla mnie?

— Niels przed chwilą przekazał współrzędne spodziewanego epicentrum.

— Daj mi je… Że też Allan przyleciał właśnie tutaj! Wprawdzie wczoraj wspominałem im, że wyruszacie na spotkanie podwodników, ale zawsze… A ja bardziej liczę na ptaki niż na nasz kuter i gdyby Allan nie przyleciał, musiałbym wysłać pana na poszukiwanie z powietrza.

Dimow rzucił okiem na liczby, zmiął kartkę, rzucił ją na stół, potem wziął ponownie do ręki, pieczołowicie wygładził i powiedział:

— Proszę z łaski swojej jeszcze raz wywołać Nielsa i zapytać, czy nic się nie zmieniło.

Niels odezwał się dopiero po dłuższej chwili i jego odpowiedź była bardzo lapidarna.

— Wychodzimy na zbocze, bo tu jest zbyt gorąco. Połączymy się za pięć minut.

— A więc się nie rozessie. — powiedział Dimow.

— Tu Szczyt. Szczyt wzywa Schronisko — odezwał się odbiornik. — Słyszycie nas?

— Tu Schronisko — odpowiedział Pawłysz.

Dimow podszedł bliżej.

— Mówi Samt Venante. Wylatujemy.

— Dobrze — powiedział Dimow. — Tylko nie zapomnijcie zabrać nadajnika.

— Wie pan — wyjaśnił Pawłyszowi — nadajniki, które nam przysłano, są dobre dla geologów i innych piechurów, ale bioformantom przeszkadzają. Spiro już dawno obiecał załatwić mikroradiostację, ale przecież pan go zna.

Pawłysz zupełnie nie znał Spirona, ale uznał, że nie czas teraz na spieranie się o drobiazgi.

— Jednym słowem pod byle pozorem starają się je gdzieś zostawić Wcale im się nie dziwię,

zwłaszcza bioformantom latającym, bo dla nich dodatkowe trzysta gramów obciążenia to nie bagatela.

Wrócił Pfluge. Długo krzątał się po śluzie, wzdychał, brzęczał swoimi puszkami i wreszcie z trudem przecisnął się przez właz.

— Niezwykły dzień! — powiedział radośnie, rozstawiając na stole swoje zdobycze — Wyrobiłem dziś co najmniej trzy normy.

Zobaczył, że Pawłysz siedzi przy nadajniku, i dorzucił.

— Widziałem odpływający kuter, ale nie zdążyłem zapytać. Podwodnicy jeszcze nie wrócili?

— Nie — odparł Dimow — Na wszelki wypadek proszę przygotować do pracy stanowisko medyczne.

— Ja to chyba zrobię lepiej — powiedział Pawłysz — A Pfluge niech tymczasem posiedzi przy radiostacji.

— Po pierwsze. Pfluge jest bardzo słabym łącznościowcem, a po wtóre, pan jest, jak podejrzewam, jeszcze gorszym weterynarzem. Zapomina pan, że nasi koledzy i znajomi nie są w tej chwili przejściowo antropoidami.

— To niestety prawda — odezwał się Pfluge. — Mam jednak nadzieję, że nic złego im się nie stanie.

Otworzył skrzynię stojącą w kącie pod przepierzeniem i zaczął wyjmować z niej leki i narzędzia, zerkając przy tym na swoje trofea. Rozpierało go pragnienie, aby po chwalić się komuś swoimi zdobyczami, a tu jak na złość nikt nie miał do nich głowy.

Nadeszła wiadomość z lotni, która przeleciała już trzydzieści kilometrów od Stacji, że na razie z jej pokładu nikogo nie zauważono.

— A jaka jest widzialność w głąb? — zapytał Pawłysz.

— Woda jest przezroczysta i niezbyt głęboka, my jednak nie liczymy na własne oczy. Wszyscy podwodnicy mają znaczniki izotopowe, które łatwo namierzyć. A gdyby to się nie udało, to pozostają jeszcze ptaki, które widzą na dziesięć metrów w głąb.

Pawłysz dojrzał przez okno sejsmologów zbiegających ze zbocza. Dopiero po chwili ukazał się Niels obładowany aparatami pomiarowymi ewakuowanymi z krateru.

— Co na kutrze? — zapytał Dimow Pawłysz wywołał kuter.

— Nieustannie nadajemy sygnały — powiedział Wan — Na razie bez skutku. A u was co nowego?

— Na razie nic.

— Schronisko! — włączył się nagle mechaniczny, monotonny głos jednego z ptaków — Schronisko! Widzę Sandrę!

— Gdzie? — zapytał Pawłysz.

Wan, który nie zdążył się wyłączyć i wszystko słyszał, zawtórował mu.

— Gdzie?

— Południowy zachód, ku południowi od Krzywej Góry Trzydzieści mil, Słyszycie mnie?

— A co z nią? Co z nią?! — krzyknął Jerychoński.

— Utrzymuje się na wodzie. Zejdę niżej, bo mnie nie widzi…

— Kuter, w jakim jesteś kwadracie? — zapytał Dimow, odsuwając Pawłysza od radiostacji.

— 13–878 — odpowiedział Wan — Na północny zachód od wyspy.

— Siedemdziesiąt pięć mil — powiedział Dimow patrząc na mapę. — Potrzebujecie na dojście

tam co najmniej pół godziny.

— Ruszamy — powiedział Wan i wyłączył się.

— Pół godziny — powtórzył Dimow i natychmiast wywołał ptaki: — Możecie jej pomóc?

— Nie — odpowiedział któryś z bioformantów. — Jestem tu sama i nie mogę do niej dotrzeć. Ocean jest mocno sfalowany i boję się zamoczyć skrzydła, a Sandra jest chyba nieprzytomna…

Pawłysz pospiesznie naciągał kombinezon.

— Gdzie jest maska?

— Weź moją — powiedział Pfluge. — Masz. Dimow uniósł głowę znad radiostacji i zobaczył, że Pawłysz właśnie kończy się ubierać — Znasz tę lotnię?

— Jak swoje pięć palców.

— Polecę z nim — powiedział sejsmolog Gogia. — Dobrze, że się nie rozebrałem.

Dimow powtórzył:

— Trzydzieści mil na południowy zachód, ku południowi od Krzywej Góry. — Potem obrócił się do mikrofonu i powiedział: — Za dwie minuty wystartuje do was nasza lotnia. Na miejscu będzie za jakieś dziesięć minut. Kuter nie zdąży szybciej niż za pół godziny. Pfluge szarpał się z włazem śluzy.

— Pospieszcie się — powiedział ptak bo zamiast jednej Sandry będziecie musieli ratować dwoje. Ten nadajnik ciąży mi jak kamień.

Pawłysz otworzył drzwi zewnętrzne i przystanął na chwilę, zdumiony, jak bardzo zmieniło się oświetlenie. Słońce przesłaniała czerwona mgiełka, a czarna góra rysowała się ostro na niebie, jakby podświetlona od tylu promieniem reflektora teatralnego. Sejsmolog pierwszy wskoczył do lotni. Pawłysz uniósł nogę, aby pójść za jego przykładem, kiedy drzwi kopuły otworzyły się i wyskoczył z nich Pfluge w samej kurtce i bez maski. Otworzył szeroko usta, starając się odetchnąć rozrzedzonym powietrzem i rzucił w ich stronę mały pojemnik z zestawem pierwszej pomocy. Zachwiał się i byłby się przewrócił, gdyby nie Niels, który chwycił go macką i wciągnął do środka.

— To nasza wina — powiedział sejsmolog. — Jak mogliśmy zapomnieć…

Pawłysz podniósł pojemnik, rzucił go sejsmologowi, wskoczył do lotni i powiedział do Gogii:

— Teraz się trzymaj! I kiedy będziesz opowiadał wnukom o naszej dzisiejszej wyprawie, nie zapomnij podkreślić, że wiózł cię były mistrz Moskwy w akrobatyce lotniowej.

— Nie zapomnę powiedział sejsmolog, dociągając do oporu pasy bezpieczeństwa.

Pawłysz wyszedł z wirażu i poleciał z maksymalną prędkością tak, żeby zostawić po lewej ręce słup różowobrunatnego dymu stojącego nad przeciwległą stroną wyspy.

* * *

W siedem minut później zobaczyli samotnego ptaka, krążącego o dwieście metrów nad falami.

Ptak zauważył lotnię, bo uniósł się wyżej i znieruchomiał w powietrzu, jakby wskazując punkt, w którym znajduje się Sandra. Pawłysz rzucił lotnię w dół i zawisł o jakieś dziesięć metrów nad grzebieniami fal, ale nawet z tej wysokości nie od razu dostrzegł Sandrę, której ciało nikło wśród piany urywanej przez wiatr ze szczytów grzywaczy.

— Widzisz? — zapytał Gogia, wpatrując się w wodę.

Wiatr znosił lotnię, więc Pawłysz musiał hamować jego porywy silnikiem, żeby nie stracić

Sandry z oczu. Potem wypuścił drabinkę sznurową, która miękko rozwinęła się i chlupnęła do wody o metr od Sandry.

— Jak ją podniesiemy? — zapytał Gogia otwierając dolny właz,

— Pawłysz, co u ciebie? Dlaczego milczysz? — odezwało się radio.

— Poczekaj jeszcze minutę! — warknął Pawłysz. — Znaleźliśmy ją i musimy teraz podnieść na pokład. Wówczas wszystko powiemy.

— A co i nią?

— Nie wiem.

Pawłysz wyłączył nadajnik i powiedział do Gogii:

— Ani mi się waż sam wyciągać ją z wody. Po prostu obwiąż ją liną i przymocuj do drabinki. Wyciągnę was na pokład razem. Jasne?

— Tak. Masz rację — powiedział sejsmolog.

Ptak przeleciał tak blisko kabiny, że Pawłysz mógł zajrzeć w jego okrągłe, porcelanowe oczy. Uniósł rękę, dziękując mu tym gestem za pomoc. Ptak miał na piersi owalne pudełeczko nadajnika. Pawłysz przesunął ręką po własnej piersi, dając do zrozumienia ptakowi, żeby wyrzucił niepotrzebny już ciężar. Ptak zamknął potakująco oczy, ale nadajnika nie wyrzucił, tylko uniósł się nieco wyżej, tak że jego cień od czasu do czasu zasłaniał Pawłyszowi słońce.

Sejsmolog schodził ze zwojem liny po drabince i Pawłysz całą swoją uwagę skupił na tym, żeby nie pozwolić wiatrowi znieść lotni w bok. Sandra rozłożyła ręce i kołysała się na falach jak w hamaku. Leżała na plecach i miała zamknięte oczy. Zgubiła gdzieś swoje ochronne okulary. Minęło czternaście minut od chwili, kiedy wybiegli ze Schroniska.

Sejsmolog wczepił się jedną ręką w drabinkę, a drugą usiłował podprowadzić pod ciało Sandry pętlę liny. Robił to tak niezgrabnie, iż Pawłysz pożałował, że nie może zostawić sterów. Sam zrobiłby to łatwiej i szybciej niż Gogia, który najwyraźniej nie był alpinistą. Dziwne, sejsmolog bez przygotowania wspinaczkowego?… Lina znów się ześliznęła, bo sejsmologowi brakowało wolnej ręki, żeby podsunąć ją pod ramiona Sandry. Gogia aż dygotał że złości, że jest taki nieporadny i Pawłysz już chciał do niego krzyknąć, aby wspiął się na pokład i spróbował utrzymać lotnię w miejscu, chociaż doskonale rozumiał, że dla niefachowca jest to zadanie prawie niewykonalne, że człowiek posługujący się na co dzień wyłącznie auto pilotem nie poradzi sobie z ręcznym sterowaniem w trudnych warunkach. Nie zdążył jednak nic przedsięwziąć, kiedy ptak zdecydował się na niebezpieczną próbę; miękko poszybował pod wiatr, wyczekał momentu, kiedy ciało Sandry znalazło się na grzbiecie fali, chwycił swym krótkim dziobem pętlę liny i błyskawicznie przesunął ją pod ramionami dziewczyny.

Ciągnij! — krzyknął Pawłysz do sejsmologa. Gogia z najwyższym trudem utrzymywał równowagę na drabince, ale usłuchał i pociągnął, zaciskając linę na łokciach Sandry. Bioformant cudem umknął przed grzbietem następnej fali. Kiedy przelatywał przed dziobem lotni, Pawłysz zauważył, że nadajnik jednak poszedł do wody. Uniósł kciuk do góry i ptak gwałtownie zaczął nabierać wysokości.

— Teraz poczekaj — zwrócił się Pawłysz do sejsmologa. — Teraz mogę włączyć autopilota. Ubezpieczaj ją, a ja do ciebie zejdę…

We dwóch wciągnęli Sandrę do kabiny. Minęło dwadzieścia minut od startu.

Radio wrzeszczało, domagało się informacji, błagało o wiadomość, co się stało. Pawłysz nie odpowiadał. Ułożył Sandrę na podłodze i usiłował odnaleźć puls. Sejsmolog otworzył apteczkę, ale

Pawłysz postanowił nie ryzykować. Uniósł tylko dziewczynie powiekę i zobaczył, że źrenica się zwęża. Sandra żyła,

— Mówi Pawłysz — włączył nadajnik. — Słuchajcie mnie uważnie. Sandrę mamy już, na pokładzie. Jest nieprzytomna…

— Jeśli nieprzytomna, to znaczy, że żyje. Nie przerywajcie mi. Najwidoczniej jej organizm ma podwójny krwioobieg. Niechaj Pfluge albo ktoś inny z miejscowych powie mi…

— Oho! — powiedział sejsmolog. — Widziałeś to?

Skafander Sandry był rozerwany na boku i przez dziurę widać było wielki siniak. Pawłysz dotknął go ręką i wyczuł kilka złamanych żeber.

— Słuchaj — powiedział Dimow. — Sandrę projektowaliśmy we dwóch z Geworkianem. Ale to w tej chwili nieważne. Nie czekajcie na kuter, tylko lećcie od razu do Schroniska. Sandrze nie udzielajcie żadnej pomocy, tylko załóżcie jej maskę tlenową i przykryjcie czymś ciepłym. I natychmiast ruszajcie tutaj…

Sejsmolog wyjął zapasową maskę i butlę tlenową. Sandra miała zamknięte oczy i błękitne cienie na policzkach. Gogia odgarnął jej z twarzy mokre włosy i drżącymi ze zdenerwowania rękami założył maskę. Pawłysz pędził w stronę Schroniska lotem koszącym. Wprost na kursie, niczym latarnia morska, wznosił się słup dymu. Ptak leciał w górze i niemal nie zostawał w tyle za lotnią. Odbiornik był włączony i Pawłysz usłyszał, jak Dimow poleca kutrowi krążyć na razie w miejscu i nie wracać na wyspę.

* * *

Pfluge wraz drugim z sejsmologów czekali już na brzegu zatoki. Owiniętą w koc Sandrę ostrożnie wydobyli z lotni i biegiem przenieśli do kopuły. Właz był zawczasu odsunięty i po minucie dziewczyna leżała już na stole. Dimow czekał ubrany w sterylny kitel i rękawiczki chirurgiczne. Czekał również włączony diagnostat, którego czujniki zdawały się niecierpliwie drżeć, zawieszone przewidująco nad stołem.

— Będzie mi pan asystował — zwrócił się Dimow do Pawłysza. — Tam jest zbiornik z roztworem bakteriobójczym.

Przy radiostacji stał Niels.

— Wszystko w porządku — mówił. — Naprawdę, wszystko jest w porządku! Przecież wiesz, Eryku, że jeśli Dimow coś powie…

Wiatr za oknami zmienił już kierunek i brzeg oraz gładka powierzchnia zatoki pokryły się grubym kożuchem popiołu wulkanicznego.

* * *

Sandra spała. Oddech miała miarowy, twarz zaróżowioną, a na skroniach perliły się jej kropelki potu.

— Jest tu jej za gorąco — powiedział Dimow — bo przywykła do bardzo niskich temperatur.

— Jak długo będzie spać? — zapytał Pawłysz.

— Damy jej jeszcze dwie minuty. — Dimow odwrócił się w stronę nadajnika. — Niels, kuter jest już na miejscu?

— Tak, od dziesięciu minut. Na razie nie ma żadnych sygnałów.

— No, to rzeczywiście nie możemy czekać dłużej niż dwie minuty…

— Co się właściwie Sandrze stało? — zapytał Pawłysz, trzymając ręce w miednicy z zimną wodą, żeby złagodzić pieczenie, bo Pfluge w pośpiechu przygotował zbyt skoncentrowany roztwór bakteriobójczy.

— Włączył się układ bezpieczeństwa. Jeśli jej organizm pracuje na granicy możliwości i zachodzi niebezpieczeństwo utraty życia, wtedy wpada w stan pokrewny letargowi. Na razie możemy jedynie przypuszczać, że podwodnicy dostali się w strefę oddziaływania silnej fali sejsmicznej lub zostali zasypani, a Sandra jako jedyna z nich zdołała się uwolnić lub jako jedyna pozostała przy życiu… Ale została poważnie ranna. Ma złamane trzy żebra, rozległe stłuczenia i ranę pod kolanem, jak pan widział. To w sumie nic wielkiego, ale znacznie gorszy jest, zahamowany teraz, krwotok wewnętrzny, co przy podwójnym krwioobiegu stanowi istotne zagrożenie. Najwidoczniej płynęła do bazy, ale zabrakło jej sił i musiała wynurzyć się na powierzchnię Utonąć nie mogła, bo kiedy oddycha skrzelami, jej płuca działają jako pęcherz pławny. Jak tylko straciła przytomność, zapadła w letarg ze zmęczenia i ran, automatycznie wynurzyła się na powierzchnię oceanu…

— A czy w tym oceanie nie ma drapieżników?

— Takich, które mogłyby zagrażać Sandrze, chyba nie.

W każdym razie dotąd się z nimi nie zetknęliśmy. Ale proszę mi wierzyć, że z takim wypadkiem się nie liczyliśmy Nasi eksplorerzy nie powinni tracić przytomności ze zmęczenia i ran…

— Ale jak widać taki wypadek może się zdarzyć — powiedział Pawłysz.

— Niestety. No cóż, pora ją budzić. Nie będzie to dla Sandry najprzyjemniejsze, ale nie możemy tracić czasu. Nie wiemy przecież, co się stało z pozostałymi podwodnikami.

— To znaczy, że kiedy ją wydobywaliśmy z wody, Sandra oddychała skrzelami?

— Tak, ale kiedy podłączył pan tlen, organizm przestawił się na oddychanie płucne.

Sandra ocknęła się od razu. Bólu nie czuła.

— Dimow — powiedziała — chłopców zasypało… Mówiła z trudem, niezbyt przytomnie.

— Byliśmy w Błękitnej Grocie i zaczęło się trzęsienie ziemi… Albo lawina kamienna… Zawaliło nas w grocie… głęboko… Byłam osobno… Staś jest ranny… nie może wypłynąć… nawet jeśli zdołali wydostać się spod zawału… nawet… Eryk nie wie?

Pawłysz podał Dimowowi automatyczną strzykawkę. Dimow przyłożył ją do przedramienia Sandry i pobudzający płyn wszedł pod ciśnieniem pod skórę.

Oczy Sandry gorączkowo rozbłysły.

— Mnie też… Staś wyciągnął… i sam ugrzązł… Głupia sprawa… Kto by się mógł spodziewać…

— Możesz podać współrzędne?

— Tak, oczywiście… Po to płynęłam…

— Niedobrze — mruknął Dimow. — Musimy kończyć!

— Nic mi nie będzie. — Sandra starała się uchwycić niknącą myśl. — Obiecaliśmy wam pokazać… Tak pięknie… Musiało mnie chyba znieść z trasy… Dwadzieścia mil na południowy zachód od wyspy… Grupa raf, dwie wystają nad powierzchnię…

Usnęła.

— Niels, wywołaj Wana. On powinien coś wiedzieć o tych skałach.

Ale najpierw w głośniku rozległ się głos Jerychońskiego.

— Co z Sandrą?

— Sandra śpi — powiedział Niels. — Czemu się denerwujesz? Dimow powiedział, że wszystko jest w porządku, a ty się ciągle denerwujesz…

— Bo jestem człowiekiem, a nie pancernym żółwiem!

— Dobrze już, dobrze — odparł Niels. — Daj mi Wana.

Kopuła drgnęła, ziemia na moment zapadła się pod nogami, a diagnostat odtoczył się od stołu, napinając przewody i czujniki. Dimow rzucił się do stołu, popychając przed sobą diagnostat i osłaniając Sandrę ciałem, jakby bał się, że zaraz z góry posypią się kamienie. Sejsmolog Gogia powiedział do Nielsa:

— Pójdę do Woszczynina.

— Co tam się u was dzieje? — zapytał Jerychoński.

— Nic. To tylko trzęsienie ziemi — odparł Niels. — Gdzie jest Wan?

Pawłysz usłyszał, jak Jerychoński, oddając mikrofon Wanowi, powiedział:

— Ta maszyna jest zupełnie pozbawiona wyobraźni! Nie wie, co może czuć bezradny człowiek…

— Wan, znasz dwie skały o dwadzieścia mil na południowy zachód od Schroniska?

— Jakoś nie bardzo sobie przypominam. Jesteśmy mniej więcej w tym kwadracie, ale nic takiego tu nie widzę. Zresztą gdyby to było coś większego, już dawno zaznaczylibyśmy to na mapie.

— Ale wiesz w przybliżeniu o jakim punkcie mowa?

— W przybliżeniu? Kilka mil od nas. Uniosę kuter w powietrze i polecę po spirali. Ale z takiego pułapu… Może któryś z ptaków będzie wiedział?

— Słusznie — powiedział Dimow, który wraz z Pflugem wyzwalał Sandrę z oplątujących ją przewodów. — Wywołaj ptaki.

— Nie trzeba ich wywoływać — powiedział Niels. — Są tutaj.

— Są tutaj — potwierdził Pawłysz. — Jeden bioformant przyleciał tu za mną. Ten, który odnalazł Sandrę i wyrzucił potem nadajnik.

— Jeśli można prosić, niech pan wyjdzie i zapyta je o te skały…

Pawłysz założył maskę.

Wszystkie trzy ptaki siedziały na wielkim płaskim głazie opodal kopuły i cicho rozmawiały ze sobą, pochylając, z gracją zgrabne główki. Nad nimi wznosiła się czarna góra spowita dymem i obramowana krwawym blaskiem. Pawłysz pomyślał przelotnie, że ten baśniowy widok coś mu przypomina. Pewnie którąś ze skandynawskich sag — trzy ogromne białe ptaki, wulkan i nagi, mroźny brzeg.

Ptaki zauważyły Pawłysza i ruszyły mu naprzeciw.

— No i co? — zapytał jeden z nich.

— Sandra odzyskała przytomność — odparł Pawłysz. — Powiedziała Dimowowi, że zasypało ich w podwodnej grocie o dwadzieścia mil na południowy zachód od Schroniska. Tam powinny być skały, z których dwie wznoszą się ponad wodą. Wan jednak takich skał nie zna.

— Tam nie ma skał — powiedział drugi ptak. — Przynajmniej ich sobie nie przypominam. Saint Venante, może ty widziałeś tam jakieś skały?

— Nie, Allanie — odparł drugi ptak. — Nigdy nie widziałem.

Allan zwrócił się do trzeciego ptaka, na którego szyi wisiał pasek od zgubionego nadajnika.

— A ty?

Trzeci ptak powiedział:

— Chyba wiem, o co chodzi. Kiedy przeczesywałam ten rejon, spostrzegłam dwie rafy. Ich szczyty pokazywały się między falami. Myślę, że te skały wypiętrzyły się tam zupełnie niedawno.

— Dziękuję ci, Marino — powiedział Allan. — Zawsze mówiłem, że masz najlepszy wzrok.

— Oj! — pisnął trzeci ptak, jakby chciał powstrzymać Allana.

— Marina? — zapytał Pawłysz.

— Niech pan biegnie do Dimowa! — powiedział Allan.

— Marina… — powtórzył Pawłysz, ale ptak nagle rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze.

— Marina Kim? — zapytał Pawłysz Allana.

— Tak, ale pan się chyba spieszy?

* * *

Pawłysz pilotował lotnię, na której pokładzie poza nim znajdował się jeszcze sejsmolog Gogia, Niels i Dimow. Pfluge z drugim sejsmologiem pozostali na wyspie Sejsmolog dyżurował przy nadajniku i obserwował wulkan. Pfluge zajmował się Sandrą.

Trzy białe ptaki szybowały przed lotnią na nieco wyższym pułapie. Powietrze było przesycone czerwonawym popiołem wulkanicznym i przesączone przezeń światło kładło się na białych skrzydłach krwawym odblaskiem pożogi.

Jeden z ptaków — Pawłysz nie potrafił powiedzieć który — był Mariną, Kopciuszkiem, który znowu zmienił postać, aby Pawłysz nie mógł go rozpoznać…

— Kto pójdzie z akwalungiem? — zapytał Niels, który zajmował środek kabiny, a pozostali siedzieli wokół niego niczym goście zgromadzeni dokoła imieninowego tortu. Niels leciał dlatego, że zdołał przekonać Dimowa, który wątpił, że bioformant poradzi sobie pod wodą. „Beze mnie — powiedział — pewnie się wam nie uda rozebrać zawału i dotrzeć do wnętrza groty. Będziecie wysadzać skały materiałem wybuchowym? Wyciągać głazy gołymi rękami? A może zaczekacie aż z planetoidy przerzucę wam robota podwodnego?”

— Mamy własnego i możemy go zmontować w ciągu paru godzin.

— Właśnie. Kilka godzin na montaż, parę godzin na transport kutrem… A wtedy może już być za późno! — Równy, płaski głos mechanicznej krtani kontrastował z pełnymi pasji słowami monologu Nielsa. — My tutaj jesteśmy jak w bajce. Pan jest niczym Iwan Carewicz albo Głupi Jasio. My zaś — jak przyjazne panu zwierzaki. Wie pan: idzie Głupi Jasio i spotyka na swej drodze zwierzęta, które za określone usługi obiecują mu swą pomoc. Ptak dostrzegł z nieba narzeczoną, a żółw ma po nią nurkować. Skoro już pan, a właściwie Instytut, podjął się roli Pana Boga i stwarza ludzi nie tyle na swój, ile chyba na diabelski obraz i podobieństwo, to proszę nie rezygnować ze skromnych usług swoich potworów.

— Masz rację, Niels — powiedział Dimow.

— A Marina od dawna jest na Stacji? — zapytał Pawłysz, kiedy zapadło milczenie.

— To nowicjuszka — odparł Dimow — zaledwie od miesiąca w powietrzu. Był tak pochłonięty

myślami o podwodnikach, że najwidoczniej zapomniał o wczorajszej rozmowie i nie zapytał, skąd Pawłysz wie o tym, że Marina jest bioformantem.

Kuter kołysał się na falach, wystawiwszy na powierzchnię tylko kopułkę sterówki.

Pawłysz powziął decyzję natychmiast, zanim jeszcze ktoś zaczął się zastanawiać, w jaki sposób przedostanie się na pokład kutra. Włączył nadajnik i powiedział do Wana:

— Wynurz się.

— Ocean jest zbyt sfalowany.

— A twoja zabawka nie może zawisnąć w powietrzu?

— Nie.

— Wobec tego unieś się i leć nad wodą z minimalną prędkością.

— Po co?

— Siądę ci na pokład.

— To bardzo trudne.

— Znowu chcesz się ze mną kłócić?

— Dobrze, wychodzę.

Ptaki uniosły się tak wysoko, że wyglądały jak białe plamki na purpurowym stropie chmur. Potem poszybowały w bok i w dół.

— Pawłysz — powiedział Allan. — Dwie skały ledwie wystające nad wodę o półtora kilometra od ciebie. Lecimy w dół. Patrz.

— Dobra — odparł Pawłysz, ale patrzył w tamtą stronę nie on, tylko Dimow, bo sam obserwował, jak kuter burząc wodę wynurza się ponad falę. Potem zaczął stopniowo zmniejszać wysokość i zwalniać, żeby wyrównać prędkości lotni i kutra.

— Idź najrówniej, jak potrafisz — powiedział do Wana.

— Jak po nitce — odparł Wan.

— Trzymajcie się!

Lotnia opadła na pokład kutra tuż za sterówką. Pokład był mokry, wąski i obły, dlatego Pawłysz wypuścił stojaki awaryjne i ich pofałdowane przyssawki ścisnęły boki stateczku.

— Przez jakiś czas się utrzymam — powiedział Pawłysz. — Niels, otwórz dolny właz.

Jerychoński wysunął się do pasa ze sterówki kutra i patrzył na lotnię.

Niels jako pierwszy zeskoczył na pokład i uważnie przestawiając kończyny ruszył w stronę sterówki. Macki zwisały mu po bokach, w ten sposób się ubezpieczał. Kuter z dosiadającą go lotnią wolno leciał nad falami.

Pawłysz uniósł głowę wypatrując ptaków, ale ich nie dostrzegł. Pomyślał z nagłą irytacją, że znalazł się w idiotycznej sytuacji: nie mógł opuścić lotni, bo ją pilotował, pozostając zaś przy sterach wyłączał się tym samym z dalszej akcji. Gogia stał przy włazie nie wiedząc, co ma dalej robić. Pawłysz zapytał Wana:

— Wszystko w porządku?

— Tak.

— Daj mi Dimowa.

— Słucham.

— Chciałbym pójść na dół z Nielsem. Jestem dobrym nurkiem, mam lepszą kondycję od innych i mogę się przydać.

— Nie — odparł Dimow — proszę pozostać na miejscu. Może się okazać, że będzie pan bardziej

przydatny jako pilot lotni. Już wiemy, że bardzo dobrze daje sobie pan z nią radę…

— To fakt — powiedział Gogia.

Pawłysz poczuł do niego wdzięczność za te słowa. Można być najmądrzejszym i najskromniejszym pod słońcem człowiekiem, ale szczera pochwala zawsze jest miła.

— Nie wiemy kiedy i w jakim stanie odnajdziemy podwodników — ciągnął Dimow. — Każda sekunda może być droga, a wówczas trzeba będzie ich natychmiast odstawić na Stację. Dlatego ktoś musi dyżurować w lotni, aby w razie konieczności znów wylądować na pokładzie kutra. Proszę unieść się w powietrze i czekać przy odbiorniku.

— A ja? — zapytał sejsmolog.

— A Gogia?

— Gogia zostanie z panem. Już się dotarliście. No, na razie. Zanurzamy się. Proszę startować.

Pawłysz uruchomił silnik, oderwał wsporniki od pokładu kutra i lotnia wystrzeliła w górę. Kuter opadł z pluskiem do wody i poszedł w dół jak kamień rzucony ukośnie z brzegu.

Pawłysz popatrzył w jego kierunku i dojrzał trzy ptaki krążące nad oceanem, a kiedy uniósł się jeszcze o sto metrów w górę, spostrzegł białą kipiel, w której środku czerniały wierzchołki raf. Ruszył w tamtą stronę starając się nie tracić kutra z oczu i zawisł w punkcie, gdzie podłużny kadłub kutra rozpłynął się w zielonkawej wodzie wolno i ostrożnie, żeby nie rozbić się o skały, opadając na głębinę.

Wywołał Allana.

— Podziękuj od nas Marinie za to — powiedział — że tak precyzyjnie doprowadziła nas na miejsce wypadku.

Chciał po prostu jeszcze raz wypowiedzieć na głos jej imię.

— Dobrze — odparł Allan.

Sejsmolog Gogia usiadł obok i patrzył na ptaki unoszące się w powietrzu.

— Niels miał rację — powiedział. — Rzeczywiście jesteśmy jak z bajki. Najpierw niedźwiedź, potem ptak, a potem jeszcze ktoś inny.

— Diabelskie nasienia — uzupełnił Pawłysz.

— A co, może nie? Przecież wiem, Pfluge mi opowiedział, jakeś doktorze uciekał przed Nielsem. Nie, wcale się nie śmieję, ale proszę sobie wyobrazić naszych przodków…

— Jasne, gadające ptaki i tak dalej… Chociaż nie, starożytni wcale by się nie zdziwili. Żyli bliżej natury i zawsze gotowi byli uwierzyć w realność baśni. Dla nich gadający ptak czy ryba nie byłby niczym nadzwyczajnym, bo wychowani byli na baśniach, w których wszystkie zwierzęta przemawiały ludzkim głosem. Trudniej byłoby ludziom bliższym nam w czasie. Wyobraź sobie, Gogia, że powiedziałbyś jakiemuś dwudziestowiecznemu uczonemu lub kosmonaucie, iż za jakieś sto lat jego koledzy po fachu zaczną przybierać postacie nie zawsze przyjemne dla oka i w takim kształcie przez czas dłuższy funkcjonować. Mogliby poczuć się dotknięci w swych najgłębszych uczuciach, bo przecież dzisiejsze osiągnięcia nawet i my traktujemy czasem jako absolutny szczyt ludzkich możliwości…

— Austriackie gadanie! — parsknął Gogia, który był zbyt młody na to, aby bez oporów przyjąć czyjś punkt widzenia.

— Jest kontakt — powiedział Dimow — Podwodnicy są tutaj, pod lawiną.

— Co było do dowiedzenia — powiedział Gogia — Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

I otworzył swoją walizeczkę z sejsmolokatorami, ponieważ ten obszar był dla niego niezwykle

interesujący z zawodowego punktu widzenia. Tutaj przebiegała granica między dwoma ściskanymi płytami.

— Słuchaj, Pawłysz — powiedział Dimow. — Jesteśmy na głębokości czterdziestu dwóch metrów. Wan zostaje na kutrze. Ja z Nielsem schodzę na zawal. Jerychoński będzie nas ubezpieczał. Na wszelki wypadek włącz zapis, rejestruj wszystkie nasze ruchy. Jeśli coś się stanie, będziesz wiedział, co i gdzie Przygotuj się do tego, że może będziesz musiał ruszyć za nami z robotem do prac podwodnych. Już wydałem dyspozycję i na Stacji zaczęli go montować.

— Jasne — powiedział Pawłysz uruchamiając rejestru tor.

— Wychodzimy.

— Daleko mają do zawału? — zapytał Pawłysz Wana.

— Nie, doskonale ich widzę.

— Powiedz Wanowi, żeby nie leżał na dnie — powiedział Gogia. — W każdej chwili może nastąpić nowy wstrząs i wtedy skały przygniotą kuter.

— Słyszałeś? — zapytał Pawłysz.

— Słyszałem, ale mamy niewiele paliwa Nie spodziewaliśmy się, że będziemy musieli tak długo pływać. Zresztą lawina nas nie dosięgnie.

— Wan — wtrącił się Dimow. Jego głos brzmiał znacznie słabiej. — Słyszałeś? W najgorszym razie będziesz dryfował na powierzchni, a paliwo ci jakoś dostarczymy. Przecież ryzykujesz nie tylko własnym życiem…

— Odrywam się od dna — powiedział Wan. — Jerychoński, odjedź na bok, bo cię zaczepię.

Pawłysz wyobraził sobie tę scenę. Kuter wisi nad samym dnem, nad głazami, odłamkami korali i kłębami splątanych wodorostów. O kilka metrów od niego unosi się Jerychoński. Promień z reflektora na jego kasku sięga Dimowa w obcisłym pomarańczowym skafandrze z garbem butli tlenowych na plecach i sunącego miarowo naprzód żółwia.

— Niels wziął latarkę? — zapytał Pawłysz.

Wan odpowiedział nie od razu, bo zajęty był akurat nadawaniem kutrowi pływalności zerowej.

— Nie, nie wziął — powiedział wreszcie. — Przy rozdzielności jego oczu latarka jest zupełnie niepotrzebna. Przecież konstruowano go między innymi po to, żeby mógł widzieć w ciemności.

— A gdzie są podwodnicy?

— No głębokości jakichś dwudziestu metrów pod zawałem.

— Dwudziestu?…

— Tak. Tam jest cały system jaskiń. Widocznie zeszli w dół, bo tam jest bezpieczniej W każdym razie przyrządy wykazują obecność znaczników izotopowych na takiej właśnie głębokości.

— Dotarliśmy do zawału — powiedział Dimow — Niels szuka wejścia. Gdzieś przecież musi być szczelina, którą Sandra wydostała się na zewnątrz.

Nastąpiła długa pauza.

— Sława — przerwał ją Gogia — zapytaj Schronisko, jak tam u nich wygląda sytuacja sejsmiczna.

Pawłysz połączył się z kopułą, gdzie wszystko było po staremu. Sandra spała Sejsmolog Woszczanin powiedział, że sytuacja w kraterze ustabilizowała się. Wypływa gęsta lawa i jeśli prędkość wypływu się nie zmieni, to niebawem powierzchnia wyspy wzrośnie w trójnasób. A za jakieś Sto lat będzie na niej można posadzić gaje pomarańczowe,

— Bardzo się cieszę — powiedział Pawłysz i przełączył Się na Wana: — Powiedz

Jerychońskiemu, że Sandra śpi, a w Schronisku jest spokój.

— Dziękuję.

— Szukamy wejścia pod zawał — powiedział Dimow. — Na razie bez skutku.

Gogia oderwał się od swoich przyrządów i przesiadł się do Pawłysza.

— Nie zazdroszczę Jerychońskiemu — powiedział. — Ożenić się z kobietą, która większość życia spędza pod wodą. Kochać w gruncie rzeczy półrybę…

— Ale przecież Sandra może powrócić do poprzedniej postaci…

— Może, ale nie zechce. Sandrze jej obecny stan bardzo się podoba. Jest po prostu zwariowana na punkcie oceanu. Kiedyś z pewnością pozna pan ich historię. Jest niesłychanie romantyczna. Poznali się, kiedy Sandra już pracowała pod wodą. Przyleciała kiedyś do nas do Tbilisi na konferencję, no i… spotkała Jerychońskiego. On, kiedy wszystkiego się dowiedział, usiłował namówić ją do rezygnacji z pracy podwodnika. Bez powodzenia. W rezultacie zaciągnął się na Projekt, żeby być przy niej. Tutaj też przyleciał, żeby być przy niej. Wcale nie mówię, że on jest złym chirurgiem. Wcale nie, to bardzo dobry chirurg, ale żeby tak cierpieć! I to się nazywa współczesny mężczyzna…

Gogia westchnął.

— A pan nie potrafiłby pokochać podwodnicy?

— Skąd mogę wiedzieć, skoro mam w Gruzji młodą żonę? Najzwyczajniejszą w świecie żonę.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Nie wiem — wyznał Gogia. — Sandra jest piękną i w dodatku mądrą kobietą.

— No, a… — Pawłysz wskazał ręką krążące opodal ptaki.

— To zupełnie co innego — odparł Gogia. — Córka Allana też pracuje w Instytucie. To jest jak tymczasowe zajęcie albo maska. Nikt z nich nie zamierza pozostać na zawsze żółwiem lub ptakiem. Dla bioformanta jego zmieniona postać to nic innego jak na przykład skafander kosmiczny, który można zdjąć po powrocie z wyprawy i znowu normalnie żyć.

— Aha — powiedział Dimow — jest szpara. Pawłysz trzymał radiostację na nasłuchu, wyłączywszy nadawanie, żeby jego rozmowa z Gogią nie przeszkadzała pozostałym.

— Co ja tam zresztą będę panu mówił — powiedział Gogia. — Był pan w pokoju Wana?

— Zakwaterowano mnie tam.

— Słusznie, to bardzo duży i ładny pokój. A więc w pokoju Wana wisi na ścianie portret Mariny Kim. Zauważył pan?

Gogia nie patrzył na Pawłysza i nie zauważył, że doktor się zarumienił. To okropne, kiedy człowiek tak łatwo się rumieni. Nawet medycyna nie może nic na to poradzić.

— Odwaliliśmy z Nielsem kamień — powiedział Dimow — Pod nim jest bardzo wąski korytarz, przez który nie zdołamy się przedostać. Na jego końcu, dwa metry niżej, znajduje się kolejny zawał z ruchomych kamieni…

Pawłysz przypomniał sobie czytaną kiedyś starą książkę o tym, jak saperzy unieszkodliwiali bombę czy jakiś inny pocisk. Pocisk był bardzo skomplikowanej konstrukcji i saperzy w każdej chwili mogli zginąć. Dlatego też opisywali przez radio każdy swój ruch, sekunda po sekundzie, aby ci, którym przyjdzie rozminowywać podobny ładunek, wiedzieli, w którym momencie został popełniony błąd.

— Doszliśmy do drugiego zawału — powiedział Dimow.

— No i? — zapytał Pawłysz Gogię. — Mówił pan, że w pokoju Wana wisi portret Mariny

Kim…

— Tak. On jest w niej po wariacku zakochany. Poznał ją jeszcze na Ziemi, kiedy Marina odbywała staż w naszym Instytucie. Ona też dobrze się do niego odnosiła ale w miarę. Mnie wtedy w Instytucie nie było, dopiero tutaj się do nich przyłączyłem, ale i tak wszystkiego się dowiedziałem, bo to żadna tajemnica. A potem Marina zaczęła mieć kłopoty. Nie bardzo zgadza się z ojcem.

— Dobra! — powiedział Dimow. — Kamień ruszył. Ostrożnie!

Pawłysz zamarł i zaczął w duchu liczyć sekundy.

Dimow westchnął z ulgą i powiedział:

— Ależ ty masz krzepę, Niels… On tu odwalił taki głaz, że to się po prostu w głowie nie mieści… Ale dalej jest następny…

— Mów dalej — powiedział Pawłysz.

Ale Gogia nie mógł mówić dalej, bo w głośniku odezwała się druga lotnia. Pilot pytał, czy ma wracać na bazę, czy też lecieć do nich.

Pawłysz nie pytając nikogo o zdanie, odesłał go z powrotem na Stację i kazał czekać, aż zmontują robota do robót podwodnych, bo może trzeba go będzie dostarczyć na miejsce wypadku.

— Słusznie — powiedział Wan, który słyszał tę rozmowę, ale się do niej nie wtrącał. Pawłysz znów wyłączył nadajnik. Gogia zauważył to i podjął opowiadanie.

— Nie znam szczegółów, wiem tylko, że jej ojciec jest okropnym pedantem, kapitanem statku. No więc ojciec zabronił Marinie pracować w naszym Instytucie. Powiedział, że się jej wyrzeknie i tak dalej… Jednym słowem bał się o nią i chciał ją w ten sposób powstrzymać, ale Marinę nie tak łatwo powstrzymać. Ona jest taka maleńka i spokojna, że nie ma na nią żadnej rady. No więc, kiedy nie usłuchała ojca, to on, jako człowiek z zasadami, powiedział, że nie chce jej więcej widzieć na oczy. Powiedział i koniec. Gdyby Dimow o tym wiedział, jakoś by to przed Mariną ukrył albo sam porozmawiał z Helem Kimem, ale nie wiedział i stało się. Marina postanowiła zobaczyć się z ojcem, jakoś go przekonać, wytłumaczyć, a Wan, który już wtedy gotów był za nią skoczyć w ogień, dowiedział się…

— Wchodzimy do szczeliny — powiedział Dimow. — Właściwie ja zostaję na razie na zewnątrz, a Niels próbuje dotrzeć do nich i zbadać sytuację…

— Co dalej? — zapytał Pawłysz.

— Pewnie to pana nie interesuje.

— I tak nie mamy nic innego do roboty.

— Wan pomógł Marinie wymknąć się na dzień z Instytutu.

— Na Księżyc? — zapytał Pawłysz.

— Skąd pan wie?

— To było pół roku temu?

— Tak, akurat pół roku. Marina była już przygotowana do bioformacji, a właściwie nawet już ją zaczęła. To znaczy, że fizjologicznie była jeszcze człowiekiem, ale przyjmowała już środki farmakologiczne ułatwiające przyszłą przemianę. Krótko mówiąc nie powinna uciekać, nie miała prawa opuszczać Instytutu, ale przyleciała na Księżyc, a jej ojciec albo o tym nie wiedział, albo nie chciał się z nią zobaczyć i wystartował swoim statkiem.

— On jest kapitanem „Cerery”?

— Nie wiem, ale czy to ważne? Zna go pan?

— Nie. Kapitan wiedział, że Marina się do niego wybiera?

— Nie wiem. Proszę zapytać Wana albo Marinę. Dobrze jeszcze, że ją na czas odstawili z powrotem…

— Niels? To ty, Niels? — rozległ się głos Wana. — Źle cię słyszę.

— Niels mówi, że ich znalazł — powiedział Dimow. — Znalazł ich.

— W jakim są stanie?

— Idę do niego — odparł Dimow. — Czekajcie.

— I czym się to wszystko skończyło? — zapytał Pawłysz Gogię.

— Co? Chodzi panu o Marinę? Niczym. Wybaczono jej. Wan całą winę wziął na siebie. Marina całą winę na siebie i wszyscy byli do obrzydliwości szlachetni. Marina pracuje, a ojciec, jak to ojciec, w końcu też jej wybaczy. Romantyczna historia.

— Na jakiej oni są głębokości? — zapytał Pawłysz Wana.

— Według znaczników izotopowych około dwudziestu metrów poniżej mnie, ale sygnały radiowe źle przechodzą. Musimy czekać.

— Najbardziej się teraz lękam — powiedział Gogia — kolejnego wstrząsu i obsunięcia skał. Wyobraźcie sobie…

— Nie kracz! — warknął Wan, który usłyszał jego słowa.

— Przecież ja nic nie mówię!…

— Nie martw się — powiedział Pawłysz. — W razie czego pójdziemy obaj i wyciągniemy wszystkich Zresztą nic się nie stanie,

I nagle dobiegi ich wyraźny, mechaniczny głos Nielsa.

— Nie martw się, Gogia — zawtórował Niels Pawłyszowi. — Nie będziecie musieli iść. Ja przecież zostałem przystosowany do pracy nie w takich idealnych, cieplarnianych warunkach, lecz na prawdziwie trudnych planetach. Nie martw się więc i czekaj.

Ostatnie słowa utonęły w trzaskach zakłóceń. Całkiem niedaleko, zaledwie o parę kilometrów, płyty dna morskiego znowu zaczęły się wypiętrzać…

* * *

Pawłysz nie musiał przenosić podwodników na lotnię lub pędzić na Stację po chirurgów. Obyło się bez nadzwyczajnych akcji. Staś Fere prawie nie ucierpiał, jeśli nie liczyć paru stłuczeń i powierzchownych ran, które u płaszczek błyskawicznie się goją. Drugi podwodnik był ranny o wiele poważniej, ale Dimow i Jerychoński napełnili wodą ładownię kutra i zoperowali go w skafandrach. Wan wynurzył kuter na powierzchnię i z ekonomiczną prędkością płynął na Stację. W momencie zakończenia operacji stateczek znajdował się już w podwodnej przystani na bazie.

Pawłysz tymczasem wrócił na wyspę, żeby ewakuować stamtąd Sandrę, Pflugego, sejsmologa i co cenniejszą aparaturę. Strumień lawy zmienił kierunek i zagrażał kopule.

Pfluge z Gogią przenieśli Sandrę na pokład lotni i zostali przy niej, a Pawłysz wrócił do schroniska, żeby zabrać aparaturę, wyłączyć zasilanie nadajnika i zaśrubować właz zewnętrzny. Teraz kopuła będzie stała pustką do chwili, kiedy ludzie znów będą mogli do niej wrócić Sejsmolog wyskoczył z lotni, chwycił jedną ze skrzynek i pospieszył z powrotem. Został jeszcze jeden pojemnik, zbyt ciężki, aby go unieść w pojedynkę, Pawłysz więc usiadł na nim czekając na pomoc.

Wszystko dokoła się zmieniło. Jeszcze wczoraj zatoczka była cichym zakątkiem, w którym nic się właściwie nie działo. Fale nie zalewały brzegu, Krzywa Góra drzemała, lód poskrzypywał pod nogami jak na zapadłej stacji polarnej. Teraz nisko nad wyspą wisiały chmury popiołu i co chwila spadał silny, brudny deszcz. Wulkanik na stoku szalał, pluł błotem niczym prawdziwy wulkan, a pióropusze pary tryskały i niezliczonych szczelin góry. Przez nie prześwitywały płomienie wydobywające się z głównego krateru.

Jeden z ptaków wrócił za lotnią nad wyspę i teraz krążył nad głową Pawłysza.

Pawłysz pomachał mu ręką. Nie miał przy sobie nadajnika i nie mógł zapytać, który z bioformantów został z nim, ale miał nadzieję, że jest to Marina.

Gejzer nagle wystrzelił wysoko w powietrze ostrym strumieniem rzadkiego błota, więc ptak na wszelki wypadek złożył skrzydła i poszybował w bok.

Sejsmolog powiedział:

— Weźmy tę skrzynię.

Pawłysz wstał, chwycił pojemnik za ucho i poniósł go z sejsmologiem w stronę Lotni. Ziemia drżała pod nogami.

— Mam takie wrażenie — powiedział Gogia — że wyspa lada chwila może wylecieć w powietrze.

— Nie bój się — odparł Pawłysz. — Zdążymy.

— Allan na wszelki wypadek nas obserwuje — powiedział sejsmolog. — Też się tego obawia.

— To jest Allan? Jak ty ich rozróżniasz?

— Po prostu myślę, że to Allan, bo to prawdziwy mężczyzna.

No jasne, że to nie może być Marina, pomyślał Pawłysz. Ona nie chce się ze mną spotkać. Kopciuszek też pewnie nie chciałby ukazać się księciu w codziennej sukienczynie. Dwa lata, napisała — wtedy…

— Jak długo bioformanci muszą pozostawać w nieludzkiej postaci? — zapytał Gogię, który stał we włazie lotni i ciągnął pojemnik do góry. Pawłysz stał na ziemi i podnosił skrzynkę ze swej strony.

— To zależy od typu bioformanta i od tego, gdzie ma pracować. Niels na przykład obliczony jest co najwyżej na rok. Za dwa tygodnie odlatuje na inną planetę, gdzie jest naprawdę trudno. Dla niego praca tutaj to po prostu wstępna aklimatyzacja i ostatnia próba. A ptaki pewnie jeszcze tu zostaną. Na rok albo…

Hełmofon tłumił panujący dokoła łoskot, ale w tym momencie we wnętrzu góry zrodził się tak złowieszczy, głęboki grzmot, że przebił się przez nauszniki i zagłuszył ostatnie słowa sejsmologa. Pawłysz drgnął.

Człowiek w obliczu nagłej katastrofy zaczyna działać instynktownie, niemal bez udziału świadomości. Dopiero później, kiedy wszystko minie i na własne wrażenia nakładają się wrażenia innych ludzi, potrafi zrekonstruować w umyśle jej przebieg, a mówiąc ściślej skonstruować jeden z subiektywnych wariantów kataklizmu. Jeśli więc Pawłyszowi wydało się, że w zbocze góry uderzył niewidzialny topór i że pod tym ciosem zaczęła się ona rozpadać jak spróchniały pień, to sejsmolog, obserwujący to z otwartego włazu lotni, skojarzył sobie eksplozję z kurtyną teatralną, rozsuwającą się na boki wraz z ostatnim akordem uwertury, kiedy ze sceny przez rozszerzającej się szczelinę tryska jaskrawe światło reflektorów udających rozpalone słońce w letnie południe na wsi… Pfluge i Woszczanin nie zobaczyli tego momentu, bo kiedy do kabiny lotni dotarł łoskot wybuchu i ziemia podrzuciła aparat do góry, obaj rzucili się ku Sandrze, aby nie pokaleczyła się o porozstawiane

wszędzie skrzynie i pojemniki.

Pawłysz, zafascynowany przerażającym widokiem, stał bez ruchu pewnie nie dłużej niż sekundę. Nie wiedzieć czemu nawet nie upadł, nie stracił równowagi i jego mózg zdążył odnotować, że góra rozpada się wolno, jak we śnie. W tym momencie fala powietrzna i nowa eksplozja ogłuszającego łoskotu uniosła go w górę i rzuciła na lotnię.

Sejsmolog wisiał we włazie i coś krzyczał, ale Pawłysz go nie słyszał, bo patrzył na rozpadające się skały i widział, jak wicher porwał ptaka, białe piórko, podrzucił go, zakręcił i zaczął spychać do wody.

— Szybciej! — krzyczał sejsmolog. — Na pokład!

Wewnątrz góry widać było żółtą masę, miękką i ciągliwa, która puchła i wylewała się przez zręby skalne jak ciasto z dzieży.

Pawłysz nie mógł oderwać wzroku od kłębuszka białych piór spadających do wody.

— Dokąd?! — darł się sejsmolog. — Zwariowałeś?

Pawłysz biegł do wody. Ptak unoszony strumieniem powietrza opadał niczym liść zerwany z drzewa, wirując i hamując upadek, spadając gwałtownie o parę metrów i znów przez moment szybując jak nasionko klonu.

Ptak powinien upaść o jakieś sto metrów od brzegu, ale na szczęście gwałtowny podmuch szkwału odrzucił go w stronę lądu i Pawłysz bez zastanowienia wszedł do wody i pobiegł ku spadającemu ptakowi. Biegł tak grzęznąc w błocie, ślizgając się, potykając i starając się za wszelką cenę utrzymać równowagę, podczas gdy ziemia trzęsła się, usuwała się spod nóg w przerażających drgawkach.

Z początku dno opadało łagodnie i brudna woda sięgnęła kolan dopiero po dwudziestu krokach. Ptak spadł do wody. Jedno skrzydło miał złożone, a drugie niczym białe prześcieradło leżało na falach, tak, że bioformant sprawiał wrażenie miękkiego, nieożywionego przedmiotu… Dno obniżyło się gwałtownie i Pawłysz zapadł się po pas w wodę. Teraz każdy następny krok przychodził mu z wielkim trudem, bo woda w zatoczce burzyła się i wirowała, chociaż gęsty kożuch popiołu na powierzchni wygładzał fale niczym szumowiny w garnku kipiącej zupy.

Ptaka wolno spychało na środek zatoki, więc Pawłysz spieszył się wiedząc, że w swoim kombinezonie nie będzie mógł płynąć i błagając wszelkie moce niebieskie i piekielne, żeby dno już więcej nie opadało, żeby starczyło sił i czasu na dotarcie do białego prześcieradła.

Dosięgnął końca skrzydła i w tym momencie stracił grunt… Nie wypuszczając skrzydła i lękając się zarazem, że pióra mogą nie wytrzymać szarpnięcia, Pawłysz podpłynął skokami w stronę ptaka, z coraz większym trudem odbijając się od dna. Nie wiadomo, jak by się ta akrobatyka skończyła, gdyby Pawłysz nie poczuł nagle, że ktoś ciągnie go do tyłu. Przez parę sekund utrzymywał nietrwałą równowagę, wciąż ciągnąc za skrzydło, aż wreszcie bezwładność została przezwyciężona i ptak lekko popłynął w jego stronę.

Nie wypuszczając skrzydła z ręki, Pawłysz się odwrócił. Gogia stał po pas w wodzie wczepiony z tyłu w jego kurtkę. Oczy miał nieprzytomne z przerażenia. Kilka razy bezdźwięcznie otwierał i zamykał usta, nim wreszcie zdołał wykrztusić…

— Ja… przecież mógł pan nie zdążyć…

Porwali lekkie, wymykające się z rąk ciało ptaka i pociągnęli do brzegu. Głowa ptaka bezwładnie opadło i Pawłysz wolną ręką podtrzymywał ją, żeby bioformant nie opił się wody. Oczy ptaka były przesłonięte półprzeźroczystą błoną, a jego pierś unosiła się w szybkim, płytkim oddechu.

— Ogłuszyło go — powiedział Pawłysz.

Gogia nie patrzył na niego, tylko przed siebie, na brzeg. Pawłysz też popatrzył w tamtą stronę. Jęzor lawy wypływającej ze szczeliny w zboczu docierał już do brzegu. Jej odblaski nadawały ludziom i ptakowi krwawe zabarwienie.

— W lewo! — krzyknął Pawłysz.

Lotnia znajdowała się po przeciwległej stronie strumienia lawy i wyglądała jak bańka mydlana w promieniach zachodzącego słońca.

Musieli znów cofnąć się niemal po pas w wodę, żeby wyminąć ścianę pary wznoszącej się tam, gdzie język lawy spływał z brzegu. Para jednak dosięgła ich i wówczas Pawłysz, nie myśląc już o tym, że może uszkodzić ptakowi skrzydła, objął rękami jego lekkie ciało i uniósł nad wodą. Gogia brnął obok niego, podtrzymując bezwładne skrzydło…

Pfluge stał we włazie lotni, wypełniając cały jego prześwit. Usiłował dojrzeć ich w rozszalałym żywiole i kiedy wreszcie zobaczył, zeskoczył na ziemię i pobiegł naprzeciw; nie dlatego, że to było potrzebne, tylko po prostu nie mógł ustać w miejscu z radości, że jednak nie zginęli.

Pawłysz potem z najwyższym trudem przypomniał sobie, jak wpychali ptaka do lotni, jak walczyli z bezwładnym skrzydłem, które w żaden sposób nie dawało się złożyć i utykało we włazie… Ostatecznie włazu nie zamknęli i Pawłysz uniósł aparat nad wyspą i rzucił go w stronę morza, a kamienie z nowej erupcji bębniły po kadłubie lotni, zaś popiół i para całkowicie zasłaniały widoczność.

Pawłysz czuł, że lotnia go nie słucha, że traci prędkość i wysokość, i myślał tylko o tym, jak wyprowadzić ją ze strefy działania wulkanu…

Aparat opadł nad samą wodę, a Pawłysz z najwyższym trudem utrzymał go w powietrzu i ruszył lotem koszącym w kierunku otwartego oceanu. Lotnia wlokła się okropnie — widocznie któryś z kamieni jednak uszkodził silnik — ale leciała.

Pawłysz obejrzał się. Wyspa, wulkan, zatoka, wszystko spowite było dymem i parą. Kłąb czarnego dymu o średnicy dwóch kilometrów przechodził w ciemne chmury rozświetlane zygzakami błyskawic i zarzewiem rozpalonej lawy.

— Udało się… — powiedział Pawłysz. — Teraz już jakoś dociągniemy do domu.

Woszczynin wreszcie zamknął właz. Pfluge badał ptaka.

Pawłysz włączył nadajnik.

— Wyrwaliśmy się — powiedział.

— Jak tak można! — oburzał się ktoś znajomym głosem. — Jak tak można! Wywołujemy was od pół godziny, a wy się nie odzywacie. Cóż to za lekkomyślność!

— Mieliśmy co innego do roboty — powiedział Pawłysz. — Trzeba było zostać nieco dłużej na wyspie. Dimow wrócił?

— Zbliżają się — odparł znajomy głos. — Ale odpowiedzcie mi, dlaczego łamiecie zasady łączności radiowej? Co to za smarkateria? Kto pilotuje lotnią? To ty, Gogia? Zabronię ci latać i nawet sam Dimow nic ci nie pomoże. Wystarczy na trzy dni opuścić Stację, żeby wszyscy się rozpuścili!

— To pan, Spiro? — zapytał Pawłysz. Gogia głupio chichotał. Odreagowywał przeżyty strach i zdenerwowanie.

— Ja. A kto przy sterach?

— Pawłysz.

— Pawłysz? Aho. Pawłysz. Słuchaj, Pawłysz, nie uczyli cię we Flocie, że trzeba podtrzymywać łączność z bazą?

— Chwileczkę, Spiro — powiedział Pawłysz. — Lecę z małą prędkością, bo mam niesprawny silnik, więc nie denerwujcie się, że będziemy na miejscu najwcześniej za pół godziny. W razie czego wywołam cię.

— Stój, nie wyłączaj się! — wrzasnął Spiro. — Wystać ci na pomoc drugą lotnię?

— Nie. Powiedziałem, że damy sobie radę. Nie denerwujcie się.

Pawłysz wyłączył radiostację i odwrócił się.

— Co tam z Allanem? — zapytał Pflugego.

— Z kim?

— Z bioformantem.

— To nie Allan — odparł Pfluge. — To Marina.

— Co?

— Nic strasznego. Kontuzja od fali uderzeniowej. Chyba nie ma nawet jednego złamania. Zaraz się ocknie.

— No, teraz mamy prawdziwy babski lazaret — śmiał się Gogia, bo teraz wszystko wydawało mu się okropnie śmieszne. — Latający lazaret.

— Jest pan pewien, że to nic poważnego? — zapytał Pawłysz. — Bo możemy wezwać ze Stacji drugą lotnię.

— Po co? — zapytał rozsądny Pfluge — Zamierza ją pan przenieść na jej pokład w locie?

Pawłysz zerknął na przyrządy. Nie, lepiej wlec się dalej.

— No właśnie — mruknął Pfluge — Przecież mówiłem, że wszystko w porządku.

— Boli — powiedziała Marina. Znów ten mechaniczny, obcy głos.

— Co cię boli? — zapytał Pfluge.

— Skrzydło.

— Niedługo przestanie, to tylko stłuczenia — powiedział Pfluge.

— Sama jestem sobie winna — powiedziała Marina. — Nie powinnam za wami lecieć. Pamiętam, że wulkan wybuchnął, a potem poczułam, że niesie mnie prąd powietrza. Wydało mi się nawet, że do krateru. Jak mnie wyciągnęliście?

— Pawłysz cię wyciągnął Gdyby nie jego szybka orientacja moglibyśmy nie zdążyć.

— Kismet — powiedziała Marina. Nikt nie zrozumiał, co miała na myśli, tylko Pawłyszowi wydało się, że wie o co chodzi.

Wprost na kursie ukazał się czarny punkcik. Z przeciwka nadlatywała druga lotnia. Spiro jednak nie usłuchał Pawłysza i wysłał drugi aparat Po co? Na wszelki wypadek. Zresztą Pawłysz na miejscu Spirona postąpiłby dokładnie tak samo. Za lotnią szybował Allan. Szukał Mariny.

* * *

Szczytem na Stacji nazywano wielką salę wykutą na wierzchołku góry i przystosowaną do potrzeb bioformantów–ptaków. Szerokie drzwi, które ptak mógł samodzielnie otworzyć, wychodziły na ocean. W sali było stanowisko diagnostyczne do badania ptaków, zapasy pokarmu dla nich oraz

dyktafony i aparatura, której używali bioformanci. Ptaki czasami w tej sali odpoczywały, ale na co dzień wolały mieszkać na chmurach, gdzie mogły się wygodnie usadowić na mięciutkich kłębach nibypajęczyny.

Marina powiedziała do Pawłysza:

— Teraz rozumiesz, dlaczego Wan tak się z początku na ciebie wściekał?

— Rozumiem. Wcale nie chodziło mu o pajęczynę. Po prostu wyobraził sobie, że w tym obłoku mogłaś być ty.

Pawłysz i Marina siedzieli na Szczycie. Pawłysz na zwyczajnym krześle, a Marina w gnieździe z gęstej siatki, które Wan sporządził dla bioformantów.

— To wspaniały chłopak — powiedziała Marina Pawłysz za nic nie mógł się przyzwyczaić do jej mechanicznego głosu. Doskonale rozumiał, że to tylko elektroniczna przystawka, bo ptaki nie mogą wydawać artykułowanych dźwięków, ale wciąż go to raziło i usiłował sobie przypomnieć prawdziwy głos Mariny, głos kopciuszka, którego spotkał na Księżycu.

— Wiem — powiedział. — Kochasz go?

— Nie.

Pawłysz chciał zapytać… ale nie zrobił tego. Biały ptak rozchylił skrzydła i znowu je złożył.

— Zaczynam mieć jakieś obce odruchy. Czasami zaczyna mi się wydawać, że zawsze byłam ptakiem. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy szybować nad oceanem, unosić się ponad chmurami.

— Ale pozostać ptakiem na zawsze.

— Może i zostanę.

— Nie wolno ci — powiedział Pawłysz — bo będę na ciebie czekał. Przecież pozwoliłoś mi cię odszukać po dwóch latach.

— Pamiętasz tę głupią pisaninę?

— Wcale nie była głupia!

— Kiedy ojciec odleciał, poczułam się okropnie samotna i zapragnęłam być komuś potrzebna.

— Nic się przez te pół roku nie zmieniło. To znaczy nie zmieniło się dla mnie.

— Ale ja nie istnieję.

— Za jakiś czas będziesz znowu istnieć.

— A jeśli będę inna? Przecież Sandra, jak wiesz… zmieniła się.

— Nieważne — powiedział Pawłysz. — Nawet gdybyś pozostała ptakiem. Ja wtedy będę żył jak Jerychoński. Zaciągnę się na Stację i będę się denerwował, że długo nie wracasz, że rozpętała się burza, że wieje silny wiatr, że zaplątałaś się w pajęczynie…

— Oszalałeś? Przecież ja jestem ptakiem, a ty człowiekiem.

— Ile razy mam ci powtarzać, że jesteś człowiekiem! Marina zawsze będę na ciebie czekał…

Otworzyły się drzwi wewnętrzne i do sali wszedł Spiro. Widząc, że Pawłysz zajęty jest rozmową, podszedł do drugiego regału, na którym równymi rzędami leżały kłębki pajęczyny zebrane przez ptaki i przygotowane do wysyłki, i zaczął je przeliczać.

— Spiro, o co chodzi? — zapytał Pawłysz.

— Jesteś tutaj? A ja się zastanawiałem, gdzie się podziałeś! Za godzinę na planetoidę odlatuje ciężarówka. Poprowadzi ją Wan, ja zostanę. Może i ty jeszcze u nas pobędziesz?

— Nie — odparł Pawłysz. — Skończył mi się urlop. Ale postaram się jak najszybciej tutaj wrócić.

— Już lecisz? — zapytała Marina.

Spiro wyszedł na palcach i tak ostrożnie zamknął za sobą drzwi, jakby na sali spał ciężko chory człowiek.

Pawłysz nie odpowiedział Marinie, tylko podszedł do niej i pogładził po puszystym skrzydle.

— Ja chyba jednak jestem głupia — powiedziało Marina. — Wydawało mi się, że okropnie się rozczarujesz, jak mnie zobaczysz w takiej postaci i chciałam się gdzieś schować. I kiedy po raz pierwszy usłyszałeś moje imię od Allana i popatrzyłeś na mnie, wtedy chciałam zapaść się pod ziemię.

— Nie mówmy już o tym — powiedział Pawłysz. — Chciałaś, żebym zabrał list do twojego ojca.

— Tak. Już jest gotowy. Nagrałam go na kasecie. Szkoda tylko, że ojciec nie pozna mojego głosu i jeszcze raz niepotrzebnie się zdenerwuje.

— Nie martw się, wszystko mu wytłumaczę. Wiem, co mam mu powiedzieć.

— Co?

— Powiem mu, że oddaję list i zarazem proszę o twoją rękę.

— Zwariowałeś?!

— No dobrze, o twoje skrzydło.

— Sława!

— To podstęp wojenny. Ty zawsze możesz mi odmówić, ale kiedy to zrobię, ojciec uwierzy, że wrócisz do niego cała i zdrowa. Przecież mężny i przystojny kosmonauta z Floty Dalekiego Zasięgu, to znaczy ja, nie prosiłby go o rękę córki, gdyby nie miał pewności, że tę rękę, a nie skrzydło otrzyma.

— Do widzenia, Pawłysz — powiedziała Marina.

Biały ptak patrzył ponad ramieniem Pawłysza na drzwi.

Pawłysz odwrócił się. W drzwiach stał Wan. Musiał tam stać już od dawna i wszystko słyszeć, ale nie dał tego po sobie poznać. Powiedział:

— Ciężarówka jest gotowa. Odlatujemy.

Odwrócił się na piętach i podeszwy jego ciężkich butów wystukały równy, cichnący w dali rytm na stopniach kamiennych schodów.

— Wracaj szybko do zdrowia — powiedział Pawłysz. — Przecież Allan i Saint Venante nie mogą wiecznie pracować za ciebie przy zbiorze pajęczyny.

* * *

Kiedy ciężarówka wylądowała na planetoidzie, Wan powiedział do Pawłysza:

— Idź, statek na ciebie czeka. Ja zostanę tutaj, bo muszę dopilnować wyładunku.

— Do widzenia, Wan. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

— Pewnie tak. Galaktyka zrobiła się mała. Pawłysz podał mu rękę.

— Chwileczkę — powiedział Wan. — O mało nie zapomniałem.

Pochylił się i ze schowka pod pulpitem sterowniczym wyjął kwadratowe zawiniątko w plastykowej folii.

— To dla ciebie. Na pamiątkę.

— Co to jest?

— Nieważne, obejrzysz sobie na statku. Ale nie wcześniej. Coś, co powinno sprawić ci przyjemność…

* * *

W pół godziny po starcie „Moskwy” Pawłysz już w swojej kabinie rozwinął paczuszkę. Spod plastyku ukazał się portrecik kopciuszka w bogato rzeźbionej ramce z masy perłowej.

3UJHáR*\á7DGHKVJ * RM

Wania + Dasza = Miłość

1.

Wczoraj wieczorem Grzegorz Siergiejewicz wystąpił w programie „Twarzą w twarz z przyszłością", prowadzonym przez akademika Wielichowa na kanale „Kultura". Grzegorz Siergiejewicz wypadł bardzo dobrze: siwowłosy, o wyprostowanej sylwetce, elegancki. Pomimo sześćdziesiątki codziennie grywa w tenisa, a w każdą niedzielę jeździ konno. Właśnie dlatego trzyma u nas na zamkniętym terenie dwa wierzchowce. Czasami towarzyszy mu doktor Błoch, a czasem Lena Płoszkina.

— Stworzenie naprawdę dobrego laboratorium histologicznego — mówił Grzegorz Siergiejewicz — będzie kosztowało pięćdziesiąt milionów dolarów, lecz Akademia Nauk nie ma takich pieniędzy.

— Lecz przecież taka inwestycja zwróci się bardzo szybko — zaoponował akademik Wielichow. — Perspektywy hodowania organów do transplantacji są zasadne finansowo.

— Mamy jeszcze dużo do zrobienia w tej sprawie. Mogę wy—Znać, że wizytowaliśmy prawie wszystkie laboratoria na świecie i do tej pory odczuwamy poważny niedobór materiału do transplantacji. Jakże wielu chorych umiera, nie mogąc uzyskać pomocy, ponieważ nasze badania nie są dofinansowane!

— Mam nadzieję, że w przyszłości wasza sytuacja zmieni się na lepsze — rzekł akademik z leninowskim uśmiechem.

— Jeszcze sięgniecie do gwiazd.

— Oby był pan dobrym prorokiem — odparł nasz szef. Kiedy Grzegorz Siergiejewicz zakończył spotkanie, my, siedzący w salce telewizyjnej, nie mogliśmy się powstrzymać od oklasków. Była to szczera ocena naszej współpracy.

Nie zdążyliśmy nawet zjeść kolacji, kiedy szef przyjechał do nas prosto ze studia. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tego. Przecież miał za sobą niezwykle pracowity dzień, wymagający od niego stałego natężenia sił. Jego przybycie obwieścił Leszeńka.

— Panowie! — zakrzyknął. — Młodzi i starzy! Nadchodzi szef!

Usłyszeliśmy znajome kroki w korytarzu i wyskoczyliśmy naprzeciw, żeby go przywitać.

— Nie mogłem pojechać do domu — oznajmił Grzegorz Siergiejewicz — nie powiedziawszy wam wcześniej dobranoc.

— Szkoda, że kuchnia nieczynna — zauważył Fiedieńka — bo napilibyśmy się herbaty.

— Właśnie tacy naruszają dyscyplinę — odparł żartobliwie nasz szef. — Najpierw herbata po godzinach, a co potem?

— A potem ograbią nasz przytułek — powiedziałem.

— Strasznie się mądrzysz, Waniusza — upomniał mnie Grzegorz Siergiejewicz. — Obecnie nie używa się takich słów. Skąd wykopałeś taki paskudny wyraz?

— Z ' ZXQDVWX NJHVHá— przyznałem się. — Tam dwa niebieskie ptaszki okradły nawet

przytułek.

— Ach, tak, przypominam sobie — powiedział szef, kładąc mi na ramieniu suchą, twardą, lecz w owej chwili niezmiernie życzliwą dłoń. — Wybacz staremu, zapomniałem.

Poderwał się żywo, by wyjść, lecz niespodziewanie zatrzymał się w drzwiach. Tak zwykle robi amerykański aktor w ciągnącym się bez końca serialu o poruczniku Columbo. Zawsze udaje, że już wychodzi, ku zadowoleniu okłamującego go mordercy, lecz potem obowiązkowo zamiera w drzwiach i zawraca, pytając: „A przy okazji, może odpowie mi pan na jeszcze jedno pytanko — gdzie był pan wczoraj o ósmej rano i dlaczego na pańskiej piżamie są krwawe plamy?".

Tak więc zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na nas srogim i smutnym zarazem ojcowskim spojrzeniem. Poczułem bryłę lodu w żołądku.

— Dzieci drogie — powiedział — jutro od rana robimy zaplanowane analizy. Później przywiozą nowego chorego.

Drzwi zamknęły się za profesorem powolnie i bezgłośnie. Światło zaraz przygasło, usłyszeliśmy kołysankę. Zgasł ekran telewizyjny. Paszeńka, który nie zdążył zobaczyć programu „Olga Pawłowa i jej mężczyźni", zaklął pod nosem.

Powlekliśmy się do umywalni. Bardzo ją lubię, bo jest szczytem higieny. Osiemnaście umywalek, nad każdą półka ze szczoteczką do zębów, obok wiszą dwa ręczniki. Gustowny szampon (wszyscy mamy jednakowy gust) i męska woda kolońska „Aramis".

Podszedłem do mojej umywalki. Na lusterku siedziała mucha, więc ją przegnałem. To nie miejsce dla much. Spojrzałem w lustro. Lubię to czynić, gdyż — wybaczcie szczerość — przyjemnie na mnie popatrzeć. Twarz mam z lekka opaloną, ponieważ spędzamy dużo czasu na świeżym powietrzu, zajmując się ćwiczeniami fizycznymi i pracując na małej przyzakładowej działce. Mam czystą cerę, pozbawioną pryszczy, duże oczy, brązowe, okolone ciemnymi rzęsami, usta dosyć pełne, zęby bez najdrobniejszego ubytku. Dopiero pojutrze będziemy ostrzyżeni, toteż włosy mam trochę dłuższe niż zwykle. Zapuściłem niewielki wąsik, profesor nie sprzeciwił się temu, gdyż jest zwolennikiem manifestowania własnej indywidualności. Nikt nam nie zabrana, na przykład, czytania i pisania poezji. Ja sam w zeszłym roku napisałem wiersz, w którym wyraziłem moje wrażenia na temat pogody:

2 VRNRMH QDVWSLáD
, QDVZV]\VWNLFK]DVPXFLáD
6ZRLP EXWP QDV]GHSWDáD
: FDOHQDP VL QLHXGDáD

Młody chirurg, doktor Błoch, przeczytał mój utwór z przyjemnością. Stwierdził, że może będzie ze mnie kiedyś prawdziwy poeta.

— Chyba pan żartuje? — zapytałem. Odpowiedział, że owszem, zażartował.

— Mamy zupełnie różne wizje świata — powiedział.

Po mojej prawej stronie znajduje się umywalka Leszeńki, ta z lewej jest bez przydziału; dawniej należała do Pietieńki. Odkąd jednak chłopak uciekł, nikt jej nie używa. Doktor mówił nam, że nowy klon już dojrzewa w bazie zasobów. Trafi jednak do nas nie wcześniej niż za pół roku. Spojrzałem na sąsiada po prawej.

— Posłuchaj — powiedziałem do Leszeńki — może byś tak zapuścił baczki? Ja będę miał wąsy, a ty baki.

— Boisz się, że będą nas ze sobą mylić? — odparł tamten ze śmiechem.

Wprawiłem go w zakłopotanie. Jak wyjaśniał doktor Błoch, poziom mojej seksualności przewyższa z lekka przeciętną normę spotykaną u klonów. Nie ma w tym niczego niepokojącego, lecz tę osobliwość mojej natury trzeba będzie wziąć pod uwagę. Ostatecznie każdy z nas, dwunastu przebywających w Instytucie z osiemnastu pierworodnych, posiada cechy szczególne, zarówno genetyczne, jak i psychologiczne. W pewnym stopniu taki był zamysł tego eksperymentu. Nawet karaluchy nie są jednakowe, jak stwierdził profesor, a ludzie to nie insekty.

Leszeńka, najbystrzejszy z nas, pierwszy zauważył, że zdradzam oznaki zainteresowania Leną Płoszkiną, naszą oddziałową. Chciałbym ją całować, spacerować z nią wieczorami i dawać jej prezenty. Żałowałem, że nie mamy niczego n własność, więc nie możemy dawać podarków. Pewnie dla go Lena związała się z Wołodią.

Nie wiadomo dlaczego, zapomnieli zabrać szczoteczkę do zębów, która należała do Pietieńki, Ciekawe, zastanawiałem się, czy rzeczy zachowują pamięć? Czy szczoteczka pamięta, jak czyściła zęby Pietieńki? Był z nas najweselszy i świetnie opowiadał dowcipy. Ja, na przykład, mogę tysiąc razy usłyszeć jakiś kawał, lecz i tak nie zapamiętam go na tyle dobrze, żeby powtórzyć jak należy.

— Trzeba zabrać tę szczoteczkę — stwierdził Leszeńka, ale nie ośmielił się jej ruszyć.

2.

Bardzo szanuję Grzegorza Siergiejewicza za szczerość. Nie zawsze przychodzi mu ona łatwo, ponieważ każdy z nas jest dla niego, co sam wyznał, bliższy niż rodzony syn. Nie tylko domniemywam, ale teraz już wiem na pewno, że w innych instytucjach medycznych i pozostałych oddziałach naszego Instytutu panują inne obyczaje. Ale Bóg z nimi!

Jesteśmy młodymi mężczyznami i powinniśmy nie tylko umieć spojrzeć prawdzie w oczy, ale także mieć na uwadze nasz wspaniały cel, nasze przeznaczenie. Skłonność do poświęcania się dla innych była zawsze jedną z najważniejszych cech rosyjskiego chrześcijaństwa. Jeśli nie my zbawimy człowieka, to kto?

Napisałem o tym następujący wierszyk:

6NRUR MDQLHSRPRJ
6NRUR WQLHSRPR*HM]
. WR P NLF]á-HD]DNR F]\
. WR XUDWXMHZ SRWJHELH'

Nikomu go jeszcze nie pokazałem.

Zdarzyły się dwie rzeczy. Pierwszą był bohaterski czyn Oleżki. Nazwałem tak jego zachowanie za sprawą Grzegorza Siergiejewicza, który uważa, że ofiara poniesiona przez każdego z nas jest swego rodzaju bohaterstwem i zasłużyliśmy na Pomniki stawiane jeszcze za życia.

Lesza, Leszeńka, jesteś jednak cyniczny. Czemu uczepiłeś się słowa „jeszcze”? Wszyscy jesteśmy śmiertelni, a ci, którzy są na pierwszej linii walki ze śmiercią, powinni być zawsze przygotowani na spotkanie z nią. Taki los.

Zebraliśmy się wszyscy wieczorem w różowej świetlicy. My, czyli klony, Lenoczka, doktor Błoch i oczywiście sam profesor. Jak przystało na przewodniczącego zebrania miał na sobie czarny, skromny garnitur, który uszyto mu na miarę w Paryżu w pracowni niejakiego Wadima, i liliowy krawat ze szpilką barwy miodowej.

Sami rozciągnęliśmy i nakryliśmy stół. Wszyscy pili szampana oprócz Oleżki, który nie powinien pić. Ujmując rzecz żartobliwie, będzie musiał jutro przepłynąć rzekę Ural. To taki stary dowcip o Czapajewie, który w niej utonął.

Oleżka próbował się uśmiechać. Drżała mu nerwowo powieka. W zeszłym roku przewrócił się i uszkodził ją sobie, prawdopodobnie naruszając podtrzymujący ją mięsień. Właściwie nie ma to dla nas znaczenia, ale wyróżnia chłopaka spośród innych. Zwrócił się szeptem do siedzącego po jego prawej stronie doktora Błocha i poprosił o jeszcze jeden zastrzyk.

— Głuptasku — odparł doktor z uśmiechem — chyba nie do końca mnie zrozumiałeś, że to by źle podziałało na twoją wątrobę. I bez tego jest przeciążona lekami, podawanymi, żeby zmniejszyć ryzyko odrzucenia narządu.

Nalał sobie kawy, ja również.

— Chrzanić to — syknął cicho Oleżka, nie wiadomo co mając na myśli.

Grzegorz Siergiejewicz oczywiście słyszał tę wymianę zdań. Ma wielkie uszy, które wyławiają, co trzeba. Jak radary.

— Wówczas nasza ofiara… — rzekł profesor — nasza ofiara stałaby się niepotrzebna, jak stare, znoszone obuwie. Przy okazji, dzieci, kto pierwszy wymieni autora tego aforyzmu? Obiecuję, że ten, kto odpowie prawidłowo, pójdzie w niedzielę na wycieczkę do ogrodu zoologicznego.

Wszyscy zaczęli rzucać nazwiskami, co rusz się myląc Osobiście myślałem, że chodzi o Ufa i Piętrowa, Leszeńka powiedział, że to Lew Tołstoj. Co kto akurat czytał, zaraz wymieniał swego ulubionego pisarza. Wreszcie Oleżka oznajmić

— To z powieści Turgieniewa 2 MWRZLHLCJLHFL

— Brawo, zuch z ciebie! — pochwalił ucieszony profesor. — Nie bez przyczyny szczyciłem się tobą i stawiałem innym za wzór. Oczywiście, Turgieniew! Wstydźcie się, nieuki!

— Naprawdę pójdę w niedzielę do ZOO? — zapytał Oleżka. Na twarzy miał wymuszony uśmiech, jakby rozumiał, że wszystko to są żarty, chociaż w tej chwili miał jednak nadzieję, że Grzegorz Siergiejewicz spełni obietnicę. Trzymał na stole obie dłonie zaciśnięte w pięści, tak mocno, że aż zbielały mu palce. Profesor się rozgniewał.

— Nie spodziewałem się tego po tobie! — rzekł, podnosząc głos. — Po kim, jak po kim, ale nie po tobie. Wyczuwam w twoich słowach bunt przeciwko tej świętości, w imię której żyjemy i umieramy tutaj razem z wami.

— Przepraszam — powiedział chłopak. — Tak mi się wyrwało.

— Człowiekowi zawsze wyrywa się to, co w nim głęboko ukryte — odparł profesor.

— Boję się — stwierdził Oleżka.

Nie powinien był tego mówić. Też się wystraszyłem. Co za wstyd!

Oleżka podniósł się ze swego miejsca i zaraz bezsilnie opadł z powrotem na krzesło.

— Proponuję zaśpiewać — zawołał profesor. — Jakąś starą, pogodną pieśń. Dawno z wami nie śpiewałem. Kto zacznie? Może ty, Iwanuszka?

Wzdrygnąłem się. Wyobrażałem sobie, że jestem niewidzialny i w niczym nie uczestniczę, obserwuję wszystko z daleka, jakby zza szyby. A okazało się, że wszyscy na mnie patrzą i czekają. Nie mogłem odmówić. Wiedziałem, że oczekują ode mnie czegoś podnoszącego na duchu. Zaśpiewałem więc piosenkę z bardzo starego filmu, którą Grzegorz Siergiejewicz bardzo lubił i nieraz z nami wykonywał.

)\áQD ZLHFLHNDSLWDQ
. D*G SRUWUDGJRZLWDá
: RFHDQLHZFL * EUNDá
. LHG JG PLQ á&KLQ
&KFLDá JR]MHü UHNQ
/HF] ZFDOHQLHVWDFLáPLQ

Niektórzy śpiewali wraz ze mną, pozostali pili herbatę. Oleżka przymknął oczy, a powieka ciągle mu drżała.

— Przyjemnie znaleźć się w zgranym zespole — powiedział Grzegorz Siergiej ewicz, gdy skończyliśmy śpiewać.

Wyjął dużą chusteczkę i wytarł nos. Nie z powodu kataru, lecz wzruszenia. Wierzcie mi, dobrze poznałem tego wielkiego i niezwykłego człowieka

— Tak więc pożegnajmy naszego kolegę — podjął profesor. — Trudno znaleźć właściwe słowa, aby wyrazić burzę uczuć, jaka mną owładnęła. Ludzie nie wymyślili jeszcze adekwatnych wyrażeń i zdań odpowiednich na taką okazję. Jutro nie będzie tu już Oleżki, znawcy twórczości Turgieniewa, dobrego i serdecznego człowieka. Kiedy będziemy pili herbatę, on wzniesie się ku wyżynom, pomknie ku gwiazdom jak prawdziwy meteor. Szczęście płynące z wywyższenia, wielkie zamierzenia, bezinteresowne poświęcenie — wszystkie te słowa pasują do naszego Olega. Wstań, synu, i zmierzaj ku szczytom!

Głos profesora uwiązł w gardle, dlatego ten urwał przemowę i usiadł na swoim miejscu. Machnął dłonią, zachęcając innych do przemówienia z wyimaginowanej trybuny.

— A teraz — pospiesznie zaczęła oddziałowa Lena rwącym się głosem — pewien człowiek oczekuje na wyrok losu. To wielki człowiek, cenny dla ludzkości, dla nas wszystkich! Jest marszałkiem sił powietrznych, obrońcą granic naszej ojczyzny. Jeśli Oleżka nie przyjdzie mu z pomocą, jego godziny będą policzone, a to oznacza, że granice nasze staną się nieszczelne. Wrogowie zaczną do nas wpełzać ze wszystkich stron… Nie, już nie mogę, po prostu nie mogę!

— Siadaj — powiedział do niej Wołodia.

Nie może sam wstawać, porusza się w fotelu, dopasowanym do jego torsu. Kocha Lenę i chciałby się z nią ożenić, lecz Grzegorz Siergiejewicz powiedział mu szczerze przy wszystkich, że perspektywy są niezbyt optymistyczne. Medycyna jest wobec niego kompletnie bezsilna. Powinien jednak się trzymać, pozostał mu w końcu mózg, a także wciąż sprawne, choć nieco osłabione, serce. Lenoczka usiadła przy nim. Uważa się za jego narzeczoną. Sprawiają oboje wrażenie, jakby wkrótce mieli się połączyć węzłem małżeńskim, chociaż sami w to chyba nie wierzą. Nikt się z nich nie śmieje, oprócz Leszeńki. Czasami on mnie naprawdę wkurza, do tego stopnia, że mam ochotę rozwalić mu łeb, chociaż sami wiecie, jaka u nas panuje dyscyplina wewnętrzna! W końcu okaleczenie któregoś z nas spowoduje nieodwracalne konsekwencje dla klonów, całego Instytutu, może nawet dla całej ludzkości. Jesteśmy przecież oddziałem szybkiej pomocy. Kiedy nic już nie może pomóc wybrańcom, których portrety wiszą w korytarzu naszego oddziału, kiedy czarna dziura znów zagraża cywilizacji, ruszamy do boju, jak paladyni w białych szatach świątobliwych mężów. Poświęcamy swoje życie, aby własnymi ciałami załatać wyrwę w zaporze chroniącej innych. Wybaczcie, że mówię tak kwieciście, lecz okoliczności wymagają wzniosłego stylu.

— Już czas — oznajmił doktor Błoch.

Był osobistym lekarzem Oleżki na czas przygotowań do bohaterskiego czynu.

— Zazdrościsz mi? — spytał mnie Oleżka.

— Chce jak najszybciej zastąpić Olega na bojowym posterunku — orzekł Leszerika.

— Nie gadaj głupot — warknąłem.

Oleżka podniósł się, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Było mi wstyd za mojego brata. Nigdy, nawet na jedną sekundę, nie należy tracić panowania nad sobą.

Profesor zaśpiewał gromko:

)\áQD ZLHFLHNDSLWDQ
6PDNRZLWVNDNEDQDQ
: FL * SUJHPLHUJDáRFHDQ«

Zaśpiewaliśmy razem z nim bzdurną, lecz miłą i sympatyczną piosenkę. Potem podbiegłem do Oleżki i podtrzymałem go z prawej strony, podczas gdy po lewej uczynił to samo doktor Błoch.

— Chodź, braciszku — powiedziałem. — Wszyscy na ciebie patrzą!

Oleżka trochę się opierał, lecz nie czynił tego rozpaczliwie, lecz jak gdyby SUR IRUPC Prowadziliśmy go jak przyjaciele, wyciągający z knajpy mocno podpitego klienta. Z każdym krokiem chłopak stąpał coraz słabiej, aż wreszcie całkiem obwisł na naszych rękach.

— Szybciej! — zawołał profesor. — Zostawcie go!

Wzdrygnąłem się i puściłem ramię Oleżki. Błoch nie zdołał go sam podtrzymać i Oleg padł na podłogę. Odskoczyłem w bok, lecz także straciłem równowagę i upadłem obok niego. Grzegorz Siergiejewicz i Lena pospieszyli na pomoc młodemu lekarzowi, chwycili Oleżkę pod pachy i za głowę i zawlekli do drzwi.

Wstydziłem się za brata, który skompromitował się do tego stopnia, i za samego siebie. Nie wiem, czemu mój mózg odczytał słowa profesora „zostawcie go" jako odnoszące się do mnie, chociaż wiedziałem, że — póki co — nie jestem zagrożony… Ach, cóż za niewłaściwe słowo: zagrożony! Skąd się wzięło w mej głowie? Co za żenada! Wstałem z podłogi i powiedziałem:

— Przepraszam, potknąłem się.

Nikt mnie nie słuchał. Niektórzy wrócili do stołu, wyjadać ciasteczka i cukierki, gdyż nie było już z nami lekarzy, którzy mogliby powstrzymać to wielkie żarcie i zaproponować nam coś innego. Ja także podszedłem do stołu i usiadłem na swoim miejscu.

— Chcesz zasłużyć na medal? — zapytał Leszeńka.

— Na nic nie chcę zasłużyć, robię po prostu to, co mi nakazuje sumienie.

Lekarze nie wracali, lecz nie musieli tego robić, skoro byli zajęci. W świetlicy nastała cisza wieczorna i zapanował spokój. Co nie znaczy, że nikt nie myślał o Oleżce ani tego nie przeżywał.

Kiedy Leszeńka zaproponował mi grę w szachy, usiadłem naprzeciw niego, lecz wciąż prześladowało mnie w myślach pytanie, dlaczego Oleżka wykazał taką duchową słabość? Nie spodziewałem się po nim czegoś takiego. Przeciwnik zrobił pierwszy ruch, ja uczyniłem to samo, bez zastanowienia. Tak rozegraliśmy początek, po czym obaj zamyśliliśmy się głęboko. Do rzeczywistości przywrócił mnie głos Leszeńki:

— Może pójdziemy spać?

— Zaraz.

Z sufitu zaczęła opadać drobna mżawka, najwidoczniej w świetlicy nastąpiła duża koncentracja wydzielanej przez nas parującej wilgoci. Profesor uprzedzał nas kiedyś o tym, lecz zapomniałem, jakie jest fizyczne wyjaśnienie tego zjawiska. Wołodia podjechał do nas na wózku i powiedział:

— Twój koń jest zagrożony.

— Przepraszam — powiedziałem i cofnąłem figurę.

— Zrobiłeś już ruch — rzekł na to Leszeńka.

— To przecież tylko towarzyska rozgrywka — sprzeciwiłem się.

— Z każdym dniem towarzystwo coraz bardziej się wykrusza — zauważył Wołodia.

— Jeśli będziemy takimi baranami jak Oleg, wkrótce nikt nie zostanie.

— A co proponujesz? — spytał tamten.

— Dla ciebie już za późno, i tak jesteś spisany na straty — odparł Leszeńka.

— To nie takie proste. Błoch zapewniał mnie, że uzdrowią moje nogi.

— Prędzej zrobią z nich dla kogoś protezy — uściślił Leszeńka.

— Czasami naprawdę mnie wkurzasz — powiedziałem.

— Ktoś musi wkurzać barany, zanim pójdą na rzeź.

— Właśnie dzisiaj! — oburzyłem się. — Wstyd mi za ciebie.

— A w czym ten dzień jest gorszy od innych? — zapytał Leszeńka. — Może właśnie dzisiaj należy powiedzieć sobie prawdę.

— Co rozumiesz przez prawdę? — usłyszeliśmy głos Wadimka.

Chociaż odróżniamy się między sobą, nasze głosy są podobne i nie mógłbym rozpoznać żadnego z nich przez telefon. Kiedy jednak jesteśmy razem w jednym pomieszczeniu, z zamkniętymi oczami mogę stwierdzić, kto mówi, Wienieczka, czy Oleżka.

— W rzeźni jest zawsze taki baran, który wiedzie stado za sobą. Mówi do krów i owiec: „Mieszkam tutaj od dawna. Tam, za rogiem, jest wspaniałe zielone pole ze świeżą trawą. Ruszajcie za mną, drodzy przyjaciele!”

— Jaki ma to związek z Olegiem? — zapytał Wołodia.

— Żaden. Tylko jeszcze rok temu było nas tu osiemnastu. Obecnie jedenastu i pół. Jutro znów ubędzie jednego. Za rok na naszych kojach będą spać nowe klony. A ilu ich było przed nami?

— Jesteśmy pionierami postępu — odparłem. — Pierwszymi owocami eksperymentu.

— A nigdy cię nie zastanowiło, że galeria w korytarzu, przedstawiająca uratowanych na nasz rachunek, liczy sobie aż trzydzieści znakomitości? Jakim cudem mogły ich wszystkich uratować narządy sześciu czy siedmiu klonów?

Każdemu z nas zdarzyło się przeżywać chwile zwątpienia, a nawet lęku. I jedynym, co czyniło z nas jasno i trzeźwo myślących młodzieńców, była wiara w sens naszej egzystencji, zrozumienie wyjątkowości naszej sytuacji.

Oto, co powiedziałem moim bliźniaczym braciom, będąc pewien, że większość podziela mój punkt widzenia. Oprócz jednego. Cholerny Leszeńka!

— Baran idealista i patriota i tak pozostanie baranem — powiedział — a jego mięso nie stanie się od tego twardsze.

— Jak śmiesz tak mówić, kiedy nasz towarzysz i brat kilka metrów stąd przygotowuje się do jutrzejszego czynu!

— Nazywasz to czynem?

— Zabiję cię! — wrzasnąłem, zrywając się na równe nogi.

— Ciebie zabiją bez mojej pomocy — odparł. — Nawet nie zapytają, czy chcesz dalej żyć, ożenić się i mieć dzieci…

— To nasz obowiązek! — krzyknąłem.

— Kto ci to powiedział? — zapytał Leszeńka z krzywym uśmieszkiem.

Wszyscy się tak uśmiechamy, kiedy chcemy obrazić i rozzłościć przeciwnika.

— Tak powiedział… nasz nauczyciel, Grzegorz Siergiejewicz.

— A wiesz, ile dostaje za każde nasze ofiarne poświęcenie? Zastanawiałeś się nad tym?

Gdyby nie był to szczególny wieczór, gdyby nie pożegnanie z Oleżką, którego dopiero co zabrali od nas na zawsze, nigdy bym się nie rzucił na bliźniaka. Lubiłem Leszeńkę, nawet jeśli pobłądził. Ośmielił się jednak odebrać mi cel w życiu. Człowiek pozbawiony celu staje się gównem w przerębli. Nie bez powodu profesor często przytaczał przykłady z historii Związku Radzieckiego, a w pierwszym rzędzie z Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, która była najlepszym przykładem, że w każdym człowieku drzemie bohater. Powiedział nam kiedyś podczas szczególnie wzruszającego spotkania:

„Chciałbym, żeby nasz Instytut nazwali uroczyście imieniem Aleksandra Matrosowa. Bohater ów własną piersią zasłonił otwór strzelniczy, poprzez który prowadził ogień wraży kulomiot".

— Przestań kłamać! — krzyczałem, rzucając się na brata. — Przestań opluwać mój ideał!

Leszeńka, opędzając się przede mną, ciągnął swoje:

— Twój ideał pozostanie przy życiu i poprowadzi na rzeź kolejnych idiotów, jak ty!

— To nieważne, co stanie się ze mną, pragnę, żeby rozwijał się postęp, na którego czele stoi Grzegorz Siergiejewicz.

Zdawałem sobie sprawę, że moje słowa brzmią w gruncie rzeczy naiwnie, i było mi nieprzyjemnie słyszeć chichoty tych, którzy rozdzielali mnie i Leszeńkę.

Do pokoju zajrzał doktor Błoch.

— Co tu się dzieje? — krzyknął, stając w drzwiach, lecz nie wchodząc do środka.

Czasami mam wrażenie, że trochę się nas boi. Jakby wchodził do klatki z tresowanymi drapieżnikami.

W tej samej chwili zdołali nas rozdzielić, lecz siłą inercji nadal wymachiwaliśmy rękami, jakby zmagając się z niewidzialnym przeciwnikiem.

— Co tu się dzieje? — powtórzył Błoch sztucznie głośnym i wesołym głosem, który jednak załamał się przy końcu zdania. — Jakaś awantura?

— Nic się nie stało — odpowiedział jako pierwszy Wołodia. — Pokłócili się o szachy.

— To do was niepodobne — stwierdził lekarz. — Tacy opanowani ludzie, chluba naszego internatu.

— To przez szachy… zwykłe głupoty… — zapewniali pozostali.

— Nie chcecie, to nie mówcie — uciął doktor. — Proszę rozejść się do pokojów sypialnych.

Pokojami sypialnymi nazywa się u nas czteroosobowe izby. W każdej są tylko cztery koje i nic więcej. Ostatecznie, co mamy w nich robić oprócz spania? Niektórzy zabierają tam ze sobą gazety lub karty do pasjansa. W naszej sypialni jedna koja już drugi miesiąc stoi pusta. Z tym że Pietieńka nie spał z nami.

Położyliśmy się na kojach, a wtedy zgasło światło. Jeśli chcę, mogę jednak włączyć lampkę nocną, ale tylko na pół godziny, żeby nie psuć sobie oczu.

Moich sąsiadów, Brytanów, jak u nas żartobliwie nazywają Borysa i Gleba, coś zatrzymało. W ogóle byli milczący od samego rana, może dlatego, że przyjaźnili się z Olegiem. Kiedy położyłem się na wznak z rękami skrzyżowanymi na piersi, co jest dla mnie najlepszą pozycją relaksacyjną, ktoś wszedł do pokoju. Zaraz odgadłem, że to Grzegorz Siergiejewicz przyszedł życzyć nam miłych snów.

— Gdzie są Brytany? — zapytał.

— Gdzieś poleźli — odparłem — i zginęli.

— Leszeńka cię sprowokował — powiedział profesor i przysiadł na brzeżku w nogach łóżka. — Mnie także on niepokoi—

— Niepokoi? — zapytałem.

— Powiem szczerze — odparł — że niepokoi mnie sytuacja w grupie. Rozumiem, że są obiektywne przyczyny, jak przemęczenie i spadek liczebności w składzie osobowym. Wydaje mi się jednak, że jeden z was prowadzi konsekwentną działalność w celu zburzenia ducha jedności i współpracy w spójnym dotychczas kolektywie.

Grzegorz Siergiejewicz ma piękny głos. Niski, aksamitny, nadawałby się dla papieża. Myśl ta może wydać się wam śmieszna, ale przyjąłem ją poważnie. Cały zamieniłem się w słuch.

— Zdajesz sobie sprawę, jacy jesteśmy cenni dla ludzkości? I jeśli ktoś zechce podstawić nam nogę, poda w wątpliwość słuszność naszych poczynań… Gdybyś tylko wiedział, jak niepewna jest nasza przyszłość!

Jego oczy błyszczały w półmroku sypialni niezwykle łagodnym blaskiem.

— Mam wrażenie, że Leszeńce puściły nerwy. Wspaniały młody człowiek, twój brat i mój syn może stać się dla nas śmiertelnym zagrożeniem. Co się stanie, jeśli pobiegnie do moich wrogów? Nie masz pojęcia, ilu mam wrogów!

— Nie, nie pobiegnie! — wyrwało mi się.

— Przecież oskarża mnie o wyrachowanie?

— Nie!

— Kłamiesz, Iwanie! — powiedział bez ogródek.

Nie chciał nikogo obrazić. Po prostu uważał, że słowo dane żywicielowi powinno obowiązywać na całe życie. Nawet gdyby przestał istnieć żywiciel.

— To mój brat.

— Nie zrobię mu niczego złego, ale powinienem znać prawdę! Nie mogę pozostać nieświadomy, skoro od moich poczynań zależy wasze życie i życie drogich nam ludzi! Leszeńka nie chce zrozumieć, że swoim postępowaniem rzuca cień na ciebie i pozostałych niewinnych. Co ci więc powiedział?

Milczałem, gdyż nie chciałem zaszkodzić bratu. Lecz pozytywne uczucia, które tak umiejętnie wzbudził we mnie profesor, sprawiły, że otworzyłem swą duszę.

— Swoją drogą — powiedział Grzegorz Siergiejewicz, zniżając głos — nie chciałem ci tego mówić, lecz Leszeńka pozwala sobie brzydko wyrażać się o tobie. W obecności naszej Lenoczki nazwał cię śmierdzącym koziołkiem. Naturalnie…

Profesor wydobył chusteczkę i wytarł ze smutkiem nos. Naprawdę ze smutkiem. Zrobiło mi się go żal.

— Naturalnie, wolałem o tym nie opowiadać, ale powinniśmy spojrzeć prawdzie w oczy. Nie wiadomo, co gorsze dla jednostki: śmierć cielesna czy zdrada przyjaciela.

— No cóż — usłyszałem swój własny głos — to do niego podobne! O panu też mówił, że pan żeruje na naszej śmierci i dostaje od niej procent.

Szybko się opamiętałem i znowu zamilkłem, lecz zło już się stało. Tak oto upodobniłem się do Leszeńki. W czym byłem teraz lepszy od niego?

— Jak wielu to słyszało? — zapytał naukowiec.

— Prawie wszyscy — przyznałem.

Grzegorz Siergiejewicz wstał i podszedł do okna. Jego zazwyczaj wyprostowana sylwetka mocno się przygarbiła.

— Jestem przygnębiony — powiedział, patrząc w ciemność za oknem. — Rozgoryczony, gdyż widzę daremność moich starań.

— Niech się pan nie denerwuje — odparłem. — Wyrwało mu się to przypadkiem, on wcale tak naprawdę nie myśli. W gruncie rzeczy to dobry chłopak.

— Wszyscy jesteście dobrzy — stwierdził profesor — ale żaden z was, włącznie z tobą, nie przyszedł do mnie i nie wyznał szczerze i otwarcie: jeden z nas sprzedał cię, nauczycielu, za trzydzieści srebrników.

— A kto mu da te trzydzieści srebrników? — zdziwiłem się.

— Znajdą się tacy, co chętnie wbiją nóż w moje plecy.

— On jest nieprzekupny.

— Nie ma ludzi nieprzekupnych, mój przyjacielu.

— Niech pan go za to nie karze!

— Nie mam moralnego prawa skazywać kogokolwiek. Nawet jeśli ten osobnik zachwiał podstawami naszej działalności, postaram się powstrzymać… Ale zemsta bywa słodka!

Niczego nie udawał! Mój bóg, mój nauczyciel, pan mego życia miał zamiar zemścić się na jednym z bezsilnych tworów swego geniuszu!

— Nie! — rzekł, odwracając się szybko w moją stronę. —Nie!

Niczego nie zdążyłem odpowiedzieć, ponieważ dobiegł nas skądś straszny, nieludzki, głuchy wrzask. Cóż to za stworzenie mogło tak wyć na zewnątrz? Zaraz potem rozległ się tupot nóg, drzwi rozwarły się i do pokoju wpadli moi współlokatorzy, Brytany. Zastygli w pół kroku pośrodku sypialni, nie spodziewając się zastać tutaj profesora, który zapytał:

— Co się stało?

Krzyk za drzwiami urwał się w jednej chwili.

— Myśmy nie chcieli — odpowiedział Rudy Brytan w rudawej kurtce.

— Czego nie chcieliście, do diabła?!

— Tylko zajrzeliśmy do boksu, żeby się pożegnać…

— A Ołeżka nas zobaczył i zaczął się zrywać — dodał Czarny Brytan.

— Uciekliśmy, a on prawie wyskoczył za nami. A kiedy zaczęli go kłaść na powrót, on tak strasznie krzyczał… Ale myśmy nie chcieli!

— Rozumiem — rzekł krótko profesor.

I opuścił sypialnię. Chociaż byłem przytłoczony rozmową z naukowcem, znalazłem w sobie jeszcze dość sił, żeby zapytać naszych łotrzyków, co też ich podkusiło, by zaglądać do „Czyśćca”? To przecież zabronione!

Wszystkie zakazy są umowne, jak ludzkie imiona. Z czasem nie dokopiesz się już, skąd wzięło się dane tabu, od dawna funkcjonujące na Ziemi.

„Czyśćcem” nazywa się boks, w którym bohater mający złożyć ofiarę spędza ostatnią dobę lub noc. Podlega tam pełnej dezynfekcji i zostaje nafaszerowany zastrzykami oraz innymi środkami usypiającymi mózg.

Coś tym razem źle zadziałało. Może sprawiło to pojawienie się Brytanów. Co ich napadło, żeby zaglądać tam po nocy? Przecież pożegnaliśmy się już z Oleżką, nie żałując wielkich słów. Zostało mu powiedziane wprost, że następnego dnia o ósmej rano jego młoda, zdrowa wątroba będzie wyjęta i przeszczepiona zagrożonemu marskością, nieuleczalnie choremu marszałkowi Paraskudiejkinowi, dowodzącemu specjalnymi siłami rakietowymi, znającemu tak wiele tajemnic państwowych, że najzwyczajniej nie wolno mu umrzeć. Ojczyzna tego nie przetrzyma. Nie ma już tutaj nic do dodania. Kto poleciał pierwszym odrzutowcem? Kto wyprowadził z Leningradu osiemdziesięcioro dzieci podczas najgorszego bombardowania? Właśnie on: Aleksander Akimowicz! Mówiła mi kiedyś sanitariuszka Oksana, że w ich szkole wisiały portrety Paraskudiejkina, Pokryszkina, Czkałowa i Lewaniewskiego. Potem tego ostatniego zamienili na Kamanina, gdyż okazało się, że poprzedni bohater nawiał do USA. Lecz tak opowiadała sanitariuszka, prosta kobieta bez dyplomu.

Powiem otwarcie: gdyby zaproponowali, żebym zastąpił Oleżkę, uczyniłbym to z radością. Chciałbym przelecieć jak meteor i pozostawić swój ślad na Ziemi.

Grzegorz Siergiejewicz był głęboko urażony zachowaniem Leszeńki i nas wszystkich, którzy

słysząc wypowiedzi tamtego, nie zameldowali o tym opiekunom. To zdrada! Ja też jestem zdrajcą.

— Widzieliśmy go — powiedział Rudy Brytan. — On także nas zobaczył! Jak strasznie krzyczał!

— Wołał: zabierzcie mnie stąd, boję się i chcę żyć!

— Teraz już śpi — stwierdziłem. — Już wszystko w porządku.

— A może oni rzeczywiście dostają za nas pieniądze? — zastanawiał się Czarny Brytan.

— Zamknij się! — uciąłem. — Wystarczy nam Leszeńka!

— Szkoda Oleżki — stwierdził Rudy Brytan. Pomyślałem w tej chwili, że Leszeńka powinien już przyjść. Zawsze przychodził przed snem z głupawym uśmieszkiem od ucha do ucha i pudełkiem szachów pod pachą, mówiąc: „Iwan, dam ci fory. Hetman czy wieża?". Ostatecznie nic się nie stało, ja zaś nie jestem niczemu winien. Czy może czuć się winny człowiek, który wypełnił swój obowiązek? Odkryłem zdrajcę w naszych szeregach… Więc czemu czuję się tak niezręcznie i serce wyrywa się, aby dokądś pójść, powstrzymać niesprawiedliwość? Wstałem i nakazałem Brytanom:

— Siedźcie tutaj i nigdzie już nie łaźcie. Dość już nabroiliście.

Wyszedłem na korytarz. Lampy paliły się z całej mocy, chociaż dawno powinny być pogaszone. Z ciemnych pokojów sypialnych dobiegały odgłosy rozmów. Poszedłem do pokoju ordynatora. Nasi lekarze czuwają tam wieczorem, kiedy uciszą się ich podopieczni. Koniecznie chciałem zobaczyć raz jeszcze Grzegorza Siergiejewicza, zanim pójdzie do domu, i wyjaśnić mu wszystko jeszcze raz, uprosić, żeby zapomniał moje słowa i nie gniewał się na Leszeńkę. Pokój ordynatora był jednak pusty.

Znalazłem lekarzy w gabinecie zabiegowym lub, jak kto woli, małej salce operacyjnej. Każdy z nas spędził tutaj sporo czasu, ponieważ nasze ciała powinny być nieskazitelne! Jesteśmy przecież nadzieją ludzkości.

Leszeńka spoczywał na fotelu pacjenta z rękami przykutymi do poręczy. Oczy miał zamknięte, oblicze senne, z ust ciekła ślina. Mówił jednak spokojnie, sensownie, jakby bez przymusu.

— Nie interesują nas twoje myśli — rzekł Grzegorz Siergiejewicz — ważniejsze jest dla nas, ilu twoich braci je podziela.

— Wszyscy myślimy prawie tak samo — odparł Leszeńka, nie otwierając oczu.

— Nieprawda — sprzeciwił się lekarz. — To kłamstwo. Zatrzymaliśmy cię z powodu donosu twojego brata.

— Iwan nie wytrzymał! — W jego głosie zadźwięczał śmiech, chociaż twarz pozostała nieruchoma. — Pokochał Pana jak ojca, całkiem jak kot swego właściciela. Trochę się jednak różnimy.

— Chciałbym właśnie dowiedzieć się, jak bardzo się od siebie różnicie. Byłem przekonany, że moja taktyka szczerości jednoczy nas we wspólnej sprawie.

— Niech pan przestanie! — zawołał Leszeńka. — Nie ma żadnej wspólnej sprawy. Jest tylko pański zysk. Reszta to kłamstwo, kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo!

— Aleksy — uprzedził Grzegorz Siergiejewicz — przestań albo będę zmuszony zastosować inne środki.

— I tak je pan zastosuje — odparował tamten — bo pan się mnie boi. Jestem takim samym klonem jak inni. Z każdą nową śmiercią zaufanie do was topnieje niczym śnieg na wiosnę…

— Nie mogłeś tego wyczytać — dosłownie wrzasnął doktor Błoch.

— Widziałem w telewizji — przyznał się chłopak.

Tym razem skłamał. Była taka książka, którą przyniosła nam sanitariuszka. Z jakiegoś powodu

była zakazana, chociaż nie było w niej niczego strasznego. Być może obawiano się, że odkryjemy podobieństwo losu jej bohatera z naszym.

— Nie podoba się wam porównanie z łodzią podwodną „Nautilus" — stwierdził Leszeńka.

— Dlaczego? — zapytał zdumiony Błoch, który chyba nie zrozumiał.

— Dlatego, że tam ubywało wciąż marynarzy, aż w końcu pozostał tylko kapitan Nemo.

— Ciekawe — zauważył Grzegorz Siergiejewicz. — Bardzo ciekawe. Chciałbym, abyś odpowiedział na jeszcze jedno pytanie: skąd to przekonanie, że zarabiamy na was pieniądze?

— Jestem tego pewien.

— Ale dlaczego?

— Nawet największy szpieg w końcu się wygada… Profesor zwrócił się do siostry Leny:

— Przejdź się po sypialniach i sprawdź, czy wszyscy śpią.

— Tak jest — odpowiedziała Lena, ale pozostała na miejscu.

Najwidoczniej wolała posłuchać jeszcze młodego buntownika. Rzeczywiście, warto go było słuchać. Sam przysłuchiwałem się z ciekawością. ,

— Podejrzewam, że wasz projekt od samego początku był komercyjny.

— Co za bzdura! Bzdura! — zawołał oburzony Błoch. — Gdzie znalazłbyś pieniądze na realizację takiego projektu? Tylko państwo może utrzymywać nasz Instytut.

— Państwo — odparł Leszeńka — jest skupiskiem ludzkim, zainteresowanym utrzymaniem dotychczasowego porządku.

— Wyhodowaliśmy filozofa!

Stwierdzenie pozornie radosne, lecz wypowiadając je, Grzegorz Siergiejewicz w taki sposób rozłożył ręce i przechylił głowę na bok, że wymowa tych gestów była oczywista: filozofów nam tutaj nie trzeba.

— Nie wiem, ile macie jeszcze takich oddziałów klonów jak nasz — stwierdził Leszeńka — ale myślę, że niejeden.

— Wszystkiego trzy — poinformował profesor. — Dwa męskie i jeden kobiecy.

— Nieważne — stwierdził chłopak. — Ważne, że jesteście zbrodniarzami.

— Tego już za wiele! — krzyknął Błoch.

— Stworzyliście klony i hodowaliście nas do wieku dwudziestu lat, nie po to, żeby ratować ludzkość… chociażby tworząc nowych żołnierzy. Potrzebne są wam idealne, zdrowe trupy.

— Leno — przypomniał profesor — kazałem ci przejść się po sypialniach. Nie chciałbym, żeby podsłuchał nas jakiś ciekawski idiota.

Stałem jak sparaliżowany, chociaż zdawałem sobie sprawę, że Lena wyjdzie za chwilę na korytarz i zobaczy mnie. Nie mogłem jednak ruszyć się z przerażenia. Dopiero gdy oddziałowa wyszła z gabinetu, przesunąłem się na bok, ustępując jej z drogi.

— Iwan? — zdziwiła się. — Co tutaj robisz?

— Już idę — odparłem.

— Mam nadzieję — powiedziała. — Uciekaj stąd szybko. Niczego nie słyszałeś.

— To ja go wydałem — oznajmiłem.

— Jeden donosiciel mniej lub więcej — stwierdziła chudzi—na o szerokich biodrach i krągłych policzkach, machnąwszy ręką. — Wszyscy żyjecie tu jak motyle.

— Czemu jak motyle?

— Jak tylko powieje wicher, już was nie będzie. No, uciekaj!

Odniosła się wyrozumiale do moich usprawiedliwień, lecz obraźliwe słowo „donosiciel” zabrzmiało nieprzyjemnie w mych uszach, tym bardziej, że nie byłem niczemu winien. Donosiciel przecież sam kabluje szefowi, a ze mnie Grzegorz Siergiejewicz wydobył zeznanie jakby kleszczami.

— Idź już, idź — ponagliła. — A ja sobie zapalę.

— Musiałem wesprzeć Grzegorza Siergiejewicza — wyjaśniłem.

— No i dobrze. Są jeszcze szlachetni muszkieterowie w naszym królestwie. Odejdź, owieczko.

— Dlaczego owieczko?

— Na mnie nie zdołasz donieść — zaśmiała się, szczerząc zęby, w tym jeden złoty, niezbyt estetyczny. — Tej rozmowy nie było.

Odszedłem. Nie cierpię, kiedy ktoś mnie obraża. I rzeczywiście, nie wypada skarżyć się prowadzącemu oddział na personel pomocniczy.

Brytany już spały. Chłopcy przeżyli dziś dramatyczne chwile, nic dziwnego, że zasnęli jak kamień.

3.

Następnego dnia po śniadaniu zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Siedzieliśmy przy długim stole, a sanitariuszka Oksana, przechodząc za naszymi plecami, nalewała każdemu kakao z mlekiem. Leszeńki wśród nas nie było. W tym momencie wszedł Grzegorz Siergiejewicz, wyglądający jak zwykle, a za nim Oleżka. Ospały, ale całkiem przytomny, stąpając o własnych siłach. Usiadł na swoim miejscu obok ślepego Kuźmy. Teraz brakowało już tylko Leszeńki.

Siostra Lena podeszła do pustego miejsca, zabrała jego talerz, łyżkę i talerzyk z bułeczkę i postawiła to wszystko przed Olegiem. Nie było przed nim nakrycia, jako że nie miał do nas wrócić.

— A gdzie Leszka? — zapytałem szeptem Wołodię, który dzielił z nim sypialnię.

— Nie przyszedł — odpowiedział.

Grzegorz Siergiejewicz zabrał głos. Przemawiał, popijając kakao:

— Sądząc po waszych pytających spojrzeniach, speszyła was nieobecność Leszeńki i obecność Oleżki. Nieprawdaż?

W odpowiedzi rozległ się niegłośny pomruk potwierdzenia.

— Zdarzyła się nam pomyłka lekarska. Przykra, lecz czasami nieunikniona. W ostatniej chwili, podczas przygotowań Olega do operacji, ujawniła się podstawowa biologiczna niezgodność jego wątroby w trzech parametrach. Winę za to ponosi laboratorium. Kiedy dowiedzieliśmy się o tym problemie…

Spoglądał po kolei w oczy każdego z nas, jakby szukając w nich zaufania. Staraliśmy się mu zaufać.

— Byliśmy w rozterce. Nie pozostawało nam nic innego, jak obudzić was wszystkich i wybrać kogoś nowego. Na szczęście jednak akurat przeprowadzaliśmy rozmowę organizacyjną z Leszeńką. Dowiedziawszy się o naszych kłopotach, natychmiast, bez ceregieli, zgodził się zająć miejsce Oleżki. Szczęśliwie, jego wątroba była zdrowa i według wszystkich parametrów nadawała się do przeszczepu. Wówczas Leszeńką poszedł na salę operacyjną! To wszystko.

Dopił kakao, powoli odstawił filiżankę i otarł usta serwetką) wsłuchując się w ciszę, jaka zapadła w jadalni. Nasze myśli były zmącone. Nie mogliśmy sprzeciwić się jego słowom. Rozumieliśmy, że lekarze kierowali się wyższą koniecznością. Dlaczego jednak nie powiedzieli nam o tym przed operacją? Dotychczas nikt stąd nie odchodził, nie pożegnawszy się przednio z braćmi.

Powinienem był o tym głośno powiedzieć, lecz nie zrobiłem tego, ponieważ jako jedyny wiedziałem, o czym naprawdę rozmawiał Leszeńka z lekarzami wczoraj wieczorem. Właściwie chciałem to powiedzieć, lecz napotkałem gwałtownie wwiercający się we mnie wzrok głównego lekarza i zrozumiałem, że niczego nie powiem.

— Ale ci się udało, Oleg! — zawołał Rudy. Brytan.

— Tak? — odparł tamten niezbyt przytomnie.

— Komuś się powiodło, a innemu wręcz przeciwnie —stwierdził Wołodia. — Dziwne to

wszystko.

— Wołodia! — ofuknęła go Lenoczka. — Jedz, proszę, powinieneś się dobrze odżywiać.

Wróciliśmy do jedzenia w kiepskim nastroju. Wolelibyśmy, żeby odszedł Oleżka, który prawie się już z tym pogodził. A tak odszedł Lesza i wyglądało na to, że ja jestem temu winien.

Przedtem bohaterskie ofiary złożyło sześciu ludzi, sześciu moich bliźniaków. Dzisiejszego dnia nastąpiło jednak coś w rodzaju zakłócenia. Myślę, że każdy z odchodzących bohaterów pozostawiał w nas rozpacz i strach. Nawet jeśli wszystko przebiegało bez zarzutu, bez zgrzytów, przypominało rosyjską ruletkę, którą widziałem w amerykańskim filmie o Wietnamie. Nosił chyba tytuł àRZFH NHGHQL Bohaterowie kręcą tam rewolwerowym bębenkiem, w którym tkwi tylko jeden pocisk, i przystawiają lufę do skroni. Szansa jedna na sześć. Okropne. Raz nacisnąłeś spust i przeżyłeś. Trzeba powtórzyć zabawę. I kombinujesz: moje szanse wciąż się zmniejszają? Za każdym razem przybliża się śmierć.

Nie myślcie, że jestem tchórzem i oportunistą, staram się jednak zrozumieć, co się w nas działo. Istnieje coś takiego jak podświadomość. Nie wiecie, o co chodzi? Chcę być twardy i odważny, ale w głębi mózgu, nie wiem w której części, czai się strach. To nie ja, tylko on boi się kolejnego strzału.

Nie wiem, czy rozumie to Grzegorz Siergiejewicz, lecz nie mogę zadawać mu trudnych pytań, nie oglądając się na szacunek, jaki żywię dla tego wielkiego człowieka. Uzna, że zwyczajnie stchórzyłem. Ja jednak nadal pragnę dokonać bohaterskiej ofiary i poświęcić swoje życie dla dobra ludzkości!

Czy rzeczywiście?

Wczoraj jeszcze tego chciałem, lecz dzisiaj moje myśli skomplikowały się pod naporem nowej sytuacji.

— Dzisiaj będą zwyczajne zajęcia — oznajmił lekarz. — Każdy żołnierz zna swoją powinność!

Zaśmiał się krótko. Odebrałem ten śmiech jako niezwykle przejmujący, jakby wcale mu nie było do śmiechu. I chyba dzisiaj było tak rzeczywiście.

— Wieczorem — podjął — będziemy mieli małą imprezę. Od dawna obiecywałem zaznajomić was z waszymi sąsiadami… a właściwie sąsiadkami. Starczy już tej ascezy.

Ta wiadomość nas oczywiście zaciekawiła. Coś takiego miało się zdarzyć pierwszy raz!

— A nie będzie tabletek? — spytał Rudy Brytan.

Wszyscy się roześmieli, tym razem szczerze. Każdego wieczora dawali nam pastylki, co nie było żadną tajemnicą, skoro nasz szef zawsze był zwolennikiem prostoty i szczerości w relacjach między nami. Tłumaczył, że jasnoliliowe tabletki mają obniżyć seksualną aktywność. To dla naszego dobra, żebyśmy nie męczyli się z powodu braku partnerki odmiennej płci. Udowadniał na podstawie fragmentów filmów i cytatów z powieści, do czego prowadzi żądza posiadania kobiety. Jego słowa nie zawsze do nas trafiały, lecz rozumieliśmy, że jest w nich jakiś sens. Wiem o tym, że Paszeńka wielekroć próbował oszukać lekarza i wypluwał tabletki. Potem podczas ścielenia jego łóżka ujawniły się na prześcieradle ślady tej działalności… Musiał wyznać swą winę i wysłuchać reprymendy.

— Tabletki pozostaną — odparł lekarz z uśmiechem — bo inaczej moglibyście za mocno ściskać dziewczyny i zrazić je do siebie. Chyba tego nie chcecie?

— Nie chcemy — potwierdziłem za wszystkich.

— Dziewczyny przyjdą do nas w gościnę po obiedzie i wszystko im pokażecie: salę gimnastyczną i klasy. Potem odbędzie się wspólny koncert twórczości amatorskiej.

— A teraz idźcie już, idźcie! — poganiała nas wesoło Lenoczka.

Wstaliśmy z krzeseł. Profesor zawołał za nami:

— Tylko bądźcie w formie!

Wołodia, który jechał za nami na swoim fotelu, zapytał:

— Lesza już tutaj nie wróci, żeby się z nami pożegnać?

— Nie — odparł Grzegorz Siergiejewicz. — Wiem, że dotychczas było inaczej, ale nastąpiły wyjątkowo niefortunne okoliczności. Gdyby Aleksy nie zgłosił się na ochotnika, stracilibyśmy wielkiego człowieka, dumę Federacji Rosyjskiej.

W korytarzu przybliżyłem się do Oleżki, ale nie był w stanie rozmawiać. Rozumiałem, jak mu ciężko. Każdy z nas dąży do ideału, lecz nie każdemu dano go osiągnąć. Kiedy go minąłem, usłyszałem, jak Wołodia mówi do niego:

— Nie łudź się, to tylko odroczenie wyroku.

— Odwal się — rzucił Oleżka.

I miał rację. Wiedział i bez tej podpowiedzi, że to tylko odroczenie. Miał jednak nadzieję, że jego cielesne niedostatki nie są zbyt wielkie. Trochę go podleczą, a gdy nadejdzie czas, znowu będzie gotów do czynu. Nasz oddział klonów stworzono przecież w jednym wspaniałym celu: mamy być gotowi do ofiarowania naszych młodych i zdrowych organów dla ratowania najlepszych ludzi w państwie. Taki jest sens naszego życia, to jest naszym szczęściem! Dlaczego jednak przekonuję o tym sam siebie, jakbym odpowiadał na pytania, egzaminowany przez doktora Błocha? Czyżbym sam w to nie wierzył? Winę za taki stan ponosi narastające rozczarowanie wśród moich braci. Leszeńka nas wprawdzie opuścił, ale jego rolę, rolę malkontenta i pesymisty, pragnie przejąć Wołodia. Może przez to źle skończyć!

Wzdrygnąłem się. I czegóż to życzę swemu bratu? Ubywa nas przecież z każdym dniem. Wołodia także poniósł ofiarę. Gdyby nie jego zdrowe serce, które może wkrótce się komuś przydać, już by nie żył…

Śmierć.

Dlaczego moja śmierć ma być mniej ważna niż marszałka lotnictwa? Ugryzłem się w język.

Brytany trąciły mnie, mijając.

— Czy to prawda? — zapytał Rudy.

— Nie — odpowiedziałem, choć nie wiedziałem, o co pytał.

4.

Przyjmowaliśmy naszych gości w różowej świetlicy. Marik grał na pianinie, a pod sufitem zwieszała się girlanda kolorowych lampek, które zostały od Nowego Roku.

Dziewcząt było dziesięć. Wielkookie, ciemne blondynki prawie dorównywały nam wzrostem, były tylko szczuplejsze. Błoch wcześniej poinformował nas, że ich fizjologiczny wiek wynosi osiemnaście lat, są więc od nas dwa lata młodsze. Ubrane były różnie, lecz gust miały podobny, toteż nawet nie patrząc na ich twarze, a tylko na ubrania, można było stwierdzić, że są siostrami łub bliskimi przyjaciółkami.

Towarzyszyło im dwoje doktorów, mężczyzna i kobieta, oraz asystentka, niezbyt atrakcyjna i zgarbiona, czego nie można było powiedzieć o pani doktor. Lekarka nazywała się Maria Tichonowna. Miała w sobie coś ciepłego, macierzyńskiego, zwłaszcza niosące każdemu pociechę oczy koloru czekolady ze śliwkami. Dziewczęta były pod jej urokiem i dlatego w pierwszych minutach wizyty tłoczyły się wokół swego głównego lekarza. Maria dowodziła oddziałem żeńskich klonów, ale i tak nasz Grzegorz Siergiejewicz był ważniejszy. Nie tylko dlatego, że był doktorem nauk i wszechświatowym autorytetem, ale także z powodu swej powierzchowności. Maria Tichonowna emanowała urokiem, on natomiast był typem wodza. Tacy ludzie stają się liderami w tej samej chwili, kiedy wchodzą do pomieszczenia.

Początkowo staliśmy naprzeciw siebie, niczym dwie armie na polu bitwy, lecz w końcu asystentka Raisa zaczęła przedstawiać podopieczne. Maria Tichonowna zlustrowała nas wzrokiem, a potem usiadła na boku z Grzegorzem Siergiejewiczem i zaczęli rozmawiać o swoich sprawach.

Stało się ze mną coś dziwnego. Zobaczyłem dziewczynę, która odróżniała się od swoich bliźniaczek tylko jaśniejszą bluzką i uczesaniem. Większość miała wymyślnie zakręcone i spiętrzone loczki, ta zaś sczesała włosy gładko do tyłu i spięła w krótką kitkę. Wydawały się tak miękkie, że od razu miałem ochotę pogładzić je, jak się głaszcze kociątko. Wszystko działo się jak w baśni, którą zachowała moja pamięć genetyczna: książę usiłuje rozpoznać swą narzeczoną w gronie identycznych piękności, klonów z dawnych wieków. Jedna z piękności pomaga mu, daje znak…

Moja ślicznotka nie dała mi jednak żadnego znaku. Zerknęła na mnie przelotnie, a potem zaczęła przeglądać tytuły kaset wideo stojących na półce. Trzeba przyznać, że mamy sporą kolekcję. Rudy Brytan podszedł do niej i zagadał. Nie słyszałem, co do niej mówił, ale zaraz się wkurzyłem. Czemu to nie ja podszedłem? Teraz wziął ją za łokieć! Nie macie pojęcia, jak go znienawidziłem! Trudno to pojąć, nie minęło bowiem nawet dziesięć minut od chwili, gdy zjawił się u nas oddział żeńskich klonów. Czy można się tak prędko zakochać? A jednak coś ze mną się stało. Tylko jedna z niewieściego grona przyprawiła mnie o szybsze bicie serca. Inne były mi obojętne.

— Nie krępuj się — powiedział Grzegorz Siergiejewicz, który podszedł do mnie niezauważalnie. — Zasłużyłeś na nagrodę.

— Na jaką nagrodę?

— Na uwagę ze strony tej dziewczyny. Chciałbym, żebyście poznali się bliżej. Informuję cię więc jako twój prowadzący lekarz: oczekuję i życzę sobie waszego kontaktu seksualnego.

— Co też pan mówi! — speszyłem się, słowo daję.

— Odtąd żadnych tabletek!

Chciałem uciekać i nawet zrobiłem krok w stronę wyjścia, lecz naukowiec chwycił mnie mocno za rękaw i dodał półgłosem:

— Musisz wiedzieć, mały, że Maria Tichonowna pielęgnuje w swoim oddziale tradycje rosyjskiej etyki lekarskiej—Ciężko, beznadziejnie chory pacjent nie powinien podejrzewać, jak poważna jest jego sytuacja. Robi się wszystko, żeby pozostawał w dobrym nastroju i uwierzył, że wszystko zmierza ku dobremu.

— Ale przecież one wszystkie są zdrowe — zdziwiłem się.

— Te dziewczęta nie wiedzą, że sensem ich życia jest poświęcenie, że ich życie będzie stosunkowo krótkie i staną się dawcami dla dobra ludzkości.

— A co myślą?

— Że w naszym Instytucie są tylko pod obserwacją. Wkrótce wyklują się nowe klony, dla polepszenia ludzkiego bytu. A one wtedy wyjdą za mąż, urodzą dzieci i tak dalej…

— Trzeba im natychmiast powiedzieć prawdę! — stwierdziłem.

— Zastanów się, głupcze! — rzekł tamten z gorzkim uśmiechem. — Wyobraź sobie, że zwalasz na śliczną główkę niewinnego i nieprzygotowanego dziewczęcia tak przerażającą informację. Skoro nawet taki niezłomny, zahartowany bohater jak ty

| miewa chwile wątpliwości na temat swego przeznaczenia…

— A gdzie jest Leszeńka? — spytałem.

— Nie udało się go uratować — oznajmił Grzegorz Siergiejewicz.

— Ale to nie z powodu…

— Nie myśl o tym — przerwał mi doktor. — Nie dręcz się niepotrzebnie. Leszeńka okazał się w końcu silniejszy i mądrzejszy, niż sądziłem. Nerwowość była jego cechą osobową, ale gotów był się poświęcić, kiedy zaszła taka potrzeba… Kiedyś opowiem ci o tym dokładniej. Nie pozwól, żeby Dasza czekała na ciebie.

— Wie pan, jak ma na imię? Odróżnia je pan?

— A ty nie odróżniłeś od razu jednej z nich?

Nie odpowiedziałem. Przez głowę przemknęła głupia myśl, żeby powiedzieć lekarzowi: „Kiedy opowie mi pan dokładniej? A jeśli jutro przyda się panu moje serce? Albo śledziona?”. Oczywiście tego nie powiedziałem i zaraz odrzuciłem tę myśl. Po co myśleć o tym, co złe? Ostatecznie każde życie kończy się śmiercią. Nikt się jeszcze od tego nie wyzwolił. Co za różnica, czy umrę jutro, czy za dwadzieścia lat? Lata i dni dalej toczą się z taką samą prędkością.

Grzegorz Siergiejewicz podprowadził mnie do dziewczyny o imieniu Dasza.

— Chcę cię z kimś poznać, Daszeńko — rzekł tym swoim niskim, melodyjnym głosem, którego używał, kiedy chciał nagiąć kogoś do swojej woli.

Dziewczyna drgnęła, jakby przytłoczona falą tego głosu. Nie miała odwagi na mnie spojrzeć.

— Powierzam ci go — ciągnął naukowiec. — Zadbaj o mego umiłowanego syna. Tylko wydaje się potężnie wyrośniętym młodzieńcem, ale w gruncie rzeczy jest nieśmiałym chłopaczkiem.

— Co też pan opowiada! — powiedziała Dasza niskim głosem dorosłej kobiety.

Właściwie wszystkie miały jednakowe głosy, tylko że ja nie przysłuchiwałem się innym.

— Zostawiam was — oświadczył mój opiekun, uśmiechając się jak syty kocur.

Cóż za niełądne porównanie! Nawet w myślach nie wolno tak obrażać swojego lekarza!

— Wszystko to już obejrzałeś? — spytała, spoglądając na kasety.

— Jeszcze nie.

— Co wolisz: horrory czy thrillery?

— Lubię dobre filmy — odparłem.

— Gadasz ni w pięć, ni w dziewięć! Chyba wszyscy lubią dobre. Ale jaki lubisz gatunek? Pewnie fantastykę?

— Niekoniecznie.

— Ciekawe — stwierdziła — ja także nie przepadam za fantastyką. Dlaczego prawie nie ma tam wątków miłosnych? Dlatego wolę IDQWD]MÊ Znasz to? Nik Pierumow ma klasę. I jeszcze Gołowaczew.

— Najbardziej cenię Strugackich — oznajmiłem. —A jako dziecko?

— Mamy słabą pamięć genetyczną — odparłem. — Nie pamiętam swojego dzieciństwa.

— A ja pamiętam wszystko. Specjalnie ćwiczymy pamięć. Oglądamy filmy dla dzieci, żeby przypomnieć sobie, co oglądali nasi fizjologiczni rodzice. Była taka kreskówka 7DMHPQLF D WJHFLH SDDQHW— miałam przy niej wrażenie, jakbym widziała to już wcześniej. Miałeś kiedyś wrażenie, że wcześniej widziałeś już ten film? Dosłownie kadr za kadrem…

— Owszem — przyznałem. — Napijesz się lemoniady? Lena przyniosła kilka butelek lemoniady, cukierki i tort, którego omal sami nie zżarliśmy, bo wyglądał tak smakowicie.

— Jestem straszliwie głodna. Może spróbuję ciasteczek?

— Chodźmy — powiedziałem.

Dasza wzięła mnie za rękę, jakby bała się mnie zgubić w zatłoczonej świetlicy. Miała chłodne paluszki, emanujące delikatną energią. A może tak mi się tylko zdawało. Obserwowałem ją z profilu. Ponieważ włosy miała gładko zaczesane do tyłu, jej główka zdawała się mniejsza niż u jej sióstr i wyraźniej zarysowana. Nos miała lekko zadarty i wydawało się, że jego koniuszek pociągnął za sobą górną wargę i podbródek. Wysunięte do przodu, nadawały twarzy wyraz figlarnej przekory. Dziewczyna poczuła na sobie mój wzrok i zwróciła się ku mnie, żeby spojrzeć mi prosto w oczy swymi rozszerzonymi źrenicami, dosłownie przeszywając mnie wzrokiem. Zrobiło mi się głupio. Ścisnęła moją dłoń. Stanęliśmy, nie czując się na siłach, aby iść dalej. Gdyby ktoś opowiedział mi niedawno, że coś takiego jest w ogóle możliwe, wyśmiałbym go. To przecież jak scena z taniego powieścidła.

Podeszliśmy w końcu do stołu. Zebrali się tymczasem wokół niego prawie wszyscy, z wyjątkiem lekarzy, którzy razem ze swoimi asystentami siedzieli na kanapie przed telewizorem. Zdążyłem przechwycić ostatnie kawałki tortu i do tego jabłko dla Daszy. Potem podałem jej talerzyk i zgarnąłem ze spodka cukierki czekoladowe.

— Idziemy stąd? — zapytałem.

Być może wokół unosił się gwar rozmów, ktoś śpiewał albo pytał mnie o coś. Niczego nie słyszałem.

— Dokąd pójdziemy?

— Do mojej sypialni.

— Maria Tichonowna nie pozwoliła — oświadczyła dziewczyna. — Prosiła, żebyśmy nie zostawały z wami sam na sam.

— Dlaczego?

— Dobrze wiesz, dlaczego.

— Słowo daje, że nie wiem. Boją się, że zrobię ci coś złego?

Moje zdziwienie wyglądało tak przekonująco, że Dasza się roześmiała.

— Proponuję kompromis — powiedziała. — Tutaj obok jest gabinet zabiegowy, teraz zupełnie pusty. Przechodziłyśmy obok i zajrzałam tam z ciekawości. Drzwi zostawimy otwarte.

— Dobrze.

Poszła przodem, niosąc talerzyk z kawałkami tortu, ja postępowałem za nią z resztką zdobyczy. W połowie korytarza natknęliśmy się na nieurodziwą asystentkę Raisę, rozmawiającą z doktorem Błochem. Dasza zagadała do niej. Nie dosłyszałem słów, ale szybko zrozumiałem, o co chodzi. Asystentka spojrzała na doktora, ten skinął głową i powiedział do mnie:

— Skoro macie o czym rozmawiać, czemu nie uczynić tego w ustronnym miejscu?

W tej chwili ktoś włączył muzykę i zrobiło się głośno, jakby zaczynał się bal noworoczny. Dasza zapaliła światło w gabinecie. Wiele razy byłem tutaj na badaniach, ale po raz pierwszy widziałem ten pokój bez lekarzy i bez swoistego dlań urzędowego nastroju. Stolik z komputerem był odsunięty pod ścianę.

— Postaw tutaj — powiedziała.

I postawiła talerzyk z tortem na stoliku.

— Czegoś tu brakuje — orzekła, ogarniając krytycznym spojrzeniem odświętną wyżerkę. — Chyba alkoholu.

— Nie dają nam — wyznałem.

— Wiem, nie urodziłam się wczoraj — odpowiedziała z uśmiechem.

Miała ząbki jak perełki, błyszczące wewnętrznym blaskiem.

— Pójdę zobaczyć, może zaparzyli herbatę.

— Zaparzyli — powiedziała siostra Lena, wnosząc dwa duże kubki w lewej i czajnik w prawej dłoni. Zgrabnie, niczym kelnerka, postawiła wszystko na stole.

— Nalewajcie sobie — zachęciła. — Dopiero co zaparzona.

— Ależ tu macie obsługę! — ucieszyła się dziewczyna.

— Wolałabym nie być nazywana obsługą — odparła Lenoczka z uśmiechem przez łzy. Gdzieś usłyszałem takie określenie. — Życzę wam szczęścia.

Wyszła, zamykając drzwi za sobą.

— Będziesz się chyba musiał ze mną ożenić — powiedziała, śmiejąc się, Dasza. — Nie spotkałam się jeszcze z podobną troską.

Odkryła w tej sytuacji coś zabawnego, objawiając tym samym poczucie humoru. W ciągu całego mego krótkiego życia nigdy jeszcze nie byłem sam na sam z kobietą. Niektórzy z moich braci wchodzili w związki z płcią przeciwną: sanitariuszkami, pielęgniarkami, sprzątaczkami. Grzegorz Siergiejewicz nie miał nic przeciwko temu, gdyż cały żeński personel w naszym Instytucie dobierany był bardzo starannie. Kobiety były sprawdzane niczym kochanki prezydenta.

W zeszłym roku zakochałem się w naszej kucharce, Elżbiecie. Była to piegowata śmieszka i ani jej fartuch, ani sukienka nie mogły ukryć wielkich, miękkich piersi, rozsadzających ubranie i wciąż wylewających się z dekoltu. Lgnęliśmy do niej jak muchy do miodu, lecz w odróżnieniu od Leszeńki i Marika ja byłem w niej naprawdę zakochany, a nawet pisałem dla niej wiersze. Zwolnili ją po tym, kiedy rzuciło się na nią naraz aż trzech naszych chłopców. Nie można jednak powiedzieć, że tylko oni

byli temu winni. Kucharka sama zaprosiła ich do spiżarni, a reszty możecie się sami domyślić.

— Czemu milczysz? — spytała dziewczyna.

Nalała herbaty, rozwinęła cukierek „Kara–kum" i oglądała kolorowy papierek.

— Niektóre z nas zbierają takie papierki — oznajmiła. — Chłopcy też zbierają?

— Nie zastanawiałem się nad tym — odparłem. — Zdaje się, że Leszeńka zbierał pocztówki.

— To bardzo ciekawe — stwierdziła. — Zabierają was na wycieczki?

— Bardzo rzadko — wyznałem. — Grzegorz Siergiejewicz nie chce ściągać na nas zbędnej uwagi. Kiedy pojawia się duża grupa jednakowych osób, ludzie zaczynają szeptać ze strachem: „Klony! Klony!". I zachowują się, jakby było w tym coś wstydliwego.

— Nie ma się czego wstydzić. Zdarzają się naturalne bliźnięta, ale czasem są klonowane. Uważam, że mamy szczęście.

— Dlatego, że jesteście ładne?

— Oczywiście, ładnych ludzi powinno być jak najwięcej. Komu potrzebne pokraki?

— Tego was uczy Maria Tichonowna?

— Pij herbatę, bo wystygnie.

Dasza miała na sobie różową bluzeczkę z długimi rękawkami i obcisłe dżinsy. Chciałbym zobaczyć jej kolana. W gruncie rzeczy nie było niczego prostszego jak wrócić do świetlicy i popatrzeć na którąś z jej sióstr w krótkiej spódniczce. Wszystkie przecież miały jednakowe kolana. Piersi miała niewielkie, ramiona dosyć szerokie. Przechwyciła moje spojrzenie i powiedziała:

— Dużo pływamy. Zajęłam pierwsze miejsce w pływaniu stylem grzbietowym. Wyobraź sobie, że ćwiczyłam niecały rok! Mówią, że jestem najlepsza w grupie.

— My także chodzimy na basen — oświadczyłem — ale nigdy cię tam nie spotkałem.

— Chodzimy na dwie zmiany… Ale mam z tym problem. Sam widzisz, jakie mam szerokie i muskularne ramiona! Pomacaj, nie krępuj się, dotknij ręką… Nie tak mocno! Urwiesz mi ramię!

— Przepraszam, to niechcący.

— Wiem, że nie chciałeś. Napijesz się jeszcze herbaty?

— Nie, dziękuję.

— A ja sobie jeszcze naleję. Ależ z ciebie siłacz!

— Normalny, jak wszyscy.

— Musi wam być nudno, prawda?

— Owszem.

— Dobrze, że was odwiedziłyśmy.

— Szkoda, że wcześniej nie przychodziłyście. Spotkamy się jeszcze?

— Dlaczego o to pytasz?

. — Przecież nie będą codziennie was do nas przyprowadzać.

— To jak się spotkamy?

— Nie wiem, zastanawiam się. Na razie nie wiem, ale coś wymyślę.

— Może zabiorę ze sobą cukierki? Nam takich nie dają. Wiesz, dlaczego? Marusia obawia się, że się roztyjemy. Zawsze mówi: ciała przyszłych zbawicielek ludzkości powinny być zgrabne jak u bogini Wenus.

— Jak to, zbawicielki ludzkości?

— Powinieneś wiedzieć! Jaki jest cel twego życia?

— Poświęcić się dla innych — wypaliłem, chociaż obiecywałem nie rozmawiać na takie tematy.

— Głupota!

Spojrzała mi prosto w oczy, przy czym jej źrenice znowu rozszerzyły się w sposób niemal nieprawdopodobny.

— Jestem krótkowidzem — wyjaśniła. — To nie jest normalne, ale jak sam dobrze wiesz, nawet między klonami zdarzają się różnice. Krótkowzroczność to moja cecha indywidualna. Reszta ma dobry wzrok. Nie powinnam sobie zawracać głowy myślami o poświęceniu dla innych. Moje życie jest proste i nie ma powodu go komplikować. Kobieta jest przede wszystkim matką, przedłużającą gatunek. Ty, kochasiu, możesz mnie oczarować i biegać sobie dalej swobodnie, ja zaś muszę począć, urodzić, wykarmić i wypuścić w świat nowego, malutkiego człowieczka.

— To znaczy, że hodują was do rozpłodu? — zapytałem.

— Tylko bez chamstwa, bo zaraz sobie pójdę. Jesteśmy kobietami przeznaczonymi dla wspaniałych ludzi.

— Najpierw ich poznajecie, a potem wydają was za nich? Czy wcześniej ich nie znacie?

— Naprawdę mam już ciebie dosyć, Iwanie — oświadczyła. Jej oczy zmniejszyły się do przeciętnego rozmiaru. Przesypała cukierki do torebki.

— Mogę dojeść twój tort?

— Proszę bardzo.

Nadal wierzyłem Grzegorzowi Siergiejewiczowi. To jasne, że w naszym Instytucie trzymają klony nie w celu kojarzenia w przyszłości szczęśliwych małżeństw. Jesteśmy skazańcami. Wiem o tym i jestem na to przygotowany. Dasza nie wie o niczym i pójdzie na stracenie jak ślepa owca. Tylko czy powinienem wierzyć do końca naszemu szefowi? A jeśli rzeczywiście w sąsiednim oddziale wychowuje się przyszłe idealne matki?

— Byłaś już na weselu?

— Na jakim weselu?

Tak się spieszyła, by dojeść tort, że usmarowała kremem czubek nosa i podbródek.

— Mówiłaś przecież, że twoje siostry wychodzą za mąż…

— Oczywiście. Ale to nie jest obowiązkowe. Nie zawsze pojawia się ku temu naturalna przyczyna. W końcu wychodzi na to samo, prawda?

Uśmiechnęła się chytrze i sprawiła, że ostatni kawałeczek tortu zniknął w jej czerwonych usteczkach.

— A ty już byłaś… z mężczyzną?

— Co za głupoty chodzą ci, Wania, po głowie! — zawołała Dasza. — Na tym towarzyskim spotkaniu z męskimi klonami są same dziewice. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza?

Nie była szczera. Dziwna mieszanka słownego cynizmu z odrobiną braku pewności siebie.

— Wybacz, źle się wyraziłem — powiedziałem. — Sprawiłem ci przykrość?

Wydobyła z torebki lusterko i przejrzawszy się w nim, zaczęła ocierać buzię chusteczką.

— Czemu nic nie powiedziałeś? — zrobiła mi wymówkę. — Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybym wróciła między ludzi z taką wysmarowaną gębą?

— Kiedy cię znów zobaczę?

— A naprawdę tego chcesz? Ktoś nadchodził korytarzem.

— Sam nie wiem. Może pozwolą mi cię odwiedzić?

Do gabinetu zajrzała niełądna, zgarbiona asystentka Raisa.

— Widzenie skończone — oznajmiła. Towarzyszył jej doktor Błoch.

— &LDR EDPELQR— prowokowała mnie Dasza.

I prędko sobie poszła. Zdążyłem tylko zauważyć, że miała pantofle na obcasach, dlatego też jej kroki były dźwięczne i taneczne.

Na końcu korytarza stały dwie grupy: nasza i gości. Męskie głowy były ciemne, kasztanowate, a dziewczęce jaśniejsze, ciemnoblond.

— Spodobała ci się? — zapytał Błoch.

— Nie wiem — odparłem, ponieważ nie zdążyłem zdecydować, co będzie dla mnie bardziej wygodne: okazać obojętność, czy też wręcz przeciwnie, zainteresowanie. Musiałem przemyśleć, w jaki sposób ponownie się z nią spotkać.

Dogoniłem Daszę u drzwi. Dziewczęta zaczęły żartować: gdzieżeś to była, coś robiła? Dałaś się uwieść?

— Oglądałam z nim wideo — oświadczyła Dasza. — Czyste porno. Fajnie się bawiliśmy.

— Kłamiesz!

— Nie mamy tutaj porno — oznajmił Wasylek.

Nikt go jednak nie usłyszał wśród śmiechów i pisków naszych gości. Tylko asystentka spytała Błocha:

— Ile w tym prawdy?

— Dzieciaki popisują się przed sobą, niech pani nie zwraca uwagi.

Można to było zrozumieć dwojako: albo że taka jest prawda, lecz należy ją zignorować, albo że jesteśmy niewinni jak baranki.

Odprowadziliśmy dziewczyny do głównych schodów. Czekałem, aż Dasza odwróci się w moją stronę. Zrobiła to w ostatniej chwili, jakby była przekonana, że śledzę ją wzrokiem. Uniosła dłoń na pożegnanie, lecz uciekła w bok spojrzeniem. Stałem wciąż, gdy moi bracia powoli wracali na swój oddział. Byli weseli i podnieceni, chociaż żaden z nich, jak sądzę, nie porozmawiał z dziewczyną w cztery oczy.

5.

— Czy mógłbym odwiedzić kobiecy oddział? —zapytałem Grzegorza Siergiejewicza.

— Chcesz się zobaczyć z Daszą?

— Tak, chciałbym. Dobrze się nam rozmawiało.

Rozmowa miała miejsce w jego gabinecie podczas rutynowego badania. Grzegorz Siergiejewicz poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

— Ubieraj się, zuchu. Z takim zdrowiem możesz jutro zdobywać Everest.

— Chciałbym tego dokonać…

— To nie twoje zadanie.

— A jak się czuje marszałek lotnictwa?

— Masz na myśli Paraskudiejkina?

— Dowódcę wojsk rakietowych.

— Aleksander Akimowicz czuje się znacznie lepiej. Lekarze twierdzą, że za dwa, trzy tygodnie powinien wrócić do pracy. Nasza ojczyzna powinna być wdzięczna Leszeńce.

— Czy ludzie nie powinni poznać prawdy o nim? — zapytałem.

— Zbyt wcześnie na to. Społeczeństwo nie jest jeszcze gotowe. Szczerze mówiąc, marzy mi się taki dzień, kiedy pozbędziemy się wszelkich chorób. Wtedy powiemy razem: nasze dzieło skończone. Witaj, długowieczności!

— Ja już niczego nie powiem — zauważyłem z ubolewaniem, gdyż od rana czułem się jakoś nieswojo.

Naukowiec przeszył mnie spojrzeniem czarnych, bezdennych oczu w taki sposób, że podłoga zakołysała mi się pod nogami.

— O co mnie prosiłeś? — podjął.

— Chcę się zobaczyć z Daszą.

— Czy mogę być wobec ciebie szczególnie szczery, jak wobec siebie samego? — zapytał lekarz.

Kiedy człowiek mający w rękach twój los chce z tobą porozmawiać całkiem szczerze, raczej nie wróży to niczego dobrego.

— Niech pan mówi — powiedziałem, spoglądając na czubki swoich adidasów.

— Wczoraj wywiązała się dyskusja. Dotyczyła nie tylko ciebie, lecz naszej ogólnej koncepcji badawczej. Uważa się, że należy podzielić każdy z naszych oddziałów klonów na dwie grupy. Jedni, tak jak poprzednio, będą się poświęcać dla ludzkości. Drudzy, jeden lub dwaj wyselekcjonowani, pozostaną w celu rozmnożenia, czyli dla przedłużenia eksperymentu w warunkach naturalnej reprodukcji. Czy wyrażam się jasno?

Wszystko zrozumiałem. Ze wzruszenia aż zaburczało mi w brzuchu.

— Zostałem wybrany?

— Powoli, Wania, to nie takie proste. Prawdę mówiąc, broniłem zasady sprawiedliwości. Nie

należy dzielić klonów na czarne i białe. A co się stanie, jeśli wydarzy się sytuacja, w której potrzebne nam będzie życie któregoś z pary wybrańców?

— Wykreślcie ich na zawsze z listy i zapomnijcie o nich —zaproponowałem.

— Widzę, że już zaliczyłeś siebie do grona wybranych. To śmieszne.

— Co w tym śmiesznego? — obruszyłem się.

— Śmiesznie skonstatować, jak życie mnie oszukało — odparł naukowiec. — Myślałem, że wszystkie klony będą jednakowe, tymczasem z każdym dniem każdy z was ujawnia coraz więcej cech indywidualnych. Można rzec, mój mały, że dzieje się to diabelnie prędko. Jeszcze wczoraj myśleliśmy wszyscy tak samo o naszym celu. Obecnie byliśmy zmuszeni wymienić Olega na Leszeńkę, ponieważ ten ostatni stał się zagrożeniem dla całego eksperymentu.

— Więc wzięliście go specjalnie?

— Nie udawaj głupiego, Wania. Dobrze wiedziałeś, że skoro opowiadał o rzeczach niedozwolonych swoim braciom, będziemy zmuszeni go ukarać. Co też uczyniliśmy. A podstawę do tego dałeś nam ty, mój miły.

— Niczego nie zrobiłem! — prawie krzyknąłem. — Nie chciałem tego!

— Tak, tak, wcale nie chciałeś, nie gorączkuj się. Nie ma w tym twojej winy. Lepiej wysłuchaj mnie do końca.

— Nie chcę już tego słuchać!

— Nie zrozumiałeś mnie. Mówię o tobie i Daszy. Maria Tichonowna uważa, że powinniśmy popierać wasz romans. Śmieszne, co? Wplątują cię w romans bez pytania. Śmieszy cię to?

— Nie bardzo.

— Mnie także nie. Znaleźli jednak sojuszniczkę w moim obozie, w osobie Leny. Ona także pragnęła odizolować ciebie i oddzielić od reszty klonów. Głupio, że miałem wcześniej do niej tak duże zaufanie.

— Pozwolicie mi zobaczyć Paszę?

— Po pierwsze, nie tylko ja o tym decyduję. Jak większość naczelników oddziałów, mogę czegoś zakazać, ale bardzo trudno mi coś nowego zarządzić.

— Przekonał ich pan?

— Wyobraź sobie, że tak. Pozostaniesz w oddziale. I dodał, wołając za mną:

— Chociaż to nie jest ostateczna decyzja. Nie załamuj się, synu!

Zaczekałem, aż sobie opuści oddział, a potem sam próbowałem przekraść się do żeńskiego. Zrozumiałem, że tylko tam mogę szukać pomocy. Przejście było jednak zamknięte, a kiedy nacisnąłem klamkę, z tamtej strony dobiegł głos strażnika:

— Czego tam? Wstęp wzbroniony bez specjalnego pozwolenia.

Tak też myślałem. Trzeba się było podporządkować.

Jeszcze bardziej rozzłościłem się na Grzegorza Siergiejewicza. To było nie w porządku, gdyż jeszcze wczoraj byłem jednym z najbardziej wiernych podopiecznych i naprawdę byłem gotów oddać życie za wielką sprawę. Jak można tak szybko się zmienić?

Zawróciłem na nasz oddział. Z sali bilardowej docierały odgłosy zderzających się kul. Rudy Brytan wygrywał, jak zawsze.

W tej właśnie chwili pomyślałem, żeby odszukać Marię Tichonownę. Jeśli nie zgadza się z moim szefem, może być dla mnie pomocna. Jeszcze całkiem niedawno nie śmiałbym przeciwstawić się Grzegorzowi Siergiejewiczowi nawet w myślach, lecz obecnie takie postępowanie wydało mi się

słuszne.

Wróciłem i zapytałem strażnika, gdzie mogę znaleźć doktor Marię. Bezcielesny głos, w którym usiłowałem wyłowić odrobinę współczucia, odpowiedział:

— Maria Tichonowna udała się na naradę do ministerstwa. Proszę zadzwonić jutro o dziesiątej rano po skończonym obchodzie.

Nie, pomyślałem, odchodząc od drzwi, jeszcze nie wszystko stracone. Jest jeszcze jedna droga, prowadząca na kobiecy oddział przez pokoje służbowe. Wyobraziłem sobie rozkład pomieszczeń i korytarzy całego naszego skrzydła. W swej zasadniczej strukturze budynek Instytutu był starą budowlą, wzniesioną jeszcze za czasów carycy Katarzyny. Jego skrzydła jednak wielokrotnie przebudowywano i modernizowano; restaurowano część wnętrz niezdatnych do użytku. Obecnie główny budynek po kapitalnym remoncie nabrał znowu klasycznego wyglądu z fasadą o ośmiu kolumnach. Lecz reszta budynku, mieszcząca się za paradnymi schodami, została ogołocona jeszcze w latach trzydziestych. Mówiono mi — o czym to się nie opowiada nocami — że w podziemiach Instytutu znajduje się tunel wychodzący na rzekę Moskwę albo prowadzący do „trzeciego" metra, wiodącego od Domu Kotielnikowa pod Jauzą, a stamtąd do samego Kremla. Uważałem dotychczas, że wszystko to bujdy, również i to, że tych przejść pilnują strażnicy, strzelający bez uprzedzenia do każdego niepowołanego, ale w każdej legendzie jest ziarno prawdy. Tunel mógł się okazać zapomnianą komórką, ale i takie miejsca mogą się do czegoś przydać.

Mam bardzo dobrą pamięć wzrokową, a do tego wrodzona ciekawość popychała mnie do krótkich, ograniczonych naszymi możliwościami, wędrówek po korytarzach. Tak dowiedziałem się, że pomiędzy naszym oddziałem a księgowością znajdują się trzy sale operacyjne. Nie mają bezpośredniego związku z naszym laboratorium, choć oczywiście nie do pomyślenia jest, by egzystowały całkowicie oddzielnie. Tam właśnie odbywają się operacje, dzięki którym przyszliśmy na świat. Dokładniej mówiąc, dokonuje się tam przeszczepów niezbędnych do życia organów. Pracujący tam chirurdzy nigdy nie zaglądają do naszej kliniki. Najczęściej przyjeżdżają razem ze swoimi pacjentami, gdyż są to najwięksi specjaliści na swoim terenie i poza tym nie mają nic do roboty w naszym Instytucie, gdzie przeprowadza się przeszczepy tylko od czasu do czasu. Dlatego nigdy nie widzieliśmy chirurgów przywożących pacjentów. I tak jest lepiej. Cokolwiek by tam mówić o bohaterstwie, oglądając ludzi w niebieskich fartuchach czulibyśmy się jak skazańcy widzący czerwony strój kata.

Dlatego są aż trzy sale operacyjne, specjalnie przygotowane do różnych typów transplantacji. Wolę o tym więcej nie mówić. Nie chcę i mało się na tym znam.

Za tymi pomieszczeniami korytarz służbowy prowadzi do pokojów wypoczynkowych dla chirurgów i boksów, w których leżą dawcy i biorcy. Po operacji odbiorca zostaje na kilka dni w naszym Instytucie. Co się tyczy dawcy, niekiedy do nas wracają, jak Wołodia, jeśli transplantacja ich nie zabiła. Wciąż jeszcze mogą być przydatni dla ludzkości. Najczęściej jednak nie wracają, jak Leszeńka.

Gdzieś tam dalej spoczywa w izolatce dowódca wojsk rakietowych, bohater Federacji Rosyjskiej, a co najważniejsze — męczennik, który przeszedł niewolę w Afganistanie i w Czeczenii, Aleksander Akimowicz, chluba narodu. Jeśli zaś chodzi o Leszeńkę, na pewno jego pozostałe organy zakonserwowano, bo to przecież doskonały materiał. Odrodzi się w innych ludziach, uratowanych za cenę jego życia. To wszystko.

Dalej, za oddziałem chirurgicznym, czyli transplantacyjnym, znajdują się sale zarządu, do których

można się dostać przez stary korytarz. Są tam pokoje niewiadomego przeznaczenia, w których nie wolno nawet sprzątać. Sam widziałem raz zakurzony „czerwony kącik": niewielką salkę, wypełnioną czerwonymi sztandarami, z długim stołem przykrytym wypłowiałym szkarłatnym obrusem, obstawionym przedpotopowymi krzesłami, której ściany i sufit obite są suknem tej samej barwy. Na ścianie napis: „Chwała sowieckim lekarzom za ich nieustępliwą walkę z gruźlicą!".

Znajduje się tam również podłużne pomieszczenie, do którego wynoszą, bo grzech wyrzucić, stare koje i wózki do przewożenia chorych. Stoją tam ciasno stłoczone i czekają na wojnę albo straszliwą epidemię. Są też całkowicie puste pokoje, przygotowane do remontu. W ostatnim z nich widziałem drabinkę, wiadra z zaschniętą farbą i malarską czapeczkę na zasłanej gazetami podłodze. Miał się tutaj kiedyś rozpocząć remont, lecz chyba się nie dogadali co do ceny albo akurat wygnali z Moskwy ukraińskich gastarbaiterów.

Dobrze pamiętałem przejście za chirurgią, chociaż nie nawiedziłem dalszych pomieszczeń przeznaczonych do remontu. Wedle mego rozeznania wyglądało jednak na to, że jeśli za tymi pustymi pokojami znajdę wejście na górne piętro, a jeszcze lepiej na poddasze, zdołam tamtędy przejść do głównego budynku, w którym znajduje się oddział kobiecy. Najlepiej byłoby zrobić to późnym wieczorem lub w nocy, gdyż zmniejsza to niebezpieczeństwo spotkania kogoś w korytarzu. Nocą jednak strażnicy są bardziej czujni, być może także ważniejsze fragmenty korytarza obserwowane są przez kamery telewizyjne, jak to widziałem w amerykańskich filmach. Lepiej więc chyba pójść teraz, dopóki Instytut pracuje i nikt nie wybiera się spać. Muszę mieć nadzieję, że do tej części budynku mało kto zagląda.

Na szczęście ubrani jesteśmy w zwykłe ciuchy: dżinsy i kurtki różnego koloru i kształtu. Prócz nas przebywa w Instytucie, jak sądzę, parę setek ludzi. Lekarze są raczej w mniejszości. A zresztą, poza granicami laboratoriów i gabinetów lekarskich oni także wolą chodzić po cywilnemu. Nie muszę się zatem przebierać: pomyślą, że idzie korytarzem młody technik albo laborant… Wiedziałem, że mam rację.

Otworzyłem drzwi prowadzące do naszego oddziału i nie zrobiłem tego bynajmniej po raz pierwszy. Od czasu do czasu ktoś z nas biegał do kiosku na pierwszym piętrze albo do automatu z coca–colą. Tak samo umiemy otwierać drzwi między nami a boksami, lecz raczej tam nie chodzimy, bo to niebezpieczne. Mogą ukarać, gdyby ktoś tam był i zauważył jednego z nas.

Przeszedłem szybko korytarz, nie rozglądając się na boki, na wypadek, gdyby śledziły mnie kamery. Przy ostatniej izolatce nieomal się zatrzymałem, lecz oparłem się tej pokusie. Do matowej szyby w drzwiach przyklejona była standardowa tabliczka z napisem: „A. A. Paraskudiejkin". Nie, lepiej teraz nie ryzykować, ale na pewno zajrzę tu w drodze powrotnej. Uważałem, że przyczyniłem się do uratowania bohatera. Lesza był ze mną związany bardziej niż brat, byliśmy wprost identyczni. Jeśli oddał życie za tego człowieka, ja także coś oddałem, nie życie, lecz coś również drogiego.

W jednej z sal operacyjnych paliło się światło i dochodziły z niej kobiece głosy. Doszedłem do wniosku, że teraz są tam sprzątaczki, bo inaczej drzwi byłyby zamknięte, by zachować sterylną czystość. Nigdy nie chciałbym tutaj wylądować, chociaż oczywiście nie łudziłem się, że zdołam opuścić Instytut inaczej niż tą właśnie drogą. W gruncie rzeczy nie powinno mnie to obchodzić, ale uważam, że wszyscy powinni przestrzegać przepisów higienicznych. Może uznacie mnie za nudziarza, ale po prostu jestem ofiarą pewnego systemu wychowania i stylu życia. Jak to mówią: czym skorupka za młodu nasiąknie…

Odrapane białe drzwi uchyliły się od niechcenia, jakby czując, że dokonuje się za nimi coś

niedobrego. Dalej znajdowało się półpiętro, lecz wejście po schodach na górę zagradzała żelazna krata, zamknięta na wielką kłódkę. Schodząc niżej, dotarłem do oszklonych drzwi, za którymi znajdowała się kuchnia szpitalna. Jedna z szybek była częściowo stłuczona i przez ten otwór wionął zapach stołówkowego żarcia. W kuchni nie miałem nic do roboty, a jeszcze niżej były piwnice.

Wróciłem do oddziału chirurgicznego, lecz nie zaszedłem daleko, gdyż natknąłem się na wychodzące stamtąd pielęgniarki, które pośrodku korytarza wiodły zacięty spór o jakąś serwetę. Nie wsłuchiwałem się w ich kłótnię, tylko liczyłem w myślach do sześciuset, czekając, aż wreszcie się nagadają.

Potem szybko minąłem puste, niewyremontowane pokoje. Dotarłem do głównych schodów i wszedłem w szeroki korytarz, przechodząc wzdłuż szeregu starych sal, mieszczących w sobie po dwanaście łóżek. Spacerowali tutaj chorzy i biegały w różne strony pielęgniarki. Tego oddziału nie znałem. Najważniejsze było trzymać się głównego kierunku…

6.

W ciągu pół godziny dotarłem do basenu, w którym akurat pływały dziewczęta z oddziału klonów. W pierwszej chwili nie rozpoznałem Daszy, gdyż wszystkie miały na głowach czepeczki i na pierwszy rzut oka wydawały się jednakowe. Ona pierwsza mnie zauważyła. Nie okazała zdziwienia. Uniosła wąską, delikatną dłoń i pomachała do mnie.

— Wskakuj do nas! — zawołała.

Z trudem wyodrębniłem jej głos z panującego wokół gwaru. Pływalnia była wysoka na dwa piętra, wnętrze miała obszerne i mocno akustyczne, wprost trudno było uwierzyć, że tak obszerna sala może się zmieścić w naszym skromnym z pozoru budynku. Na szczęście nikt nie zwracał na mnie uwagi. Usiadłem na brzegu basenu, zwieszając nogi, przy czym czubki moich adidasów prawie dotykały wody. Dziewczyna podpłynęła do mnie i powiedziała:

— Cześć, cieszę się, że cię widzę.

Jej oczy błyszczały prawdziwą radością. Nawet taki tępy chłopak jak ja był w stanie to zauważyć.

— Szukałem ciebie cały dzień — oświadczyłem.

— A ja układałam po nocy wiersze o tobie.

— Powiesz mi jakiś?

— Zapomniałam, ale to były naprawdę dobre wiersze.

— O miłości?

— Nie, o szpiegowaniu, głuptasie!

Byliśmy oboje weseli, jakby zupełnie nic nam nie zagrażało. Po prostu, spotkaliśmy się i teraz będziemy się razem bawić, jak długo tylko zechcemy.

— Wskakuj — zaproponowała.

— Nie mam kąpielówek. Lepiej ty chodź tutaj.

— Wkrótce będzie u nas kolacja.

— Będę na ciebie czekał przy szatni.

— Mam zapytać Raisy?

— Nie puści cię.

— Jestem już pełnoletnia!

Nie rozumiała, że jej nie puszczą.

— Idź, tylko żeby cię nikt nie widział — powiedziała.

Przy wejściu do przebieralni znajdowały się drewniane ławki. Długo tam czekałem na Daszę, aż odsiedziałem tyłek. Na szczęście nikt oprócz niej nie wychodził. W końcu wyszła z szatni, ubrana jak wczoraj, z torebką w dłoni. A nie, miała jednak inną bluzkę, w kolorze cynamonowym. Wyglądała bardzo ładnie z rozpuszczonymi na ramiona, pociemniałymi od wody włosami.

— Znudziłeś się? — zapytała.

— Jeszcze nie.

— Fajny jesteś — stwierdziła. — W ogóle nie świrujesz. Ja bym na twoim miejscu umarła od samego czekania. Dokąd pójdziemy?

— Lepiej znasz to miejsce — odparłem.

— Skoro przyszedłeś ze swojego skrzydła, to znaczy, że wszystko dobrze po drodze obejrzałeś. A ja co: prosto stąd do windy i już jestem w naszym oddziale. Może pójdziemy pospacerować do sadu?

Na tyłach naszego Instytutu znajduje się stary park, nazywany zwyczajowo sadem. Prowadzili nas tam wiele razy do pracy na działce, ale co innego chodzić tam bez pozwolenia. Grzegorz Siergiejewicz wytłumaczył nam wystarczająco jasno, że można stamtąd łatwo wyjść na ulice. A my nie jesteśmy przyzwyczajeni do miejskiego życia i możemy łatwo zabłądzić. Trzeba wziąć pod uwagę, że Moskwa jest okrutnym miastem, a jej mieszkańcy żywią spore uprzedzenia wobec klonów. W przeszłości, gdy pierwsze klony wychodziły na miasto, nawet w pojedynkę, zdarzały się przypadki napadów, a także zabójstw. Przykro o tym mówić, lecz społeczeństwo jeszcze nie dojrzało do spotkania z ludźmi przyszłości. Lepiej więc będzie dla naszego bezpieczeństwa, żebyśmy nie spotykali ludzi z ulicy, a szczególnie skinheadów, współczesnych faszystów.

— Nie wypuszczą nas — poinformowałem. — Był z nami taki chłopak, Lesza, miał bardzo niesforną naturę i próbował przedostać się do sadu. Wyskoczył przez okno z drugiego piętra, ale szybko go złapali. Parku strzegą złe psy, żeby z zewnątrz nie zakradli się bandyci.

— I gdzie jest teraz ten twój Lesza? — zapytała. Że też akurat zachciało jej się o niego pytać!

— Odleciał — odrzekłem — do ciepłych krajów.

— Kłamiesz — stwierdziła nieufnie, unosząc wyżej jedną brew.

— Po co tutaj stoimy? — zreflektowałem się. — Czekamy, aż ktoś przyjdzie i nas rozdzieli?

— Rozdzieli?

— Nie pozwolono nam się spotykać — wyjaśniłem. — Mechanik jest z ciebie niezadowolony.

— Jaki mechanik?

— To z jednej piosenki.

— Nie znam takiej.

— Widocznie chorowałaś, kiedy się jej uczyliśmy.

Zasępiła się.

— Znowu ze mnie żartujesz?

— Naprawdę nie żartuję! Była taka stara piosenka!

— Więc dokąd pójdziemy? — spytała. — Gdzieś daleko?

Ruszyliśmy w głąb korytarza, gdyż w tej chwili dziewczęta z jej oddziału zaczęły wychodzić z przebieralni. Jedna z nich zauważyła nas i zawołała:

— Dasza, chyba zwariowałaś! Zaraz kolacja! Pociągnąłem ją za sobą.

— Ojej, jak się fatalnie złożyło! — szepnęła do mnie, niemal biegnąc. — Barbara na pewno powie o tym Raisie. To jej pupilka.

Nie zapytałem, co to znaczy pupilka, chociaż słowo to wydało mi się nieprzyjemne.

Poznałem już drogę piętro wyżej z wejściem na poddasze i biurami księgowości. Skończyły się godziny pracy i wszyscy wyszli, ale drzwi z obu stron korytarza były zamknięte. Nie należało pozostawać w tym miejscu zbyt długo, bo na pewno był tutaj jakiś strażnik.

Dasza, idąc obok mnie, rozglądała się z ciekawością. Nigdy jeszcze tutaj nie była, w ogóle nigdy

nie odwiedzała innych części Instytutu. Kobiety zawsze były mniej skłonne do wędrówek. Zwróćcie, proszę, uwagę: wszystkich odkryć geograficznych dokonali mężczyźni, którzy zawsze marzyli, żeby wyrwać się z domu i uciec tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Czasami bardzo żałuję, że los uniemożliwił mi podróżowanie. Chętnie poprosiłbym Grzegorza Siergiejewicza: niech pan pozwoli mi przez jeden rok odbyć podróż dookoła świata, a potem wrócę i wypełnię swój obowiązek. Coś podobnego powiedział raz Marik w mojej obecności. Na co naukowiec odpowiedział mniej więcej tak:

— Mój drogi, istnieje mylne przekonanie, że młodzi ludzie nie chcą umierać i boją się śmierci. W rzeczywistości jest dokładnie na odwrót. Młody człowiek, mając wiele lat przed sobą, uważa, że śmierć go nie dotyczy. Ludzie starzy bardziej obawiają się śmierci, gdyż jest dla nich bardziej namacalna, stoi już za progiem. Chcieliby chociaż na trochę odsunąć moment pożegnania z tym światem! Wydaje ci się, że gdybyśmy cię wypuścili, żebyś ujeżdżał bizony w pampasach albo zmagał się z krokodylem, to uda ci się przez jeden rok pogodzić z nieuchronnością śmierci. Nic podobnego! Właśnie dlatego chronię was przed realnym życiem, abyście się do niego zanadto nie przywiązali. Wybaczcie, że ujmę rzecz nieco cynicznie, ale trzymam was na uwięzi w stajni, z której nie żal odejść do jatki.

Być może Grzegorz Siergiejewicz nie ujmował tego tak ostro, ale zapamiętałem tę wypowiedź właśnie w takich słowach.

— Daleko jeszcze? — zapytała dziewczyna. — Boję się odchodzić zbyt daleko od oddziału. A jak mnie złapią? Nawet sobie nie wyobrażasz, co to będzie!

— Nic ci nie zrobią.

— Oprócz tego, że zabronią się z tobą spotykać i zamkną mnie w karcerze.

— Jest u was karcer?

— Oczywiście, że nie! Panują u nas humanistyczne stosunki. Ale tak się mówi…

— Humanitarne.

— Co?

— Mówi się: humanitarne stosunki, nie humanistyczne.

— Tak nas uczyli… Dalej nie pójdę.

Naprzeciwko nas szli dwaj mężczyźni. Wyszli z cienia i wydali mi się bardzo rosłymi i niebezpiecznymi osobnikami.

— Stójcie — powiedział jeden z nich, kiedy podeszli bliżej.

Dasza tak mocno chwyciła mnie za rękę, że jej paznokcie wpiły się w moją dłoń. Nie było dokąd uciekać. Za plecami mieliśmy tylko zamknięty korytarz. Jeden z nich trzymał w palcach jakiś papierek.

— Możecie nam powiedzieć, gdzie jest pokój numer sześćdziesiąt siedem?

— Nie powiemy!

Nagła ulga sprawiła, że odniosłem się lekceważąco do tych facetów.

— Co z tobą?

— To chyba jasne, że nie wiem, gdzie jest ten pokój!

— Nie krzycz…

Robotnicy byli nastawieni pokojowo, gdyż najwyraźniej czuli się tutaj niepewnie, w końcu krążyli po szpitalu i nagle spotkali kogoś tak groźnego jak ja. Minęliśmy ich i poszliśmy dalej.

— A co będzie, jeśli o nas komuś powiedzą? — szepnęła Dasza.

— Ale o czym powiedzą?

Zorientowałem się, że przeoczyłem pusty pokój, w którym chciałem się ukryć z dziewczyną. Doszliśmy dalej, do oddziału chirurgicznego. Po lewej znajdowały się drzwi z tabliczką „A. A. Paraskudiejkin". Zatrzymałem się, gdyż w tym miejscu było niebezpiecznie i zdecydowanie lepiej się było tutaj nie kręcić. Kusiło mnie jednak, żeby spojrzeć na komendanta. Nie umiem racjonalnie wyjaśnić, dlaczego właśnie w tej chwili odczułem konieczność popatrzenia na człowieka, który odebrał życie Leszeńce. Oczywiście, nie zabił go sam, na pewno nawet nie podejrzewał, że przedłużył własne życie za cenę śmierci młodego, zdrowego człowieka, mojego brata.

— Dokąd idziesz?

— Zaczekaj. Tylko na sekundę…

— Wejdę z tobą.

— Tylko spojrzę na tego człowieka. To wybitny dowódca, którego przedtem widziałem tylko na portrecie.

— Jutro sobie popatrzysz.

Już się rzuciłem ku drzwiom. Starałem się otworzyć je bezszelestnie, lecz mimo to zaskrzypiały. Izolatka okazała się niewielka. Łóżko było wyższe, niż myślałem, a człowiek leżał na nim pod kątem, ponieważ podgłówek był podniesiony. Z nosa pacjenta wystawały plastikowe rurki, które znikały gdzieś pod łóżkiem. Obok stała kroplówka. Pod ścianą znajdowały się trzy albo cztery maszyny z monitorami. Na jednym z ekranów przebiegały zielone linie, gnące się jak niewielkie morskie fale. Wszystko to zobaczyłem w sekundę, podobnie jak twarz marszałka lotnictwa.

To nie była jego twarz, lecz kogoś zupełnie innego. Opalona, z wydatnym nosem, grubymi wargami. Oczy miał przymknięte, lecz pod czarnymi rzęsami można było dostrzec błękitne źrenice. Włosy kręcone jak u Puszkina; owcze runo okalało błyszczącą, spoconą łysinę.

Chyba ktoś pomylił tabliczki. Chciałem wycofać się i zajrzeć do sąsiedniej izolatki, lecz w tym momencie zza łóżka wynurzyła się pielęgniarka w niebieskim fartuchu.

— Czego tutaj, młodzi, szukacie?

— Przepraszam, pomyliłem się — odparłem.

Cofnąłem się i pociągnąłem za sobą Daszę, prawie ją przewracając. Wróciliśmy do pustego sektora. Siostra nie wyszła za nami, może uwierzyła, że ktoś się pomylił. Biegłem ile sił, byłem dobrze wytrenowany Dasza dyszała obok mnie jak zagoniony zając.

Ciemniało już za oknami i następny pokój wydawał się z tego powodu większy niż przy świetle dziennym. Stały tam cztery łóżka, trzy bez materaców pobłyskiwały gołymi sprężynami. Na czwartym leżał przykryty kocem materac, brakowało tylko poduszki.

— Chcesz tutaj posiedzieć? — zapytała dziewczyna. Chyba nie spodobało jej się to miejsce.

— A bo tutaj źle?

— Masz dziwny ton głosu.

— Nie bój się, tylko odpoczniemy.

— Bądź grzeczny. Tylko na chwilę.

Usiadła na łóżku i podskoczyła parę razy, jakby chcąc wypróbować miękkość znajdującej się pod spodem siatki. Sprężyny głośno skrzypnęły.

— Obudzisz wszystkich — zwróciłem jej uwagę.

— Więcej nie będę. Przyniosłeś coś ze sobą?

— Jesteś głodna?

— Zawsze jestem głodna po basenie. W ogóle często mi się chce jeść. Spalam pożywienie bardzo szybko.

— Wszystkie tak macie?

— Nie, tylko ja.

Siadłem przy niej, siatka ugięła się i mimowolnie zbliżyliśmy się do siebie, jakbyśmy zjechali z dwóch przeciwległych wzniesień.

— Uważaj!

Podniosła dłoń, żeby się ode mnie odgrodzić. Ująłem ją obiema rękami. Zamarliśmy na chwilę oboje. Potem podniosłem jej rączkę do ust i delikatnie ucałowałem. Dasza westchnęła, jakby z ulgą, a później schyliła się i musnęła wargami mój policzek. Wskutek naszych poruszeń sprężyny wygięły się jeszcze bardziej, musiałem więc ją mocno objąć, żebyśmy nie zsunęli się na podłogę.

— Ojej, co ty robisz! — szepnęła.

Zacząłem całować jej policzek, skroń, włosy, które okazały się bardzo miękkie i pachnące mydłem jagodowym.

— Co ty wyprawiasz, wariacie?! — powtarzała. — Słyszysz? Jesteś wariatem!

Potem jednak zamilkła, gdyż jej usta niechcący spotkały się z moimi. Początkowo jej wargi wydawały się suche i spierzchnięte, potem jednak stały się miękkie, wilgotne. Nigdy nie przypuszczałem, że usta mogą być takie mokre i gorące, że można się o nie sparzyć. W owej chwili myśli przebiegały mi przez głowę, nie pozostawiając żadnego śladu. Dopiero później uświadomiłem sobie, jakie gorące były jej wargi. Coś przy tym szeptała, lecz słów nie pamiętam. W ogóle moje dłonie poruszały się poza świadomością, chociaż wiedziałem, że nie należy sprawiać dziewczynie przykrości i porządni ludzie nie pchają łap, gdzie nie trzeba. Choć kładziono mi takie rzeczy do głowy, moje obecne zachowanie było sterowane tajemniczą genetyczną pamięcią, o której często rozprawiał Grzegorz Siergiejewicz, może też automatycznie robiłem to, o czym tylko czytałem lub widziałem na ekranie. Moje palce same zabłądziły na jej sprężystą pierś — trudno mi wyrazić słowami nowe dla mnie doświadczenia. Ku swemu zdziwieniu natrafiłem na brodawkę twardą jak orzeszek i zaraz zapragnąłem odnaleźć drugą i dotknąć jej ustami.

— Przestań, nie wolno… — broniła się. Potem dodała głośniej:

— Wanieczka, kochany, zostaw mnie, teraz nie wolno!

Z trudem się opierała, będąc całkowicie w mocy mego potężnego, silnego ciała, które pragnęło spenetrować jej wnętrze, znaleźć jakąkolwiek bramę w gorącym, uległym ciałku mojej Daszy, Daszeńki… Prawie mi się to już udało, gdyż dziewczyna, niby się sprzeciwiając, w gruncie rzeczy pomagała mi zdobyć ją i przeszyć na wylot! Nagle… dlaczego tak się zdarzyło? Nagle, gdy moja dłoń natrafiła na gorący, suchy mech pod jej bielizną… Piszę trochę o sobie jak o kimś innym, bo rzeczywiście w tamtej chwili nie byłem sobą. Próbuję także nazywać różne części ciała oraz czynności znanymi i przyzwoitymi określeniami, bo wtedy nie pamiętałem żadnych odpowiednich słów i posługiwałem się raczej porównaniami obrazowymi. Zdaje się, że takie słowa, które zastępują brzydkie, wstydliwe wyrazy, nazywamy eufemizmami.

Dasza także przestała być sobą. W pierwszej chwili przeraziła się, jakbym ją przebijał rozżarzonym żelaznym prętem. Szarpnęła się, próbowała wyślizgnąć się spode mnie, wreszcie nieoczekiwanie przeturlała się na skraj łóżka, aż w końcu spadła na podłogę. Jakby pod wpływem inercji, opadłem na nią, tak bardzo pragnąłem ją mieć.

— Sprawiasz mi ból — oświadczyła trzeźwo.

— Dasza… — błagałem.

Znowu się wydobyła spode mnie. Dalej wszystko działo się brzydko i niezręcznie: dwoje ludzi szamotało się na brudnej podłodze, ona próbowała się wyrwać i podnieść, on jej nie puszczał… Dasza wkoricu zwyciężyła i odepchnęła mnie daleko od siebie. Potem wstała. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ma całkiem rozpiętą bluzkę i rozerwany stanik, przez co krągłe piersi sterczały bezwstydnie, jak jakieś słodkie i gładkie owoce. Złowiła moje spojrzenie i zaczęła szybkimi, nerwowymi ruchami zapinać guziki. Usiadłem na podłodze, potem wstałem, z każdą sekundą coraz bardziej się wstydząc.

— Wybacz mi — powiedziałem.

— Czy tak wygląda miłość? — zapytała z wymówką. — Tak to wygląda u innych ludzi? Spodobałeś mi się, ale myślałam, że wszystko odbędzie się jakoś piękniej.

— Naprawdę, wybacz mi. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Była już zapięta i niedostępna. Poprawiła włosy i zapytała:

— Nie masz lusterka?

Tymczasem grzebała w sportowej torbie, z którą chodziła na basen. Wyciągnęła z niej drugą, mniejszą, a w tej znalazła lusterko. Jakby otwierała lalki matrioszki.

— Muszę już iść — oświadczyła. — Odprowadzisz mnie? Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, dodała:

— Nie na sam oddział, tylko wyprowadź mnie z tej waszej chirurgii.

Kiedy szliśmy powoli korytarzem, dziewczynie powrócił dobry nastrój. Widocznie teraz już się mnie nie bała i gotowa była mi wybaczyć.

— Ostatecznie — oznajmiła — nie zdążyłeś zrobić niczego głupiego.

— Nie chciałem wcale robić niczego głupiego.

— Dziewczyny mają swoje zasady — sprzeciwiła się Daszeńka. — Jedną z nich jest ochronić samą siebie dla przedłużenia gatunku. Przecież właśnie w tym celu stworzono nasz oddział. Powinnyśmy stać się partnerkami najlepszych mężczyzn. A wcale nie jestem pewna, czy wygrałbyś w tej konkurencji.

— Coś jakby konkurs na męża?

— Nie śmiej się. To poważna sprawa.

— Naprawdę wierzysz, że trzymają was jak konserwy dla idealnych mężów?

— A znasz jakąś inną wersję?

Zamyśliłem się. Pokusa wyjawienia prawdy była wielka. Zrozumiałem jednak w tej chwili, że Grzegorz Siergiejewicz miał rację. Dla mnie pragnienie wielkości i bohaterstwa sprowadzało się do ofiarności. Oddział kobiecych klonów opierał się na zasadzie życia. Nasze wewnętrzne przeciwieństwa polegały na konflikcie indywidualnego instynktu samozachowawczego ze społecznym znaczeniem naszej śmierci. Konflikt Daszy sprowadzał się do wyboru pomiędzy małżonkiem, którego jej narzuci Maria Tichonowna, a pragnieniem samodzielnego doboru partnera. Nawet teraz myślała tylko o tym, czy pójść za głosem serca, czy też czekać na rozporządzenie wyższej władzy.

Być może uznacie, że rozumuję zbyt mądrze i w sposób nazbyt skomplikowany. To jednak były nie tylko moje myśli, lecz również przemyślenia moich genetycznych rodziców, odziedziczone w niepełnej, czasem pokracznej formie. Sam nie wiem, skąd czasem zjawiają się w moim mózgu słowa, całe zdania i fragmenty myśli, które teoretycznie wcale nie powinny się tam pojawić. Podoba mi się

to, że jestem mózgowym uzurpatorem, panem kradzionych myśli.

— O czym myślisz? — spytała dziewczyna.

Jej oczy błyszczały od lampek świecących pod sufitem korytarza. Kiedy mijaliśmy pokoje księgowości, znów zapytała:

— Spotkamy się jeszcze?

Pocałowałem ją zamiast odpowiedzi. Ucieszyłem się, gdyż nie oczekiwałem tych słów. Ten całus był bardziej czuły niż namiętny. Chyba rozumiecie różnicę?

— Daj spokój — powiedziała — ktoś może zobaczyć.

— A niech widzą!

W tym momencie rzeczywiście było mi wszystko jedno. Nie przestraszyłbym się nawet samego Grzegorza Siergiejewicza.

— Powiem Marii Tichonownie, że wybrałam ciebie na swego męża, zgadzasz się?

— Zaczekaj z tym — poprosiłem.

— Nie chcesz?

— Bardzo chcę, ale tak jak ty, nie jestem panem samego siebie. Mogą nam zabronić się spotykać.

— Bardzo ją poproszę!

— Twoja Maria Tichonowna nie może niczego nakazać mojemu szefowi.

— Jesteś tego pewien? Zatrzymała się pośrodku korytarza.

— Obawiam się, że tak.

— To znaczy, że nie mogę być z tobą? No to stąd uciekniemy.

— Dokąd?

— Tam, gdzie można żyć ze swoim ukochanym.

— Nie znam takiego miejsca.

— Wania, mój kochany — zaczęła przemawiać, jakby była starsza i mądrzejsza ode mnie — świat nie kończy się na tej klinice. Wydaje mi się, że przeżyłeś tutaj całe życie, nie wychodząc nigdy na ulicę. Ludzie latają na Księżyc, zrzucają bomby na innych, konstruują komputery, a ty tutaj siedzisz sobie i czekasz nie wiadomo na co. Nawet mi jeszcze nie powiedziałeś, jakie jest przeznaczenie twojego oddziału? Czy to takie trudne? Każdy człowiek ma w życiu jakiś cel. Nawet wtedy, kiedy wydaje mu się, że go nie posiada. Wiele zależy od ciebie, prawda?

Miała sympatyczną manierę, trochę w angielskim stylu, polegającą na tym, by dodawać pytające słowo na końcu zdania. „Prawda?”

— Chciałabym, żebyś mnie znowu całował. Widzisz, jaka jestem szczera? Powiem ci prawdę, tylko się ze mnie nie śmiej, bardzo chciałam, tam, w łóżku, żebyś zrobił wszystko, co chciałeś… Tylko się nie czerwień, błagam cię! Nie mogłam ci na to pozwolić, ponieważ nie byłam jeszcze gotowa, a poza tym zobowiązana jestem regułami naszego życia, określonymi przez Marię Tichonownę. Nie mogłam zawieść jej zaufania. Postaram się ją jednak przekonać, nawet jeśli przygotowała dla mnie inny los.

Miałem ochotę powiedzieć: „Kochana dziewczyno, twój los jest znacznie gorszy, niż myślisz. Nie będzie to dobór mężczyzny, lecz wybór między życiem a śmiercią”.

— Ile liczy wasz oddział? — spytałem.

— Dziesięć — odparła. — Dlaczego o to pytasz?

— Od początku było was dziesięć?

— Nie, na początku było piętnaście. Piątka dziewcząt już sobie urządziła życie.

— Widziałaś je później?

— To niemożliwe! Mieszkają w innych miastach, a nawet krajach. Mówmy lepiej o nas, a nie o innych.

— Zastanawiałem się po prostu, gdzie mam ciebie szukać, jeśli wydadzą cię za mąż za Australijczyka?

— Żartujesz?

— Tak.

— Trochę za często żartujesz. Czasami nie wiem, kiedy mówisz poważnie. Wymyśliłeś już coś w sprawie spotkania?

— Kiedy przyjdziecie następny raz na basen?

— Dzisiaj środa? Wygląda, że w sobotę.

— Nie doczekam!

— Jeszcze jak doczekasz — sprzeciwiła się Dasza. — A tymczasem proszę z żadną inną się nie spotykać.

— Tak jest, generale!

— Bo będę dla ciebie okropna.

— Wyobrażam sobie.

— Możesz mnie pocałować.

— Doprawdy?

— Wania, skończ wreszcie te swoje żarty!

Całowaliśmy się jeszcze co najmniej dziesięć, a może dwadzieścia minut. Całe szczęście, że w księgowości już dawno nikogo nie było.

7.

Kiedy mijałem chirurgię, nabrałem ochoty, aby raz jeszcze spojrzeć na tamtego pacjenta, lecz nie zdążyłem tego zrobić, gdyż w korytarzu dopadł mnie doktor Błoch.

— Ty łobuzie! — powiedział z żartobliwą pogróżką. — Wszyscy nogi schodzili, szukając i zachodząc w głowę, gdzie się podział nasz aktywista?

— Dlaczego schodziliście nogi?

— Nie zjawiłeś się na kolacji… A nasze apartamenty przynajmniej pod tym względem przypominają twierdzę Tower, że nie ma się w nich gdzie ukryć. Tobie się jednak udało.

Zaśmiał się. Czasami bałem się go bardziej niż Grzegorza Siergiejewicza. Głównego lekarza szanowałem, a ten doktor wydawał mi się złym człowiekiem.

— Chcesz, żeby wyciągnięto wobec ciebie konsekwencje? — zapytał. — Szybki jesteś w życiu i w uczuciach.

— Poszedłem na basen — oświadczyłem. — Byłem na pływalni.

— Kąpałeś się bez kąpielówek?

— Chciałem popatrzeć na dziewczyny. — I co zobaczyłeś? A raczej kogo?

Starałem się nie okazywać lęku. Spytałem z głupia frant:

— A gdzie jest Grzegorz Siergiejewicz?

— Od dawna ma już ciebie dosyć. Idź do jego gabinetu. — Kiedy odszedłem, powtórzył z drwiną:

— Popatrzeć na dziewczyny… Esteta!

Chciałem najpierw zajrzeć do naszej sypialni, w końcu jednak postanowiłem, że nie ma sensu zwlekać. Wyznam profesorowi prawdę. A może lepiej nie? Zobaczymy, jak potoczy się rozmowa.

Grzegorz Siergiejewicz zasiadał za biurkiem, grając sam ze sobą w szachy.

— Dzieciaku — oznajmił — zabłąkałeś się w gąszczu nierozwiązywalnych problemów moralnych. Nie pomyślałeś o tym, że jutro twoją dziewczynę może czekać Golgota? Albo przez głośnik usłyszysz swoje imię?

— Każdy człowiek ma prawo do życia — odpowiedziałem, czując się, jakby przemawiał przeze mnie ktoś inny, znacznie mądrzejszy. — Czeka nas trzęsienie ziemi…

— Nie lubię filozofów — rzekł lekarz.

— Kim był mój biologiczny ojciec?

— Informacja zastrzeżona.

Zapalił papierosa w długiej, metalowej cygarniczce. Było to dziwacznie staromodne i nienaturalne.

— Zdobyłeś jej niewinność na koi w tej pustej izolatce? — zapytał.

— Niczego nie zdobywałem.

— To szkoda — stwierdził. — Widocznie źle cię uczyłem.

— A kim jest człowiek w tamtym pomieszczeniu?

— Pomieszczenie jest puste. Mówiliśmy o różnych pomieszczeniach.

— To nie jest marszałek Paraskudiejkin.

— Nie widziałem jego twarzy. Kłamał. Ale dlaczego?

— Nie mogliście się pomylić!

— Generała od razu odwieźli do centralnego szpitala Ministerstwa Obrony.

Jego papieros miał dziwną, odurzającą woń. Grzegorz Siergiejewicz nigdy nie palił poza swoim gabinetem.

— Trzeba cię będzie zabrać kiedyś do mnie na daczę. Chyba nigdy jeszcze nie zbierałeś grzybów?

Puściłem te słowa mimo uszu.

— Pozwólcie mi spotykać się z Daszą — poprosiłem.

— Nie sądzę, aby to było rozsądne.

— Nawet jeśli mam złożyć ofiarę…

— Nie przeceniaj swojej roli…

Puścił kłąb duszącego dymu prosto w moją twarz, aż zakręciło mi się w głowie.

— Jesteś tylko narzędziem sprawiedliwości.

— Lecz dopóki żyję, mogę chyba kochać — powiedziałem prosząco.

— Żądasz zbyt wiele. Nikt jej nie pozwoli bawić się z tobą w miłość.

— Nie zgadzam się z tym — oznajmiłem. Powstrzymywałem się od ostrzejszych słów, gdyż nie chciałem wypowiadać mu otwartej wojny. Nie byłem także pewien, czy moi bracia mnie poprą. A raczej byłem pewien, że nie.

— Bardzo pana proszę, niech pan się jeszcze raz zastanowi…

Powiedziałem to uniżonym i błagalnym tonem. Czy zdołam go przekonać?

— Idź już — powiedział Grzegorz Siergiejewicz. — Jeszcze nie jest za późno.

Był późny wieczór i pora snu. Brytany zaległy już na swoich posłaniach.

— Gdzie byłeś? — zapytał Rudy. — Znalazłeś ją?

Rozebrałem się, nie zapalając światła.

— Wierzycie mu? — spytałem.

— A komu mamy wierzyć? — odparł Czarny Brytan.

— Nie mogę sobie wybaczyć, że nie uwierzyłem Aleksemu — wyznałem.

— Wszyscy wiedzą, że na niego napadałeś — przypomniał Rudy Brytan — i że to przez ciebie wysłali go na miejsce Olega.

— Wpadłem w ich sidła. Podpuścili mnie.

— Skoro tak twierdzisz…

— W izolatce marszałka leży zupełnie kto inny.

— I co z tego? — zdziwił się Rudy.

— Może i w tym nas okłamują?

— Po co mają nas okłamywać? — zastanawiał się Czarny. — Przecież jesteśmy posłuszni.

— Z góry się zgadzamy na wszystko — potwierdził Rudy.

Położyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Przemyśliwałem nad jeszcze jednym sposobem. Może skutecznym, a może wręcz przeciwnie.

8.

Maria Tichonowna weszła do swego gabinetu punktualnie o ósmej. Do tego momentu przesiedziałem za kotarą trzy godziny. Opuściłem nasz oddział o piątej rano, bo to najlepsza pora, gdyż strażnicy jeszcze śpią. Jeśli się nie zbudzi siostry dyżurnej, można przejść niezauważonym w dowolne miejsce Instytutu. Gabinet doktor Marii znajdował się w rogu drugiego piętra, w najstarszej części budynku. Jeśli się wyjdzie przez damską toaletę na szeroki zewnętrzny gzyms, można w trzy minuty znaleźć się w tym pokoju, pod warunkiem, że okno nie jest zamknięte. Na szczęście było otwarte.

Pani doktor usiadła za biurkiem i włączyła komputer. Wyszedłem z ukrycia i powiedziałem cicho, żeby jej nie wystraszyć:

— Przepraszam, Mario Tichonowna, niech się pani na mnie nie gniewa.

Wygięła się wdzięcznie niczym amerykańska aktorka.

— Jesteś jednym z chłopców od Grzegorza Siergiejewicza? Przepraszam, ale nie potrafię was rozróżnić.

— Jestem Iwan, Wanieczka.

— A tak, pamiętam. Zakochałeś się w mojej Daszy. Wczoraj wykradłeś ją z basenu, za co została dziś ukarana. Czy powinnam ją dokładnie zbadać?

Nie zrozumiałem w pierwszej chwili, co ma na myśli. Musiałem mieć głupią minę, skoro roześmiała się i powiedziała:

— Nie było to wyłącznie platoniczne uczucie, lecz prawdziwa namiętność.

— To cytat z Wasilija Aksionowa: 0 DJD]\QSH-áHQSXWWFK EH-F]HN— orzekłem.

— Czytałeś to?

— Nie wiem. Może mój ojciec czytał.

— Mój Boże! Gdyby nie te nasze ograniczenia finansowe! — zawołała. — Trzeba was poznawać i badać jak nowo odkryte planety! To zadziwiający przypadek dziedzicznej pamięci genetycznej! Obchodzimy się z wami, jakbyśmy chcieli rozbijać orzechy młotem pneumatycznym.

— Wie pani, co Grzegorz Siergiejewicz mówił nam na ten temat?

— Mamy różne poglądy — odparła.

Miała okrągłą, różowiutką, dobrą twarz. Nie farbowała włosów, gdyż miejscami przeświytywały nitki siwizny. Zresztą brunetki siwieją wcześniej.

— Kim jest nasz ojciec? — spytałem.

— Wątpię, aby taka wiedza na coś ci się przydała — odrzekła wymijająco.

— Przyszedłem do pani z prośbą.

— Wiem. Chcesz mnie prosić, abym poza wiedzą Grzegorza Siergiejewicza i bez pozwolenia dyrekcji pozwoliła Daszy spotykać się z tobą.

— Przecież jesteśmy ludźmi! — jęknąłem. — Nie królikami doświadczalnymi.

— Jesteście ludźmi… doświadczalnymi.

— Jak pani nie wstyd?

— Grzegorz mówił mi, że jego metoda daje pozytywne rezultaty — zdziwiła się. — Jeśli trzeba będzie wypruć sobie żyły, też to zrobicie dla dobra ludzkości. Zgadza się?

— Wczoraj coś się zdarzyło. Jeden z nas, Aleksy, czyli Lesza, nie zgadzał się na swój los i zaczął się sprzeciwiać. Mówił, że Grzegorz Siergiejewicz bierze pieniądze za nasze organy.

— Powiedział to doktorowi?

— Powiedział to mnie. A ja przekazałem doktorowi.

— O, święta naiwności! Wiesz, co zrobiła ta „święta naiwność”?

— Wydaje mi się, że dorzucała chrustu na stos.

— To były ostatnie słowa Jana Husa, płonącego na tymże stosie.

— Już się pani domyśliła, w czym rzecz?

Palce lekarki biegały po klawiaturze. Na monitorze wyskoczyły szeregi liter.

— W ostatniej chwili zaistniała konieczność wymiany dawcy — przeczytała. — Z przyczyn medycznych.

— Dawniej się to nie zdarzało.

— Wcześniej nikt się nie buntował. To niebezpieczny sygnał. Idealny system waszego doktora zaczyna się sypać.

— Czy mogę zobaczyć Daszę?

— Nie mogę ci pomóc.

— Więc pójdę sam!

— Daleko nie zajdziesz. Wydadzą cię twoi bracia i zatrzymają strażnicy. Podlegasz całkowicie władzy… Naszej władzy.

Kiedy wypowiadała ostatnie słowa, jej twarz wykrzywiła się w pogardliwym grymasie. Chwilę potem wstała, wspierając się dłonią o biurko, jakby nie była w stanie bez tego po—dźwignąć ociężałego ciała.

— Niewykluczone — oznajmiła — że dziś albo jutro będziemy musieli podjąć pewną decyzję. Może nam być potrzebne zdrowe serce. Przyjedzie do nas Traviata.

— Jaka Traviata?

— Piosenkarka, gwiazda estrady.

— Ta słynna Traviata?

— Widzę, że jednak słyszałeś.

— Ale dlaczego Dasza? Skreślcie ją z listy!

— Postaram się. Lecz to właśnie wasza wczorajsza wycieczka do pustego pokoju skłoniła Grzegorza Siergiejewicza, by ją wybrać. W taki sposób strzeże niewinności swego oddziału.

— Pani żartuje? To niemożliwe!

— Wcale nie żartuję, Wania.

— Wszystko jej powiem!

— Proszę cię, lepiej tego nie rób. Dla własnego dobra.

— Dlaczego?

— Ona wierzy w to, że wszystko, co robimy, czynimy dla niej i pomyślności innych ludzi. Dla rozmnożenia nowej, idealnej rasy… Godziłam się na to, żeby poświęcić dziewczęta. Ostatecznie nasz Instytut stworzono w tym celu, żeby ratować od śmierci najlepszych ludzi naszego kraju. Co też

robimy.

— Wiedziała pani o tym od początku? Zauważyłem, że jej twarz już nie emanuje dobrocią.

— W pewnych sprawach politycznych trzeba pójść czasem na etyczny kompromis. Na pewno młodemu człowiekowi, który zatłukł czekanem Trockiego, także śniły się potem koszmary. Poszedł za to do więzienia, ale później uzyskał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

— Mercader — podrzuciłem.

— Być może, nie pamiętam. Przestań wreszcie kłuć mnie w oczy swą erudycją.

— Więc jest pani gotowa posyłać swoje dziewczęta na śmierć?

— Lepiej dziewczęta niż wybitnych ludzi. To kwestia użyteczności dla kolektywu, dla kraju… Gdy wyjdziesz z mego gabinetu, skręć w prawo. Teraz nie możesz się z nią zobaczyć: pobudka, gimnastyka i tak dalej. O trzeciej, w trakcie ciszy poobiedniej, czekaj w tej samej salce co wczoraj.

— Dziękuję!

— Za wcześnie dziękujesz. Nie wiem, czy jutro będziesz mi także wdzięczny. Teraz uciekaj. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to żeby cię tutaj ktoś zobaczył. Jeśli spotkasz po drodze choć jedną żywą duszę, będę miała duże nieprzyjemności, a ty wylądujesz szybko w prosektorium.

Chciałem się zmyć jak najprędzej, ale nie wytrzymałem i już przy drzwiach odwróciłem się jak detektyw Columbo. Zapytałem:

— Na drzwiach izolatki napisano, że tam leży marszałek, ale w środku widziałem innego człowieka. To pomyłka?

— Uznaj to za pomyłkę — odparła. — Nasz Instytut jest, jak wiesz, niebogaty. Co pewien czas musimy przyjmować dobrze płacących pacjentów. Oczywiście w wyjątkowych przypadkach, kiedy sprawa dotyczy sum astronomicznych. Twój idol, Grzegorz Siergiejewicz, nie bierze jednak tych pieniędzy do swojej kieszeni; przeważnie idą gdzie indziej.

— Operowali kogoś innego?

— Marszałek nieoczekiwanie zmarł godzinę po operacji. Pojawił się kolejny pacjent, którego trzeba było operować, bogaty bankier z Azji Środkowej. Jestem pewna, że jest nie mniej cenny dla naszego kraju niż pół setki marszałków.

— Co też pani! — oburzyłem się. — To był przecież bohater. Wyprowadził nasze oddziały z Afganistanu.

— Chwała mu za to — powiedziała. — Ale teraz naprawdę już musisz stąd uciekać. Biegiem!

Udałem się spiesznie do siebie i zdążyłem akurat na pobudkę. Moją nieobecność mogły zauważyć tylko Brytany, ale ci będą milczeć jak głazy.

Umyliśmy się, zrobiliśmy gimnastykę, przeszliśmy poranne procedury i każdy zajął się swoimi sprawami. Musiałem zaczekać na godzinę ciszy poobiedniej. Starałem się wyrzucić z pamięci postać Trayiaty. Widziałem ją raz: uśmiech od ucha do ucha, oczy jak spodki i przeróżne peruki na zmianę. Czy to możliwe, żeby taka dziewucha miała chore serce? Lepiej o niej nie myśleć… To wszystko były puste słowa, Maria Tichonowna na pewno mnie tylko straszyła.

9.

Tego dnia utraciliśmy Wołodię i bardzo źle to na nas wpłynęło.

Lena pomogła mu umrzeć. Nie zaprzeczyła, że zrobiła mu zastrzyk. Przekonywała jednak naczelnika służby bezpieczeństwa Instytutu, że zamierzała Wołodii wstrzyknąć środek znieczulający, kiedy jeden z chłopców odwołał ją na chwilę. Strzykawkę zostawiła na szafce nocnej. Wołodia musiał w tym czasie podmienić płyn.

Podsłuchiwaliśmy z gabinetu zabiegowego w miejscu, w którym kiedyś w ścianie była kasa pancerna. W końcu zabrali stąd sejf, a powstałą niszę zastawili szafą. Któryś z nas to odkrył. Za cienką ścianką mieścił się gabinet Grzegorza Siergiejewicza.

— Spodziewała się pani, że coś takiego może się zdarzyć?

Naczelnik jest emerytowanym pułkownikiem tajnych służb. Ma podłużne, smutne oblicze człowieka, który zawsze dojdzie prawdy, choć w zasadzie jest mu obojętne, czy będzie to rzeczywiście prawda.

— Czekał tylko na odpowiednią chwilę — odparła Lena.

Nie widzieliśmy jej twarzy, lecz mocno schrypnięty głos świadczył, że długo płakała.

— I tak by to zrobił. Strasznie się męczył.

— Czy nie przedawkowaliście środków znieczulających? — zapytał pułkownik doktora.

— Nie chcieliśmy ingerować zanadto w funkcjonowanie organizmu. Mógł jeszcze stać się dawcą.

Lena znów zapłakała.

— Niech się pani uspokoi — powiedział pułkownik. — Mam nadzieję, że śledztwo wykaże pani niewinność.

— Nie mógł już dłużej czekać! — krzyknęła.

— To trzeba będzie rozstrzygnąć — oświadczył Grzegorz Siergiejewicz. — Wołodia był wspaniałym, odważnym człowiekiem, który swój krzyż dźwigał z godnością i dlatego nie ma powodu go opłakiwać.

— Nawet psa czasem się opłakuje — sprzeciwiła się oddziałowa.

— Będziemy musieli panią zwolnić — oświadczył lekarz.

— Sama chciałam złożyć wymówienie — odparła.

— Oczywiście wraz z deklaracją milczenia — przypomniał pułkownik.

— Choćby i dziesięcioma! — krzyknęła. Usłyszeliśmy, jak wybiega z gabinetu, trzaskając drzwiami.

— A ty dokąd? — zapytał Wasylek Rudego Brytana.

Ten zostawił otwarte drzwi na korytarz, więc wszyscy mogliśmy zobaczyć, jak łapie Lenę.

— Lena — powiedział — nie odchodź. Wiesz, że nie możesz odejść?

— Nie pozwolą mi tutaj zostać — odparła, jakby tylko czekała na jego słowa. — Pozbędą się mnie.

— Z Instytutu? — zapytał Czarny, który oczywiście wyszedł za swoim bratem.
— Całkowicie pozbędą.
Widziałem ją przez otwarte drzwi. Twarz miała opuchniętą, a oczy zaczerwienione.
— Nie oddamy cię! — krzyknął Rudy.
— Cicho! Całkiem mnie pogrążysz.
Lena pobiegła dalej. Odwróciłem się znowu ku niszy, bo byłem ciekaw, o czym teraz mówią, lecz rozmowa nie dotyczyła już Leny.
— Przyniosę ci jego dowód osobisty— powiedział pułkownik — żebyś wydał akt zgonu.
— A co napisać?
— Jakbyś nie wiedział, doktorze. Zawał serca, cukrzyca. To, co zwykle piszesz w takich razach.
— Dobrze — wyraził zgodę Grzegorz Siergiejewicz. — Będę u siebie.
— Tylko się nie załamuj. Wyklujesz sobie nowych.
— Idź już — odrzekł lekarz — i zejdź mi z oczu.
— Spadamy! — zawołałem do braci.
Brytany wpadły do gabinetu zabiegowego i zamknęły drzwi za sobą.
— Nie wiedziałem, że mamy dowody osobiste — stwierdziłem.
— A co to, nie jesteśmy ludźmi? — zauważył Wasylek.
— To zrobiła Lena? — zapytał Rudy Brytan.
— Oczywiście, że ona. Wołodiczka bardzo ją o to prosił — wyjaśnił Wasyl.
— Ale dlaczego? — spytałem. — Wcześniej tego nie robił.
— Lena dowiedziała się, że szykują go do operacji. Potrzebne im były oczy.
— Nic o tym nie wiedziałem…
— Bo latałeś za swoją suczką — wycedził Wasylek. — Wkrótce całkiem o nas zapomnisz.
— Nie zazdrość mi — doradziłem — bo nie ma czego.
— Ty wiesz dobrze, czego — rzekł Wasylek z niepojętą dla mnie niechęcią.
— A tobie kto przeszkadzał uganiać się za panienką? — zapytał go Rudy.
Brytany zawsze były mi najbliższe, może dlatego, że dzielimy sypialnię. Poszedłem do jadalni spojrzeć na zegar. Czas wlókł się bardzo powoli.

10.

O trzeciej byłem na miejscu.

Wiecie, czym się zajmowałem? Szukałem ukrytych kamer. Obserwują mnie czy nie? Wiem, że obserwacja nie jest możliwa we wszystkich pomieszczeniach, ponieważ Instytutowi nie starczyło na to pieniędzy. Trudno było zgadnąć, jak są zamaskowane. Mieli sporo możliwości.

Zdaje się, że niczego jednak nie było. Zwyczajny, pusty pokój. Gdybym znalazł ukryty obiektyw, oznaczałoby to, że Maria Tichonowna porozumiała się z moim lekarzem, a cała jej rzekoma dobroć była tylko misterną pułapką. Lecz nie znalazłem żadnej szpiegowskiej kamery. Być może źle szukałem.

Ległem na koi, tej samej co poprzednio, mając wrażenie, że przylgnął do niej zapach Daszy. Nasłuchiwałem ludzi przechodzących z rzadka korytarzem i czekałem na kroki, które zatrzymają się przed tymi drzwiami. One jednak otwarły się niespodziewanie. Dziewczyna miała na nogach tenisówki i podkradła się bezszelestnie. Poza tym ubrana była w sukienkę, a pod pachą ściskała duże zawiniątko.

— Myślałem, że już nie przyjdziesz — przywitałem ją.

— Nic nie mów — odpowiedziała.

Zamknęła za sobą drzwi i rzuciła węzełek na łóżko. Podszedłem ku niej, ale nie miałem odwagi jej dotknąć. Ona także wydawała się speszona. Odepchnęła mnie i podeszła do okna, które było zabite pionowymi prętami.

— Dzisiaj dali mi dwie godziny wolnego — oświadczyła. — Ciekawe, dlaczego?

— Byłem wczoraj u twojej Marii Tichonowny.

— Jakie to dziwne. Dlaczego mnie puściła?

— Nie zgadza się z Grzegorzem Siergiejewiczem.

— Postanowiła nam pomóc?

Dzisiaj wydawała się całkiem inna. Przedtem poddawała się tylko moim namowom, teraz była dziewczyną gotową na wszystko.

— Coś ci się w tym nie podoba?

— To było duże ryzyko, iść do Marii — stwierdziła. — Nie znasz jej przecież. Właściwie nikt jej nie zna.

— Nie miałem innego wyjścia — usprawiedliwiałem się. — Do kogo miałem pójść? Tak bardzo chciałem cię znowu zobaczyć!

— Boję się — powiedziała. — Wydaje mi się, że to jakaś pułapka.

Wiedziałem, że chodzi nie tylko o to. Gdyby Dasza dowiedziała się o swojej prawdziwej funkcji w Instytucie, łatwiej zrozumiałaby postawę doktor Marii. Nadal jednak sądziłem, że Grzegorz Siergiejewicz miał rację: nie można powiedzieć ukochanej dziewczynie, że jest tylko składem organów do transplantacji. Zbiorem potrzebnych innym części zapasowych. Nie uwierzyłaby mi i na

pewno by mnie znienawidziła.

Podszedłem do niej i objąłem ramionami. Wsparła się lekko na mnie, aż poczułem dotyk jej ciała. Pocałowałem ją w tył głowy. Niżej, na ciepłym i delikatnym karku wiły się te kosmyki, które wymknęły się podczas zbierania ich w kitkę. Odwróciłem ją twarzą do siebie. Pocałowała mnie i był to bardzo długi pocałunek. Znowu zacząłem tracić głowę, gdy moja dłoń natrafiła na jej pierś i zamknęła ją w uścisku.

— Zaczekaj — powiedziała. — Najpierw zamknij drzwi.

— Można je całkiem zamknąć?

— Nie chcę, żeby ktoś tutaj wszedł.

Dzisiaj to ona dyrygowała mną, wcale tego nie kryjąc, a we mnie narastało słodkie pragnienie, aby się jej podporządkować bez reszty. Zamknąłem drzwi na zasuwkę. Dziwne, że było tu coś takiego, przecież sal szpitalnych nie zamyka się od środka.

Dasza rozwinęła spore zawiniątko, które przyniosła ze sobą. Czyste szaleństwo! W środku były prześcieradło i kołdra. Słowo daję! Dziewczyna rozpostarła prześcieradło na łóżku i zaczęła upychać jego brzegi pod materacem, mnie zaś kazała założyć podpinkę na kołdrę. Najwyraźniej szykowaliśmy się do snu.

— Tam jest łazienka, prawda? — spytała.

Zdjęła gumkę i rozpuściła włosy na ramiona.

— Chodźmy się odświeżyć — zażądała.

Posłuchałem jej. W łazience wisiał czysty ręcznik, a na umywalce leżała kostka mydła.

— To ty przyniosłaś?

— Tak. Rozbierz się — poleciła. — Zaraz wracam.

Poszła do kabiny prysznicowej. Zwlekałem ze spełnieniem jej polecenia. Nie tak łatwo rozbierać się w obcym miejscu w biały dzień. Nawet dorośli tak nie postępują, zostawszy sam na sam z dziewczyną. Tak nie wypada. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, że tak nie wypada. Usiadłem i czekałem na nią, czując jednocześnie, że czas ucieka.

Wróciła w szlafroczku, z mokrymi włosami. W pomieszczeniu czuć było karbol, a przez na wpół zaciągniętą wypłowiałą zasłonkę przebijały się słoneczne promienie, w których wirowały tysiące pyłków.

— Nie rozbierasz się?

— Nie — odparłem z urazą. Do tej pory się jej podporządkowywałem, teraz pojawił się opór. — Nie wiem, dlaczego mam się rozbierać.

— Tak trzeba! Wszystko ma być po ludzku, a nie po psiemu.

Podeszła do mnie i stanęła między mną a oknem. Słońce podświetliło jej włosy i otoczyło jej głowę jaśniejącą aureolą. Głos jej drżał, gdyż zapewne nie spodziewała się tego po mnie i uważała, że postępuje jak należy.

— Kazali ci tak zrobić? — zapytałem.

— Nikt mi niczego nie mówił.

— A kto wydał ci pościel?

— Sama wzięłam od pielęgniarki. A jeśli masz na myśli Marię Tichonownę, to oboje powinniśmy być jej wdzięczni. Oczywiście, siostra nie dałaby mi pościeli, gdyby nie nakaz pani doktor. Teraz jesteś zadowolony?

— Dasza — szepnąłem — bardzo mi się podobasz…

— Ale inaczej?

— Inaczej. Może nie będzie już nam wolno się spotykać…

— Też o tym myślałam. I właśnie dlatego w ogóle cię nie rozumiem. Choćbyś mnie zabił, nie zrozumiem. Tak bardzo chciałam, żeby było jak najlepiej.

— Nie weźmiemy ślubu?

— Po co? Taki jest cel mego życia — wyznała Dasza — urodzić dziecko i zrobić wszystko, żeby uprzyjemnić życie memu mężczyźnie. Może inne dziewczyny chcą sprawiać przyjemność wielu mężczyznom i mieć z nimi wiele dzieci, a różnica tkwi tylko w ilości? Pewnie jestem głupia, ale chcę żyć właśnie tak! Jesteś pierwszym mężczyzną, który spodobał mi się tak bardzo, że zechciałam mieć cię w sobie!

Poklepała się dłonią po brzuszku, lecz był to jedynie niewinny gest, w ogóle niezwiązany z miłością. Z pewnością wszystko, co mówiła, było pozornie słuszne. Rozumiałem także jednak, że wierzy w podobne bzdury, ponieważ jest niedoświadczona i sama nie wie, co robić. Więc pouczyli ją, jak się ma zachowywać. Trudno mi wyjaśnić, czemu jej słowa mnie tak drażniły. A może po prostu się wystraszyłem. Zdarza się, że jakiś człowiek poświęca się dla twej przyjemności, ty to poświęcenie przyjmujesz, lecz potem się tego wstydzisz.

— Lepiej porozmawiajmy — zaproponowałem.

— Nie chcesz, żebym została twoją żoną?

Cofnęła się o dwa kroki, wchodząc prosto na niezaścielone łóżko. Upadła, wznosząc tumany kurzu. Sprężyny zajęczały straszliwie. Poderwała się, wystraszona, i zawołała:

— Widzisz! To wszystko przez ciebie!

Skraj podomki zahaczył o przerdzewiałą sprężynę. Dasza próbowała go wyrwać, jak z kłów wściekłego psa; materiał trzasnął i rozerwał się. Skoczyłem do niej, żeby pomóc jej się wyswobodzić, lecz ona z rozmachem uderzyła mnie w twarz.

— Idź stąd! Wszystko zepsułeś, idioto! — krzyczała. — To nie mój szlafrok, dała mi go Maria! Co teraz będzie, co teraz będzie!

Zaczęła szybko zbierać prześcieradło, zerwała powłoczkę z poduszki i wszystko zwinęła w kłębek, chwyciła sukienkę i torebkę. Wszystko leciało jej z rąk, jak klaunowi na arenie cyrkowej, który w ten sposób rozśmiesza widzów. Mnie jednak wcale nie było do śmiechu; nie miałem także odwagi jej zostawić. Cokolwiek bym w danej chwili zrobił, i tak bym ją jeszcze bardziej rozzłościł.

— Jak mogłam! — powtarzała. — Jak mogłam być taka głupia! Nie zbliżaj się do mnie!

Nie ruszałem się i milczałem, co ją jeszcze bardziej irytowało. W końcu, a trwało to, jak sądzę, nie dłużej niż minutę, zebrała naręcze swoich rzeczy i ruszyła ku drzwiom. Parę sekund walczyła z zasuwką, potem wybiegła na korytarz i stamtąd zawołała:

—Nigdy więcej!

Zdaje się, że tak krzyczał kruk w wierszu Edgara Allana Poego: 1HYHUPRUH

11.

Nie chciałem jeszcze wracać do naszego oddziału. Odechciało mi się wszystkiego. Przede wszystkim dlatego, że moje życie przemijało i miało zakończyć się klęską. Może powinienem był powiedzieć jej, jakich to mężów i dzieci szykował jej los pod postacią czarującej Marii Tichonowny? Lecz żal mi było dziewczyny. A kto mnie współczuje?

W ciągu ostatnich dwóch dni pokonałem w sobie strach przed Instytutem. Wychowywali nas na głupawych chłopców: nie ma czego szukać poza oddziałem! Jesteśmy supermenami, bohaterami! Dowody osobiste? Jakie znowu dowody? Mieszkamy wszak w centrum świata i nie należy tego marnować z powodu jakichś drobiazgów. Tak pięknie nas wychował Grzegorz Siergiejewicz! Złapałem się na tym, że zacząłem myśleć sceptycznie, jak Leszeńka. Widocznie nie zdołano nas indoktrynować do końca, skoro zmieniłem się w ciągu godziny. Teraz już się niczego nie bałem.

Niespiesznie szedłem korytarzem i bez obaw zajrzałem do izolatki marszałka. Przy pacjencie siedziała młodziutka, nieznana mi pielęgniarka.

— Nazwisko pacjenta? — zapytałem takim tonem, jakbym miał prawo zadawać pytania.

— Pan Muslimow — pisnęła siostra. — Akbar Mahmudowicz.

— Dobrze — stwierdziłem. — Płatny pacjent?

W pokoju panował półmrok, żeby światło nie przeszkadzało rekonwalescentowi.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Niech pan zapyta w kierownictwie.

— Dziękuję.

Skinąłem głową i natychmiast wyszedłem, żeby nie zapisać się w jej pamięci. Zresztą w zasadzie było to już nieważne.

W sali operacyjnej paliło się jasne światło. Drzwi uchyliły się i kiedy wyszła przez nie jedna z pielęgniarek, miałem możność zobaczyć głównego chirurga Kostandijewa. „Jest mistrzem transplantacji — powiedział kiedyś o nim Grzegorz Siergiejewicz. — Dokonuje tylko najbardziej skomplikowanych przeszczepów”. Co się stało? Czyżby na „Nautilusie” trzeba było poświęcić kolejnego członka załogi? Którego z nas? I dlaczego nikogo nie uprzedzono?

Pobiegłem do oddziału. Żeby tylko nie mnie! Czyżbym się jednak wystraszył? Tak, przestraszyłem się. Do dzisiejszego dnia było mi wszystko jedno: żyć czy umierać. Lepiej zginąć dzielnie, jak prawdziwy samuraj. A teraz zachciało mi się żyć? Tak, bardzo chciałem żyć.

Wpadłem jak bomba do naszych pomieszczeń. Obok spiżarni siedziała na taborecie pielęgniarka Oksana i cicho płakała. Jej wąskie ramiona drgały konwulsyjnie. Nie poznałem jej w pierwszej chwili.

— Co się stało? — spytałem.

— Odejdź ode mnie, głuptasie — odpowiedziała po dłuższej chwili.

Co się znowu stało?! Musiało zdarzyć się coś strasznego. Mój świat zaczął się walić w przepaść, a ja staczałem się wraz z lawiną, wiedząc, że w końcu mnie pogrzebie pod sobą.

— Szkoda mi Leny!

— Kogo?

— Naszej Leny.

— Co z nią?

— Wpadła pod samochód.

— Kiedy?

— Jak załatwiła obiegówkę, wyszła na ulicę i pod samym szpitalem… Sprawca zaraz uciekł, bydlak. Nawet nikt nie zdążył zapisać numerów! Kto jeździ w centrum z taką szybkością! Trzeba takich wieszać!

Rano rozmawiała z lekarzem, potem ją zwolnili. Od razu zginęła. I nikomu o nas nie opowie? Czyżbym chciał, żeby o nas opowiedziała? Tak, wygląda na to, że tego pragnąłem. W głębi duszy miałem nadzieję, że Lena nie będzie milczała. Skoro mogła zrobić zastrzyk Wołodii, widocznie się na coś zdecydowała.

Chłopaki zebrali się wszyscy w naszej sypialni. Dziesięciu. Zostało nas tylko dziesięciu…

']LHVL FLX PDÁ FK0 XU]\QNyZ KDVDáRQDVZRERG]LH

* G\ NWGHQVL XWRSLá

=DUD] GRJURE XZWWSLá«

— Słyszałeś już o Lenie? — zapytał Rudy Brytan.

— Oksana mi powiedziała. Dla kogo przygotowują salę operacyjną?

— A przygotowują?

Zdziwili się. Najwyraźniej o tym nie wiedzieli.

— Idź, Iwanuszka, do swojego doktora — poradził mi Wasylek. — Przecież się z nim przyjaźnisz. Zaraz ci powie: potrzebujemy głowy Rudego Brytana.

— Zamknij się! — syknął Brytan.

— Nie przyjaźnię się z nim — sprzeciwiłem się. — Jestem waszym bratem.

— Zacząłem w to wątpić — odparł Wasylek.

— Zostaw Wanię w spokoju — powiedział Czarny Brytan. — Jak zaczniemy gryźć się pomiędzy sobą, łatwiej im będzie nas rozdzielić. Oni są źli.

Ktoś powinien był pierwszy wyrzec takie słowo. Spadło między nas niczym kamień, lecz nie rozpadło się, tylko przygniotło nam serca.

— Zabili Lenę — stwierdził Kostik.

— Może to wypadek — zastanawiał się głośno Brytan. — Odzwyczaiła się przechodzić przez jezdnię. Większość jest tutaj skoszarowana przez cały rok.

— W ogóle stąd nie wychodzą? — zapytał Wasylek.

— Wydaje mi się, że tylko lekarze mogą opuszczać to miejsce. Ale nie jestem pewien.

Miałem ochotę się powiesić. Najpierw Dasza ze swoją parodią nocy poślubnej, potem Lena, a do tego rodzeni bracia traktują mnie jak wroga.

— Dla kogo szykują operację? — podjął Wasylek. — Może ty, Wania, pójdziesz i zapytasz?

— Dlaczego ja?

— Nie dyskutuj — rzekł twardo Kostik.

Poszedłem do gabinetu ordynatora. Dlaczego niby miałbym się wahać? Chodziło o nasze życie. Nie doszedłem tam jednak, gdyż na korytarzu spotkałem doktora Błocha. Wlókł się noga za nogą

nieco chwiejnym krokiem.

— Przepraszam — zaczepiłem go. — Dla kogo przygotowują salę operacyjną?

Zaskoczył go mój głos. W pierwszej chwili mnie nie zauważył. Zatoczył się i wsparł dłonią o ścianę.

— Operacja? Nic o tym nie wiem. Myślę, że to nie nasza sprawa. Zapytaj Lenę.

— Co pan mówi! — odpowiedziałem z przestrachem. — Lena przecież nie żyje.

Wyglądało na to, że o tym nie wiedział.

— Ładne żarty — odparł z bezmyślnym uśmieszkiem.

— Zabili ją — powiedziałem.

— Nikogo nie wolno zabijać, tym bardziej Leny. Nie gadaj głupstw.

— A nas można zabijać?

— Jakich was?

Lekarz puścił ścianę, lecz widocznie zaczęła na niego się walić, ponieważ zatoczył się w drugą stronę i wsparł na mnie. Cuchnął nieprzyjemnym, męskim zapachem. Buty miał od dawna nieczyszczone. Wcześniej nie zwracałem specjalnie uwagi na asystenta mego bożyszcza i nie przyglądałem mu się zbyt uważnie.

— Czy ja nie jestem człowiekiem?

— Ty?

Nie był w stanie rozwiązać tego zagadnienia, bo dręczyła go inna myśl.

— Mówiłeś coś o Lenie? Gdzie ona jest?

— Zabili ją pułkownicy.

— Nie ma tu żadnych pułkowników.

— Pułkownicy ją zabili — usłyszałem za plecami głos Kostika. — Teraz już wiemy, jaka jest sytuacja.

— Nie macie pojęcia, jak mam tego wszystkiego dosyć — oznajmił Błoch, mówiąc z coraz większym trudem.

— Niech mnie pan posłucha uważnie — powiedziałem, przygważdżając doktora do ściany.

To dobrze, że towarzyszył mi Kostik, który lepiej ode mnie potrafił się wysławiać. W naszym oddziale ja byłem najbardziej utalentowany, a on najmądrzejszy.

— Niech pan słucha i odpowie tylko na jedno pytanie. Dla kogo przygotowują operację?

— Nie dla marszałka — rzekł konfidencjonalnie lekarz.

— Chodzi o grube pieniądze. Tak więc wasz Leszeńka zginął na próżno. Muszę uciekać…

— Nigdzie stąd nie uciekniesz — powstrzymał go Kostik.

— Lena już próbowała.

— Dla kogo przygotowują następną operację? Dla którego z nas?

— Którego z nas? — tępo powtórzył Błoch. W tej chwili nadszedł ordynator.

— Puśćcie go — rozkazał Grzegorz Siergiejewicz. — Posuwacie się za daleko.

W jego głosie było tyle siły, że nawet Błoch wytrzeźwiał, puścił ścianę i stanął prosto.

— Interesuje cię, Iwanie, dla kogo przeznaczona jest następna operacja. I w tej sprawie musisz dręczyć naszego lekarza? Uprzedzałem, że takie postępowanie źle się dla ciebie skończy. Ta operacja nie ma nic wspólnego z waszym oddziałem. Jak możecie podejrzewać, że mógłbym coś przed wami zataić? Operowana będzie dzisiaj dziewczyna, która występuje na scenie pod trochę niedorzecznym pseudonimem Traviata. Przed miesiącem prezydent odznaczył ją medalem „Za zasługi

dla ojczyzny". Dlatego stała się narodowym dobrem Federacji.

— Traviata?

W moim głosie widocznie zadźwięczało coś takiego, że Kostik zapytał trwożnie:

— Co z tobą, Wania?

— Mam nadzieję, że to przemyślisz, Iwanie — powiedział Grzegorz Siergiejewicz.

Wyciągnął długą rękę, chwycił za ramię swego asystenta i zaczął go prowadzić do gabinetu.

— Chce pan powiedzieć… — zacząłem.

— Dokładnie to, co powiedziałem.

— Tak być nie może!

— Wierz mi, to decyzja rady naukowej. Nie jestem w stanie tego zmienić. Jutro operacja.

— Muszę panu wszystko wyjaśnić!

— O nie, tylko nie to — rzucił lekarz z rozdrażnieniem.

— Dosyć już mam tego wszystkiego.

— Ma dosyć! — Błoch uniósł palec wskazujący do sufitu.

— Ma dosyyyć!

Grzegorz Siergiejewicz ciągnął go przez korytarz, a gdy wyczuł, że idę za nim, nie odwracając się wykrzyknął:

— Nie pomogę ci! Odejdź! Nie mamy o czym rozmawiać!

Lekarze znikli za drzwiami, a Kostik złapał mnie za łokieć.

— W samej rzeczy, niezły numer. A co, twoją ślicznotkę poświęcą jutro na ołtarzu ojczyzny?

— A ona, głupia, myślała, że przygotowują ją do szczęśliwego małżeństwa.

— Małżeństwa zapisane są w niebiosach — zauważył Kostik.

U wszystkich nas poczucie humoru wyrażało się w ironii.

— Tam połączą się wasze filozoficzne, niepełnowartościowe dusze — dokończył sentencję.

— Dusze nie bywają niepełnowartościowe — zaoponowałem.

— Co teraz zrobisz?

— Zastanawiam się.

— To zastanawiaj się szybciej. Zaraz będzie kolacja.

— Uważała, że powinniśmy wziąć ślub — wyznałem. — Maria Tichonowna wyraziła na to zgodę. To oznacza, że wiedziała o tym wcześniej: Daszę wybrali i wyznaczyli do przeszczepu.

— Serce? —Tak.

— Sukinsyny!

Lojalność wobec władzy w naszym oddziale topniała W oczach. Tym gorzej dla niej, ale jeszcze gorzej dla nas.

— Jesteśmy przecież ludźmi — stwierdziłem. Kostik przytaknął.

— Pójdę do Marii Tichonowny — oznajmiłem.

— To nic nie da.

— Powiem jej, że jeśli z tego nie zrezygnują, ucieknę do miasta. Mamy przecież dokumenty tożsamości.

— One są u pułkownika w biurze bezpieczeństwa. Powie w razie czego, że ktoś taki jak ty nie istnieje.

— Pomożecie mi?

— Nie prościej byłoby im nas uśpić i wyrzucić na śmietnik?

— W ciągu pięciu minut zjawi się tutaj pełno ochroniarzy…

— Pogadam ze swoimi — powiedział Kostik. — Postaramy się zamknąć w pokoju i będziemy myśleć. Tym bardziej, że sporo z nas pragnie uciec. Do tej pory naszym jedynym dobrym i wszechmocnym bogiem był Grzegorz Siergiejewicz…

— Wczoraj jeszcze byłem jego niewolnikiem… i zniszczyłem Leszeńkę.

— Zgubił go zbyt długi język. Biegnij, póki nie jest za późno. Tylko nie do lekarki. Lepiej będzie, jak przedostaniesz się do żeńskiego oddziału i opowiesz dziewczynom, jakie w rzeczywistości czeka ich życie rodzinne.

Pchnął mnie w stronę chirurgii i uciekł do sypialni. Tak rozpoczęła się wojna klonów z ludźmi. Chociaż, czy aby na pewno wojna…

12.

Zanim zdążył mi zniknąć z oczu, wiedziałem już, dokąd pójdę. Tam mnie nie będą szukać. Nikt nie wpadnie na to, że właśnie tam mogę się przedostać.

Ruszyłem prędko korytarzem między salami operacyjnymi. Było tam dużo ludzi, lecz nie odbierałem jeszcze żadnych niedobrych sygnałów. Zapewne ochrona dostała rozkaz, żeby usunąć mnie dyskretnie, bez hałasu. Obawiali się niepowołanych świadków. Być może w grupie chirurgów byli także ludzie, którzy nie podejrzewali nawet, że organy do przeszczepów nie trafiają tutaj z zewnątrz, lecz dojrzewają na miejscu razem z ofiarami.

Ileż było gadaniny, kiedy sklonowano pierwszą owieczkę, Dolly! Klonowanie jest niebezpieczne! Potworne! Nie jedźcie do Afryki! Będą tam stwarzać nowych żołnierzy! Póki co, tworzenie żołnierzy klonów wydaje się nieracjonalne, ponieważ wartość konkretnego wojownika opiera się na sile jego mięśni i wiedzy, czego nie można przekazać klonowi za jednym zamachem. Może w końcu jednak dojdą i do tego, a wówczas sperma pułkownika N osiągnie na międzynarodowych rynkach cenę brylantów. Tymczasem okazało się, że warto inwestować w klonowanie, skoro klony będą płacić swymi ciałami za prawo do istnienia.

Dotarłem do boksów. Minąłem izolatkę marszałka, który w rzeczywistości okazał się kimś innym, co najwyżej starszym porucznikiem rezerwy. W jednym z dalszych pokoi po—

winna spoczywać, oczekując na operację, sławna Traviata, bożyszcze tłumów. Odszukałem to miejsce dzięki zaobserwowanemu ogólnemu ożywieniu krążących wokół ludzi i krzątaninie, która przeszkodziła mi wejść do środka.

Naprzeciwko jej pokoju, trochę na ukos, znajdował się mały składzik. Takie pomieszczenia pojawiają się zawsze w odpowiednim momencie i miejscu, żeby bohater powieści przygodowej mógł się w nim skryć i doczekać, aż korytarz opustoszeje. Mnie się także to przytrafiło. W końcu jestem bohaterem przygodowej opowieści.

W składziku znajdowały się szczotki, mopy, odkurzacz, puszki z farbą, które zostały po ostatnim remoncie, i jeszcze cała masa nikomu niepotrzebnych rzeczy, które nie dawały mi możliwości wygody, lecz miałem się przynajmniej gdzie ukryć przed prześladowaniem. Straż szukała mnie na pewno w okolicach naszego oddziału, przetrząsnęła też oddział żeński, pływalnię i czort wie co jeszcze. Nawet gabinety lekarzy, lecz najwidoczniej ten odcinek chirurgii, wydzielony dla potrzeb jutrzejszej operacji, musiał im się wydać bezpieczny.

Chyba na chwilę przysnąłem, a tymczasem krzątanina na zewnątrz wcale nie ustawała. Upływ czasu był dla mnie rzeczą względną: wyławiałem w nim pewne momenty, lecz nie zdawałem sobie sprawy z jego postępów. Na przykład, późnym wieczorem w korytarzu pozostały dwie pielęgniarki. Jedna z nich szła już do domu i mówiła koleżance, że spieszy się, bo nie chce się spóźnić na metro. Jak słyszałem, metro zamykają o północy. Liczyłem w myślach, przypominałem sobie wiersze, drzemałem… W końcu zdecydowałem, że pora iść.

Wkrótce zaśnie cały Instytut. Ponieważ zupełnie zdrętwiałem, moje ciało domagało się, aby jeszcze zaczekać; nie chciało zrobić ani kroku. Wyszedłem pomimo to. Stanąłem w drzwiach kryjówki, gotowy w każdej chwili schować się ponownie. W całym korytarzu nie było żywej duszy.

Powolutku otwarłem drzwi izolatki. Na zwykłej koi leżała całkiem zwyczajna dziewczyna, wcale niepodobna do tej Traviaty, którą widziałem w telewizji i czasopismach. Podobna zaś trochę do Daszy. Włosy proste, ciemnoblond. Na scenie jest przecież jasną blondynką? Twarz blada, przeciętnie ładna, nic więcej. Była podłączona do kroplówki, za łóżkiem stały monitory, widocznie przed operacją chcieli zbadać dokładnie stan jej zdrowia.

Podszedłem bliżej. To łóżko było trochę wyższe niż koja, na której omal nie pobraliśmy się z Daszą. W tej chwili Traviata otworzyła oczy.

— Nie śpię — powiedziała. — Przepraszam, wiem, że powinnam spać, ale nic mi z tego nie wychodzi.

— To dobrze — odparłem. — A jak się właściwie nazywasz?

— Właściwie? Paulina.

— A tak na co dzień?

— Na co dzień… Larisa. A co, nie podoba się?

— Nie, w porządku.

Opuściła ciężkie powieki. Przyglądałem się jej i myślałem: nie ma w niej niczego wyjątkowego, zwłaszcza tego, co widziałem na ekranie telewizora. Nawet nie ma własnego imienia.

— Ciężko mi oddychać — poskarżyła się i podniosła wiotką dłoń ku monitorom. — Widzisz, jak kreska skacze?

— Widzę.

— Muszą mnie operować, żeby mój stan był stabilny.

— Co z tobą?

— Mam wrodzoną wadę serca. Ostatnio coś się pogorszyło i miałam kliniczną śmierć, słowo daję!

Taka jeszcze młoda!

— Mają mi przeszczepić serce — podjęła. — Równie dobrze mogę się jutro przebudzić, jak i wręcz przeciwnie. Ty też tutaj leżysz?

— Nie — odpowiedziałem — pracuję tutaj.

— To siadaj — zaproponowała. — Posiedź przy mnie. Pozwoliłam siostrze, żeby poszła się przespać. Wyobraź sobie, przyznała się przede mną, że wczoraj szalała na weselu koleżanki i zarwała noc. Nie mogła nikomu o tym powiedzieć, boby ją zaraz zwolnili. Śmieszne, co?

Mówiła jak ludzie z południa, nieprawidłowo akcentując.

— Jesteś z południa?

— Nie — odparła. — Z Krasnodaru. A ty?

— Jestem tutejszy.

— Nie przepadam za Moskwą — wyznała.

Uświadomiłem sobie, że miło się z nią rozmawia. Miałem ochotę zaprzyjaźnić się z tą sympatyczną, normalną dziewczyną, ale nie było na to czasu.

— Mam w mieście apartament i willę na osiedlu Barwicha. Chciałam tu przywieźć mamę, ale się nie zgodziła. Ma swoje gospodarstwo. Mówiłam jej: na cholerę ci to gospodarstwo? A ona na to: lepiej wspomagaj mnie materialnie, a ja będę odkładać pieniądze w banku. Jak skończy ci się twój

głosik, to z czego będziemy żyć? Śmieszne, co?

Wzruszyłem ramionami.

— Jesteś zamężna? — zapytałem.

— Nie czytałeś w magazynach? Zabawny jesteś. Rozwiodłam się. To był milioner, przynosił mi kosze kwiatów! Jak chciałam wystąpić w filmie, zrobił się zazdrosny o reżysera, głupek. Za wszystko w życiu trzeba płacić.

— Ile masz lat?

— Nie jestem już taka młoda, tylko dobrze wyglądam. Niedługo skończę dwadzieścia dwa. Dlaczego pytasz?

— Moja dziewczyna ma osiemnaście.

— Śmieszne! Jak miałam osiemnaście lat, nikt jeszcze mnie nie znał. Występowałam w zespole amatorskim.

— Wiesz, skąd wezmą dla ciebie nowe serce?

— Ojej, dużo o tym myślałam, słowo daję. A co będzie, jak przeszczepią serce faceta i wyrosną mi włosy na piersi? To byłoby straszne! Albo gdyby to był ktoś zły. Tego bym nie przeżyła.

— A jednak nie odmówiłaś?

— Jak masz na imię?

— Iwan.

— Wania, a ty byś odmówił? Ja tak chcę żyć!

— Tylko ty jedna?

Nie do końca chyba zrozumiała moje pytanie. Przymknęła oczy, czoło miała mokre od potu, wyglądała na zmęczoną. Spojrzałem na monitor. Jej serce biło szybciej, lecz słabiej.

— Moja sztuka potrzebna jest milionom ludzi — odpowiedziała w końcu. — Nie wyobrażasz sobie, jak wszyscy mnie kochają! Kiedy straciłam na scenie przytomność, mówiono mi, że niektórzy chcieli zaraz ze sobą skończyć. Zostałam przywieziona tutaj na polecenie ministra zdrowia. Wziął mnie pod specjalną opiekę.

— Więc nic ci nie powiedzieli na temat serca?

— Już ci powiedziałam, czemu mnie dręczysz?! — W jej głosie zadźwięczała płaczliwa nutka. — Odejdź już. Chcę spać. Czymś mnie niedawno naszprycowali, to dziwne, że mogę jeszcze z tobą rozmawiać.

— Wiem, czyje serce masz dostać.

Kiedy wypowiedziałem to krótkie zdanie, zaraz zrobiło mi się lżej. Czułem się jak Juliusz Cezar, który przeszedł Rubikon i zdecydował się rozprawić z senatorami.

— Co ty mówisz, Wania?

Kobieca intuicja musiała jej podpowiedzieć, że — sądząc po moim głosie — dowie się za chwilę czegoś złego.

— Kochałem tę dziewczynę.

— Kochałeś ją? To straszne! Umarła, tak?

Nie byłem w stanie wykształcić z siebie ani słowa, a ją zaczęła ponosić wyobraźnia.

— Twoja dziewczyna była dobra i ładna? Jak to dobrze! Widzę, że miałam szczęście. A tak się bałam… Co się z nią stało? Wpadła pod samochód?

— Wciąż żyje — powiedziałem — i nawet nie wie, że jutro ma umrzeć.

— Nie wygłupiaj się!

Jej serce zamarło na chwilę, a linia na monitorze wygięła się niczym górski szczyt.

— Nie żartuję, chociaż wolałbym. Sama pomyśl, czy to odpowiednie miejsce do wygłupów.

— Więc chociaż mi to wytłumacz!

— Słyszałaś o klonach i klonowaniu?

— Owieczka Doiły, tak? Kompozytor Igor Krutoj proponował dla mnie taki pseudonim, ale chłopaki z zespołu go wygwizdali. Niech już lepiej Swiridowa śpiewa o swojej owieczce…

— Czekaj, wysłuchaj mnie. Klony istnieją naprawdę. Ja jestem klonem.

—Co?

— Biorą komórki dawcy, ojca, i hodują je w probówkach, ile tylko się da. Najpierw było nas dwudziestu siedmiu. Dziewięciu wyszło wybrakowanych; spory procent błędu. Zostało osiemnastu. Wszyscy jesteśmy absolutnie jednakowi! Niby nie ma niczego absolutnego, ale nie zdołałabyś nas odróżnić.

Zaśmiała się nagle, a na jej miłej twarzyczce pojawił się figlarny wyraz.

— I pewnie wozili was w jednakowych wózeczkach…

— Nie — odparłem. — Od razu urodziliśmy się dorosłymi. Dwa lata temu. Mamy ten sam wiek, w jakim był nasz ojciec, dawca. Miał osiemnaście lat i nigdy go nie poznaliśmy.

— O niczym nie wiedzieliście?

— Później ci wyjaśnię — obiecałem. — Coś niecoś wiedzieliśmy, czegoś się także nauczyliśmy. Jesteśmy częścią większego programu.

— Jak Dolly?

— Jeśli zachoruje jakiś wielki, znakomity człowiek, użyteczny dla kraju, wtedy przychodzimy z pomocą. Oddajemy swoje serce, wątrobę lub oczy, żeby go uratować.

— Ale przecież można od tego umrzeć!

— Było nas osiemnastu, teraz jest tylko dziesięciu.

— To okropne!

— Był taki wiersz poety Tichonowa: &]\ WR QLH ZV]\ WNR MHGQR PyZLá JG]LH 0 R*H QDMWHSLH VSRF] üZ ZRG]LH

— Żartujesz, prawda?

— Nie ma się z czego śmiać. W sąsiednim pokoju leży marszałek, wspaniały lotnik. Leszeńka z naszego oddziału oddał mu swoją wątrobę.

— Na pewno kłamiesz!

Pomyślałem: zaraz wstanie, zechce to sprawdzić, pójdzie do sąsiedniej izolatki i zobaczy, że leży tam całkiem inny pacjent. Wiedziałem jednak zarazem, że nigdzie nie pójdzie.

— Jest jeszcze drugi, żeński oddział klonów, a w nim dziewczyna, którą kocham. Będzie musiała oddać jutro dla ciebie swoje serce.

— Przestań gadać te bzdury, bo zacznę krzyczeć!

— Dlaczego?

— Dlatego, że mnie straszysz. Chcesz pieniędzy?

— Nie wierzysz mi?

— Miałabym ci uwierzyć?

— Odmówisz zabiegu?

— Nigdy w życiu! Wszystko skłamałeś!

— Moja dziewczyna ma na imię Dasza. Jest trochę podobna do ciebie. Nie umie tylko śpiewać,

ale może nikt jej tego nie uczył.

— To wszystko nie jest możliwe — stwierdziła Traviata. Jaka tam zresztą z niej Traviata. Po prostu: Larisa.

— Dlaczego?

— Dlatego, że dawno by ich wszystkich wsadzili do więzienia.

— Kochana Lariso — odparłem — o takich rzeczach nie pisze się w gazetach. O tym się w ogóle nie mówi. Tego nie ma. Mnie także nie ma.

— Masz jakiś dokument tożsamości? — spytała.

— Tak, lecz znajduje się w biurze bezpieczeństwa Instytutu. Tak mi powiedzieli.

— Nikt nigdy nie powinien zabijać niewinnego człowieka.

— Dla mnie początkowo nie było w tym niczego dziwnego. Dopiero niedawno doszedłem do wniosku, że to niesprawiedliwe. Uczyli nas, że każdy człowiek powinien się poświęcić za naród i ojczyznę. Słyszałaś o Aleksandrze Matrosowie albo o Gastełło?

— Słyszałam o japońskim harakiri — odpowiedziała prędko.

— To nie ma z tym nic wspólnego. Mieliśmy przed sobą wspaniały cel. Wierzyłem w to do pewnego momentu, ale teraz już nie. Nie tylko z mojego powodu, ale także dlatego, że moja Dasza i ty niewiele się między sobą różnicie. Tyle że ty się już nażyłaś, najeździłaś się mercedesem i w willi mieszkałaś, a Dasza niczego jeszcze nie widziała, ale bardzo chce wyjść za mąż i urodzić dziecko.

— Ja też chciałabym mieć dziecko — powiedziała cicho. —Tylko mi nie wolno.

Dotknęła długimi, delikatnymi palcami lewej piersi, dając do zrozumienia, że to z powodu chorego serca.

— Odmówisz operacji!

— Nie gadaj głupstw, Wania. Jesteś stuknięty, ale powinieneś zrozumieć, że nikt mnie nie posłucha. Zrobią, co trzeba. Nawet jeśli niczego nie zmyśliłeś i rzeczywiście funkcjonuje tutaj fabryka, w której hodują ludzi na potrzeby innych. Nigdy się do tego nie przyznają.

—Więc uciekaj. —Jak to uciekaj?

— Wstań i uciekaj.

— Nie mogę wstawać, bo to zagraża mojemu życiu.

Czemu wcześniej nie przemyślałem wszystkiego do końca? Wyobrażałem sobie, że powiem prawdę Traviacie, ona wszystko zrozumie i ucieknie z Instytutu, a wtedy zostawią Daszę w spokoju.

— Więc co mam robić? — jęknąłem.

— Niech twoja Dasza ucieknie!

— Nie ucieknie. Nie uwierzy mi, tak samo jak ty.

— Bo to wszystko twoje fantazje. Nie ma żadnej Daszy… Na monitorze jej serce biło jak alfabet Morse'a: często

i słabo…

— A gdyby nawet istniała… — podjęła z trudem. — Ojej, jak mnie boli! Gdyby nawet istniała, i tak bym się na to zgodziła. Jestem wspaniałą artystką, uwielbia mnie cały kraj, a ta twoja Dasza to tylko sztuczna owieczka, którą stworzyli po to, żeby wykorzystać…

Nie wiem, co mnie poderwało z taboretu, na którym siedziałem.

— Nie — szepnąłem, nie słysząc prawie własnych słów —nie zrobisz tego.

Rzuciłem się ku niej z morderczym zamiarem. Nie wierzycie? Teraz sam w to nie wierzę, ale w tamtej chwili pragnąłem tylko jednego: zabić ją, żeby ratować Daszę.

— Och, jak boli!

Broniła się słabo, lecz odtrąciłem jej dłonie, żeby dostać się do jej gardła.

— Lekarza… Na pomoc!

Przysięgam, że nawet nie tknąłem jej szyi, chociaż ona zachowała się tak, jakbym to uczynił. Zadrżała i zacharczała krótko, ja zaś przeraziłem się, jakbym naprawdę ją zabił. Wciąż pochylony nad nią, odwróciłem się w stronę monitora. Przedzielała go prosta linia, niczym morski horyzont. Usta dziewczyny były półotwarte, a jej oczy spoglądały na mnie nieruchomo. Zrozumiałem, że ją zabiłem. Jej serce było tak słabe, że wystarczyło wysłać mu impuls strachu.

Rzuciłem się do ucieczki. W ciągu sekundy pojawi się sygnał na głównym pulpicie. Pobiegłem w przeciwną stronę, do naszego oddziału obok sal operacyjnych. A kiedy mnie przy wejściu złapali strażnicy, uspokoiłem się już na tyle, żeby pojąć: Dasza jest uratowana. Przynajmniej dzisiaj nie ma komu oddać jej serca. Nie było mnie w tamtej izolatce. Nie przyznam się, choćbym miał zginąć. Traviata umarła z przyczyn naturalnych. To znaczy, że mi się udało?

Szarpali mnie, bili, a któryś z nich ciągle powtarzał, że już nie żyję. Wepchnęli mnie do magazynu z bielizną. Był tam już cały nasz oddział. Wszyscy zakuci w kajdanki, pobici, niektórzy okrwawieni.

— Zabijecie nas? — spytał Rudy Brytan strażników.

— A jak myślisz? — odpowiedział pytaniem pułkownik, stojący w drzwiach za plecami swoich ludzi.

Drzwi zatrzasnęły się.

— Nieźle się biliśmy! — oznajmił radośnie Kostik.

— Pałkę na kimś złamałem — powiedział ślepy Kuźma.

Mówili wszyscy naraz, gdyż chcieli się pochwalić swoimi bojowymi osiągnięciami. Jakby nie rozumieli, że tamci rzeczywiście będą musieli pozbyć się nas ostatecznie. Najlepiej upozorować pożar albo zatrucie pokarmowe, abyśmy razem wykitowali. Miałem ochotę powiedzieć, że powinniśmy drogo sprzedać swe życie, jak mówią w filmach.

Nim zdążyłem się odezwać, drzwi otwarły się znowu i zjawił się w nich doktor Błoch, podchmielony, ale nie aż tak jak wczoraj.

— Wychodźcie stąd, więźniowie ciała i sumienia — rzekł zagadkowo.

Spełniliśmy jego polecenie, lecz wychodziliśmy ostrożnie, jak bity często pies podchodzący do miski. Ujrzeliśmy nosze przed gabinetem Grzegorza Siergiejewicza. Przykryte były prześcieradłem, tak że głowa trupa pozostawała niewidoczna.

— Co to? — zapytał Kostik.

— Cyjanek potasu — wyjaśnił Błoch.

— Mogę iść do żeńskiego oddziału? — zapytałem.

— Zapomnij. Daleko byś nie zaszedł. Zaraz by cię złapali i może od razu zabili.

— Podczas próby ucieczki — zażartował głupawo Kostik.

Nie miałem mu tego za złe, bo widziałem, że sam jest w strachu.

— Mam nadzieję — stwierdził doktor — że ktoś zatroszczy się o dziewczyny.

Przyłożył wskazujący palec do ust, jakbyśmy bawili się w chowanego, i otworzył drzwi wiodące na mroczną, pustą klatkę schodową. Pomogliśmy schodzić tym braciom, którzy mieli kłopoty.

— Trzymajcie się razem — doradził lekarz.

Furtka wychodząca na cichy zaułek, skryty między wysokimi płotami, była otwarta.

— Uciekajcie. Tu macie pieniądze. Wystarczą wam na początek — powiedział jeszcze.

I zamknął za nami furtkę. Zostaliśmy całkiem sami.

3ULHáR*\á: LWKCG-DEáR VA